

JOHN JAKES

ZŁOTA
KALIFORNIA

TOM II

Księga IV
POSZUKIWACZE
1889 - 1895

Nazywano ją „la brea”. Była smolistą cieczą, która zbierała się w małe stawy w Południowej Kalifornii, zwiastując ukryte poniżej wielkie złoża ropy.

Przez długi czas prawie nikt nie zwracał na to uwagi. Dla zamieszkujących niegdyś wybrzeże Indian była zwyczajną brązową substancją, którą smarowano kanoe i kosze, by stały się wodoszczelne, sklecano wiechcie włókna jukowego, robiąc z niego szczotki, lub malowano ozdobne wzory na muszlach. Od czasu do czasu co bardziej obrotni członkowie plemion Chumashów czy Yokutów wymieniali tę smolistą ciecz z innymi Indianami na groty do strzał i futra. „La brea” nie wydawała się niczym nadzwyczajnym ani tutejszym plemionom, ani pierwszym osadnikom. Schodząc w dół gór ku Kalifornii, nowo przybyli ujrzeli oleiste plamy, często płonące na równinie jakby piekielnym ogniem. Dostrzegli także blask podobnych ogników w leżących w oddali wąskich kanionach. Najsprytniejsi z nich zaczęli zbierać tę breję do wiader, używając jej do oliwienia łożysk w wozach i smarowania ruchomych części maszyn rolniczych.

Ale mimo to aż do 1850 roku Kalifornia nie podjęła żadnych poważnych kroków, by uczynić tę smolistą substancję przedmiotem handlu. Ci, którzy chcieli sprzedać lub oddać w dzierżawę ziemię rozwijającym się przedsiębiorstwom, szybko orientowali się, że potrzebują do tego fachowej pomocy. Jednym z konsultantów był słynny i dystyngowany profesor chemii Benjamin Silliman z Yale. Silliman napisał entuzjastyczny elaborat na temat bogactw spoczywających pod ziemią w Kalifornii, w której - pomijając kilka wizyt przejazdem w drodze do innych miejsc - nigdy nie był. Zrobił nawet dokładne analizy próbek kalifornijskiej ropy. Jednak rywalizujący z nim uczeni, być może zazdrośni o powodzenie profesora jako konsultanta, udowodnili, że próbki pochodziły ze Wschodu, z Devoe's Kerosene. Reputacja

Sillimana została w ten sposób zrujnowana. W 1859 roku pułkownik E. L. Drake wydrążył swój słynny szyb w Oil Creek w Pensylwanii. Złóża Pensylwanii były bardzo wysokiej jakości, tamtejsza ropa mogła być przetwarzana w najdoskonalszą naftę. Miała gęstą konsystencję, a napełnione nią lampy i piecyki płonęły jasnym, przejrzystym, gorącym płomieniem, niemal nie wydzielającym dymu. Takich pochwał nie można by w żadnym wypadku wygłosić pod adresem nafty produkowanej w kilka lat później w Kalifornii.

Jeśli chodzi o wydobycie ropy, w porównaniu z Pensylwanią Kalifornia była początkowo karłem. Mimo to kalifornijskie złoża przyciągały z Pensylwanii setki ludzi żądnych bogactwa. Miejscowi powtarzali: „Oto jeszcze jeden obcy. Ich chciwość jest znacznie większa od wiedzy geologicznej. Chcą wydobyć z naszej ziemi czarne złoto Kalifornii i zrobić na tym majątek.”

Rozdział 24.

Wiosną 1889 roku Mack Chance pracował w hrabstwie Ventura dla człowieka nazwiskiem Mulroy, który zajmował się poszukiwaniem ropy. Ponieważ nie miał pieniędzy, szukał jej znanym w Chinach od dwóch tysięcy lat sposobem: nawiercając ziemię specjalnymi narzędziami. Godzina za godziną Mack robił odwierty, po których na południowym brzegu Santa Clara River pozostawały płytkie dziury. Za tę bezmyślną, nużącą pracę dostawał tylko dolara pięćdziesiąt centów dziennie. Kiedy więc Mulroy po raz szósty nic nie znalazł, Mack uznał, że nie nauczy się już przy nim niczego więcej i wymówił pracę.

Na północ od rzeki u podnóża San Rafael tłusty piasek wyglądał obiecująco, ale stok był tu zbyt stromy, by tradycyjne wiercenie mogło wchodzić w rachubę. Od strony Santa Paula firma Hardison & Stewart Oil wydrążyła u stóp wzgórza poziome tunele. Wypełniono je wodą, która wyparła ropę ku górze, skąd drewnianymi rurami transportowano ją do wielkich zbiorników na dole.

Mack przepracował resztę 1889 roku wśród ludzi kopiących tunele w Sulphur Mountain. Miały one tysiąc sześćset stóp długości, były więc dłuższe od najgłębszych szybów. Aby kopiący nie musieli pracować w ciemnościach, wewnątrz tunelu pod specjalnym kątem umieszczano lustra, które odbijały światło słoneczne. Był to wprost genialny pomysł, ale ktoś powiedział Mackowi, że w Afryce już dawno na to wpadli.

Mack zarabiał trzy dolary dziennie i większość tych pieniędzy wysyłał Potterowi na podatki za San Solaro. Prawnik obiecał mu, że sam dopłaci brakującą sumę do tegorocznych zobowiązań. Jak dotąd tylko jeden nabywca grozi wkroczeniem na drogę sądową. Ilekroć Mack pomyślał o Enrique Potterze, ocierając pot z czoła, raźniej uderzał kilofem

w ziemię. Skoro prawnik tak bardzo w niego wierzy, widocznie musi być tego wart. Po pracy wypytywał starszych nadzorców, jak wyglądają podziemne formacje ropy (okazało się, że nie można tu nic przewidzieć) i co sądzą o kalifornijskich złożach (ich zdaniem były one nędzne).

W grudniu eksplozja w tunelu zabiła czterech ludzi. Kiedy Mack zobaczył sosnowe trumny ładowane na wóz, uznał, że w Sulphur Mountain nauczył się już wszystkiego, czego tylko mógł.

Na grzbiecie Railroada przybył do San Solaro. Brama była zardzewiała i porośnięta sięgającymi kolan chwastami, ale rygle na drzwiach biura wydawały się nienaruszone. W Los Angeles skontaktował się z Potterem, któremu właśnie udało się ugłaskać trzech nabywców ziemi, obiecując im rychłe spłacenie długu.

Uzgodniwszy wszystko z prawnikiem, Mack ruszył przez góry ku równinom hrabstwa Kern, gdzie, jak odkrył, brakowało rąk do pracy. W ciągu miesiąca nie znalazł jednak żadnego zajęcia związanego z wydobywaniem ropy i wkrótce stać go było zaledwie na jeden posiłek dziennie. W końcu przyjął pierwszą pracę, jaka mu się nawinęła: straszną pracę w piekielnym miejscu zwanym Asphalto.

Położone w zachodniej części hrabstwa Kern Asphalto produkowało to, co sugerowała nazwa: asfalt do pokrywania dachów i nawierzchni ulic. Czarna maź gotowała się w olbrzymich kotłach przez dwanaście godzin, napęliając powietrze obrzydliwym smrodem. Gorącą jeszcze wlewano do form z piasku, gdzie twardniała, przybierając odpowiedni kształt, zanim przygotowywano ją do wysyłki.

Aby wydobyć asfalt robotnicy musieli pracować w wielkich otwartych dołach. Ponieważ zajęcie to błyskawicznie niszczyło im ubrania, pracowali nago. Pod koniec dwunastogodzinnej zmiany przychodzili mali chłopcy, aby

pomóc robotnikom w myciu się. Szorowali ich szczotkami z końskiego włosia, które zdierały plamy asfaltu nierzadko razem z kawałkami skóry. Potem robotnicy myli się jeszcze śmierdzącą, przedestylowaną naftą, a następnie zasiadali nago w namiocie jadalnym. Ich torsy lśniły od nafty, jak polakierowane. Mack stwierdził, że człowiek nigdy nie jest w stanie domyc się po tej pracy. Szefowie żądali, by ławki w namiocie jadalnym przykryte były gazetami, i pod koniec każdego posiłku robotnicy wstawali z miejsc z przyklejonymi do pośladków płachtami papieru.

Zarobki wynosiły trzy dolary dziennie, ponieważ praca była bezmyślna, brudna i nie wymagająca specjalnych umiejętności. Wokół Asphalto kręciło się zawsze kilka ordynarnych prostytutek, ale nawet one krzywiły się z niesmakiem na widok śmierdzących, lepkich od smoły górników. W ciemnościach namiotów mieszkalnych mężczyźni uprawiali więc seks między sobą. Mack często spędzał bezsenne noce tęskniąc za Nellie.

Do pracy najął się nowy mężczyzna o budzącej respekt posturze. Nosił szeroki, spięty sprzączką od końskiego popręgu pas, którego tak często używał jako broni, że pozostali robotnicy przezwali go Strap (Strap (ang.) - rzemień.). Pewnej nocy Mack natknął się na Strapa Vigory przed namiotem. Osilek przemocą obejmował szczupłego chłopaka imieniem Homer, który pomagał mu w myciu się.

- Dość Vigory. Puść go - zażądał Mack.

- Masz coś przeciwko męskim przyjemnościom? - zapytał Vigory sięgając ręką do pasa.

- Absolutnie nic, pod warunkiem, że Homerowi też sprawiałoby to przyjemność. A jakoś na to nie wygląda. Uciekaj stąd, Homerze.

- W porządku, Homer. Zobaczymy się później. Mam z tym dżentelmenem do załatwienia pewną sprawę.

Mack i Strap Vigory natarli na siebie otoczeni kręgiem robotników, którzy w podnieceniu robili zakłady, kto zwycięży. Strap miał do dyspozycji swój pas, podczas gdy Mack walczył gołymi pięściami. Wymachując rzemieniem Vigory kilkakrotnie uderzył nim Macka w głowę i ramiona tak, że trysnęła krew, ale Mack wyrwał mu wkrótce tę broń i po dziesięciu minutach jego celne ciosy powaliły potężniejszego odeń mężczyznę na ziemię. Mack pozostawił go leżącego, ciężko dyszącego i krztuszącego się piaskiem.

Następnego ranka w wozowni, gdzie trzymał Railroada, Mack odkrył, że muł leży bez ruchu, zadźgany na śmierć jakimś ostrym narzędziem. Strap Vigory zniknął. Mając Asphalto po dziurki w nosie, pod koniec tygodnia Mack wymówił pracę i odszedł.

Wczesną jesienią powrócił do Santa Paula. Była to mała osada, licząca sobie około trzystu stałych mieszkańców, przez którą jednak bez przerwy przewijali się sezonowi pracownicy, złodzieje i hazardziści żerujący na wydobywających ropę robotnikach. Przyjeżdżali także i tacy, którzy chcieli uciec przed cywilizacją i - być może - prawem. Wielu z tych przybyszów mieszkało w namiotach lub wzniesionych z kartonu szałasach. Nadawały one całej osadzie jeszcze bardziej tymczasowy wygląd. Mówiło się tutaj, że w Santa Paula na każde siedem rodzin przypada jeden saloon. Strzelaniny były tu na porządku dziennym.

Mack najął się do pracy jako robotnik w firmie Hardison & Stewart Oil, która szybko połączyła się z dwiema innymi: Sespe Canyon Oil oraz Torrey Canyon Oil, tworząc większe i silniejsze przedsiębiorstwo o nazwie Union. Za część swojego wynagrodzenia Mack kupił w końcu rewolwer, używanego kolta peacemaker, model 73, sześćostrzałowego, kaliber 45. Była to popularna nad granicą broń, prosta i dobrze skonstruowana, z wykładaną orzechowym drewnem kolbą i

malowanymi na błękitno ozdobami. Mack wybrał jego nieco mniejszą wersję, model zwany shopkeeper, i umieścił go w umocowanej z tyłu, tuż nad prawym poślądkiem kaburze.

Hardison & Stewart wysłała go na wzgórze położone na północ od rzeki. Czwartego dnia drążenia nowego szybu zaklinowało się wiertło. Mack na ochotnika zgłosił się, że zejdzie na dół, by sprawdzić, czy da się je stamtąd wyciągnąć. Opuszczone wiertło, które ratownicy nazywali między sobą „rybą”, utknęło na głębokości dwustu czterdziestu pięciu stóp.

Mack zdjął koszulę i obwiązano go liną, wkładając pod pachy zwinięte gałgany. Następnie spuścił do otworu zapaloną lampę, by upewnić się, że będzie miał na dole czym oddychać. Powoli zaczął opuszczać się w głąb wąskiej dziury. Sunął w dół na przymocowanej do kołowrotu linie, służącej zazwyczaj do opuszczania czerpaka, za pomocą którego wyciągano na powierzchnię skalny gruz. Bardzo szybko pożałował swej decyzji. Ledwie mógł się poruszać w ciasnym szybie. Do głębokości stu pięćdziesięciu stóp wypuszczona była w ziemię ciężka rura z żelaznej blachy, o którą aż do krwi poobcierał sobie ramiona. Pod ziemią powietrze było ciężkie i gorące, niemal uniemożliwiające oddychanie. Spuszczał się wciąż niżej i niżej, aż się zrobiło ciemno i przestał widzieć własne dłonie. Z każdą chwilą coraz bardziej narastało w nim uczucie, że został uwięziony, pogrzebany żywcem.

W końcu znalazł się tuż ponad zaklinowanym wiertłem. Nie miał na tyle swobody ruchu, by pochylić się i sięgnąć po nie rękoma, uchwycił je więc nogami i kopnął, próbując uwolnić ze skały. Kopał tak przez dziesięć minut, czując zalewający oczy pot. Wydawało mu się, że wkrótce umrze z braku powietrza. Po jakimś czasie szarpnięciem liny dał ludziom na powierzchni znak, żeby wyciągnęli go na górę. Nie lubił przegrywać, ale wszystko wskazywało na to, że

wiertła nie da się w żaden sposób uwolnić. Swoje rozczarowanie wyładował w ostatnim silnym kopnięciu.

Nieoczekiwanie wiertło poruszyło się w szczelinie. Mack odetchnął z trudem - był bliski omdlenia. Parowy silnik począł nawijać linę na kołowrót. Mack wracał na górę jako bohater.

Współwłaściciel firmy, Lyman Stewart, podziękował mu osobiście, dodając do podziękowań premię oraz dwa wolne, w pełni płatne dni - wiertła należały do kosztownych narzędzi.

Stewart dobiegał pięćdziesiątki. Miał brodę, nosił binokle i przypominał zachowaniem prezbiteriańskiego diakona. Spacerował pomiędzy ustawionymi w rzędzie robotnikami jak nauczyciel wśród psotnych, ale obiecujących uczniów. Stewart przeznaczał znaczną część swoich dochodów na budowę nowej kaplicy w Santa Paula.

Na zakończenie małej mowy pochwalnej dodał:

- Bądź dumny z tych dodatkowych pieniędzy, Chance. Nie przepuść ich na wódkę, ani nie roztrwoń na jakiś szatański hazard. - Jako dobry prezbiterianin musiał powiedzieć coś takiego.

Podróż w głąb szybu sprawiła, że Mack stał się w Santa Paula postacią znaną. Znalazł się nawet przedsiębiorca, który zdecydował się zaoferować mu pracę u siebie za wyższe wynagrodzenie. Biuro tego biznesmena mieściło się w jednopiętrowym drewnianym budynku przy głównej ulicy, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie Stewart i jego wspólnicy dzielili identyczny budynek z produkującym rury Mission Transfer.

Jason Preston Danvers, Pensylwańczyk, prezesował Keystone Oil. Jego firma dzierżawiła podnóże wzgórz, ale nie zaczęła jeszcze wiercić szybów. Danvers był potężnym mężczyzną w wielkich okularach. Nosił zaczesane do góry włosy i miał taki wyraz twarzy, jakby ciągle gnębiły go jakieś kłopoty. Podobnie jak Enrique Potter trzymał na biurku

fotografię swojej rodziny. Mack doliczył się na niej aż ośmiorga dzieci, z których najstarsze miało zaledwie dziesięć czy jedenaście lat.

- Dziękuję, panie Danvers, ale mam już podobne zajęcie - odrzekł Mack, wysłuchawszy oferty przedsiębiorcy.

Jace Danvers westchnął. Jeszcze jedna porażka.

- A czego byś chciał?

- Nauczyć się więcej o tym interesie. Wydaje mi się, że mógłbym to osiągnąć pracując jako operator.

Operator był odpowiedzialny za ostrzenie wiertła i dbanie o ich stan podczas pracy. Wykonywał także wszystkie inne polecenia głównego wiertniczego.

- Tak się interesujesz ropą? Nie jest to dla ciebie tylko sezonowe zajęcie? Mack skinął głową.

- Ale będę uczciwy. Nie bardzo znam się na geologii.

- Jak większość ludzi, którzy kopią tu dziury. Na co taka geologiczna wiedza mogłaby ci się przydać? Znaki widoczne na powierzchni, owe smoliste kałuże, o niczym nie świadczą. Można by sądzić, że tłusta ciecz na ziemi wskazuje na ropę pod nią, ale to nieprawda. Warstwy geologiczne mogą układać się w bardzo różny sposób. Nie wydobędziesz stąd ropy tak czystej jak w Pensylwanii. Jeśli już nawet odkryjesz duże złoża, będzie ono zanieczyszczone, z niską zawartością parafiny... Kalifornijska ropa tryska spod ziemi jak woda. Problem tkwi w rafinowaniu. Lepszym rafinowaniu. Rozmawiałem na ten temat ze Stewartem. Pracują nad tym.

- Wiem, że to wszystko są poważne problemy, ale...

- Nie wyobrażasz sobie nawet jak poważne - przerwał mu Danvers. - A jednym z największych jest kolej.

- Tego też mam zamiar się nauczyć, gdy tylko dostanę odpowiednią pracę. Siedział niespokojny, licząc jednak na to, że Danvers przyjmie jego propozycję.

Biznesmen rzucił mu spod krzaczastych brwi badawcze spojrzenie.

- Mam nowego wiertniczego, który pracuje w Salt Marsh Canyon. Ma tam powstać szyb, ale na razie trwają dopiero przygotowania do wiercenia. Może on by cię zechciał.

- Jako operatora? Cztery dolary na dzień. Tyle wynosi zwykła stawka...

- Mam niewiele gotówki, Chance.

- Skoro mam wykonywać odpowiedzialną pracę, chcę za nią odpowiedniego wynagrodzenia.

- W porządku - ustąpił Danvers. - Cieszysz się dobrą opinią. Zatrudnię cię, jeśli wiertniczy wyrazi zgodę. Jedź i zobacz się z nim. Napiszę ci list polecający. Zaczął szukać jakiejś kartki na zawalonym papierzyskami biurku.

- Boże, czasami zastanawiam się, po co tkwię w tym parszywym interesie - westchnął.

W Salt Marsh Canyon dopiero budowano platformę wiertniczą. Jakiś szeroki w barach robotnik ściągał właśnie z wozu cztery okorowane pnie, które miano położyć pod jej podstawą.

- Gdzie szef? - zapytał Mack.

Wskazano mu wysokiego, szczupłego, czterdziestoletniego mężczyznę o podłużnej twarzy, mocno zarysowanej szczęce i lekko kręconych włosach, już przyprószonych siwizną. Człowiek ten nosił wysokie buty, grube płócienne spodnie i roboczą koszulę z obciętymi rękawami. Na szyi zawiązaną miał wielką, żółtą chustę, a w kaburze na jego lewym udzie tkwił kolt peacemaker, większy i kosztowniejszy niż ten Macka.

Mack podszedł i przedstawił się.

- Nazywam się Macklin Chance - powiedział, wyciągając rękę. Mężczyzna nie podał mu dłoni. Jego skóra była mocno spalona słońcem, a surowa i ogorzała twarz świadczyła o

wielu godzinach spędzonych na wolnym powietrzu. Jasnozielone oczy wiertniczego przywodziły na myśl swą barwą młode liście krzewów bawełny.

- Johnson. Jakiś facet z miasta mówił wczoraj, że Jace cię przyśle. Wiesz cokolwiek o wierceniu szybów? - W jego głosie słyhać było silny, południowy akcent.

- Pracowałem przy tym przez ostatnie dwa lata - odparł Mack.

- To nic nie znaczy. Potrzebuję doświadczonego operatora. Mack ani trochę nie przejmował się jego gadaniem.

- Nie mam doświadczenia, ale mogę się nauczyć. Zrobię wszystko, co mi pan każe.

Johnson pociągnął nosem.

- Niezły z ciebie spryciarz. Cóż, czemu nie? Nie widzę na razie żadnych innych kandydatów do pracy. - Liczył coś w milczeniu. - Trzy pięćdziesiąt za dzień i masz tę robotę.

- Cztery dolary. To normalna stawka operatora.

- Nie masz doświadczenia, sam to przyznajesz.

- Dlatego właśnie będę musiał pracować ciężiej niż zwykły operator. Dać z siebie dwa razy więcej.

- Pomówmy o tym w domu - Johnson wskazał chatę wzniesioną na stoku powyżej miejsca, gdzie miał powstać szyb. Jej wygląd dobitnie świadczył o kondycji finansowej przedsiębiorstwa: byle jak sklecony kamienny budynek z dużym, wymalowanym wapnem numerem „14”. - Mam w butelce kilka łyków whisky - dodał.

Mack poszedł w ślad za nim.

Johnson wyniósł przed chatę dwa drewniane krzesła. Mógł stąd obserwować, jak robotnicy pracują kilofami, osadzając podkłady pod platformę.

Podał Mackowi brązową flaszkę, ale on podziękował za wódkę. Wiertniczy postawił butelkę pod swoim krzesłem i wyjąwszy czysty gałganek, począł polerować nim lufę

swojego peacemakera. Rewolwer był naprawdę ładny. Posrebrzany metal został misternie wygrawerowany, a rękojeść inkrustowano masą perłową, ułożoną w kształt dużej gwiazdy. Lufa została skrócona, by umożliwić szybsze strzelanie. Była to broń dla zawodowca.

- Piękny rewolwer - stwierdził Johnson, dostrzegając zainteresowanie Macka. - Nowy kosztuje w Fort Worth ze sto dolarów.

- I stamtąd właśnie go pan ma?

- Nie, pochodzi skądinąd. Mam na imię Hugh. Piekielne imię dla chłopaka z Teksasu, co? Moja matka miała nadzieję, że wyrosnę na dżentelmena. No i nieźle rozczarowałem tę dobrą kobietę.

- Kiedy przybył pan do Kalifornii? Johnson nieco spochmurniał.

- Parę lat temu. Pracowałem niegdyś jako kowboj. Potem jednak jakiś bogaty ranczer z Nowego Jorku zaczął wykupywać kolejno wszystkie gospodarstwa, na których dostawałem robotę, i wyrzynać bydło, w końcu więc nie mogłem zarobić nawet paru centów. Przewędrowałem zatem przez góry i nauczyłem się nowego fachu - wskazał ręką powstającą platformę.

- A teraz jest pan wiertniczym?

- Dopóki nie znajdę sobie nic lepszego. Nigdy nie mogę wytrzymać dłużej przy jednym zajęciu. Chyba jednak nie odejdę stąd, póki nie wywiercę tej dziury dla Jace'a Danversa. Tak, ten człowiek nie zważa na żadne przeciwności losu.

- Zauważyłem.

- Jace jest przyzwoitym człowiekiem, trzeba mu to przyznać. Kocha rodzinę. Chce rozwinąć interes. Ale ciągle wałęsa mu się na głowę jakieś kłopoty. - Johnson podrapał się w nos wskazującym palcem. - To przyczyna, dla której nigdy się nie ożenię. Jedna z wielu.

- Ja też nie jestem żonaty.
- Co robisz w tej części świata?

Mack popatrzył na niego. Siedzieli na krzesłach w rzucanym przez chatę cieniu, uważnie mierząc się wzrokiem. Długonoga, szerokogłowa jaszczurka wychynęła spod kamienia i zastygła nieruchomo tuż obok. Nie obawiając się ani dziennego światła, ani ludzi, wysunęła rozwidlony język w stronę Johnsona. Wiertniczy trącił ją lekko nogą i dopiero wtedy uciekła.

- Próbuję stać się bogaty - odparł Mack.

- Jak?

- Jak tylko się da. Pochodzę z Pensylwanii, jak Danvers. Mam kawałek ziemi blisko Los Angeles.

- I oczekujesz, że nauczę cię o ropie tego wszystkiego, co sam wiem?

- Sądzę, że pan nadaje się do tego najlepiej - odparł Mack, spoglądając w stronę stromego, wąskiego kanionu w pobliżu platformy. - Nie widzę tutaj nikogo innego, kto byłby bardziej odpowiedni.

- Na Boga, naprawdę sprytny z ciebie smarkacz, panie Chance. Ale ja jestem tutaj do roboty, a nie do uczenia dzieciuchów.

Długie milczenie, które zapadło, uzmysłowiło Mackowi, że teraz wszystko zależy od niego. Pod wpływem nagłego impulsu powiedział:

- Mogę się także zająć gotowaniem. Porządne steki, pyszne omlety, dobrze wysmażone befsztyki... do licha, jestem naprawdę pierwszorzędnym kucharzem.

- Masz tę robotę - stwierdził Johnson, tym razem bez wahania.

Rozdział 25.

Mack widywał już pracujące szyby i wiedział co nieco o tym, z czego są zbudowane, ale nigdy dotąd nie przyłożył ręki do przygotowywania narzędzi służących do wiercenia. Tutejsze wyposażenie było nowoczesne, zupełnie inne niż u Mulroya.

Główny zestaw potrzebnych do pracy narzędzi składał się z przypominającego dłuto wiertła oraz żelaznej sztaby na długiej linie. Kocioł na węgiel produkował parę napędzającą mały silnik o mocy zaledwie dwudziestu koni mechanicznych, który poruszał kołowrót. Johnson był surowym i niecierpliwym, ale dobrym nauczycielem.

Nauczył Macka ostrzenia narzędzi, montowania wielkich stalowych rur, które trzeba było wsunąć jedna w drugą, i setek innych rzeczy.

Mack poznał sposób splatania lin i wkrótce tak dobrze je naprawiał, że nie można było się dopatrzeć miejsca, gdzie były urwane. Wyciągał również i opuszczał pojemnik, w którym zbierał się gruz z odwiertu. No i gotował.

Johnson prowadził skrupulatną dokumentację robót. Zapisywał, o ile stóp dziennie pogłębiono odwiert i ile jeszcze zostało do zrobienia.

- Jeśli masz dobry dzień, nie chwal się wszystkimi nadwyżkami we wpisanym do księgi raporcie - uczył Macka. - W ten sposób, gdy będziesz miał gorszy dzień i powstaną jakieś zaległości, parę dodatkowych stóp pozwoli ci zatuszować popełnione błędy.

Teksańczyk odpowiadał za jeszcze jedną ważną rzecz przy budowie szybu. Mack odkrył to pewnego popołudnia, kiedy zgasł ich mały parowy silnik. Johnson zdjął koszulę, odsłaniając długą bliznę, jaka musiała pozostać po ranie zadanej zakrzywionym nożem, niegdyś głębokiej, ale teraz całkowicie zagojonej, biegnącej w dół od lewego boku aż po

plecy. Zabrał się do silnika używając buczy, kombinerek i łomu, pocąc się i przeklinając. Po upływie pół godziny silnik ruszył, po czym znowu zamarł.

- Przeklęte nowoczesne urządzenia - westchnął ciężko Johnson i od nowa zabrał się do pracy.

- Dobrze, że jesteś mechanikiem, bo ja zupełnie się na tym nie znam - powiedział Mack, zaglądając mu przez ramię.

Johnson wypluł na ziemię przezuty tytoń.

- Nie jestem mechanikiem. Po prostu mam trochę zdolności w tym kierunku. Na ranczach zawsze naprawiałem wozy, ponieważ nikt inny tego nie potrafił. - Ponownie uruchomił silnik, który jednak po dziesięciu sekundach znowu umilkł. Rozzłoszczony Johnson stuknął w niego trzonkiem łomu. Silnik zakrztusił się, po czym zaczął pracować równo i spokojnie.

Złamali jedno wiertło w piekielnie twardej warstwie skał, jakie występowały w Salt Marsh Canyon, potem zaś dotarli niespodziewanie do warstwy piasku, gdzie zaklinowało im się drugie wiertło. Trzy dni zabrało im uwalnianie „ryby” i wyciąganie jej na powierzchnię.

Kiedy znaleźli się na głębokości sześciuset pięciu stóp, z szybu trysnęła woda. Uruchomili pompę, która przez tydzień zamiast ropy pompowała wodę. Jace Danvers przyjechał do nich, w ponurym nastroju obejrzał szyb i dokumentację, po czym zarządził kolejne sto stóp odwiertu. Zabrali się do pracy z jeszcze większą energią, niestety zerwała się lina i ściany szybu zapadły się tak, że nie można było nawet wyciągnąć wiertła. Jace Danvers wrócił jeszcze bardziej przygnębiony niż poprzednio.

- Jestem naciskany ze wszystkich stron. Opłaty za kolej niszczą mnie. „Keystone 9” daje niewiele, jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt baryłek dziennie, ale mnie nie stać nawet na to, by

przewieźć surowiec na wybrzeże. Zamykam ten szyb. Zaczniemy „Keystone 14”, w górze kanionu.

Mack i Johnson wymienili spojrzenia. Danvers miał minę człowieka umierającego na przewlekłą chorobę.

Johnsonowi bardzo smakowało gotowane przez Macka jedzenie, podobało mu się także to, że bez narzekań wykonuje ciężką pracę. Powoli nawiązało się między nimi coś na kształt przyjaźni. Pewnego sobotniego wieczoru, przy kolacji, Mack poprosił:

- Opowiedz mi o dawnych kowbojskich czasach, Hugh.
- Nie nazywaj mnie tym imieniem. Nienawidzę go.
- Powinieneś wobec tego mieć jakieś przezwisko.
- Żeby nosić przezwisko, musi istnieć po temu jakiś powód. Ja go nie mam.

- Żadnego? Nawet z czasów, gdy mieszkałeś w Teksasie? Johnson popatrzył na niego spode łba.

- Żadnego, o którym warto byłoby mówić. To były tylko długie godziny w siodle. Dajmy spokój temu gadaniu. Jedzmy.

W każdy sobotni wieczór udawali się obaj do Santa Paula. Zawsze mieli przy sobie kolty, podobnie jak większość innych pijaków i karcianych graczy z „Ventura Bar & Grill”, którzy znajdowali tu ucieczkę od wypełnionej pracą codzienności. Na górze mała meksykańska dziewczyna imieniem Angel na pół godziny pozwalała Mackowi oderwać myśli od Carli i Nellie. Johnson wolał mocniej zbudowane kobiety, gdyż sam ważył niemało. Pewnej marcowej soboty, krótko po północy, siedzieli przy odrapanym barze nad na wpół opróżnionym półmiskiem ostryg i szklaneczkami whisky, starając się zapomnieć o smutnej twarzy Jace'a Danversa. Nagle z góry dobiegł ich odgłos szamotaniny, a potem głośny krzyk. Ktoś z hukiem otworzył drzwi.

- Wynoś się i nie dotykaj mnie! On mnie uderzył, Gert - krzyczała rozhisteryzowana prostytutka.

Jakiś olbrzymi mężczyzna pojawił się na schodach. Mack szeroko otworzył oczy ze zdumienia, widząc w ręku tego człowieka ramię ze sprzączką od popręgu.

Pokerzyści przerwali grę, umilkły także skrzypce. Z góry nadal słychać było pełen skargi lament. Kiedy mężczyzna znalazł się na dole, Mack wyrwał mu pas z ręki.

- Strap Vigory, ty sukinsynu. Zabiłeś mojego muła w Asphalto.

Vigory odwrócił się w jego stronę z wściekłością. Kiedy spróbował sięgnąć po swój pas, Mack cisnął go za bar. Pomyślał, że głupio czyni, stając na drodze Vigory'emu, ale było już za późno, żeby cokolwiek zmienić. Sięgnął po kolta.

- Ciebie też zabiję, sukinsynu - powiedział Vigory, wbijając kolano w pachwinę Macka.

Ból przeszył ciało Macka. Vigory wyrwał mu kolta i odskoczył. Okrągłe oko lufy patrzyło teraz wprost na Macka. „Boże, nie!”

Hugh Johnson wyciągnął srebrzystego peacemakera tak szybko, że nikt tego nawet nie zauważył. Pierwszy pocisk roztrzaskał Strapowi mostek i powalił go na ziemię. Padając, Vigory strzelił w sufit. Pokerzyści zerwali się z miejsc. Johnson strzelał dalej. Druga kula trafiła Vigory'ego w lewe ramię, trzecia w prawe. Kolejne dwie roztrzaskały mu kolana, ostatnia trafiła go prosto w czoło. Gdy umilkł huk wystrzałów, zapadła głucha cisza. Ciało Vigory'ego poruszało się jeszcze chwilę w przedśmiertnych drgawkach, po czym znieruchomiało. Wokół jego głowy utworzyła się czerwona kałuża. Mack schylił się po swój rewolwer leżący na zbryzganej krwią podłodze. Nie potrafił oderwać wzroku od martwego ciała Vigory'ego. Czuł, że zbiera mu się na wymioty.

Jeden z pokerzystów popatrzył z lękiem na Johnsona.

- Wpakowałeś w niego sześć kul. Pięć, kiedy już leżał.

- Chciał zabić mego przyjaciela. Sam słyszałeś, co powiedział. Nie można lekceważyć pogroźek takiego człowieka. To była samoobrona. Chyba wszyscy mogą to potwierdzić?

Lodowate spojrzenie zielonych oczu Johnsona wywołało szmer potakujących odpowiedzi. Mack wypadł na ulicę i zwymiotował. Usłyszał głos Johnsona.

- Niech ktoś pójdzie po szeryfa. Nie mogę siedzieć przez całą noc.

Wyruszyli do domu o świcie, uwolnieni od wszelkich oskarżeń. Powietrze było świeże i rześkie. Jechali drogą do Salt Marsh Canyon, słuchając świergotu ptaków. Różowe niebo powoli stawało się pomarańczowe, było pasło się spokojnie na zboczach wzgórz. Zaspani farmerzy oganiali się od pszczoł wylatujących z uli stojących koło domów. Nad polami krążył w poszukiwaniu pożywienia jastrząb. Mack po raz kolejny upajał się pięknem Kalifornii, pięknem, które sprawiało, że śmierć Vigory'ego zdawała się niemal nierealna. Dręczyła go jednak ciekawość. W końcu, kiedy przejeżdżali przez eukaliptusowy zagajnik, pod dachem utworzonym przez niebiesko - białe liście, nie wytrzymał.

- Byłeś kowbojem, co? Przestań żartować. Kowboj może tak jak ty świetnie jeździć konno, ale nie potrafi tak wspaniale strzelać. Jesteś doświadczonym strzelcem.

- Może trochę - odpowiedział Johnson. Ponieważ jednak Mack wpatrywał się w niego intensywnie, dodał: - Słuchaj, jestem cholernie zmęczony i raczej nie...

- Daj spokój, Hugh. Ocaliłeś mi życie. To coś wyjątkowego. Nie chcę między nami żadnych tajemnic.

Konie pędziły przed siebie. Jastrząb wzbił się w niebo, trzymając coś w swych szponach. Johnson zmierzył Macka zimnym wzrokiem, po czym niespodziewanie jego spojrzenie złagodniało.

- A niech tam. Jesteśmy tak daleko od Teksasu, że nie ma to teraz żadnego znaczenia. - Westchnął i popatrzył na pobliskie wzgórza, jakby wstydząc się tego, co zamierzał powiedzieć. - Kiedy zabrakło roboty, przyłączyłem się do moich trzech przyjaciół, których także wylano. Napadliśmy na mały bank w Driscoll, w hrabstwie Niecek.

Mack nie potrafił ukryć zaskoczenia. Johnson zerknął na niego, jakby szukając na jego twarzy potępienia. Ponieważ niczego takiego nie dostrzegł, z napięciem w głosie ciągnął więc dalej.

- Nikogo nie zraniliśmy, możesz mi wierzyć. - Uśmiechnął się z przymusem. - Wiesz, ile mieliśmy do podziału? Dziewięćdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia cztery centy. Powinniśmy byli wybrać jakiś większy bank. Przekroczyłem granicę cztery godziny przed pościgiem. Przez sporą część roku ukrywałem się w Coahuila. - Uniósł się w strzemiionach i odetchnął głęboko, jakby chciał zmyć swoją winę kilkoma haustami świeżego powietrza. - To już nie są te same Stany Zjednoczone, które poznałem jako chłopiec, Mack. Zupełnie inny kraj. Wielkie korporacje wykańczają drobnych farmerów, zmuszając facetów takich jak ja do szukania sobie nowego zajęcia, do oszustw. Do rozboju.

- Budując kolej można bezkarnie ukraść miliony.

- Pewnie to prawda. Jak dla mnie, wszystko zmienia się za szybko. Znów zapatrzył się na wzgórza.

- Prawie udało mi się uwierzyć, że te zmiany ominęły Kalifornię. Ale kiedy jadę do miasteczek naftowych, pełnych twardzieli i żółtodziobów o błyszczących oczach, marzących o tym, żeby trysnęła im ropa, albo kiedy w Los Angeles wpadam na cwanych oszustów, umiejących sprzedać absolutnie wszystko, od narkotyków poczynając, a na wiatrakach kończąc, widzę, że w Kalifornii te zmiany są jeszcze głębsze i szybsze niż gdziekolwiek indziej. Tu żyje się

jak na rozżarzonych węglach i czasami niezbyt mi się to podoba. Ale nie wiem, gdzie jeszcze mógłbym uciec - chyba zostaje tylko skok do oceanu.

- Nigdzie nie uciekaj. Nie zdradzę twojej tajemnicy.

- Lepiej rzeczywiście tego nie rób. Mam jeszcze sporo naboju. - Uśmiech Hugh'a Johnsona powiedział Mackowi, że od tej chwili stali się prawdziwymi przyjaciółmi.

- Na mojej ziemi w sąsiednim hrabstwie jest breja - powiedział Mack do Hugh'a tydzień później. - Może powinniśmy przestać pracować dla Danversa i spróbować szczęścia na własną rękę? Jako wspólnicy.

- Komplet narzędzi sporo kosztuje.

- Ile?

- Ze czterdzieści tysięcy dolarów za narzędzia używane, ale w dobrym stanie i porządnej jakości.

- Jesteś tym zainteresowany?

Johnson wyciągnął wycior z lufy czyszczonego rewolweru.

- Nie teraz. Coś ciągnie mnie w drogę. I pewnie niedługo będę mógł wyruszyć przed siebie. Nos mówi mi, że „Keystone 15” to kolejne pudło.

I rzeczywiście, nie dowiercili się do ropy. To samo powtórzyło się przy „Keystone 16”. W lecie 1891 roku Jason Preston Danvers stanął w obliczu bankructwa.

- Wasze opłaty za przywóz węgla wynoszą więcej niż cena samego węgla! - krzyczał Danvers do zawieszzonego na ścianie telefonu.

Mack siedział na krześle, Johnson zaś stał obok oparty o ścianę, z zakurczonym kapeluszem wsuniętym pod pachę.

Zafascynowany Mack wsłuchiwał się w słaby głos wydobywający się z wiszącego na ścianie pudełka. Widział już wcześniej to urządzenie, ale nigdy przez nie nie rozmawiał. Danvers poczerwieniał i uderzył pięścią w ścianę.

- Nie, nie wierzę panu. To po prostu kolejny przypadek niszczenia drobnego przemysłu przez Southern Pacific. Gdybym był wielkim spedytorem, szybko byście wszystko załatwili. Dajcie mi taki sam rabat jak ten, który dajecie po cichu waszym...

Rozległ się okrzyk protestu, a potem połączenie przerwał głośny terkot.

- Poczekaj, poczekaj! - krzyczał Danvers. Terkot nie ustawał. Zrezygnowany odwiesił słuchawkę. - Czterej moi ludzie odeszli wczoraj - poskarżył się.

- Przykro mi, że i my przywieźliśmy dziś złe nowiny - powiedział Johnson. - Chce pan, żebyśmy kontynuowali tam pracę?

Danvers opadł ciężko na krzesło i objął głowę rękoma.

- Nie, nie. Zostawcie to. Rozbierzcie platformę. Uratujcie tylko tyle drewna, ile się da.

Danvers wyraźnie stracił na wadze. Miał nieprzytomne spojrzenie, mówił wolno, z wyraźnym wysiłkiem. Na rękawie przepoconej koszuli nosił czarną aksamitną opaskę. Jego syn, Bernard, umarł na dyfteryt w poprzednią środę.

- Bank nie chce czekać dłużej na zwrot pożyczki na sprzęt. Muszę zapłacić. To oznacza opóźnienie wypłaty pensji.

- Czy dlatego odeszli tamci ludzie? - zapytał Mack. Danvers smutno pokiwał głową.

- W porządku - powiedział Mack. - O ile oczywiście dostaniemy te pieniądze w przyszłości.

- Jasne - potwierdził Johnson, wznosząc ramionami.

- Dobrzy z was ludzie.

- Jest jeden problem - odezwał się Johnson. - Trudno pracować, kiedy nie ma co do ust włożyć.

- Pani Danvers będzie przywozić wam jedzenie dwa razy w tygodniu. Dostarczy je do Salt Marsh Canyon wozem.

- To długa podróż dla samotnej kobiety - powiedział Mack. - I niezbyt bezpieczna.

- Nie ma innego wyjścia - odrzekł Danvers. - Jestem przyciśnięty do muru.

Kłopoty Danversa potęgowały się z każdym dniem. Z „Keystone 19”, który nawierciła inna brygada, zaczęto na jesieni wydobywać ropę, ale Danvers nie mógł załatwić jej przewozu. Wierzyciele grozili mu komornikiem i wszystkie pieniądze, jakie udało mu się zdobyć, poszły na zaspokojenie ich żądań. Danvers nie miał własnych cystern, a w obecnej sytuacji nikt nie chciał dać mu ich na kredyt. Firma Hardison & Stewart umożliwiłaby Danversowi przetransportowanie ropy z Newhall do Ventury własnym rurociągiem, ale i za to trzeba by zapłacić z góry. Danvers zwracał się o pożyczkę do wszystkich banków w hrabstwie i do dwóch w Los Angeles, ale odmówiono mu choćby jednego kredytu więcej.

W gorące listopadowe popołudnie Danvers wezwał do biura wszystkich pracowników. Mack i Johnson już wcześniej odgadli przyczynę, dla której zorganizowano tu spotkanie. Jak się okazało, nie pomylili się.

- Bankrutuję - oświadczył Danvers. - Wszystko skończone. Zrealizuję należne wypłaty w najbliższy piątek, ale na tym koniec.

- Czy wypłaci pan też zaległe tygodniówki? - zapytał łysy brodac. - Jest mi pan winien pieniądze za siedem tygodni.

- Mnie za osiem - dodał ktoś inny. Dziewiętnastu pozostałym ludziom stłoczonym w biurze nie płacono równie długo. Mack zauważył jaśniejszy prostokąt na ścianie - ślad po telefonie.

Danvers stracił na wadze więcej niż trzydzieści funtów. W jego ciemnych włosach pojawiły się siwe pasma. Miał głęboko podkrążone oczy, których spojrzenie świadczyło o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

- Mogę zapłacić tylko za bieżący tydzień.
- Jezu - szepnął Hugh Johnson.
- Ufaliśmy panu, panie Danvers - odezwał się Mack. - Pracowaliśmy dla pana i ufaliśmy panu.
- Wiem o tym, Mack. Uwierz mi, że boleję nad tym. Po prostu nie mam pieniędzy.

- Ale miał je pan - przerwał mu Johnson. - Wygląda mi na to, że nie wiedział pan, jak nimi gospodarzyć.

Odpowiedział mu pomruk aprobaty. W pokoju nagle zabrakło miejsca dla współczucia i uprzejmości. Zostali tylko głodni, rozwścieczeni, oszukani ludzie. Danvers wstał i rozłożył ręce.

- Jestem uczciwym biznesmenem - powiedział drżącym głosem. Poświęciłem wszystko, co miałem. Zabrakło mi szczęścia. Jeśli chcecie kogoś obwiniać, obwiniajcie banki i ich przyjaciół z przeklętego SP.

- Och, daj spokój, Danvers - powiedział jeden z mężczyzn, kierując się ku drzwiom. Inny pogroził nafcierzowi pięścią:

- Lepiej, żebyś w piątek miał dla nas pieniądze, bo inaczej znajdziemy kawałek sznura i oddamy twoją sprawę sędziemu Lynchowi.

Danvers usiadł, pocąc się obficie.

- Chodź - mruknął Johnson do Macka. - Nie należy kopać leżącego. Ulicą obok nich przejechał wielki wóz - cysterna firmy Hardison & Stewart.

Woźnica miał nowy, elegancki uniform. Mack odprowadził go zazdrosnym, pełnym gorczy wzrokiem.

- No i stało się, amigo - powiedział Johnson, kiedy odwiązywali konie.

- Co zamierzasz teraz robić?

- Trochę się powłóczyć. I tak miałem już dość tej pracy.

- Dokąd pojedziesz?

- Może do hrabstwa Kern. Jest tam coś ciekawego?

- Pola fasoli - powiedział Mack, wzruszając ramionami. - Sporo ładnych indiańskich dziewcząt i zbyt wielkie upały. A co z moją propozycją, żebyśmy sami spróbowali rozkręcić interes?

- Chcesz włożyć w to forszę, którą dostałeś od Danversa?

Mack nie wiedział, jak odpowiedzieć na zadane sarkastycznym tonem pytanie Johnsona. Tak bardzo przechwalał się przed Nellie, Marquezem i innymi, że zbije fortunę, że wcześniej czy później ktoś musiał zacząć z niego kpić. Do diabła, nie potrafił nawet zarobić tyle, żeby spłacić choć jedną z ofiar oszustwa Wyatta. Od wielu miesięcy nie otworzył przewodnika T. Fowlera Hainesa. I nie bez powodu.

Minęło kilka chwil pełnych napiętej ciszy.

- Przepraszam - mruknął Johnson, patrząc na Macka. - Ale naprawdę ruszam w drogę.

- W porządku. Jeśli jednak zmienisz zdanie, skontaktuj się ze mną. Zostawię wiadomość u Pottera, prawnika, którego biuro mieści się w Baker Block w Los Angeles.

- Zostaniesz tutaj? Nigdzie się nie przeniesiesz?

- Oczywiście, że nie - odrzekł Mack stanowczo, choć wiedział, że prawdopodobnie okłamuje Hugh'a. Wyglądało na to, że w Kalifornii nie miał już czego szukać.

Rozstali się w piątek wieczorem, wkrótce po wypłacie w biurze. Pani Danvers wręczyła wszystkim małe koperty, tłumacząc, że jej mąż jest niedysponowany.

- Nie wątpię, że niedysponowany ze wstydu - powiedział Johnson do Macka, kiedy wyszli na zewnątrz. Nie było w jego słowach pogardy, lecz jedynie proste stwierdzenie faktu.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Wiele mnie nauczyłeś, Hugh. Kiedyś ci się za to odwdzięczę.

- Jasne. Kiedy wszyscy staniemy się bogaci. - Johnson wsadził stopę w strzemień i wsiadł na konia. - Czy przestaniesz w końcu używać tego imienia, którego tak nie znoszę?

- Nie wcześniej, niż będziesz miał inne. I pamiętaj - Potter w „Baker Block”. Przekaż mi wiadomość od ciebie.

Hugh Johnson dotknął runda kapelusza i wolno odjechał. Mack odprowadził go wzrokiem. Nie pamiętał, by czuł się podobnie przygnębiony od owego wieczoru, kiedy opuścił San Francisco.

W San Solaro nic się nie zmieniło. Mack najął się do pracy przy zmywaniu talerzy w Newhall. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem, kiedy samotność i poczucie klęski doskwierały mu szczególnie dotkliwie, jego uwagę przykuł zamieszczony w „Timesie” na pierwszej stronie artykuł: „Samobójstwo w morzu? Tajemnicze utonięcie nafcjarza!”

Poprzedniego dnia morze wyrzuciło na plażę w Santa Monica ciało mężczyzny, którym okazał się Jason Danvers. Pisano o nim jako o „przedsiębiorcy naftowym, który niedawno popadł w tarapaty finansowe”. W ostatnią niedzielę zabrał żonę i siedmioro dzieci nad ocean. Kiedy rodzina zajęta była przygotowywaniem pikniku, Danvers schował się za skałą i przebrał się w kostium kąpielowy. Starannie złożył ubranie, wszedł do wody, pomachał dzieciom ręką i popłynął. A po pewnym czasie jakiś rybak znalazł jego zwłoki wyrzucone na brzeg.

- Biedny sukinsyn - mruknął Mack. Chociaż Jason Preston Danvers nie okazał się najlepszym organizatorem, był jednak człowiekiem uczciwym, pracowitym i kierowały nim dobre intencje.

To jednak nie wystarczało. Pokonały go przeciwności losu, a i kolej miała w tym spory udział. Dla Danversa kalifornijskie marzenie okazało się oszustwem.

Mack zanurzył w zlewie zatłuszczony talerz z resztkami wieprzowiny. Dwaj kelnerzy wpadli do kuchni, wygrażając sobie nawzajem i kłócąc się po hiszpańsku. „Czy nie jestem kolejnym Danversem?” - pomyślał Mack.

Rozdział 26.

W pierwszej połowie 1892 roku często zmieniał pracę. Udało mu się zaoszczędzić dwadzieścia osiem dolarów. Nie otwierał już przewodnika, drażnił go sam jego widok. Zaczęło kiełkować w nim podejrzenie, które z czasem zamieniło się w pewność, że powtarza pełne porażek życie swego ojca. Raz na miesiąc pisał do Pottera, podając swój aktualny adres i pytając o listy. W lipcu prawnik przesłał list od Nellie. Zamierzała przyjechać do Los Angeles na początku sierpnia, żeby zebrać materiały do artykułu na temat walki o port, która ciągnęła się już od paru lat. Miasto Los Angeles chciało mieć swój całoroczny port w San Pedro. Southern Pacific, dbając o własne interesy, prowadziło intensywną kampanię w Sacramento i okolicach na rzecz ulokowania portu w Santa Monica, było bowiem właścicielem większości terenów na tamtym brzegu.

- Po raz pierwszy jestem po tej samej stronie co przeklęty Otis - powiedział Mack do Nellie, kiedy jechali powozem. Ani na chwilę nie przestawał mówić. Był podniecony ich ponownym spotkaniem, ale równocześnie jakoś smutny i zazdrosny. Najwyraźniej dobrze jej szło. Pożyczył od Pottera piętnaście dolarów, aby wynająć powóz i kupić koszt wiktuałów na piknik. Ostatniego dolara wydał na krawca, który zaszył mu rozdarty rękaw brązowej marynarki, ale mimo to czuł się w obecności Nellie ubogi i brudny.

Podjechał po nią do Pico House, gdzie zatrzymała się na koszt Hearsta. Pięknie opalona, szczupła i jak zawsze pełna energii, była doskonałym przykładem dziewczyny, której życie pełne jest sukcesów. Nosiła elegancki biały kostium, biały marynarski kapelusz oraz białe pantofle. Pochwaliła się, że strój ten pochodzi z Francji.

Mówiła równie dużo jak Mack. Powiedziała mu, że Muir założył towarzystwo ochrony przyrody - Sierra Club w San

Francisco oraz że w Palo Alto otwarto Leland Stanford Junior University, którego rektorem został młody, zdolny David Starr Jordan z Indiany. Niewiele wiedziała natomiast o Diego Marquenie.

- Pokłócił się ze swymi przełożonymi, wygłosił kilka podburzających robotników kazań, a potem wystąpił z Kościoła i zniknął gdzieś w Central Valley. Hierarchia kościelna uważa go za niebezpiecznego anarchistę. Pisano o nim w gazetach prawie przez tydzień.

Ranczo Topanga Malibu Sequit było rozciągającą się na dwadzieścia dwie mile posiadłością położoną na południe od Ventury. Obecny właściciel otoczył ją płotem, na którym umieścił tablice ostrzegające: WSTĘP WZBRONIONY - ŁAMIĄCY ZAKAZ ZOSTANĄ UKARANI! Ludzie jednak nie zwracali na nie uwagi. Mack wiedział, że właśnie tędy prowadzi najkrótsza droga na dziką plażę w pobliżu Santa Monica. Na plaży rozłożył koce i wypakował zawartość przywiezionego kosza. Dzień był słoneczny, wiał jednak silny wiatr. Na wzburzonym morzu huczały wielkie fale o białych grzywach. Powietrze pachniało solą. Wszystko wokół przypominało mu o Danversie i smutnym końcu jego życia.

Nalał do kieliszków taniego białego wina i rozwinął zapakowane w woskowany papier kanapki z kiełbasą i plasterkami ostrego sera. Nellie zdjęła kapelusz i potrząsnęła ciemnymi włosami.

- Wygląda na to, że o port toczy się naprawdę zażarta walka - powiedziała. - Huntington pociąga w Waszyngtonie za wszystkie sznurki, jakie może. „Post” siedzi w jego kieszeni, więc kiedy tylko zechce, może liczyć na pochwalne artykuły. Twój przyjaciel, Fairbanks, prowadzi kampanię w Kalifornii. Jest teraz wiceprezesem korporacji i kieruje biurem politycznym, zwanym inaczej Wydziałem Prawnym. Nie mylić z Wydziałem Literackim SP.

- A cóż to takiego?

- Ironiczna nazwa ich propagandowej maszyny. Przekupują redaktorów i dziennikarzy, żeby zapewnić sobie ich przychylność. Płacą im, dają bilety wolnej jazdy i prawo do spędzania weekendów w „Del Monte” w Monterey. Wiem na pewno, że „Bulletin” i „Call” biorą od nich pieniądze. Jeśli weźmiesz to pod uwagę, pamiętając równocześnie o wszystkich przekupionych urzędnikach we wszystkich hrabstwach Kalifornii, nie wspominając już nawet o pracownikach kolei, musisz przyznać, że Walter Fairbanks dysponuje większą władzą niż gubernator.

- Przynajmniej dlatego nie ma czasu mną się zajmować.

Roześmiała się.

- Nie chciałam cię urazić, ale sądzę, że dawno już zapomnieli o tobie i o promie. Wypędzenie cię z miasta zupełnie zadowoliło Huntingtona. Podobnie jak Fairbanksa. Przypuszczam, że mógłbyś tam wrócić, kiedy tylko zechcesz.

Mack wpatrywał się w linię horyzontu. Zdawało mu się, że widzi płynącego ku śmierci Danversa.

- Wrócę, ale nie wcześniej, aż zdobędę dość pieniędzy, by stać się poważnym partnerem w ich grze.

- A więc nie porzuciłeś swoich ambicji...

- A ty?

- Nie. - Sięgnęła po kanapkę. - Każdą wolną godzinę poświęcam napisaniu opowiadań. Jak dotąd żadnego z nich nie opublikowano. Ale kiedyś to zrobią.

- Więc jesteś szczęśliwa w San Francisco?

- Tak, ale Hearst planuje wysłanie mnie gdzie indziej.

Mack zeszywniał.

- Doskonale mu idzie z „Examinerem” i chce teraz spróbować sił w Nowym Jorku. Jeżeli założy tam gazetę albo kupi jakąś już istniejącą, będzie chciał, żebym w niej

pracowała. To najważniejsze miasto w Ameryce, Mack. Chyba nie odrzucę takiej propozycji.

- Naprawdę tego pragniesz? Spędzenia reszty życia w redakcji?

- O Boże, ależ z ciebie konserwatysta. Myślałam, że się zmieniłeś. - Jestem mężczyzną. Co mogę zmienić?

- Twoją postawę, sir. Twoją prymitywną postawę. A co chciałbyś, żebym robiła? Wiatr rozwiewał jej włosy.

- Co sądzisz o wyjściu za męża?

- Za kogo?

- Za mnie, na przykład.

- Tobie potrzebna jest żona, która będzie siedzieć w domu i wychowywać dzieci... Czyż nie?

- Tak.

- Więc lepiej zmienmy temat. - W jej głosie zabrzmiał gniew. - Jak ci idą interesy? Zarabiasz jakieś pieniądze?

- Całe mnóstwo.

- Panie Chance, mam wrażenie, że nie mówi pan prawdy.

- Dotknęła jego pogrubiąłych od ciężkiej pracy palców. - Proszę... Wiesz przecież, że martwię się o ciebie...

- Jedzmy.

- Jesteś niemożliwy.

- Nellie, kocham cię...

Pobladła. Cała jej pewność siebie nagle zniknęła.

- Co powiedziałeś?

Ujął jej rękę w swoje dłonie.

- Powiedziałem, że cię kocham. Zawsze cię kochałem.

Ale nie potrafię być inny, niż jestem.

Na jej twarz powróciły rumieńce. Ze złością wyszarpnęła mu dłoń.

- Och! Nie potrafisz być inny, niż jesteś... czy to próba usprawiedliwienia się?

- Nie chcę się kłócić, Nellie. Czekałem wiele miesięcy na to, żeby znowu być z tobą...

- Jeżeli nie chcesz się kłócić - odezwała się urywanym głosem - lepiej daj mi jeszcze jedną kanapkę, bo tę zamierzam cisnąć ci prosto w twarz.

Reszta pikniku upłynęła spokojnie, choć atmosfera była napięta. Oboje unikali fizycznego kontaktu, wyjąwszy lekki pocałunek, który Nellie złożyła na jego policzku, kiedy zatrzymali się pod arkadami Pico House.

- Do widzenia, Nellie, dbaj o siebie.

- Mack, poczekaj...

- Nie, muszę odstawić ten powóz z powrotem do stajni. Jestem już spóźniony.

- Czy zobaczymy się jeszcze, nim wyjadę z Los Angeles?

- Tak, spróbuję tu przyjechać - powiedział, wiedząc, że wcale tego nie zrobi. Nellie pięła się w górę, a on stał w miejscu. O ile wręcz nie osuwał się jeszcze niżej. Poza tym Nellie robiła czasem wrażenie, jakby wcale nie lubiła go takiego, jakim był.

Stała za firanką, wyglądając przez okno. Ulica pod hotelem była niemal wymarła, ale mimo to stała tak przez dłuższy czas, mając nadzieję, że Mack wróci. Oczywiście, nic takiego się nie wydarzyło.

Ze smutkiem stwierdziła, jak bardzo się zmienił. Był wymizerowany i napięty. Zniknął gdzieś ów energiczny, zuchwały młodzieniec, który skoczył do wody, żeby ją uratować. Pomimo tego, co mówił, widać było, że stracił dawną pewność siebie.

Na wspomnienie chwili, kiedy powiedział, że ją kocha, zrobiło się jej gorąco. Było jej wstyd, że tak głupio i opryskliwie mu odpowiedziała. Ona także go kochała - kochała go, pomimo że był tak daleki od doskonałości.

„Podobnie jak ty sama, panno Ross - pomyślała. - Mam podać kilka szczegółów? Walczysz tak ostro, konkurując z twardymi, cynicznymi dziennikarzami. Mówisz i działasz jak oni. Jesteś szorstka. Surowa. Stawiasz ludziom bardzo wysokie wymagania. Traktujesz kochanka tak jak starego Huntingtona...”

Wszystko to była prawda. Lecz cóż mogła na to poradzić? Czy potrafiłaby się teraz zmienić, nawet gdyby chciała? Prawdziwy problem polegał jednak na tym, że wcale nie chciała. Przynajmniej nie teraz. Zawsze, kiedy to sobie uświadamiała, czuła się zagubiona. Jej serce rozdzierał ból.

Wciąż stała w oknie. Nadciągał zmierzch, oświetlając starą firankę czerwonym blaskiem. Policzki Nellie były mokre od łez.

Pod koniec września Enrique Potter zaprosił do siebie Macka na niedzielny obiad. Jego przestronny, ładny, otoczony wierzbami dom znajdował się w zachodniej części miasta.

Wewnątrz było chłodno i cicho. Na dziedzińcu rosło cytrynowe drzewko. Obiad zaczął się o drugiej, kiedy Potterowie wrócili z mszy. Od przeszło roku Mack nie jadł równie smacznych potraw jak te, które przygotowała Elena Potter. Prawnik okazał się łagodnym, lecz stanowczym ojcem. Pięcioro dzieci siedziało przykładowo przy stole aż do chwili, kiedy pozwolono im wstać.

- Podnieś tę okruszynę spod swego krzesła, Felipe - nakazał, kiedy dzieci były już w drzwiach.

Felipe wrócił bez słowa protestu. Potter uśmiechnął się do chłopca i pogłaskał go po głowie, po czym zapalił jedno ze swych zdumiewająco długich cygar.

- Mack, muszę stwierdzić, że wyglądasz okropnie.

Mack złożył serwetkę.

- Ciężko pracowałem. Straciłem pięć lat walcząc o grosze. Jeżeli okaże się, że nie mogę grać o wielkie stawki, wracam na wschód.

- Przykro mi to słyszeć. Wiem, jak bardzo chciałeś uczynić Kalifornię swoim domem.

- Może to marzenie nigdy nie miało się ziścić. - Przed oczami stanęła mu Pensylwania. Wspomnienia o niej nawiedzały go ostatnio w koszmarnych snach. - Albo szczęście szybko uśmiechnie się do mnie, albo się poddam.

Potter w zamyśleniu bawił się cygarem, obracając je między palcami.

- Przyznaję, że sytuacja jest nie najlepsza. Chciałem to z tobą omówić. Pamiętasz Loren i Estelle Hutto?

- Hutto - powtórzył Mack, pocierając dłonią czoło. - Chyba słyszałem, ale nie mogę... Czekać. To ktoś z moich klientów.

- Tak, państwo Hutto z Elyrii w stanie Ohio. W piątek złożyli w sądzie pozew o odzyskanie depozytu. Mogę opóźnić bieg sprawy, wskazując na błędy w ich piśmie procesowym. Jeżeli sąd przychyli się do mej opinii, Huttowie będą musieli zacząć wszystko od początku i to da nam czas. Ale nawet jeśli tak się stanie, wcześniej czy później wygrają. Możesz nawet znaleźć się w więzieniu. Jeśli, oczywiście, nie znajdziesz szybko trochę pieniędzy...

- Jak mam to zrobić? W rzekach nie ma już złota. Może zresztą nigdy nie było.

- Mogę spróbować porozumieć się z państwem Hutto poza sądem, a potem wystawić San Solaro na sprzedaż.

Macka kusilo to rozwiązanie, ale coś kazało mu się sprzeciwić.

- Nie. Jeszcze nie jestem na to gotowy. Ta posiadłość to wszystko, co mam.

Spoglądali na siebie przez zasłonę z dymu cygara. Zza okna dobiegały ich wesole głosy dzieci bawiących się na trawniku i świergot ptaków wygrzewających się w promieniach niedzielnego słońca. Śpiew ptaków - kalifornijska muzyka...

Nastrój Macka pogarszał się z tygodnia na tydzień. Rzucił pracę pomywacza i zatrudnił się w składzie drewna. Płacono mu byle jak, ale przynajmniej sporo czasu spędzał na powietrzu. Któregoś wieczoru na początku października wstąpił na drinka do baru „El Dorado” przy Main Street. Zajął miejsce przy kontuarze obok żyłastego mężczyzny przed czterdziestką. Mężczyzna miał jasną, nieco piegowatą skórę, duże wąsy i ogromną bliznę na policzku. Mack zauważył katolicki medalik na jego szyi i kołyszący się u biodra rewolwer. Kiedy Mack zamówił piwo, zobaczył, że człowiek ten pokazuje swemu towarzyszowi jakiś artykuł w „Tribune”.

- Przepraszam - odezwał się Mack. - Czy jest tutaj coś o mistrzostwach w boksie?

- Owszem - mężczyzna wskazał na depeszę agencyjną z Nowego Orleanu.

- Boże, wygrał! - zawołał Mack. Szybko przeczytał artykuł. - Nokaut w dwudziestej pierwszej rundzie. - To, że Dżentelmen Jim pokonał Johna L. Sullivana w walce o tytuł mistrza wagi ciężkiej, napełniło go dumą.

- I to w rękawicach, w trzyminutowych rundach. Mack wypił łyk piwa.

- Corbett to mój przyjaciel. Uczył mnie boksu.

- Ach tak? - Mężczyzna zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów. Spostrzegł kolta, którego Mack nosił u pasa. - Jesteś Kalifornijczykiem?

Pomimo swych ostatnich wątpliwości, Mack w zupełnie naturalny sposób przytaknął.

- Wiesz coś o ropie? O brei, smole - czy jakkolwiek to tutaj nazywają?

- Tak się składa, że wiem. To płyn sączący się z nad złóż ropy i gęstniejący w kontakcie z powietrzem.

- Tak przypuszczałem. Pierwszego dnia po przyjeździe do miasta widziałem wóz załadowany nią po brzegi. Dowiedziałem się, że miejscowi ludzie palą ją.

- Tak. Używają jej zamiast węgla, którego tona kosztuje w Los Angeles dziesięć do piętnastu dolarów. Przed wiekami Indianie uszczelniali breją naczynia i kanoe.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Pracowałem w naftowym biznesie przez dwa lata.

- Słyszałeś, Charley? - powiedział jego rozmówca, trącając łokciem towarzysza. Wyciągnął do Macka rękę. - Nazywam się Ed Doheny. A ten dżentelmen to Charley Canfield.

- Maclin Chance. Proszę mówić mi Mack. Skąd jesteście?

- Obecnie stąd. Przez pewien czas przebywałem w Nowym Meksyku, szukając złota. Nie jest to jednak droga do bogactwa.

- Chciałbyś dla nas pracować? - zapytał Canfield. - Potrzebujemy więcej ludzi.

- Do czego?

- Do polowania na ropę - odparł Doheny. - Skoro w mieście jest tyle oleistych kałuż, przypuszczam, że pod nami znajduje się całe jezioro ropy. - Mack powstrzymał się przed powiedzeniem, że takie znaki na powierzchni często zawodzą.

- Kupiłem działkę i zamierzam solidnie ją sprawdzić.

- Gdzie jest ta działka?

- Niedaleko. W pobliżu Second Street. Nazywają ten teren Westlake Park.

- Naprawdę zamierzasz wiercić w Los Angeles?

Doheny spochmurniał.

- Zamierzam kopać, mój przyjacielu. Takie same doły, jak farmerzy budujący studnie w Wisconsin, gdzie dorastałem. Nie stać mnie na sprzęt wiertniczy, zresztą nawet gdyby było inaczej, nie wiedziałbym, jak go używać. Zapłaciliśmy z Charleyem za działkę czterysta dolarów, jesteśmy więc niemal zupełnie spłukani. Jeśli godzisz się pracować kilofem i łopata w zamian za procent od zysków, możemy się dogadać.

Mack wolno pił piwo, rozważając to, co usłyszał. Pomysł szukania ropy w mieście, który początkowo wydał mu się absurdalny, po chwili zastanowienia nie wyglądał już na tak całkiem głupi. Przecież od pierwszego dnia, kiedy znalazł się w Los Angeles, widywał kałuże brei. Całe bogactwo Kalifornii opierało się na ryzyku i nadziei. A poza tym, co miał do stracenia? Nic. Może był to wpływ piwa, a może zuchwałej pewności siebie Doheny'ego, ale Mack po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł przypływ energii.

- Dwadzieścia procent. Doheny popatrzył na niego twardo.

- Dziesięć.

- Piętnaście.

- Charley? - Canfield skinął głową. - Kiedy możesz zacząć?

- Pięć minut po tym, jak jutro rano wymówię robotę w składzie drewna.

4 listopada 1892 roku w odległości mili od centrum Ed Doheny, Charley Canfield i Mack Chance zaczęli kopać mały górniczy szyb o wymiarach cztery na sześć stóp. Mieli do dyspozycji tylko kilof, łopatę i własną siłę fizyczną. Doheny zatrudnił jeszcze chłopaka, który jednokonnym wozem wywoził wykopaną ziemię.

Po kilku dniach zjawili się pierwsi gapie, którzy otwarcie kpili z ciężko pracujących mężczyzn. Rozwścieczyło to Doheny'ego, ale Macka jedynie zdopingowało.

Pewnego dnia na głębokości siedmiu stóp Mack spostrzegł nagle na ścianie szybu tłustą, oleistą ciecz.

- Ed, Charley, chodźcie tutaj - krzyknął.

Począł, aż zejść do niego po drabinie, po czym dotknął tłustej mazi. Jego palce zrobiły się czarne.

- Nafta - powiedział, uśmiechając się.

- Jest tutaj - Doheny'emu zabrakło tchu w piersiach. - Boże, czuję ją! Czy wy też, chłopcy?

- Czuję pieniądze - powiedział Mack.

Następnej nocy, po godzinach wyczerpującej pracy, Mack zaczął na własną rękę sprawdzać sąsiednie działki. Dni mijały, a on co noc odbywał swe samotne wyprawy, pilnując, by nikt się o nich nie dowiedział. Coraz bardziej upewniał się, że odkryli coś niebywałego.

Doheny i Canfield przeprowadzili się z hotelu do rozstawionego na działce namiotu. Następnego wieczoru, kiedy Mack wracał do swego wynajętego pokoju, natknął się na czekającą na niego właścicielkę domu.

- Znalazłeś się w tarapatach, prawda, młody człowieku? Był tutaj woźny sądowy z pozwem dla ciebie.

- Tarapaty? - Serce Macka poczęło bić mocniej. - O niczym nie wiem, proszę pani.

- No cóż, wróci tu jutro. Poza tym chciałabym dostać z góry czynsz za następny tydzień.

- Tak, oczywiście. Załatwimy to jutro rano.

W godzinę później, spakowawszy skromny dobytek, wyślizgnął się przez okno swego pokoju na pierwszym piętrze i zeskoczył na ziemię. Hałas obudził właścicielkę domu, która zaczęła strzelać z fuzji, na szczęście chybiając. Przeskoczył przez wysoki płot i ruszył w ciemną noc. Przed północą dotarł do namiotu zdumionych współników.

Kilka nocy później zbudził ich jakiś hałas dobiegający od strony szybu. Wybiegli z namiotu i zobaczyli człowieka który

zamierzał ukraść kilofy i łopaty. Doheny strzelił i trafił złodzieja w łydkę.

- Dobry jesteś, Ed - powiedział później Mack, kiedy Doheny czyścił broń.

- Używam rewolweru tylko w ostateczności - odparł Irlandczyk spokojnie. - Zastrzeliłem pumę, kiedy zaatakowała mnie w Nowym Meksyku. Niewiele brakowało... - Dotknął blizny na policzku. - Raz użyłem też broni, kiedy pewien człowiek próbował mnie zastrzelić.

- I co?

Doheny popatrzył w niebo.

- Nie udało mu się - odpowiedział.

Wciąż pogłębiali szyb. Pod koniec listopada ze ścian zaczął wydzielać się trujący gaz. Na głębokości stu pięćdziesięciu stóp odór był już tak silny, że praca stała się niebezpieczna.

- Wystarczy jedna iskra, a wszyscy polecimy do nieba - ostrzegł Mack współników. - Nie możemy już dalej kopać.

- To i dobrze, bo trudno tu oddychać - powiedział Canfield pokaszując. - Co teraz zrobimy?

- Będziemy wiercić.

- Przecież wiesz, że nie mamy narzędzi - wybuchnął Doheny. Mack otarł spoconą twarz brudnym przedramieniem.

- W takim razie musimy wiercić czymś innym.

Na sąsiedniej działce znaleźli powalony eukaliptus. Zaciągnęli pień drzewa do dołu, zaostrzyli koniec, zbudowali wspierające rusztowanie i spuścili do szybu. Silnikiem napędzającym owo wiertło był... osioł.

Dowcipkujących gapiów nie ubywało, a wśród nich niemal codziennie była tęga kobieta, która z dużym zainteresowaniem śledziła postępy robót. Macka zaintrygowało jej zachowanie - godzinami przesiadywała na

pustej drewnianej skrzynce, wpatrując się w wykop z oddaniem dziewczyny zachwycającej się nowym kochankiem.

Któregoś dnia zaczęli ze sobą rozmawiać.

- Nazywam się Emma Summers. Mieszkam tu niedaleko. Pochodzę z Kentucky, ale uczyłam się w New England Conservatory. Jestem nauczycielką gry na fortepianie. Nigdy nie widziałam nic równie ekscytującego.

- Wszędzie tutaj pełno oleistych kałuż - zażartował Mack.
- Może ropa jest i na pani podwórku.

- Właśnie tak myślę, młody człowieku - odpowiedziała poważnie.

Mack zwiększył częstotliwość swych nocnych eskapad, pilnując się równocześnie bardzo, żeby nie natknąć się na ludzi szeryfa. Wszystkie spostrzeżenia pieczołowicie notował i wkrótce całe kieszenie miał już pełne małych karteluszków.

Eukaliptusowe wiertło podnosiło się i opadało z monotonną regularnością. Doheny nieustannie bombardował Macka pytaniami: - Jeżeli natrafimy na ropę, ile za nią dostaniemy?

- Około dolara za baryłkę.

- Rynek jest dość mały, prawda?

- Nie tak duży, jak być powinien - zgodził się Mack. Wskazał palącą się w namiocie lampę naftową. Unosił się nad nią dym, który zasnuwał cały namiot. - Oto jedna z przyczyn. Za bardzo kopci. Można by temu zaradzić lepszym rafinowaniem, ale i tak nie zwiększyłoby to zbytnio zapotrzebowania na ropę.

- A co by go zwiększyło?

- Użycie jej jako opału i paliwa. Obecnie używają jej tylko biedni ludzie. Pomyśl jednak o SP. Nie lubię tych sukinsynów, ale wyobraźmy sobie, co by było, gdyby lokomotywy napędzono ropą, a nie węglem. Nie nadążylibyśmy wtedy z wydobyciem.

Kopali przez czterdzieści dni i nocy. Czterdziestego pierwszego dnia usłyszeli głośny syk gazu i na dnie szybu zabulgotała ropa. Po pięciu minutach zaostrzony wierzchołek eukaliptusa znalazł się głęboko pod jej powierzchnią. Po dziesięciu minutach mieli już piętnaście stóp ropy.

- Jesteśmy milionerami! - darł się Doheny, spuszczać czerpak.

- Milionerzy! - wtórował mu Canfield. - Mogę cię prosić do tańca?

Ujął Macka pod ramię i zaczęli wirować po całej działce, śpiewając i pokrzykując. Doheny podbiegł do nich z czerpakiem wypełnionym ropą.

- Wesółych Świąt! - zawołał, oblewając ich czarną cieczą.

Canfield prychał i spluwał, Mack zaś śmiał się tak, że aż upadł na ziemię. Ropa zlepiła mu włosy, wdarła się do uszu, drapała w nosie.

Wydobywali ją przez cały dzień, wyciągając siedem baryłek. Szyb dalej pełen był ropy, a jej poziom wciąż się podnosił.

Mack pojechał w nocy do zachodniej dzielnicy miasta i o wpół do trzeciej zapukał do drzwi domu Enrique'a Pottera.

Potter otworzył mu, trzymając w jednym ręku lampę, w drugim zaś dubeltówkę.

- Sądziłem, że to jakiś bandyta. Mój Boże, ależ ty śmierdzisz.

- Wydałem dziesięć centów na kąpiel, ale nie mogę uwolnić się od tego zapachu.

- Gdzieś się do diabła podziewał, Mack? Myślałem już, że umarłeś albo zwiąłeś do innego stanu. Strasznie naużerałem się z władzami. Wystawiono na ciebie nakaz aresztowania, planuje się także zajęcie San Solaro.

- To nie ma znaczenia. To wszystko już się nie liczy. Dogadam się z tymi ludźmi, ze wszystkimi klientami. Tylko

daj mi jeszcze odrobinę czasu. - Chwycił prawnika za ramię i potrząsnął nim. - Enrique! W Los Angeles jest ropa! A teraz wpuść mnie do środka.

Usiedli przy kuchennym stole. Zza ściany dochodził ich głos Eleny, uspokajającej rozbudzone dzieci. Zaspany Potter niechętnie przyglądał się, jak Mack rozkłada przed nim plik wyciągniętych z kieszeni kartek.

- W Westlake Park są działki budowlane na sprzedaż. Oto opis pięciu z nich - tych, w pobliżu których jest breja. Najdroższa kosztuje zaledwie pięćset siedemdziesiąt pięć dolarów. Chcę, żebyś kupił je dla mnie jutro rano. Wszystkie pięć. Zaciągnij pożyczkę na hipotekę San Solaro.

- Chyba żartujesz? Nie można obciążać hipoteki posiadłości objętej postępowaniem sądowym.

- W takim razie sam weź pożyczkę. Chyba łatwo dostaniesz kredyt, prawda? Dam ci weksel na dwa... nie, na trzy tysiące dolarów. Wykupię go.

- Wykupisz? Może z więzienia? Mogę wszystko stracić, jeśli nie będę ostrożny... Mój Boże, ależ ty masz stalowe nerwy! Jestem przerażony.

- Enrique, ja wiem, że to się uda. Wiem to! Powiedziałeś, że coś ze mnie będzie - i miałeś rację. Ale tylko wtedy, jeśli mi pomożesz.

- Poczekaj, nic nie rozumiem. Mówisz za szybko.

Starając się opanować podniecenie, Mack wyjaśnił mu wszystko. Potter nie miał dotąd pojęcia o jego współpracy z Dohenym. Słuchał Macka z rosnącym sceptycyzmem.

- Zamierzasz kopać doły na wszystkich tych działkach?

- Nie. Poczekam dwa, trzy miesiące i sprzedam je.

- A jeśli ten twój szyb jutro wyschnie?

- Wtedy stracę moją posiadłość.

- Mack, ryzyko jest za duże. Radziłbym nie...

- Kup działki, Enrique. Wiem, że mam rację. „Już nigdy nie będę biedny...”

Enrique Potter popatrzył na niego badawczo. Potem pozbierał rozłożone na stole kartki.

Mack opadł na oparcie krzesła. W głowie kręciło mu się od szalonej, pijanej radości. Wyostrzyły mu się wszystkie zmysły. Zdumiewająco wyraźnie słyszał nawet krążące wokół domu owady. Pomyślał, że nigdy nie zapomni tej kuchni, starego szlafroka Pottera i jego zaspanych oczu.

„Oto noc, kiedy wszystko się zaczyna - myślał, zmagając się z kolejną falą wielkiej radości. - Noc, kiedy natrafiłem na żyłę złota.”

Rozdział 27.

Z szybu Doheny'ego wydobywano czterdzieści pięć do pięćdziesięciu baryłek dziennie. Tak rozpoczął się boom naftowy w Los Angeles.

Mack kupił wszystkie pięć działek. Na początku lutego 1893 roku sprzedał je - najtańszą za 1850 dolarów, najdroższą za 2775 dolarów. Spłacił rodzinę Hutto i dwóch innych klientów, dając im jeszcze dziesięć procent odsetek. Potter doprowadził do unieważnienia nakazu aresztowania i wycofania z sądu oskarżeń przeciw Mackowi. Mack z satysfakcją wykreślił trzy nazwiska z listy San Solaro. Za resztę pieniędzy kupił nowe działki. Ich wartość rosła gwałtownie, pomimo kryzysu dręczącego gospodarke.

24 lutego zbankrutowało wielkie Towarzystwo Kolejowe Philadelphia & Reading Railroad. O ile przez cały 1892 rok rozbrzmiewały alarmowe dzwonki zwiastujące panikę na rynku, o tyle teraz słycać już było trąby tak głośne, jakby wzywały na Sąd Ostateczny. Czwartego marca Grover Cleveland zaczął swą drugą kadencję jako dwudziesty czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych. Wraz z wiceprezydentem Adlaiem Stevensonem musiał stawić czoło monetarnemu chaosowi, który ogarnął kraj i cały świat. Belmont, Morgan i inni finansiści ostrzegali nowego prezydenta przed zbliżającą się katastrofą, wskazując jako jej przyczynę Sherman Silver Purchase Act z 1890 roku. Ustawa Shermana, która miała być przyjacielskim gestem wobec właścicieli kopalń, groziła teraz utraceniem przez Amerykę opartej na złocie stabilności pieniądza. Ostrzeżenia nadeszły jednak za późno. Kiedy pierwszego maja otworzono w Chicago wystawę światową, odwiedzające ją tłumy pragnęły zapomnieć o tym, co działo się na zewnątrz: o bankructwach towarzystw kolejowych, zamykaniu biur maklerskich, panicznemu wycofywaniu pieniędzy z banków, oraz o tym, że federalne rezerwy złota

spadły poniżej stu milionów dolarów. W Los Angeles rynek naftowy zareagował na to obniżeniem ceny do czterdziestu pięciu centów za baryłkę, ale pęd do kupowania ziemi i wiercenia szybów niewiele się zmniejszył.

Mack założył biuro w ciasnym pokoiku w „Chalmers Block”. Kupował i sprzedawał coraz więcej działek, podwajając, a potem czterokrotnie powiększając kapitał, z którym zaczynał działalność. Spłacił też kolejnych dziesięciu klientów San Solaro. Potter przyznawał szczerze, że początkowo był przesadnie ostrożny, i teraz energicznie i z zapalem wykonywał wszystkie polecenia Macka.

Boom w Los Angeles trwał pomimo ekonomicznego kryzysu, który w coraz większym stopniu ogarniał całe Stany Zjednoczone. W Westlake Park ludzie wykopywali palmy, przekopywali podwórka, rozbierali domy i usuwali gruz, by oczyścić miejsce pod nowe szyby naftowe. Cała dzielnica przesiąknięta była zapachem ropy.

Konne wozy nieustannie kursowały ulicami, przywożąc rury i wiertniczy ekwipunek. Ich koła zrujnowały nawierzchnię dróg. Inne wozy wywoziły ropę wydobytą z nowych szybów. Ropa skapywała z nieszczelnych pojemników i ślizgały się na niej końskie kopyta. Czasem kałuże stawały w płomieniach zająwszy się ogniem od przypadkowej iskry. Niekiedy nocą płonęło ich tak wiele, że przemieniały Westlake Park w morze czerwonego światła i dymu. Nauczycielka muzyki, pani Summers, kupowała działki i stawiała na nich wieże wiertnicze. To samo robili farmerzy i sklepikarze. Pod koniec 1893 roku w okolicy było już prawie sto pracujących szybów. Hałas dobywający się z nich był wprost nieznośny. Nieliczni mieszkańcy, którym nie starczyło śmiałości, by szukać ropy, mieszkali teraz w domach otoczonych ze wszystkich stron wieżami wiertniczymi. Warstewka oleju pokrywała liście hodowanej w ogródkach

sałaty i suszącą się bieliznę, o ile ktoś był na tyle nierozważny, żeby po praniu rozwiesić ją na płocie.

Boom przyciągnął w tę okolice zupełnie nowy rodzaj ludzi, którzy grali w karty, palili tytoń i rozbijali namioty, w których kobiety sprzedawały swe ciała, nie dbając o to, że dłonie mężczyzn śmierdziały ropą, jeśli tylko trzymali w nich pieniądze.

Mack nie budował szybów. Wszyscy bankierzy ufali mu i traktowali kordialnie, witając po imieniu, kiedy w nowym garniturze szedł zawrzeć kolejną umowę. Spłacił wszystkich pechowych klientów San Solaro, wykreślając ich nazwiska ze swojej listy, a także zapłacił Potterowi obiecane honorarium. Resztę pieniędzy - prawie trzydzieści osiem tysięcy dolarów - wpłacił do banku. Którejś nocy, prawie rok po tym, kiedy zaczęli kopać na działce Doheny'ego, Mack pojechał o zmroku do Westlake Park. Udał się tam nie na grzbiecie konia, lecz na wyprodukowanym przez Singera bicyklu za osiemnaście dolarów. Singer zajmował się głównie maszynami do szycia, ale widząc amerykański entuzjazm dla nowego wynalazku, uruchomił także produkcję bicykli. Były one wciąż usprawniane: w zapomnienie poszło już wielkie przednie koło i twarde, grube opony. Teraz oba koła były równej wielkości. Mack lubił jeździć na swoim pomalowanym żółtą farbą rowerze. Pedałowanie wzmacniało mięśnie jego nóg, musiał jedynie pamiętać o podwijaniu nogawek spodni, by nie wkręciły się w łańcuch.

Wśród huku pracujących szybów i jazgotu silników usłyszał miotane przez robotników przekleństwa i dźwięki fortepianu pani Summers. Na wyboistej ulicy stały kałuże ropy, a wieże wiertnicze w świetle gwiazd podobne były do wielkich prehistorycznych gadów. Kilka razy Mack omal nie spadł z roweru. Ulice nie bardzo nadawały się jeszcze do jazdy na bacyklach, choć wszyscy rowerzyści, jak kraj długi i

szeroki, domagali się lepszych nawierzchni w miastach i poza nimi.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie zaczęli kopać pierwszy dół, przekonał się, że Doheny przyjął nowych pracowników. Sam Doheny zajmował się już innymi wykopami. Rozstali się ze sobą w przyjaźni. Należne Mackowi procenty były co tydzień wpłacane na specjalne konto, które w tym celu założył sobie w Banku Los Angeles National. Mack zeskoczył z bicykla i przez dziesięć minut rozmawiał z robotnikami Doheny'ego. Wszystko szło dobrze.

Już miał ruszyć z powrotem, kiedy zatrzymał go dochodzący z ciemności głos.

- Hej!

Zaskoczony i zaniepokojony rozejrzał się na boki. Jakiś wysoki mężczyzna stał bez ruchu na granicy działki. „Strap Vigory...”

Sięgnął do biodra, myśląc równocześnie: „To absurd.” Przy pasie nie było jednak rewolweru - nie nosił swego kolta, kiedy ubierał się jak biznesmen.

Mężczyzna zrobił kilka kroków, wynurzając się z mroku. Nosił czarny kapelusz i czarny surdut. Na szyi zawiązaną miał jasnozieloną chustę.

- Johnson! Na miłość boską, nie skradaj się tak.

- Zawsze w ten sposób przychodzę i odchodzę. Oszczędza to kłopotów z szeryfami i zazdrosnymi mężami.

- Przestraszyłeś mnie. Przez chwilę wyglądałeś jak widmo śmierci...

- Przepraszam - odparł lakonicznie Hugh Johnson. - Potter powiedział mi, że będziesz gdzieś tutaj. Słyszałem, że nieźle ci idzie.

- Po prostu świetnie.

- Sprzykrzyło mi się hrabstwo Kern. Potrzebuję porządnego żarcia. Nikt zaś nie gotuje tak dobrze jak ty.

Mack uśmiechnął się.

- Wróciłeś, żeby tu zostać?

- Do czasu, dopóki znów coś nie wyciągnie mnie na włóczęgę. Jestem gotów zostać twoim wspólnikiem, jeśli zechcesz.

- W San Solaro?

- W San Solaro.

- Doskonale - ucieszył się Mack. - Napijmy się i pogadajmy o tym. Masz konia?

- Jasne, że mam konia. Nie sądzisz chyba, że mógłbym jeździć na czymś takim jak ty. Mój Boże, masz takiego samego bzika na punkcie nowych wynalazków jak cała reszta Kalifornijczyków.

Zmieniwszy eleganckie ubranie na roboczy kombinezon i założywszy pas z koltem, Mack pojechał razem z Johnsonem w góry do Bakersfield, gdzie Teksaszczyk wypatrzył w składzie Harron - Rickard Supply Company porządny, choć używany sprzęt. Kupili go i zawieźli do San Solaro.

W składzie w Newhall zamówili drewno. Żeby zaoszczędzić pieniądze, zdecydowali się sami zbudować platformę wiertniczą. W Los Angeles zaopatrzyli się w liny i rury o różnym przekroju. W końcu, kiedy gotówka Macka była już na wyczerpaniu, odwiedzili handlującą węglem Vines Coal Company.

Vines, właściciel o wystających jak u królika zębach, pokazał im kalkulację cen.

- Dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt centów za tonę. Z dowozem do waszej posesji trzydzieści dwa dolary.

- Jezu Chryste - jęknął Johnson, ciskając listę cen na kontuar. - Czy to skład węgla, czy biuro agentów kolei?

Vines poczuł się urażony.

- Takie są opłaty. Nie myślicie chyba, że SP dostarczy wam węgiel do Newhall za darmo, prawda?

- Nie wiem zbyt dużo o węglowym biznesie - powiedział Mack - ale wiem, że pańska cena jest za wysoka. Więcej zarabia pan na przewozach niż na samym węglu.

- Czy to dla pana niespodzianka? - prychnął Vines. - Jeżeli ktoś prowadzi dużą firmę, SP daje mu preferencyjne zniżki. Za małe transakcje, takie jak ta, płaci klient.

W kąćniku ust Johnsona pojawiła się kropla śliny zabarwionej żutym tytoniem. Otarł wargi dłonią, po czym osuszył je dokładnie rąbkiem długiej, niebieskiej chusty. Mack zdążył się już zorientować, że Johnson ma ich całe mnóstwo - był to jedyny luksus, na jaki sobie pozwalał.

- I co o tym myślisz? - zapytał Johnson. Mack obliczał coś w pamięci.

- Stać nas na dwa, może trzy ładunki. Żeby zaoszczędzić pieniądze, sami przetransportujemy węgiel. Mamy wóz.

Wyszli z biura. Mack myślał o Huntingtonie jedzącym obiad w swym wspaniałym pałacu. Myślał o wielkim ranczu Lelanda Stanforda - kiedy umarł w czerwcu, odziedziczyła je wdowa po nim. Myślał też o pięknych strojach Waltera Fairbanka i jego zarozumiałości. Czuł, że ogarnia go wściekłość.

- Obliczyłem - powiedział, kiedy siedzieli już na wozie - że trzy duże dostawy węgla to wszystko, na co będzie nas stać w ciągu paru najbliższych miesięcy. Zostaniemy niemal bez grosza. Moje procenty nie wpływają dość szybko, żeby pokryć tak duże wydatki.

- Może Potter coś ci pożyczy.

- Potter raz mi już pomógł. Nie chcę go znowu o to prosić.

- Banki...

- Panika na rynku pozbawiła je pieniędzy. Niechętnie udzielają kredytów, szczególnie na poszukiwanie ropy. Byłem w zeszłym tygodniu w Los Angeles National i w Security

Loan. Nie zachowywali się zbyt miło. Nie będziemy mieli więcej węgla.

- Ktoś powinien się w końcu dobrać do skóry tym kolejowym oszustom.

- Kiedyś to zrobimy.

W świetle mglistego poranka 1 stycznia 1894 roku Mack i Johnson skończyli budować platformę. Postanowili wierceć najpierw u podnóża pagórka, w miejscu, gdzie znajdowała się długa na dziesięć stóp kałuża brei. Wokół leżały kawałki drewna, rur i lin oraz stał okryty brezentem wóz z węglem. Johnson przygotował deskę, na której Mack wymalował czarną farbą napis: „Chance - Johnson nr 1.”

Promienie zimowego słońca przebijały się przez mgłę i oświetlały cichą, pustą dolinę. Wiatr porozwłóczył większość palików i chorągiewek niegdyś oznaczających granice działek. Tylko budynek biura, w którym mieszkali, świadczył o ludzkiej obecności.

- Robi wrażenie - powiedział Johnson, przyglądając się ustawionej tablicy. Mack uśmiechnął się.

- To prawda. Jest Nowy Rok, proponuję więc otworzyć wino, ugotować ostrygi i trochę poświątować. Nie mieliśmy ani dnia odpoczynku, odkąd zaczęliśmy to przedsięwzięcie.

- Tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju - powiedział Johnson, kiedy szli w stronę biura. - Mój wkład w ten interes nie jest zbyt imponujący.

- Ofiarowałeś swoje doświadczenie, pracę, towarzystwo. Nie sądzisz chyba, że zrobiłbym to wszystko sam.

- Posłuchaj, chciałbym, żebyś dobrze mnie zrozumiał. Będę pobierał pensję, kiedy natrafimy na ropę. Ale nie oczekuję niczego więcej.

- Nie obchodzi mnie, czego oczekujesz, i tak dostaniesz jedną trzecią tego, co zarobi nasze towarzystwo naftowe. Już

ja dobrze znam się na procentach. Zdobyłem ten teren właśnie dzięki nim.

Tym razem to Mack prowadził dokumentację robót.

„9 stycznia - 88 stóp w dół.”

Zimowy wiatr szarpał strony, tak że Mack z trudem kończył zapisywanie. Popatrzył na zachmurzone niebo i zadrżał z zimna.

„22 stycznia - 376 stóp - idzie bardzo ciężko.”

Godziny mijały, przemieniając się w dni, a potem w tygodnie. Noce ustępowały miejsca dniom, słońce chmurom i znów wszystko zaczynało się od nowa. Choć nie mówili o tym, obaj czuli, że potrzebują jeszcze jednego człowieka, który by ich czasem zastępował. Wobec braku pieniędzy musieli jednak pracować sami. Pracowali więc, dopóki nie ogarniała ich przemożna senność, a mięśnie nie płonęły z bólu. Odpoczywali, kiedy pamięć odmawiała im posłuszeństwa, kiedy ze zmęczenia zaczynali potykać się o narzędzia. Często zdarzało się, że zbyt zmęczeni, by późnym wieczorem wrócić do biura, kładli się obok drążonego szybu i przykryci kocem natychmiast zasypiali.

„13 lutego - 1338 stóp. Wiercenie przez skały. Pokazała się woda.”

Zepsuł się mały parowy silnik, ale Johnson zdołał go nareperować.

„27 lutego - piąty dzień pompowania. Wciąż woda, ale także dwie baryłki ropy.”

Na głębokości 1672 stóp nieprzewidywalna struktura geologiczna Południowej Kalifornii znów ich pokonała. Natrafili na warstwę czarnego łupka. Przebijali się przez nią - sto stóp, dwieście stóp, trzysta... Nagle zerwała się lina i wiertło znikło gdzieś w dole. Przez trzy dni na przemian to złościли się i krzyczeli na siebie, to znów przepaszali się nawzajem i usiłowali ustalić, co robić dalej.

„10 marca 1894. «Chance - Johnson nr 1» porzucony.”

Ubłoceni, przenieśli całą maszynę do nowego wykopu. „Chance - Johnson nr 2” znajdował się około pół mili od pierwszego szybu. Dwa tygodnie zajęło im rozebranie drewnianej konstrukcji i postawienie nowej platformy wiertniczej. Mack naderwał sobie jakiś mięsień w barku i teraz praca sprawiała mu ostry, przeszywający ból. Johnson zgrzewał go do dalszych wysiłków, powtarzając:

- Mam dobre przecucie co do tego miejsca.

„9 kwietnia 1894 - szyb porzucony. Dwieście stóp na marne.” Mack uniósł wzrok znad dziennika i popatrzył na Johnsona, powracającego od wozu z węglem. Drażyli trzeci szyb. Upał był tak wielki, że zdjęli ubrania i pracowali tylko w zabrudzonych smarem majtkach.

Johnson rzucił Mackowi błyszczącą w słońcu czarną bryłkę węgla.

- Ostatni wóz węgla do połowy pusty. Już czas, by się nam wreszcie udało. „1 maja 1894. Kolejna pusta dziura. Szyb porzucony.”

Kiedy zaczęli wiercić w pobliżu kanału, Mack miał dobre przecucia. Coś podobnego czuł Johnson przy drugim otworze. Dziwne, niczym nie umotywowane uczucie, że tym razem im się uda, że natrafią na ropę. Pozostała im już tylko czwarta część ostatniego transportu węgla, ale nawet to nie zachwiało pewnością Macka.

„17 maja, - 1055 stóp. Woda i trochę ropy. Od trzech tygodni nie widziałem nikogo poza H. J.”

- Nie sądzę, żeby ten szyb coś nam przyniósł - powiedział Johnson o wpół do dziesiątej wieczorem. Pracowali już od piątej rano.

- Zamknij się - warknął Mack.

Johnson popatrzył na Macka spode łba, opuścił ręce i odszedł.

„18 maja - 1106 stóp. Znowu skała. Kurwa mać!”

Przekreślił po chwili to przekleństwo, napisał je jednak tak dużymi literami, że nadal pozostało czytelne. Była za dwadzieścia jedenasta.

Sześć godzin później w słabym świetle latarni Johnson wycierał pot ze zmierzwionej brody. Obaj od dawna nie brali do ręki brzytwy i obaj śmierdzieli piekielnie. W nocnej ciszy każdy dźwięk wydawany przez maszyny wydawał się głośniejszy, niż był w istocie. Na zamglonym niebie nie było widać gwiazd. Johnson popatrzył ze smutkiem na swoją żółtą chustę. Ropa i pot zniszczyły ją doszczętnie.

- Przeklęte łupki. Nikt nie wie, jakie są groźne, dopóki sam nie pogubi w nich narzędzi. - Ziewnął i ciężko usiadł na beczce. - Wkrótce zacznie świtać. Zostawmy robotę i chodźmy spać. To kolejna pusta dziura.

Mack uporczywie wpatrywał się w wieżę wiertniczą.

- Nie. W ciągu ostatnich dwóch godzin było trochę ropy. Mam przeczucie.

- Boże, ależ z ciebie twardziel. Mimo to i tak wkrótce zdechniemy tu z głodu.

Nadszedł świt, blady i rześki. Poprzeczna belka podnosiła i opuszczała linę wiertła. Mack i Johnson przyglądali się temu bezmyślnie, ich zmęczone oczy nie widziały nic poza wciąż rosnącym widmem klęski.

Nagle dziwny dźwięk dochodzący z głębi szybu poderwał Macka na równe nogi. Błotnista, brązowa woda zabulgotała.

- Johnson - szepnął, nie oglądając się za siebie. Mały silnik pracował z szaloną prędkością. Mack szturchnął swego współnika. Narzekając i stękając Hugh wstał w końcu. On także to usłyszał: szum zmieniający się w huk. Popatrzył na Macka. Z nadzieją i zarazem sceptycyzmem.

- Nie podniecałbym się za bardzo, bo jeśli to nie jest...

Pod wpływem ciśnienia z szybu na wysokość trzech stóp trysnęła jakaś ciecz. Nie była już brązowa, lecz czarna. Po chwili tryskała już na sześć stóp w górę, coraz wyżej i wyżej. Opadając, rozpryskiwała się na wszystkie strony.

- Jest! - krzyczał Mack. - Trysnęło, Hugh!

- Jezu Chryste! - Johnson usiłował przekrzyczeć ryk wysokiej na sto stóp fontanny ropy. Podłoga pod nimi była mokra, a ich ubrania lśniły, jakby uszyto je z lakierowanej skóry.

Mack rozłożył szeroko ręce i otworzył usta, pozwalając, by ropa moczyła mu skronie, czoło i rzęsy, żeby skapywała na język.

„19 maja 1894 - 27 baryłek z numeru 4.

20 maja - 62 baryłki.

21 maja - 114 baryłek.”

Następnego dnia silnik umilkł. Pompa przestała pracować. Zabrakło węgla. Pojedyncza bryła węgla, którą Johnson położył na biurku, zdawała się szydzić z nich.

- Możemy sprzedać naftę ze zbiorników i kupić więcej węgla - myślał głośno Johnson.

- Nie! - Mack uderzył dłonią w biurko. - Ani centa więcej! Kupując węgiel od Vinesa, napelniamy kieszenie kolei. Zaczynam mieć dość wzbogacania tych sukinsynów.

- No cóż, możemy spróbować wydobywać naftę własnoręcznie łyżeczką... Mack nie zareagował na kpiny współnika.

- Musi być jakiś sposób.

- Życzę szczęścia. Pójdę się zdrzemnąć.

Słysząc było, jak Johnson układa się na łóżku w drugim pomieszczeniu. Mack wyszedł na dwór. Położył się na ziemi i patrzył na żółtawe, wieczorne niebo. Potem zerknął na szyb.

Nagle zmarszczył brwi.

- Johnson! - zawołał. - Chodź tu na chwilę.

Mamrocząc gniewnie, Johnson stanął za nim.

Mack mówił wolno, jakby wciąż jeszcze rozważał pomysł, który przed chwilą przyszedł mu do głowy.

- Być może przegapiliśmy to, co oczywiste. Mówiłem Edowi Doheny'emu, że biedni ludzie w okolicy palą breję, bo jest tania. Powiedziałem mu, że rynek ropy musi się rozszerzyć. Nie może ograniczać się do tego, że otrzymuje się z niej naftę i smar do osi. - Umilkł na chwilę. - Paliwo! To, co wypompowujemy z naszego szybu, to przecież paliwo. Takie samo jak węgiel. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy spalać go zamiast węgla?

- Dlaczego? Powiem ci. Trzeba mieć urządzenie, które spowoduje, że będzie się właściwie paliła. Specjalną... - jak to nazwać? - specjalną komorę paleniskową.

- Jesteś przecież mechanikiem - powiedział Mack. - Zbuduj ją.

Johnson namówił właściciela sklepu żelaznego w Newhall, żeby sprzedał im na kredyt palnik naftowy. Zorientowawszy się, że nie oczyszczona ropa zatyka go zbyt szybko, uniemożliwiając spalanie, skonstruował metalową czaszę, wypełnioną na dnie kamieniami, oraz zawór, przez który wlewał się na nie wąski strumyczek ropy. Jednak mechanizm ten nie chciał pracować. Złożył więc i zbił młotkiem prymitywną dyszę, szeroką i płaską, z której ropa wtryskiwała do czegoś, co przypominało rozpylacz. Kiedy przytknął do palnika zapalną, pojawił się płomień, ale już po chwili zgasł.

Mimo to nie tracił zapału.

- Gdybym mógł wytworzyć w tym ciśnienie... sądzę, że mielibyśmy równo palący się płomień. Potrzebuję narzędzi i więcej węgla. Musisz poprosić Pottera o pożyczkę.

Mack nie miał ochoty tego robić, ale schował swą dumę do kieszeni i poszedł do Pottera. 12 czerwca Johnson był

gotowy. Mack rozpałił kocioł parowy i włączył silnik. Teksańczyk ostrożnie przykleknął przy skonstruowanym przez siebie urządzeniu. Zapalił zapałkę i odkręcił zawór. Ropa popłynęła do specjalnej dyszy, a stamtąd do paleniska. Johnson przytknął zapałkę do palnika, który natychmiast buchnął wysokim płomieniem.

- Przykręć to! - wrzasnął Mack.

- Dzięki za radę. Sam nigdy bym na to nie wpadł - zakpił Johnson, dotykając osmolonych przez ogień brwi. Przykręcił zawór. Płomień zmniejszył się, ale nie zgasł. Johnson szybko postawił na nim kocioł i odsunął się o krok, czekając na gratulacje.

- Udało ci się, Hugh - powiedział Mack, uśmiechając się szeroko. - To naprawdę diabelski palnik.

W zielonych oczach Teksańczyka zatańczyły wesołe iskierki.

- Hellburner (Hellburner (ang.) - diabelski palnik.) Johnson. A więc wreszcie się rozstanę z imieniem Hugh.

Wydobywali z „Chance - Johnson nr 4” 825 baryłek dziennie i wkrótce wszystkie drewniane zbiorniki były pełne. Mack podpisał z należąca do Lymana Stewarta rafinerią umowę na przerób czternastu tysięcy baryłek. Stewart osobiście obejrzał palnik zbudowany przez Johnsona. Przez dwie godziny negocjował z Mackiem szczegóły umowy licencyjnej. W końcu udało im się osiągnąć porozumienie.

W następnym tygodniu handlujący maszynami skład Stewarta wyprodukował czterdzieści podobnych palników. Dziesięć z nich zabrał Mack jako część zapłaty dla Chance - Johnson. Stewart odnosił się do nowego wynalazku z wielkim entuzjazmem. Wkrótce ponownie odwiedził San Solaro, powiadamiając ich, że jego mechanicy pracują nad modyfikacją urządzenia, żeby mogło być wykorzystywane także w lokomotywach.

- Zamierzam zainstalować jedno w lokomotywie Southern Pacific, żeby pokazać tym dżentelmenom, że wcale nie potrzebują węgla. Pomyśl, jak chłonny stanie się rynek ropy, jeśli to się uda.

- Myślałem już o tym - odparł Mack.

- Będiesz sprzedawał ten wynalazek razem ze mną?

- Nie - powiedział Mack. Lyman Stewart nie nalegał. Macklin Chance uchodził za dziwaka chodzącego własnymi drogami. Oczywiście teraz, kiedy z numeru 4 trysnęła ropa i zaczęto wiercić w San Solaro nowe szyby, Macklin Chance z dnia na dzień stał się człowiekiem bogatym, o wielkich perspektywach. A takiemu człowiekowi małe dziwactwa należy przecież wybaczyć.

- Nie ruszać się! - zawołał fotograf.

Ubrani w swe najelegantsze stroje, stali na tle pracującego szybu nr 4. Błysk magnezji. Dziennikarz z wydawanej w Los Angeles „Tribune” kończył robić notatki.

- Hm, panowie, jedna sprawa. Naszą gazetę czytają całe rodziny. Nie wiem, czy redaktorowi naczelnemu spodoba się przezwisko Hellburner.

Johnson zmierzył go zimnym wzrokiem.

- Ma być Hellburner. Powiedz mu, że lepiej, żeby mu się spodobało, bo inaczej wpadnę do niego na nieprzyjemną pogawędkę. Hellburner, mój chłopcze. To moje imię i jestem z niego dumny.

Kupili wozy, cysterny i konie oraz wynajęli woźniców, wiertniczych i kucharza. Zbudowali nowe zbiorniki i wiercili nowe otwory. Pomalowali dawny budynek dworca i rozbudowali go, żeby powiększyć biuro. Pogłębili studnię Wyatta i zaczęli budowę nowego, porządnego domu, w którym zamierzali zamieszkać. Usytuowali go nad kanałem, werandą w stronę suchego koryta. Był to prawdziwy akt

wiary: kiedyś szum płynącej wody będzie koł nerwy tych, którzy tu zamieszkają.

Mack nigdy nie był tak zajęty jak teraz. Nigdy też nie czuł się równie dobrze. Wszystko szło wspaniale. Właśnie wtedy przyszedł pachnący kwiatem pomarańczy liścik: „Wracam, mój drogi. Twoja Carla”.

Rozdział 28.

Ludzie miewają dobre i złe dni. Dzień, kiedy Mack wpadł na pomysł użycia ropy jako paliwa, należał do dni dobrych, natomiast dzień przyjazdu Nellie uznał za jeden z najgorszych, pomimo że zaczął się tak szczęśliwie.

Był rześki, przyjemny październikowy dzień. Nellie przyjechała tuż przed dwunastą. Dojechała pociągiem do Newhall i tam wynajęła powóz. Zatrzymała konie przed wielką tablicą ustawioną na Grande Boulevard. Uśmiechnęła się na widok jaskrawo wymalowanych liter, ale widać było, że treść napisu zrobiła na niej wrażenie:

CHANCE - JOHNSON OIL CO
POLE NAFTOWE SAN SOLARO

Zdumiał ją panujący tutaj ruch. Siedem szybów hałaśliwie pompowało ropę, pełno było robotników.

Zapukała do drzwi biura. Mack kręcił właśnie korbką wiszącego na ścianie telefonu.

- Nellie! Co tutaj robisz?

Odłożył słuchawkę na widełki i podszedł, żeby ją uściskać. Wyglądał zamożnie w eleganckiej kamizelce i białej koszuli z podwiniętymi mankietami. Gruby, złoty łańcuszek od zegarka wystawał z kieszeni jego spodni.

Bez tchu rzuciła mu się na szyję.

- Walka o port trwa - powiedziała. - Już miałam dać sobie z tym spokój, kiedy wpadł mi w ręce numer „Tribune” z artykułem o tobie, twoim wspólniku i o odkrytej przez was ropie. Podobno był to prawdziwy gejzer?

- Tak, rzeczywiście. Z numeru czwartego. Musisz poznać Johnsona. Pojechał rano do Santa Paula z całą karawaną cystern. Proszę, usiądź...

Usiadła na krześle i rozejrzała się po biurze. Każdy wolny skrawek przestrzeni zajmowały rozłożone księgi rachunkowe, akta i dokumenty. Na ścianach wisiały mapy, tabele i plany.

Jedna z map ukazywała całe San Solaro. Niektóre zaznaczone na niej punkty podpisano: „Wydobycie ropy”, inne: „Nowe wiercenia”. Tych ostatnich naliczyła jedenaście.

- Wspaniale ci idzie... - zaczęła. W tym momencie zauważyła leżący na rogu biurka przewodnik T. Fowlera Hainesa. Uśmiechnęła się. - Więc w końcu dopiąłeś swego.

- Tak. Mówiłem ci, że tak się stanie.

- Cieszę się z tego... cieszę się i jestem dumna. - Chcąc ukryć zmieszanie, zajęła się ściąganiem długich rękawiczek, które położyła sobie na kolanach.

Mack nie mógł się na nią napatrzeć. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił i jak mu na niej zależało.

- Zatrzymałaś się w mieście?

- W Pico House, jak zwykle.

- Pozwól, że gdy będziesz wracać, pojedę z tobą. Zjemy razem kolację.

- „A potem?” - pomyślał pełen pożądaniami, które natychmiast zgasło pod wpływem lęku przed odmową. Czy mógł liczyć na coś więcej niż tylko wspólny posiłek? Miał nadzieję, że tak. Teraz, kiedy firma Chance - Johnson Oil mocno stanęła na nogi, on i Hellburner Johnson pracowali tylko dwanaście, czternaście godzin dziennie. Mógł więc pomyśleć wreszcie o czymś innym niż pieniądze. Na przykład o założeniu rodziny.

- Dziś wieczorem odbędzie się posiedzenie w sprawie portu - powiedziała.

- Ważne?

- Nie sędzę.

- Więc zapomnij o nim.

Wyczuła nadzieję kryjącą się w jego głosie i zaczerwieniła się.

- Dobrze. - Opanowała się z trudem. - Mam nowe wieści o Diego Marquenie. Jest w Central Valley. Jak wiesz, wystąpił z Kościoła, choć wciąż naucza robotników pracujących na polach. Zrobił się bardzo wojowniczy.

Mack małym kluczem otworzył jedną z szuflad biurka. Wyjął paczkę banknotów i odliczył dziesięć z nich.

- Możesz mu to przekazać? - zapytał, podając jej pieniądze. - Jako dar.

- Na pewno znajdę jakiś sposób. - Przeliczyła pieniądze. - Pięćset dolarów. Mack, czy stać cię na takie wydatki?

- Pozwól, że sam będę się o to martwił. Schowała banknoty do torebki.

- Hojny z ciebie człowiek. To cecha, której wcześniej nie dostrzegłam.

- Byłem za biedny na to, by być hojnym. Mój ojciec zawsze mawiał, że jeśli ktoś ma dość szczęścia, żeby stać się bogatym, powinien część swej fortuny rozdać innym.

- No proszę, nie jesteś więc aż takim konserwatystą, za jakiego cię miałam, panie Chance.

- Dziękuję ci, pani - powiedział z żartobliwą kurtuazją. Nagle przypomniał sobie dolinę Yosemite.

Podniósł się z krzesła i podszedł do niej. Oparła głowę na jego piersi, spoglądając wzrokiem wylęknionej łani.

Zbliżył usta do jej warg. Poczował ciepło jej oddechu. Nellie zadrżała...

I wtedy właśnie usłyszeli turkot kół. Nellie odsunęła się z ulgą i zaczęła nerwowo poprawiać włosy. - Jacyś goście, Mack?

Mack podszedł do drzwi i zamarł w bezruchu. Człowiek, którego nigdy dotąd nie widział, pomagał Carli Hellman wysiąść z powozu.

- Kochany, kochany - Carla rzuciła mu się na szyję, całując go i ściskając. Mack objął ją, ale ani na chwilę nie

spuszczał wzroku z Nellie. Niezbyt podobała się jej ta ostentacyjna wylewność Carli.

- Jak wspaniale wyglądasz. Po powrocie z Europy spędziłam sześć tygodni w San Francisco. Nie mówią tam o niczym innym, jak tylko o waszym sukcesie.

- Wątpię, by rzeczywiście tak było.

Była naprawdę w dobrym humorze, pomimo okoliczności, w jakich musiała opuścić kraj. Teraz tamta sprawa całkiem już przycichła. Beavis wykurował rany i na żądanie rodziny nie wniósł oskarżenia przeciwko żonie. Niedługo potem gazety doniosły, że wyjeżdżają wspólnie na jedną z greckich wysp.

- Ależ tak. Nawet Walter wspominał, jak dobrze ci idzie - upierała się.

- Fairbanks? Często go widzisz?

- Oczywiście. Takie są towarzyskie obowiązki. Nie pozwoliłby mi chodzić nigdzie samej. To szalenie nudne.

Wspomnienie o Fairbanksie sprawiło, że Mack poczuł ukłucie zazdrości. Nie wątpił, że Carla mówi o nim ze względu na Nellie.

- Chcę zobaczyć wszystkie te szyby naftowe, dzięki którym zarabiasz tyle pieniędzy. Życzę sobie, żebyś mnie po nich oprowadził. Nie zapominaj, że mam tu swój wkład...

Mack zacisnął usta.

- Oddałbym dług już wcześniej, ale nie wiedziałem, gdzie cię szukać.

- Kochany z ciebie chłopiec. Obiecuj, że wszystko mi tu pokażesz.

- Tak, oczywiście - odparł zrezygowany.

- Mnie i mojemu przyjacielowi. To Clive Henley. Clive - Macklin Chance. Mack po raz pierwszy przyjrzał się towarzyszącemu Carli mężczyźnie. Był tego samego co on wzrostu i miał mniej więcej tyle samo lat. Różnił się jednak od Macka nieco masywniejszą posturą. Miał bladą karnację

skóry, silne rumieńce, jasne włosy i szare oczy. Zachowywał się swobodnie, z niewymuszoną elegancją i uprzejmością. Ubrany był również elegancko. Jego flanelowa marynarka znakomicie pasowała do spodni, a modny kapelusz, piękny krawat i monokl doskonale dopełniały całości.

- Bardzo mi miło pana poznać - powiedział Henley. Macka zaskoczył mocny uścisk jego dłoni.

- Jest pan Anglikiem? - zapytał Mack, usłyszawszy akcent nieznanego.

- Tak, ale mieszkam na stałe w Kalifornii.

- Clive hoduje cytrusy - powiedziała Carla. - W Riverside. Nazywają to miejsce „Great Orange Belt and Sanitarium”.

- W istocie rzeczy... och, przepraszam - zająknął się, patrząc na zarumienioną Nellie. Mack podszedł do niej pośpiesznie.

- Nellie, przepraszam cię za to zamieszanie. Panno Hellman, panie Henley - oto panna Ross z San Francisco.

Henley uchylił kapelusza, skłonił się i przywitał uprzejmie.

- Pannę Hellman znam ze słyszenia - powiedziała grzecznie Nellie, choć świadomie zadbała o to, by jej słowa zabrzmiały dwuznacznie.

Wyciągnęła rękę. Mack zauważył, że znów założyła rękawiczki. Carla dotknęła jej dłoni. Zmierzyły się wzrokiem, a wyraz ich oczu nie pozostawiał wątpliwości, że wyczuły w sobie rywalki.

Mack zaproponował, żeby usiedli, ale nikt nie ruszył się z miejsca. W napiętej ciszy łoskot pracujących pomp wydawał się jeszcze głośniejszy.

- Panna Ross jest dziennikarką - zwrócił się do swoich gości Mack. - Píše dla „Examinera” pod pseudonimem Ramona Sweet.

- Oczywiście... - powiedziała Carla. - Czytałam kilka napisanych przez panią sensacyjnych historii. Co za niezwykle sposób spędzania czasu - bratanie się z mętami.

- Taka praca - odparła spokojnie Nellie, choć wszystko się w niej gotowało ze złości.

Henley spróbował zmienić temat rozmowy.

- Zacząłem właśnie mówić, że tak naprawdę wcale nie hoduję pomarańczy. Po prostu jestem właścicielem sadów. To Meksykanie wykonują całą ciężką pracę. Kiedy mój ojciec wysłał mnie tutaj pięć lat temu, odkryłem, że mężczyzna może być równocześnie sadownikiem i dżentelmenem.

Henley rozpromienił się. Mimo woli wyszedł na pompatycznego durnia.

Carla zdjęła tweedowy kapelusz. W wąskiej spódnicy, jedwabnej bluzce z wysokim kołnierzem i w zapinanych w przemyślny sposób na guziki zielonych butach była ubrana według najświeższej paryskiej mody i wyglądała o wiele efektowniej niż Nellie.

- Ojciec Clive'a jest baronetem - powiedziała Carla do Macka. - Czternastym z rodu. Gdzież to jest, kochany?

Henley odniósł się tolerancyjnie do jej nonszalancji.

- Fontana Hall. Oxfordshire.

- O właśnie - posłała Nellie słodki uśmiech. - Fascynuje mnie pani, panno Ross. Nigdy nie spotkałam kobiety, która - jakby to powiedzieć - ma profesję.

- Może to pani i tak określić, panno Hellman. Carla popatrzyła na nią z niechęcią.

- Czy podoba się pani takie... twarde życie?

- Nie chciałabym robić nic innego. Może z wyjątkiem pisania powieści.

- Jakież to romantyczne! Jestem prawdziwie poruszona. Nigdy nie znałam osoby naszej płci, która sama zarabiałaby na

utrzymanie. Oczywiście słyszałam o kilku takich, co to mają często do czynienia z policją...

- prostytutki i dziennikarki - powiedziała rozwścieczona Nellie. - To dla pani to samo, prawda? A musi pani wiedzieć, że w przyszłości coraz więcej godnych szacunku kobiet będzie pracować. Przekona się pani o tym, o ile zada sobie pani trud spędzenia kilku minut w świecie normalnych ludzi.

Rozmowa zmierzała w złym kierunku. Mack nie mógł przyglądać się temu beczynn timer. Wziął Nellie pod ramię.

- Wybaczcie nam na chwilę - lekko ścisnął jej rękę i poprowadził do drzwi. W jej oczach błyszczała złość. Była wściekła nie tylko na Carlę.

- Chciałbym porozmawiać... o kolacji... Powiedział to bardzo cicho, ale Carla i tak usłyszała.

- O tak, musimy zjeść kolację i lepiej się poznać - powiedziała z jadowitą słodyczą w głosie. - Jest taka czarująca, mała gospoda, którą otwarto ostatnio przy drodze na wybrzeże. Możemy pojechać tam wszyscy i...

- Bardzo dziękuję. - Uśmiech Nellie także był fałszywy. - Niestety nie mogę przyjąć tego zaproszenia. Wieczorem muszę być na pewnym posiedzeniu w mieście. Taki już los zwykłej dziewczyny pracującej na ulicach.

Carla poczerwieniała.

- Mówiłaś, że nie jest to ważne posiedzenie - wykrztusił Mack.

- Nie było, dopóki nie przekonałam się, że pozbawiłabym cię tak miłego towarzystwa.

- Byłaś niegrzeczna dla Carli...

- Ja byłam niegrzeczna? Mój Boże, co się z tobą dzieje? Niestety, obawiam się, że wiem co.

- Nellie...

Wyrwała rękę z jego dłoni, w jej oczach prócz gniewu zobaczył także smutek.

- Do widzenia, Mack.

Pośpiesznie wskoczyła do powozu. Zacięła konia batem i po chwili zniknęła mu z oczu.

„Niech cię diabli - pomyślał. - Jeżeli tylko tyle cię obchodzi, to rzeczywiście lepiej jedź sobie.”

Odetchnął głęboko, chcąc się uspokoić, i wszedł do biura. Clive'a Henleya nie było już w budynku. Wyszedł innymi drzwiami i teraz spacerował samotnie po posiadłości Macka. Carla zdjęła rękawiczki i poprawiała właśnie swój biały jedwabny kołnierzyk. Nie spojrzała na Macka. Nie było potrzeby, oboje rozumieli, kto wygrał tę walkę.

- Och, Mack, jakie to cudowne znowu cię widzieć. Czy dostałeś moją kartkę?

- Tak. Byłem zaskoczony. Jak właściwie skończyła się sprawa Beavisów? Zanim Carla zdążyła odpowiedzieć, powrócił Henley i natychmiast zaczął mówić.

- To naprawdę wygląda imponująco. Carla wcale nie przesadziła: połowa Kalifornii mówi o tobie. Młody Midas pól naftowych. Wymieniają cię jednym tchem z tym Irlandczykiem, Dohenym.

- Ale ty wyglądasz o wiele lepiej od niego - wtrąciła Carla. - Nie przejmując się obecnością Henleya, przysunęła się do Macka. W jej niebieskich oczach wyczytał zachętę. - Tata powiedział, że pan Doheny nie cieszy się najlepszą sławą. Plotki mówią, że zabił kogoś na Południu.

- Nic o tym nie wiem.

- Wyglądasz na rozgniewanego. Czy to z powodu panny Ross? Przeszkodziłam wam w czymś ważnym?

- Po prostu nie widziałem jej przez dłuższy czas, to wszystko.

- Mnie także nie widziałeś, mój kochany - stwierdziła cierpko.

- Powiem ci coś - przerwał jej Henley. - Jeżeli szukasz miejsca, żeby zainwestować zyski ze sprzedaży ropy, nie znajdziesz nic lepszego od cytrusów. Przyjedź do Riverside, a dowiodę ci tego.

- Dzięki. Może kiedyś. Na razie mam na głowie inne sprawy. Przewozimy naszą ropę do rafinerii w Santa Paula. Mamy z nią okresową umowę. Jednak chciałbym transportować ją do Ventury. Gdybym tam ją sprzedawał, znacznie powiększyłbym swoje zyski.

Carla stanęła pomiędzy nimi.

- Opowiedz nam o tym, mój drogi. - Jej twarz promieniała. Nellie odjechała, mogła więc teraz rozkoszować się zwycięstwem.

Johnson wrócił wpół do piątej i razem pojechali do gospody, o której wspomniała Carla. Wszyscy wypili dużo wina, ale Carla wypła najwięcej.

Henley i Johnson przez cały czas pochłonięci byli rozmową. Im więcej pili, tym bardziej hałaśliwa i niezborna stawała się ich konwersacja. Pod koniec posiłku, kiedy dwaj świeżo upieczeni przyjaciele wykrzykiwali coś do siebie, także Mack i Carla mogli wreszcie porozmawiać. Mack powtórnie zapytał o sprawę Beavisów.

- Kiedy Swampy skończył kłąć i wymyślać mi, wynajął firmę prawniczą Stephena White'a z Los Angeles. Jeden z młodych adwokatów White'a, facet nazwiskiem Earl Rogers, przekonał Gladys Beavis, żeby zostawiła tę sprawę w spokoju. W minionych latach przez sypialnię Gladys przewinał się cały sznur kochanków. Rogers zagroził jej, że wyciągnie to wszystko na światło dzienne. Wycofała więc oskarżenie i mogłam wrócić do domu. Oczywiście, było mi przykro, że Buddy został tak okropnie zraniony. Przypuszczam, że powiedział coś o mnie i rozwścieczył tym żonę. Prawda jest jednak taka, że rozstaliśmy się kilka miesięcy wcześniej.

Macka zdumiał jej lekki ton.

- Carla, ten człowiek omal nie zginął, dlatego że się w tobie zakochał...

- Kto tak powiedział? Swampy?

- Wszyscy, którzy czytali o procesie, wiedzą o tym. Nie rozumiem tylko, jak zdołałaś tak łatwo uwolnić się od poczucia winy za to, co się stało.

Popatrzyła na niego.

- Nie zdołałam. Przeszłam przez to wszystko z kieliszkiem w ręku.

- A nie powinnaś.

- Och, zamknij się. Po prostu zamknij się i naley mi jeszcze. Niechętnie dolał jej wina. Wypiła łyk i przytuliła się do jego ramienia.

- Tak bardzo chcę znów znaleźć się z tobą w łóżku - szepnęła. Mack popatrzył w jej ciemnoniebieskie oczy.

Clive Henley czknął.

- Tak, tak, Hellburner. To właściwy wybór, drogi chłopcze. Mack przyglądał się opróżniającej kieliszek Carli. Krople wina spływały jej po

brodzie jak strumyczek krwi. Szumiało mu w głowie. „Do diabła z Nellie” - pomyślał, sięgając po butelkę.

Następnego dnia dręczony kacem, bólem głowy i wyrzutami sumienia Mack pojechał pociągiem do Los Angeles. Okazał się głupcem. Chciał to naprawić, ale w recepcji Pico House usłyszał:

- Nie, sir. Panny Ross już nie ma. Dziś rano wyjechała do San Francisco.

Następnego dnia Mack pojechał na ranczo Hellmana nad Santa Clara River i wręczył Carli czek na 1173 dolary. Chciała, by spędził z nią noc, ale odparł, że musi wracać ze względu na kłopoty z jednym z szybów wiertniczych. Zjedli więc tylko razem obiad. Carla opowiadała mu dowcipy,

wychwalała jego osiągnięcia i co jakiś czas napomykała o Walterze Fairbanksie. W ten sposób przypominała Mackowi, że ma rywala i że jeśli jej pragnie, musi bardziej się o nią starać. Mack podziwiał jej kobiecy spryt: polując na niego, prowokowała go, by sam stał się myśliwym. Mimo wszystko nie został na noc. Gdy odjeżdżał, wewnętrzny głos mówił mu: „Lepiej trzymaj się z daleka od tej kobiety.”

Jadąc do San Solaro, próbował przeanalizować swoje uczucia. Doszedł do wniosku, że część jego natury gorąco pragnie Carli, bo jest ona wyjątkowo kobieca i pociągająca. Wielu mężczyzn poświęciłoby wszystko, żeby ją zdobyć. Niewiele brakowało, a Beavis miłość do niej przypłaciłby życiem. Ale druga część jego natury, zapewne ta rozsądniejsza, tęskniła do Nellie. Pomimo że odeszła, być może mógł odzyskać w niej przyjaciółkę. Nie był jednak pewien, czy zdołałby uczynić z niej swoją żonę. Ich poglądy zbyt się różniły i tak silne kierowały nimi ambicje. Tak czy inaczej jednak Nellie odeszła, a on czuł się bez niej samotny i opuszczony. Gdzieś w głębi serca poczuł lęk, że w momencie słabości czy pożądania całkowicie odda się Carli.

Rozdział 29.

Pan Ezra Plassman nosił sztywny kołnierzyk i również sztywno się zachowywał. Jako agent Southern Pacific, zajmujący się w Newhall przewozem towarów, dobrze zdawał sobie sprawę, jak ważną jest osobą.

- Opłata za przewóz z naszego dworca do Ventury wynosi jednego dolara za baryłkę, panowie.

Był już listopad, lecz wciąż panowała sucha i ciepła pogoda. Z zewnątrz dobiegało skrzypienie pracujących pomp. Na oświadczenie Plassmana Johnson zareagował potokiem przekleństw. Agent, aktywny działacz kościelny, był tym wstrząśnięty, ale nie dał się zastraszyć.

- Takie są oficjalne ceny, zatwierdzone przez stanowych komisarzy kolei. Johnson splunął pociemniałą od tytoniu śliną.

- Trzech kanciarzy z Sacramento. Nie wątpię, że wszystkich masz w kieszeni. Plassman uśmiechnął się szyderczo.

Mack wolno układał papiery na biurku. Najchętniej uderzyłby Plassmana w twarz, ale zamiast tego, z największym spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć, powiedział:

- To drożej niż wydobycie ropy z ziemi. Plassman wzruszył ramionami.

- Nic na to nie mogę poradzić. Jednakże, mówiąc między nami, ludźmi interesu, czasami opłaty ulegają obniżeniu. Niekiedy udzielamy rabatu.

- Czasami? Myślałem, że to stała praktyka.

- Jest pan bystry, panie Chance. Równie bystry jak pański wulgarny współnik. Tak, rabat otrzymują wszyscy, którzy przewożą dostatecznie dużo towarów.

- Dostatecznie dużo według czyjej opinii?

- Naszej. Mógłbym łatwo stwierdzić, czy to dotyczy waszej firmy, przeglądając wasze księgi rachunkowe.

- Nasze... - Mack z wrażenia nie dokończył zdania. Johnson zdjął nogę z biurka i z łoskotem postawił ją na ziemi.

- Wasze księgi - powtórzył Plassman. - Musiałbym zabrać je ze sobą. Zwróciłbym za dzień czy dwa.

- Księgi rachunkowe Towarzystwa Naftowego Chance - Johnson nie są przeznaczone do publicznej wiadomości.

- Zapewniamy dyskrecję. Ale musimy poznać konkretne liczby, nim zaczniemy rozmawiać o niżce. To standardowa procedura SP. Wiele znacznie większych i szacowniejszych od was firm chętnie zgodziło się na to, i z wdzięcznością...

Mack zerwał się z krzesła.

- Wynoś się stąd! Won z naszego terenu! - krzyknął. Plassman schował dokumenty przywiezione z Newhall.

- Być może takie zachowanie da panu satysfakcję, panie Chance, ale nic ponadto. Kolej idzie na rękę tym, którzy mają wobec niej dobre intencje.

Johnson wyszarpnął z kabury peacemakera.

- Słyszałeś pan, co powiedział mój wspólnik? Zwiewaj, zanim odstrzelę ci tyłek. To zburzyło wreszcie spokój Plassmana. Wyszedł tak szybko, że omal nie spadł ze schodów.

- Życzę powodzenia - zawołał z powozu, kiedy już poczuł się bezpiecznie. - Poszukajcie sobie innej kolei, która będzie przewozić waszą ropę.

Powóz odjechał.

- Powinienem był zastrzelić tego gada. Co za bezczelność - domagać się naszych ksiąg...

- Słyszałem, że tak robią, ale nie wierzyłem w to. Nie sposób z nimi walczyć za pomocą prawa. Zresztą to SP stanowi prawo w Kalifornii. Ich monopolu nie da się przełamać. Ale z Plassmanem można sobie jakoś poradzić. Zamierzam zmusić go do tego, żeby osobiście zjadł ten

cholerny cennik. - Mack kopnął ze złością w biurko. -
Poczekaj, a zobaczysz.

Johnson jak zwykle zajmował się usuwaniem niewidocznego brudu ze srebrnego bębena swego kołta, Mack zaś siedział w fotelu na biegunach, wpatrując się w suchy kanał. Wokół niego leżało kilka czasopism naukowych. Jeden z magazynów, otwarty, spoczywał na jego kolanach.

- To musi być fascynująca lektura - zauważył Johnson. -
Jeszcze chwila i zaśniesz.

- Nie, po prostu zastanawiam się nad czymś.

- Nad czym?

Mack pokazał na artykuł pod tytułem Era nawadniania.

- Wygląda to na coś równie ciekawego jak przyglądanie się mojej babci cerującej skarpetki.

- To dość wpływowe czasopismo na Zachodzie. Wydaje je William Smythe. Jest on przekonany, że systematyczne nawadnianie ziemi może sprawić, że ten kraj rozkwitnie jak Eden. Tak samo myśli wielu hodowców, farmerów, inżynierów i budowniczych. Kilkuset z nich spotkało się w grudniu na poświęconym tej sprawie kongresie w operze w Los Angeles. Nie wiedziałem wówczas o tym.

- Byliśmy zajęci czymś innym.

- Jest tu na przykład artykuł o rozwoju systemu irygacyjnego w hrabstwie Kern. A tutaj jest coś, co najbardziej mnie interesuje.

Podał Johnsonowi pismo otwarte na artykule pełnym rysunków i wykresów.

- Rurociągi?

- Do przesyłania wody. Ale może jest to też rozwiązanie problemu naszej ropy? Taki system dobrze sprawdził się u Stewarta, czemu i my nie mielibyśmy z niego skorzystać? -
Zerwał się z miejsca. - Zajmij się wszystkim przez tydzień. A ja wybiorę się w małą podróż.

Otoczona masywnymi, marmurowymi kolumnami rotunda gmachu rządu w Sacramento w promieniach słońca prezentowała się jeszcze okazalej. Rozbrzmiewała głosami prawników, urzędników, farmerów i ranczerów. Dyskretnie ukryty za kolumną Walter Fairbanks III prowadził negocjacje w imieniu politycznego wydziału SP.

Wąsy i kasztanowe włosy miał starannie przyczesane. Nosił elegancki czarny garnitur, popielaty krawat i czarne buty. W szarych oczach prawnika widać było z trudem ukrywaną pogardę dla jego rozmówcy, parlamentarzysty z Zamory w hrabstwie Yolo, który na otyłej twarzy wypisaną miał chciwość.

- Cieszę się, że zapatruje się pan przychylnie na sprawę lokalizacji portu w Santa Monica, senatorze Le Moyne.

- Cóż, obecnie uważam, że to najlepsze miejsce...

- Ale niektórzy ludzie nalegają, by zmienił pan zdanie?

- Rzeczywiście tak jest.

- Proszę więc trwać przy swoich przekonaniach. Pan Huntington, pan Herrin i inni dżentelmeni z SP potrafią to docenić. A propos... - Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki zapieczętowaną kopertę. - Oto pański bezpłatny bilet. Ważny na wszystkich trasach.

Le Moyne sięgnął po swą nagrodę.

- Zauważyłem takie same koperty na wszystkich biurkach w Kongresie. Ciekaw byłem, kiedy i ja dostanę moją.

„Ten łajdacki prowincjusz najwyraźniej przymawia się o większą łapówkę” - pomyślał Fairbanks, uśmiechając się.

- Ze względu na naszą długotrwałą przyjaźń otrzymał pan coś jeszcze. W tej kopercie jest list umożliwiający panu i pańskiej rodzinie spędzenie tygodnia w hotelu „Del Monte”. To wspaniałe miejsce.

- Wiem, wiem. Sami najznamienitsi ludzie...

- Właśnie. Zbudowaliśmy go pierwotnie po to, by zachęcić turystów do korzystania z naszych pociągów z San Francisco. Teraz jednak wykorzystujemy go, aby wyrazić wdzięczność przyjaciołom.

- Proszę uważać mnie za jednego z nich, panie Fairbanks.
- Le Moyne schował kopertę do kieszeni.

Uścisnęli sobie ręce i senator odszedł. Fairbanks otarł palce o spodnie i wynurzył się zza kolumny. Nagle zatrzymał się.

W środku rotundy, jak nieruchoma skała pośród wzburzonego morza, stał Macklin Chance.

Pomimo panującego wokół rozgardiaszu Mack natychmiast zauważył Fairbanka. Prawnik wyglądał kwitnąco i okazale. Pomimo że Mack miał na sobie dobrze uszyte, eleganckie ubranie, wyglądało ono jak szmata w porównaniu z szykownym czarnym garniturem Fairbanka.

- Co za niespodzianka, Chance. Miło znowu cię widzieć. - Fairbanks nie wyciągnął do niego ręki.

- Próbuję znaleźć Otto Hellmana.

- Jest tutaj. Na posiedzeniu w sprawie opłat przewozowych. Wskazał na jedną z sal za plecami Macka. - Słyszałem, że nie zajmujesz się już szampanem, lecz ropą. I że osiadłeś w Los Angeles.

- Ale nie na stałe. W tych dniach będę miał coś do załatwienia w San Francisco. Parę rachunków do wyrównania. Jest na przykład taki detektyw w departamencie policji... Nazywa się Coglán.

Fairbanks nie mrugnął nawet okiem słysząc to nazwisko. Zapewne jako dobry prawnik przywykł panować nad swymi emocjami.

- O, jest Hellman - powiedział, machając ręką.

Hellman skreślił w ich stronę. Kiedy na jego drodze znalazł się jakiś młody urzędnik, Hellman odepchnął go,

głośno przeklinając. Był taki jak zawsze: potężny, rozczochrany i nadęty. Mimo to Mack ucieszył się na jego widok.

Fairbanks bawił się swoim perłowoszarą krawatem. Czyżby był zdenerwowany? Mack szybko odgadł przyczynę: chodziło o córkę Hellmana.

- Witaj, Walterze. Mój Boże, a niech to! To ten człowiek od szampana, a obecnie nafciarz. Jak się masz, Johnny? - Hellman ze szczerą radością uścisnął dłoń Macka.

- Świetnie, Swampy.

- Nie lubię tego przezwiska.

- Nie lubię, kiedy mówisz do mnie Johnny.

- Słusznie, słusznie. Zapomniałem. Cha, cha!

Jego chrapliwy śmiech niósł się po całej rotundzie, gdzie wszystkie zbrodnie były tolerowane tak długo, dopóki ci, którzy je popełniali, przestrzegali norm dobrego wychowania. Hellman poklepał Macka po ramieniu. Poły jego marynarki rozchyliły się i ku swemu zdumieniu Mack zobaczył kaburę z rewolwerem smilh & wesson.

- Jak się miewa Carla? - zapytał Fairbanks.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie opowiada mi zbyt wiele o sobie. Telegrafuje tylko po pieniądze.

- Czują się świetnie, kiedy widziałem się z nią dwa tygodnie temu - powiedział Mack. - Czy mam przekazać jej pozdrowienia od ciebie?

- Często się z nią spotykasz? - zapytał zimno Fairbanks. Mack zmierzył go lodowatym wzrokiem.

- Często.

- W takim razie zrób to. - Fairbanks najwyraźniej wściekły oddalił się szybko. Mack uśmiechnął się lekko.

Hellman odciągnął go na bok.

- Czy to prawda, Johnny? Spotykasz się z moją córką?

- Dostyc często - odparł ostrożnie Mack. Nie widział się z nią od czasu, kiedy odwiedził ranczo nad rzeką. - Ma przyjaciela, Anglika. Właściciela gajów pomarańczowych w Riverside.

- Ach, tego - Hellman wyciągnął z kieszeni cygaro. Nie zadając sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, czy nikt go nie widzi, odgryzł koniec i wypluł za kolumnę.

- Znasz Henleya?

- Jasne, że znam. Utrzymanek rodziny.

- A cóż to takiego?

- Człowiek, któremu rodzina regularnie przysyła czeki. Albo nie chcą, żeby wrócił, albo też nie może wrócić. Staruszek Henleya przysłał go tu jakiś czas temu. Może Clive wpakował swego szwanca w niewłaściwą dziewczynę, a może znieważył królową lub kogoś zabił. Któż to wie i kogo to obchodzi? Wszyscy mamy jakieś małe tajemnice. W Riverside jest cała banda takich Anglików.

- Mam wrażenie, że on i Carla lubią się.

Hellman machnął lekceważąco ręką.

- To nie potrwa długo. Carla wciąż rwie się do ciebie. Ale jak ci już kiedyś powiedziałem: jeśli się z nią zwiążesz, wpadniesz w kłopoty. No, Johnny, miło cię było spotkać. Ale teraz zajmijmy się lepiej swoimi sprawami.

- To pan jest przyczyną mojego przyjazdu tutaj.

- Co? A czemuż to?

- Zatelegrafowałem do pańskiego biura w San Francisco i dowiedziałem się, że jest pan w Sacramento. Wsiadłem więc w pociąg, żeby się z panem spotkać.

- Tylko szybko, Johnny. Muszę wracać na posiedzenie. Czasem tych trzech idiotów z komisji kolei zapomina o swych przyjaciółach. Jeśli nie będę ostrożny, gotowi są dać wszystkim transportującym pszenicę tę samą taryfę, którą ja dostaję jako uprzywilejowany spedytor. A któż będzie robił ze

mną interesy, jeśli nie będę sprzedawał taniej niż inni? Nikt. Muszę pilnować swoich spraw - dodał, żując koniuszek cygara. - Czego chcesz?

- Pieniądzy.

Z oczu Hellmana w jednej chwili znikła cała dobroduszość. Podrapał się po brzuchu.

- Z tego, co słyszałem, wynika, że masz ich mnóstwo.

- Tak, ale mam również poważne wydatki. Zatrudniam siedemdziesięciu ludzi, zbudowałem nowe zbiorniki, kupiłem wiele cystern. Spłacę to wprawdzie szybko, ale teraz potrzebuję kapitału.

- Niecierpliwy z ciebie gość - zaśmiał się Hellman.

- Cała moja ropa idzie do rafinerii Lymana Stewarta. To twardy facet. Nikomu nie obniża ceny. Lepiej wychodziłbym sprzedając ropę na przystani w Venturze. Problemem jest jednak transport. Chcę zbudować rurociąg z San Solaro do Ventury. Czterdzieści siedem mil, osiem cali średnicy. Większy niż rurociąg Stewarta.

- Tak wierzysz w naftowy biznes?

- Wierzę we wszystko, co robię. Czasem jest ciężko, ale nigdy nie przegrywam.

- Jest przecież linia kolejowa do Ventury.

- Pieprzę kolej. Chcą mnie wykończyć, żądając najwyższych opłat. Słuchaj, Swampy, pożycz mi pieniądze na budowę rurociągu, a będę płacił ci procent od każdej baryłki ropy przesłanej nim przez najbliższe pięć lat.

- Dziesięć lat. Mack wziął głęboki oddech.

- Może nawet dziesięć.

- Jeżeli chcesz forsy, nie ma żadnego „może”. Coś jeszcze?

- Mam zamiar wykopać rowy i przykryć rurociąg ziemią. Rurociąg Stewarta ciągnie się na powierzchni. Paskudnie to wygląda. Psuje krajobraz.

- Przejmujesz się?
- To piękny stan. Jeżeli go zniszczymy, nigdy nie zdołamy tego naprawić.
- Cholerny z ciebie radykał, co? - Mack nie odpowiedział.
- Ile potrzebujesz?
- Co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy.
- Przyślij mi ofertę.
- Gdzie cię znajdę?
- Tutaj albo gdzie indziej, wszystko jedno. Jesteś w potrzebie, więc z pewnością mnie odszukasz.

Machnął cygarem i oddalił się, zostawiając Macka zaskoczony i nieco zirytowany.

Nagle Hellman przypomniał sobie coś, jeszcze raz odwrócił się w jego stronę.

- I pamiętaj, co powiedziałem. Trzymaj się z daleka od dobrze wiesz kogo.

Pod koniec 1894 roku Towarzystwo Rurociągu Chance - Johnson uzyskało w drodze kupna bądź dzierżawy tereny pod budowę rurociągu. Rozesłano ludzi, by przygotowali się do rozpoczęcia prac. Ezra Plassman z Southern Pacific złożył w San Solaro kolejną wizytę.

- Dowiedzieliśmy się, że buduje pan rurociąg do Ventury, panie Chance.

- To prawda.

- Zupełnie niepotrzebna inwestycja. Specjalna komisja SP, zajmująca się ustalaniem taryf, dyskutowała w zeszłym tygodniu nad waszą sprawą. Nawet bez... hm... wglądu w księgi waszej firmy widzimy, że Chance - Johnson szybko się rozwija i może stać się potęgą w naftowym biznesie. Wielką potęgą. Komisja taryf rozważyła to i miło mi zawiadomić, że gotowi jesteśmy zaoferować wam poważną stałą zniżkę opłat.

Mack rozparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął się jak mały chłopiec, który dostał w prezencie scyzoryk albo złapał żabę.

- Nie wątpię, że tak jest, panie Plassman - powiedział, po czym wyrzucił urzędnika za drzwi.

Przez swych prawników i bankierów Swampy Hellman przekazał Mackowi pieniądze. Uczynił to w taki sposób, w jaki zamożni ludzie rzucają drobną monetę kupując gazetę. Mack szybko przyswoił sobie ową prostą prawdę, której Nellie próbowała nauczyć go w San Francisco: zdobycie i zainwestowanie miliona czy dziesięciu milionów dolarów w zasadzie się nie różniło - tylko cyframi przed rządkiem zer. W 1895 roku Chance - Johnson zaczęła budowę rurociągu. Stu dwudziestu pięciu ludzi kopało rowy. Druga, równie liczna grupa układała w nich rury i łączyła je za pomocą pakuł i złączek. Kolejna brygada zajmowała się budową stacji pomp wzdłuż rurociągu, aby przeciwdziałać w ten sposób ogrzewaniu się i gęstnieniu ropy.

Pewnego jasnego, rześkiego lutowego dnia Mack i Hellburner Johnson wzięli udział w małej ceremonii przed łukową bramą San Solaro. Razem z robotnikami stanęli nad nie zasypnym jeszcze rowem, w którym leżała rura z wygrawerowanym napisem NADBRZEŻNY RUROCIĄG CHANCE - JOHNSON.

Mack uniósł w górę butelkę Mumma. W zielonym szkle załśniło słońce. Uśmiechnął się do współnika i z całej siły cisnął butelkę do rowu. Trysnął szampan. Johnson wyciągnął kolta i zaczął strzelać w powietrze, krzycząc z radości. Robotnicy także zaczęli wiwatować, gwizdać i wymachiwać małymi amerykańskimi chorągiewkami z inicjałami nazwy firmy.

- Zasypcie to - powiedział Mack.

Łopaty poszły w ruch, a z nimi uniósł się pył. Mack czuł się tak, jakby płynął w małej łódce po wzburzonym, rozszalałym morzu. Wszystko działo się tak szybko, szybciej nawet niż w jego marzeniach.

James Macklin Chance stał się bogatym człowiekiem. Miał dwadzieścia sześć lat.

Niedługo później Mack i Johnson pojechali razem do Wilmingtonu nad zatokę San Pedro. Na przystani obejrzeni mały przybrzeżny parowiec o nazwie „La Jolla de San Diego”. Jego kajuty pozamykane były na kłódki, a nad pustym pokładem szybowały mewy.

- Przywiozłem cię tu, bo wygląda na to, że na serio zaangażowaliśmy się w ten interes - tłumaczył Johnson. - Nie powinniśmy więc być zdani na łaskę firm transportowych, jeśli przyjdzie nam ochota wysyłać ropę do San Francisco, San Diego, czy nawet wokół przylądka Horn. Potrzebujemy własnego statku. Nie bardzo kocham liczby, ale jednak się uczę. - Podał Mackowi zapisaną kartkę żółtego papieru kancelaryjnego.

- Jaka ładowność ma ten statek? - zapytał Mack.

- Po remoncie da się załadować jakieś siedem tysięcy baryłek. Obliczyło to dla mnie kilku inżynierów.

- Ile będzie kosztować remont?

- Około pięćdziesięciu tysięcy.

- A jaka jest cena tego parowca?

- Chcą siedemdziesiąt pięć tysięcy. Prawnik mówi, że zgodzą się wziąć sześćdziesiąt. Powinniśmy go kupić, Mack. Jak Boga kocham, powinniśmy.

Mack był zdziwiony.

- Lubisz ten biznes.

- Tym, co naprawdę lubię, jest bogacenie się bez używania rewolweru.

Obejrzenie „La Jolli de San Diego” zajęło Mackowi zaledwie kilka minut. Deski pokładu były spaczone, a gdzieś tam zostały wyrwane. Brakowało klap wjazdów, a wszystkie szyby w sterowni były stłuczone.

- Kup ją. - Podekscytowany agent, żywo gestykulując, wskazywał na mapę.

- Obecnie cała ziemia jest obsiana pszenicą. Co nie znaczy, że będzie pan musiał ją uprawiać. Bez wątpienia, panie Chance, jest to najpiękniejsze ranczo w San Joaquin.

- Czytałem ulotkę. Proszę dalej.

- Rządca zgodził się pozostać jeszcze przez dwa lata... - wyczekująco zawiesił głos.

- Proszę sporządzić umowę dla mojego adwokata - powiedział Mack.

Razem z Enrique Potterem pojechali przyjrzeć się dziewięciuset akrowej posiadłości w dolinie Cahuenga. Po drodze minęli kilka schludnych, solidnych domów, które jednak szybko niszczały w promieniach palącego słońca. Natomiast gaje pomarańczowe i pola arbułów wprost rozkwitały w oczach.

Usiedli w cieniu wielkiego drzewa pieprzowego i zdjęli płaszcze.

- Byłem tutaj - powiedział Mack - kiedy po raz pierwszy jechałem do Los Angeles. Pamiętam z tej podróży głównie Holly Wood. Nie mam wątpliwości, że Los Angeles będzie się rozwijało właśnie w tym kierunku, w stronę oceanu. Ta ziemia ma wszystko, czego ludziom trzeba. Płaskie tereny na domy i farmy, jak również... - wskazał na masyw Santa Monica, do którego zboczy tuliło się kilka małych domów - wspaniałe widoki. Ujął lejce w dłonie. - Kup to - zwrócił się do Pottera. - Kup też sobie przy okazji nowy garnitur, Elenie srebrną bransoletkę, a dzieciom worek zabawek. I wszystko to dołącz do tego rachunku.

Bawiąc się swym doskonale zawiązanym krawatem, Enrique Potter stwierdził, że zrobi to z prawdziwą przyjemnością.

- Studiowałeś geologię? - zapytał Mack.

- Tak, sir. W Yale - odparł młody, rudowłosy mężczyzna w okularach, siedzący na krześle dla interesantów. - Z moim niezwykłym imieniem musiałem się również zająć czymś niezwykłym, nieprawdaż?

- Chyba tak. - Mack poczuł się staro w porównaniu z panem Havenem Oggiem ze Stamford w stanie Connecticut. Haven Ogg miał według leżącego na biurku podania zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Ogg był zdenerwowany, wciąż splatał i rozplatał palce. Mack podsunął mu kwadratowy kartonik.

- Chcemy oprzeć ten interes na naukowych podstawach. Oto jak wyobrażam sobie nasze ogłoszenie: „Chance - Johnson. Gaz - ropa - nafta. Najlepsze maszyny i oświetlenie gazowe.” To firma, którą dopiero chcę stworzyć. Czy są jakieś uwagi?

- Tak, sir. Oświetlenie. Czasy nafty jako paliwa oświetleniowego już się kończą. Teraz nadchodzi era elektryczności.

Mack przekreślił skrytykowane słowa i podał kartonik Oggowi.

- Poradziłbyś sobie z resztą? Zbudowałbyś rafinerię? Ogg przycisnął kartonik do piersi, jakby był to jakiś skarb.

- Tak, sir. Jeśli czegoś nie wiem - a wiele jest jeszcze takich rzeczy - nauczę się. Stworzenie takiej firmy może zająć nawet dziesięć lat, ale pewien jestem, że się uda.

Mack pomyślał, że ten młodzieniec ma o wiele więcej entuzjazmu niż doświadczenia. Mimo to Haven Ogg spodobał mu się.

- Nie dziesięć lat, panie Ogg. Daję panu tylko pięć.

- Zgoda, panie Chance.

Mack, Johnson, Clive Henley i agent handlu nieruchomości jechali konno drogą wiodącą do Arlington Heights. Mack był bez kapelusza i jego twarz przybrała wkrótce barwę ciemnego mahoni. Miał na sobie angielskie buty i piękne spodnie do końskiej jazdy. U boku kołysał mu się kolt.

Powietrze pachniało pomarańczami. Agent Moses Marwick ani na chwilę nie przestawał mówić.

- Riverside to wspaniałe miejsce. Przede wszystkim hoduje się tu cytrusy. Pułkownik North, który w 1870 roku założył tę osadę, kupił sporą część dawnych ranczo Rubidoux i Jurupa. Wymarzył sobie tutaj wielki przemysł jedwabniczy. Nic z tego nie wyszło, ale teraz mamy coś znacznie lepszego.

Henley z uśmiechem spojrział na Macka, jakby chcąc go przeprosić za przesadny entuzjazm agenta. Przed nimi rozciągała się płaska słoneczna równina. Z cienia ciągnących się po obu stronach drogi gajów pomarańczowych czterem elegancko ubranym jeźdźcom przyglądali się spoceni Meksykanie i mestizos.

- Cytrusami interesowano się tu jeszcze przed tym, jak Tibbetsowie sprowadzili oryginalne sadzonki z Bahia w Brazylii. Młode drzewka przysłał tutaj Departament Rolnictwa. Dlatego nazywamy je „waszyngtońskimi”. Miejscowi ludzie opowiedzą wam pewnie, jak to pani Tibbets podlewała młode drzewka pomyjami.

Minęli zakręt i ich oczom ukazała się tablica „NA SPRZEDAŻ” z podpisem Marwicka. Na całej posesji rosły rzędy drzew o lśniączielonych liściach. Agent zdjął z głowy białe sombrero.

- No, jesteśmy na miejscu. Dwieście akrów najlepszych cytrusów na tym terenie. Wszystkie z oryginalnych waszyngtońskich sadzonek. Rosną na wysokości, gdzie nie

bywa przymrozków. Gleba ma podłoże granitowe i jest doskonale nawodniona. Rozwijające się miejskie przedsiębiorstwo wodociągowe zaspokaja wszelkie potrzeby pod tym względem. Sad już teraz daje zbiory, nie trzeba więc będzie czekać na owoce pięć, sześć czy siedem lat.

Mack nachylił się do Johnsona, który z wyjątkowo kwaśną miną ocierał z czoła pot pomarańczową chustą

- Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że możesz robić, co ci się podoba. Ale ja nie zamierzam pilnować tych owoców.

Mack roześmiał się.

- Nie martw się. Zatrudnię kogoś innego. - Zjechał z drogi pomiędzy drzewa. - Proszę nam wszystko pokazać, Marwick.

Godzinę później podpisał wstępną umowę.

Agent opuścił ich wkrótce, śpiesząc na kolejne spotkanie, oni zaś pojechali aż do południowej granicy posiadłości, na wzgórze lśniące w letnim słońcu feerią złotych i brązowych barw. Znalazłszy się na smaganym wiatrem szczycie, Mack zsiadł z konia.

- Jakie piękne miejsce. Powietrze pachnie jak najlepsze perfumy.

- Będzie nam miło powitać cię jako nowego mieszkańca tych okolic. - Clive Henley zręcznie zeskoczył z konia i wyjął z oka monokl. - Mamy tutaj dwa kluby. Ich członkami są głównie Anglicy, ale nie brakuje i twoich krajanów. Wszyscy są sadownikami i wszyscy to dżentelmeni.

Henley szybko zaczął zachowywać się wobec niego poufale, ale Mackowi to nie przeszkadzało. Lubił tego gładkiego, wesołego jak młody psiak, człowieka.

- Jeżeli lubisz jazdę konną, mogę zapoznać cię w Riverside Golf and Polo Club z szybką i twardą grą, którą nasi chłopcy przywieźli z Indii.

- Co to za gra? - zapytał Johnson.

- Nazywa się tak jak klub. - Henley włożył monokl. -
Polo.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- To nic. Możemy cię wciągnąć na listę graczy.

- Pod warunkiem, że nie będę musiał pilnować żadnych przeklętych owoców. Mack znowu się zaśmiał.

- Zanim zacznę hodować cytrusy, muszę zaprojektować i zbudować dom. Wielki dom.

Stał na szczycie wzniesienia i rozejrzał się. Popatrzył na kalifornijskie niebo, na sady, na inne wzgórza. Podniósł w górę rękę.

- Tutaj. Zbuduję go tutaj.

Zostali w Riverside do następnego dnia, aby wypełnić niezbędne papiery, po czym wrócili pociągiem do Los Angeles i w dzień później wyruszyli do Newhall. O zmierzchu znaleźli się w San Solaro. Mack był zadowolony i podekscytowany zakupem, którego dokonał. Planował spędzać w Riverside przynajmniej część każdego roku, zbudować tam rezydencję i nauczyć się wszystkiego o cytrusach. A może nawet zająć się grą, o której wspominał Henley? Niewykluczone, że wielki, okazały dom w Riverside i wszystko, co będzie się z nim wiązało, skusi Nellie do porzucenia dotychczasowego życia i zrezygnowania z marzeń o Nowym Jorku. Od wielu miesięcy nie miał już od niej żadnych wiadomości i nieustannie za nią tęsknił.

W czasie całej podróży Johnson był milczący i nachmurzony. Może znów dopadła go tęsknota za włóczęgą? Mack nie pytał o to. Wolał rozkoszować się ciepłym wieczorem oraz widokiem pracujących rytmicznie, oświetlonych szybów naftowych.

Skęcili z Grande Boulevard w boczną uliczkę prowadzącą do domu nad kanałem. Już z daleka Mack dostrzegł siedzącego na werandzie mężczyznę. Uniósł się w

strzemionach, mając nadzieję, że tylko mu się przywidziało. Ale nie. Sylwetka mężczyzny rosła w miarę, jak się zbliżali. Człowiek ów był chudy jak patyk, wyraźnie niedożywiony i nędznie ubrany. Mimo to w jego zamaszystych ruchach była jakaś pewność siebie.

Johnson popatrzył na niego spode łba.

- Kto to, do diabła, jest?

- Mój były wspólnik. Wyatt Paul.

Mack czuł, że robi mu się zimno. Obaj z Johnsonem podjechali do werandy i przywiązali konie.

Włosy Wyatta były brudne, ubranie przypominało łachmany włóczęgi. Ale w jego niebieskich oczach płonęły znajome ogniki wesołej niewinności, które oczarowały już tak wielu ludzi.

- Witaj, Mack. Słyszałem, że wyciągasz kupę pieniędzy z San Solaro. Wróciłem po swoją część.

Rozdział 30.

Mack przedstawił sobie nawzajem Johnsona i Wyatta. Potem poprosił Teksańczyka, by na tę noc opuścił dom.

- Wyatt i ja chcemy pogadać o interesach.

Johnson zaprotestował, przypominając, że to także jego dom. Słyszał sporo niepochlebnych opowieści o Wyacie, a poza tym nie lubił być w ten sposób odprawiany.

- Wyatt jest właścicielem części ziemi należącej do Chance - Johnson. Mamy sporo do omówienia. To sprawa osobista - mruknął Mack. Czuł, że Wyatt cieszy się z jego niezręcznej sytuacji. - Zrób mi przysługę. Nie kłóć się. Znajdź sobie inny nocleg.

Johnson popatrzył na swego współnika.

- Cholera - powiedział, spluwając na ziemię. Wskoczył na konia i odjechał.

- Chodź do środka, Wyatt - powiedział Mack. - To nie potrwa długo. Wyatt przytknął do papierosa zapaloną zapałkę, po czym rzucił ją na ziemię.

- Zobaczymy - otworzył drzwi. - Proszę, idź pierwszy, współniku. Mack z trudem hamował gniew. Pragnął chwycić Wyatta za kołnierz i wyrzucić za drzwi. Jakiś instynkt samozachowawczy kazał mu się jednak przed tym powstrzymać. Trudno było przypuszczać, że Wyatt Paul będzie postępował tak rozsądnie, jak normalni ludzie.

Wyatt powiedział, że chce mu się pić, Mack otworzył wielką butlę czerwonego wina.

Czas płynął, a Wyatt opróżniał kieliszek za kieliszkiem. Bez końca powtarzali te same argumenty.

- Powtarzam ci, Wyatt. Postąpiłem zgodnie z umową. Mój prawnik w Los Angeles ma dokumenty. I dolara, którego ci jestem winien.

- Zniknąłem, ale tylko na jakiś czas, współniku.

- Przestań to powtarzać, jak papuga. - Mack wskazał na migające światła szybów wiertniczych. - Nie masz żadnego wkładu w to wszystko. Ani centa, ani grama potu.

- A ten tępy kowboj ma?

- Bardzo dużo.

- I co mu z tego?

- Jest udziałowcem.

Wyatt pociągnął wina wprost z butelki i otarł usta rękawem.

- Mam tutaj swój wkład. Na czyjej ziemi stoją te szyby, Mack?

- Ile razy jeszcze będziesz to powtarzać? Zniknąłeś. Porzuciłeś San Solaro. Zabrałeś gotówkowe depozyty ludzi, którzy ci zaufali. I nic cię nie obchodziło, że mogłem przez to trafić do więzienia. A teraz wracasz tu tak, jak gdyby nic się nie stało. I nie mówisz nawet, gdzie byłeś.

- W Meksyku, na Hawajach. Nic ważnego. - Światło odbijające się w oczach Wyatta nadawało im dziwny blask. - Zdaje mi się, że chcesz się mnie pozbyć, Mack. Chyba pomyliłem się co do ciebie. Kiedyś sądziłem, że masz sumienie.

Mack popatrzył na niego. Wyatt wytrzymał jego spojrzenie, potem roześmiał się. Mack wyszedł przed dom i stanął nad kanałem. Zmęczenie po kilkudniowej podróży dawało mu się we znaki. Czuł gniew. Otrząsnął się i zaczął intensywnie myśleć. Czy stara umowa z Wyattem przestała obowiązywać? Tak, Potter zapewnił go o tym. W końcu Mack znalazł rozwiązanie - stare i sprawdzone: procenty.

- W porządku - powiedział ochryłym głosem, kiedy wrócił na werandę. - Dam ci dziesięć procent zysków.

- Nie obrażaj mnie, współniku - Wyatt wypił kolejny łyk.

- Dwanaście i pół, niech to diabli.

- Czyżbym cię denerwował, wspólniku? Wciąż przeklinasz. Nie ma mowy.

- Piętnaście - powiedział niechętnie Mack.

Wyatt zamyślił się na chwilę, potem uśmiechnął się.

- Siedemnaście i pół.

- Zgoda. Ale pod jednym warunkiem: będziesz odbierał swoje czeki w banku w Los Angeles. Masz trzymać się ode mnie z daleka.

Zapadła taka cisza, że aż dzwoniła w uszach. Wyatt gwałtownie odstawił butelkę na podłogę, potem zszedł po schodkach. W jego głosie brzmiała teraz prawdziwa wrogość.

- Dlaczego?

- Bo to jest biznes. Dobrze prowadzony, dochodowy biznes. Jeżeli dalej będę go prowadził, obaj się dorobimy.

- Chcesz powiedzieć, że ja bym prowadził go źle?

- Daj spokój, Wyatt.

- Nie, mówmy otwarcie. Cisza. Zmierzyli się wzrokiem.

- San Solaro przynosi teraz zyski. Duże zyski. Ale może dawać jeszcze większe, o ile doprowadzę tu wodę - tę wodę, którą mamieś kiedyś naszych klientów. Może wtedy powstanie tutaj miasto. Prawdziwe miasto, a nie papierowa fantazja. Żadnych parowców na oszukańczym kanale. Sklepy, domy, szkoły, kościoły. Prawdziwe ulice, prawdziwi ludzie. To się nazywa postęp, Wyatt. I nie ma zupełnie nic wspólnego z bezpłatną podróżą, darmowym lunchem i szybko zdobywanymi dolarami. Ale to się nie uda, jeżeli będziesz kręcił się w pobliżu, gotów pobić każdego bankiera, który odmówi nam pożyczki, i każdego dostawcę, który nie wypełni zamówienia.

- Nie wiedziałem, że masz o mnie tak złe mniemanie.

- Daj spokój, na Boga. Jesteś utalentowany i czarujący. Ale nie pracowity.

Wyatt chwycił butelkę i roztrzaskał ją o balustradę.

- Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Nie przyjechałem do Kalifornii, żeby pracować.

- Zamknij się. Dość mam twoich popisów.

- Nie, sir. Nie. Zamierzam to powiedzieć. Byłeś dzisiaj cholernie szczery. Posłuchaj więc, Mack: szczerłość może być niebezpieczna. Czasem zatruwa przyjaźń. Zatrzuwa ją na zawsze. Rozumiesz mnie?

- Jeżeli to ma być groźba, do diabła z tobą. Chcesz siedemnaście i pół procenta, czy nie?

- Chcę. Należą mi się.

- Więc odbieraj je w Los Angeles. Mój adwokat nazywa się Potter. On wszystko załatwi.

- Razem to załatwimy. Zostaję tutaj. Mack drżał z gniewu.

- Z czym kojarzy ci się nazwisko Sterns? - zapytał. - Don Ysidor Sterns. Ranczo de la Bahia.

- Nie znam tego nazwiska - odparł cicho i spokojnie Wyatt.

- To dziwne. Kiedy zniknąłeś, znalazłem w twoim biurku wycinek z gazety na temat człowieka. Pisano, że zamordowano go w pobliżu San Diego. Ktoś zabił go, kradnąc sporą sumę pieniędzy. - Mack przełknął ślinę, chcąc zwilżyć wyschnięte gardło. - Mniej więcej tyle pieniędzy - ciągnął - ile potrzebowałeś na zakup tej ziemi. Nigdy nie znaleziono mordercy. To cholernie zabawne, że przechowywałeś wycinek o człowieku, którego nie znałeś.

- Czy chcesz powiedzieć...

- Mówię, że to zabawne, Wyatt. I mówię jeszcze, że nie dostałeś pieniędzy od Otto Hellmana. Okłamałeś mnie - mniejsza o to, skąd o tym wiem.

Minęło dziesięć sekund, w ciągu których nocną ciszę przerywał jedynie miarowy łoskot pracujących szybów i pohukiwanie sowy.

Wyatt ruszył w stronę Macka. Mack wyciągnął kolta i wymierzył go w byłego wspólnika.

- Nie pogarszaj sytuacji.
- Chcę dostać ten wycinek.
- Nie. Jest zamknięty w bankowym sejfie.
- O co ci chodzi?
- Chcę, żebyś się stąd wyniósł. Potter zadba o twoje procenty. Nigdy już tu nie wracaj.

Wyatt stał na werandzie. Światło z domu padało na jego twarz. Na ustach Wyatta znów pojawił się uśmiech: przypochlebny, nieszczerzy. Ale w jego niebieskich oczach nie było wesołości - czaiła się w nich wrogość.

- Wszystko, co każesz, wspólniku. Prześpię się tutaj i rano...

- Chcę, żebyś natychmiast opuścił tę posiadłość. Znajdę człowieka, który odwiezie cię do Newhall.

Wyatt zastanawiał się przez chwilę, potem uniósł rękę na znak zgody. Mimo że gest był uprzejmy, z jakiegoś powodu przeraził on Macka bardziej niż wcześniejszy wybuch złości.

- Jasne. Pojadę. Ale nie przypuszczam, żebyśmy się widzieli po raz ostatni. Chodźmy znaleźć woźnicę, wspólniku.

Rozdział 31.

Był czerwiec 1895 roku.

Overland Express zwolnił.

Mack spojrział na złoty kieszonkowy zegarek. Było kilka minut po pierwszej w nocy. Odłożył papiery i przysunął się do okna. Na dworze panowała całkowita ciemność - nie widać było nawet najmniejszego światełka.

Jaka to ironia losu, że podróżuje linią, której tak nienawidził. Musiał jednak przyznać, że podróżuje wygodnie. Jechał pierwszą klasą slipingu Silver Palace, przypominającym nieco wagony Pullmana. Pociąg ciągnęła potężna, dziewięćdziesięcotonowa lokomotywa. Przyjrzał się jej dokładnie przy wsiadaniu. Wyprodukowano ją w Sacramento i nazwano „Rudy lis”.

Konduktor chodził cichutko po korytarzu. Inni pasażerowie odpoczywali już na zasłoniętych kotarą łózkach. Mack poprosił jednak, by jego pośłania nie rozkładano. Nie zamierzał kłaść się spać.

Konduktor miał wielki brzuch i żółte cienie pod oczami. Zauważył, że Mack wygląda przez okno.

- Na dworze silna mgła. Zwalniamy przed Pętłą Tehachapi.

Mack skinął głową i konduktor zniknął w ciemnościach. Pętla była jednym z kalifornijskich cudów inżynierii. Dziesięć mil na północ od wysokiego na cztery tysiące stóp wzniesienia, kiedy zjeżdżało się już w stronę Mojave, tory kolejowe tworzyły pięciokrotną spiralę wokół góry. Zdarzało się, że jeśli pociąg był dostatecznie długi, pasażerowie z pierwszych wagonów mogli widzieć ostatnie wagony jadące w przeciwnym kierunku.

Mack rozpiął kołnierzyk. Na fotelu naprzeciw niego leżała lektura, którą zabrał ze sobą: nowa książka Johna Muira Góry Kalifornii, kilka numerów „The Irrigation Age”, najnowszy

numer „Land of Sunshine”, nowego ilustrowanego czasopisma reklamującego Południową Kalifornię, oraz pismo literackie „Overland Monthly” i „Fresno Morning Republican” z artykułem o decyzji Sądu Najwyższego podtrzymującej wyrok przeciw Eugene Debsowi, liderowi związku zawodowego pracowników kolei.

Mack zabrał to wszystko ze sobą, ale do niczego nawet nie zajrzał. Próbował napisać list. Podarł szóstą już kartkę i zaczął jeszcze raz.

„Droga Nellie! Piszę do Ciebie w czasie podróży do Central Valley. Zamierzam kupić tam piękną posiadłość - blisko 14 000 akrów - w pobliżu Fresno. Obietnice starego przewodnika wreszcie się ziszczają. Znalazłem tu więcej wszelakiego złota, niż kiedykolwiek marzyłem...”

Słychać było świst pary i zgrzyt żelaza. Pociąg zwalniał - zapewne zbliżali się do stacji. Za zasłoną ktoś przewracał się niespokojnie na łóżku, mamrocząc coś niewyraźnie.

„... ale przede wszystkim chcę Ci powiedzieć, jak jest mi przykro, iż Twoja wizyta skończyła się w taki sposób. Nie jestem związany z kobietą, którą wtedy spotkałaś...”

Zmarszczył brwi. Nie lubił kłamać. Ale Nellie była tego warta.

„... i nigdy nie byłem. Proszę, wyrwij się od pana H. na kilka dni i przyjedź tutaj, żebyśmy mogli o tym porozmawiać. Chcę ci pokazać pewne miejsce, gdzie zamierzam zbudować nowy...”

Pociąg szarpnął gwałtownie, wolno posuwając się naprzód. Mack wyjrzał przez okno. W gęstej mgle dostrzegł jedynie kilka ledwie widocznych świateł.

Nagle pociąg raptownie zahamował. Lampa zachwiała się, strzelając nagle silnym płomieniem. Obudzeni pasażerowie próbowali dowiedzieć się, co się stało. Wagon pachniał zakurzonymi dywanami i naftą.

Z cienia wynurzył się konduktor.

- Jesteśmy na szczycie góry. Stacja nazywa się Tehachapi. Mack postanowił wysiąść i odetchnąć świeżym powietrzem. Przechodząc obok przedziału zajmowanego przez skandynawskie małżeństwo, które podróżowało z córką, usłyszał kobiecy głos, pytający:

- Co widzisz, Nels?

- Przekłęta mgła. Nic przez nią nie widać.

Ziewając zszedł po stopniach na peron skromniutkiej stacyjki. Elektryczne światła w środku budynku były prawie niewidoczne, przesłonięte zimną, moką zasłoną mgły, najgęstszej, jaką kiedykolwiek widział. Na peronie było pusto. Zajrzał przez szybę do środka dworca - także przy telegrafie nie było nikogo. Czyżby nikt nie miał tutaj dyżuru?

Zaspany konduktor szedł od strony lokomotywy trzymając w ręku lampę.

- Nie możemy jechać, dopóki mgła trochę nie opadnie - powiedział. - Tu, w górach, stanowi to zbyt duże ryzyko. Maszynista ma nadzieję, że widoczność poprawi się w ciągu godziny.

Pasażerowie w szlafrokach i porozpinanych ubraniach wystawiali głowy przez okna wagonów. Jakiś mężczyzna zeskoczył na peron i podszedł do konduktora.

- Stoimy na głównym szlaku, prawda? Czy nie powinniśmy zjechać na bocznice?

- Tu są tylko jedne tory. Ale o tej porze nie jeżdżą tędy żadne pociągi. Mack dostrzegł nagle na końcu pociągu coś, co go zaniepokoiło. Na semaforze paliło się zielone światło.

- Jeśli nawet nie ma teraz innych pociągów, to czy nie powinno tam być czerwone światło? - zapytał.

Na peronie pojawiła się także para Skandynawów. Włosy niskiej, pulchnej kobiety ściągnięte były siatką, wystarczająco mocną, by łowić w nią pstrągi. Jej mąż miał na sobie

elegancki atlasowy szlafrok, piżamę oraz haftowane, tureckie kapcie.

Mack obserwował konduktora. Coś było nie w porządku i człowiek ten wiedział o tym. Usiłował to jednak ukryć pod maską hałaśliwej pewności siebie.

- Och, to jakaś awaria. Nic groźnego. Poproszę hamulcowego, żeby się tym zajął. Nagle usłyszeli przeraźliwie głośny gwizd pociągu. Serce Macka zaczęło walić

jak oszalałe. Jakaś rozpędzona lokomotywa wjeżdżała na szczyt, na którym stali.

- Jezus, Maryja - szepnął konduktor i przeżegnał się. Pasażerowie poczęli krzyczeć w panice:

- Nadjeżdża pociąg!

- Jest na tym samym torze! Uciekajcie!

- Kirstin! - zawołała Szwedka. - Nels, Kirstin śpi...

- Inni też - odparł jej mąż z wyraźnym skandynawskim akcentem.

- Konduktorze, każ im opuścić pociąg! - wrzasnął Mack.

Kolejarz wybałuszył oczy i wymachiwał latarką, a jego usta poruszały się bezgłośnie. Dudnienie i sapanie niewidocznego w ciemności pociągu stały się jeszcze głośniejsze.

Nels wbiegł na tory, wymachując rękoma.

- Stop, zatrzymajcie się! - wrzeszczał, gubiąc po drodze haftowane kapcie. - Stać!

Szeroki, biały snop światła omiótł ostatni zakręt przed stacją. Reflektory lokomotywy zalały światłem peron i stojący przy nim pociąg. Nagle zrobiło się tak jasno jak przy uderzeniu pioruna. Pociąg z ogłuszającym rykiem mknął ku stacji. Mack dostrzegł buchające z komina lokomotywy kłęby dymu. Widząc, że konduktor stoi jak sparaliżowany, rzucił się ku schodkom wagonu i kopniakiem otworzył drzwi.

- Wszyscy na zewnątrz! Uciekajcie! - krzyknął.

Lokomotywa nadjeżdżającego pociągu przeraźliwym gwizdem obwieściła nadciągające nieszczęście. Mack biegł korytarzem wagonu, krzycząc:

- Obudźcie się. Jeszcze parę sekund i...

Huk i zgrzyt. Cały pociąg został gwałtownie zepchnięty z szyn. Lampy nad głową Macka zakołysały się. Zapaliła się nafta wypływająca z pękniętych zbiorników. Jakaś kobieta spostrzegła ogień i zaczęła krzyczeć. Mack otwartą dłonią uderzył ją w twarz.

- Uspokój się! - rozkazał. - Uciekaj stąd, ratuj się...

Usłyszał przeraźliwy wrzask. Poczuł, że wagon zakołysał się. Wszędzie dookoła tańczyły płomienie, trzeszczało łamane drewno i jęczał wyginany metal. Przez ten zgiełk przebijały się ludzkie krzyki.

Najbardziej rozpaczliwe dobiegały od strony łóżka skandynawskiej dziewczynki. Najwidoczniej została uwięziona wśród poskręcanych szczątków wagonu. Mack próbował dostać się do niej, ale jego wysiłki spełzły na niczym, ponieważ wagon właśnie przewrócił się na bok. Mack stracił równowagę i potoczył się w stronę swojego przedziału. Wszystkie papiery płonęły.

Próbował wstać, ślizgając się na bocznej ścianie, która teraz stała się podłogą. Uderzył głową w ramę wybitego okna, omal nie podrzynając sobie gardła o sterczące odłamki szkła. Od palących się poduszek zajęło się ogniem jego ubranie. Zakrwawieni pasażerowie, krzycząc przeraźliwie, za wszelką cenę próbowali wydostać się z wagonu. Ich wrzaski to cichły, to znowu wybuchały ze zdwojoną siłą. Najgorszy był nadal krzyk dziewczyny. Jakżeż ona miała na imię?

- Kirstin! - wrzasnął, przypomniawszy sobie wreszcie.

- Tutaj! Jestem uwięziona. Pomóżcie mi!

Mack odnalazł ją z trudem, gdyż dławiący dym wypełniał cały wagon. Przedzierał się przez sterczące pionowo łóżka.

Zerwał zasłonę z pośłania dziewczyny i zobaczył ją wciśniętą między spletaną pościel, z dłońmi przyciśniętymi do gardła i wybałuszonymi, przerażonymi oczyma. Ściągnął z niej kołdrę i prześcieradła. Tym, co ją uwięziło, był jej własny strach.

- Podnieś się. Obejmij mnie za szyję. Szybko.

Posłuchała go. Kaszłąc od dymu, wziął dziewczynę na rękę. Co robić dalej? Brnąć na koniec wagonu? Nie, buchały już stamtąd potężne płomienie. Popatrzył na przepierzenie przedziału.

- Chwyć się tej ściany, Kirstin! - polecił.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! Proszę, nie rób tego!

- Nie bój się. - Zerwał zasłonę, owinął się nią, po czym wdrapał się po łóżku do okna, które miał teraz nad głową i uderzył w nie łokciem. Gryzący, czerwony dym niemal zupełnie przesłaniał mu widok.

Jeszcze raz uderzył w szybę.

I jeszcze raz.

Szkoło pękło. Pośpiesznie zasłonił kotarą oczy i twarz, ale jeden z odłamków skaleczył go w policzek i pozostawił długą, wąską ranę na czole. Drobinka szkła utkwiała także pod lewą powieką, powodując ból jak od ukłucia igły.

- O, Chryste! - Bez przerwy mrugał oczyma, czując spływające po twarzy łzy. W końcu szkło wypłynęło.

Ogień rozprzestrzenił się gwałtownie, wypełniając jasnym blaskiem całe wnętrze wagonu.

- Trzymaj się, Kirstin. Mam zamiar wypchnąć cię na zewnątrz przez to wybite okno.

Dziewczynka dostrzegła w ramie okiennej sterczące odłamki szkła i cofnęła się ze strachem.

- Uspokój się! - krzyknął Mack, silnie chwytając ją za nadgarstek. Nie zastanawiał się nad tym, że może złamać dziewczynie rękę - tu chodziło o życie. Chwycił się łóżka i

pociągnął ją ku górze, po czym podparł pod biodra. - Niech ktoś pomoże jej wyjść! - krzyknął.

Na przewróconym wagonie zadudniły czyjeś pośpieszne kroki.

- Już, już - dobiegły ich głosy z zewnątrz. - Tutaj, daj rękę, dziewczyno. Po chwili Kirstin znalazła się w czyichś ramionach. Mack odetchnął głęboko świeżym, wilgotnym powietrzem, przysłuchując się gorączkowo zadawanym pytaniom, trzaskowi ognia, okrzykom strachu i jękiem bólu. Po chwili chwycił się brzegu ramy okiennej i zaczął podciągać się w stronę zbawczego otworu.

Nagle dotarł do niego czyjś głos. Słabe wołanie jakiegoś mężczyzny. A więc w wagonie został uwięziony ktoś jeszcze.

„Ratuj się sam” - podszepnął mu jakiś wewnętrzny głos, ale nie posłuchał go. Dym stał się jeszcze gęstszy. Osłaniając usta chusteczką do nosa ruszył w stronę słabnącego wołania.

- Nie mogę się ruszyć. Chyba mam złamaną nogę.

Po twarzy Macka płynął pot. Krzyk dobiegał z drugiego końca wagonu, zza stojącego w płomieniach łóżka, które zagradzało drogę.

Mack przetarł oczy i, dla ochrony przed płomieniami owinąwszy głowę kocem, ruszył ku barierze ognia.

Leżał w szerokim łóżu w swoim domku. Urządził sypialnię tak, by łóżko stało tuż obok okna. W ten sposób mógł zawsze, gdy tylko się obudził, patrzeć, jak szyby naftowe wypompowują dlań z ziemi pieniądze.

Na jego ramionach umieszczono opatrunki nasączone maścią cynkową i morfiną, która miała zmniejszyć ból. Trzeba przyznać, że miał szczęście - żadnych oparzeń pierwszego stopnia, a i te, których doznał, miały ograniczoną powierzchnię. Sympatyczny młody lekarz z gór zmniejszył skutki poparzenia zanurzając Macka w zimnej wodzie w poidle dla koni, a potem okładając mu rany domowego

wyrobu melasą. Mackowi opadły powieki. Był to skutek opium, które przepisał mu miejscowy lekarz. Mack wstydził się, że leży tak bezradnie w obecności gości. Choroba wydawała mu się czymś niemęskim. Nellie siedziała na krześle, a za nią stał Bierce. Oboje przybyli tu nie zapowiadając swojej wizyty. Nellie robiła wrażenie zmęczonej i była niezwykle blada, ale Bierce jak zwykle wyglądał elegancko w swoim nieskazitelnie czystym garniturze w kolorze kości słoniowej i odpowiednio dobranym krawacie. Położył Mackowi na kołdrze małą książeczkę.

- Rozbawi cię to, kiedy już wyzdrowiejesz.

Mack przeczytał tytuł: Opowieści o żołnierzach i cywilach.

- To twoje?

- Tak. Przeczytaj to wtedy, kiedy poczujesz, że nienawidzisz świata.

- W takim razie jeszcze nie teraz - odparł Mack. Język miał suchy i obrzmiały. - Na razie dziękuję Bogu, że żyję.

- Jesteś bohaterem - powiedziała Nellie. - Mack uratował zarówno tę dziewczynę, Kirstin, jak i mężczyznę uwięzionego w wagonie.

- Nawet gdybyś tak nie uważał, ludzie Hearsta upewnią cię co do tego - dodał Bierce.

- Jesteście tutaj po to, by napisać o katastrofie?

- Naturalnie - odparł Bierce. - Przyjechaliśmy specjalnym pociągiem przysłanym przez nasz kochany SP. Szczerze mówiąc, mamy szczęście. Od tygodni zajmowałem się „skokiem stulecia”, jak to nazwał nasz szef. Człowiek prowadzący małą szkółkę niedzielną w Emanuel Baptist uciekł wraz z dwiema swymi uczennicami. Poza tym nie wydarzyło się nic na tyle sensacyjnego, by napisać o tym w gazecie. Aż do katastrofy. Przybyliśmy prosto z Tehachapi, by

zobaczyć, jak się miewasz. Nell, która ma wyjątkowo czułe serce, bardzo na to nalegała.

Nellie zarumieniła się, ale Bierce nie zwracał na to uwagi.

- Lokomotywa w tym pociągu miała silnik, jakiego nigdy dotąd nie używano. Wyobraź sobie, że kiedy nadano depeszę o katastrofie, w Tehachapi nie było nikogo, kto mógłby ją odebrać. Odpowiedzialny za to człowiek udawał, że jest śmiertelnie chory.

Mack poprawił się na poduszce.

- Zauważyłem, że budynek stacyjny był pusty. Widziałem także zielone światło, choć powinno palić się czerwone.

- Oni wciąż mają sobie za nic bezpieczeństwo pasażerów. Jak zwykle nasz tekst zawierać będzie miażdżącą krytykę takiego postępowania.

- Chociaż oczywiście niczego to nie zmieni - westchnęła Nellie. - Fairbanks już wypłaca odszkodowania pasażerom, a jedyny człowiek, jaki zginął, był pracownikiem kolei.

- Konduktor - domyślił się Mack.

- Tak. Zmiażdżyło go, kiedy przewróciły się wagony. Wdowa po nim żyje w obskurnym mieszkanku w San Francisco, ale dziś rano dostaliśmy telegraficzną wiadomość, że wycofała skargę przeciwko SP.

- Czemu to uczyniła?

- Jaki jesteś naiwny - westchnął Bierce. - Pewnie doszła do wniosku, że milczenie i stały dochód są lepsze od dochodzenia sprawiedliwości i biedy.

- Sukinsyny - Mack wyciągnął rękę do Nellie. - Jeśli tylko będę mógł, zawsze pomogę wam przygwoździć ich do muru.

Nellie cofnęła się i rzuciła nerwowe spojrzenie na Bierce'a.

- Mam nadzieję, że w Nowym Jorku będzie mi się pracowało lepiej niż tu.

- Wyjeżdżasz? - zapytał Mack zdławionym głosem.

- Jeszcze nie teraz. Ale podjęłam już decyzję. Hearst wyjechał razem z Tessy do Europy. Zanim jednak opuścił Amerykę, wysłał swojego człowieka - Charleya Palmera - do Nowego Jorku na wstępne negocjacje. Wystawiono tam na sprzedaż cztery gazety: „Timesa”, „Advertisera”, „Recordera” i „Morning Journal”. Hearst ma zamiar kupować w Europie dzieła sztuki, a kiedy wróci, nabędzie jedną z tych upadających gazet.

- Wszystko wskazuje na to, że będzie nią „Journal” - oświadczył Bierce. - Jest tani i popularny. Powiadają, że to ulubiona gazeta pokojówek.

- Kiedy to ma nastąpić?

- Przed końcem roku - odparła Nellie. - Hearst chce, bym tam pracowała, a przy okazji miała oko na sztuczki Huntingtona. W tej chwili największym zmartwieniem Huntingtona jest, nie licząc portu, dług, jaki linie kolejowe zaciągnęły u rządu. Huntington pragnie, by Kongres anulował ten dług, albo chociaż poważnie go zmniejszył. To byłoby oszustwo na niebywałą skalę.

- Taki już jest nasz drogi, stary Southern Pacific - westchnął Bierce. - Tam nasz człowiek, tu nasz człowiek i wkrótce osiągniemy to, co chcemy.

- Ambrose - powiedział Mack - czy mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

Nie kryjąc zaskoczenia, Bierce uśmiechnął się kpiąco.

- Słucham?

- Chciałbym porozmawiać z Nellie w cztery oczy.

- Oczywiście. Jeśli nawet dotrą do mnie odgłosy świadczące, że dajesz upust swej niepohamowanej żądzy, wierz mi, że dochowam sekretu.

Wyszedł z pokoju. Nellie z przerażeniem w oczach patrzyła na zamykające się za nim drzwi. Nie chciała zostawać z Mackiem sam na sam.

Mack nie tracił czasu na kurtuazyjne wstępy.

- Nellie, zapomnij o Nowym Jorku. Nellie nerwowym gestem dotknęła nosa. Nie należała do kobiet, które łatwo dają po sobie poznać, że czują się skrępowane, ale tym razem Mack dostrzegł to w jej oczach.

- I co według ciebie mam robić?

- Poślubić mnie. Kupiłem właśnie ładny kawałek ziemi w Riverside...

- Jeszcze jedną posiadłość? - roześmiała się. - Niedługo będziesz już prawdziwym obszarnikiem.

- Jestem bogaty. Inwestuję. Nie zmieniaj tematu. Posiadłość jest piękna, położona na wzgórzu, nazywa się Arlington Heights. Wokół ciągną się gaje pomarańczowe. Pokażę ci to wszystko, kiedy tylko lekarz pozwoli mi wstać z tego przeklętego łóżka.

Nellie złożyła razem dłonie i siedziała nieruchomo, całkowicie już opanowana.

- O co ci chodzi? - zapytał Mack. - O Carłę Hellman? Przecież nie oświadczalbym ci się, gdyby cokolwiek dla mnie znaczyła.

Nellie potrząsnęła głową.

- Sprawileś, że wstydzę się tego, co zrobiłam. Przybyłam tu, ponieważ jesteś dla mnie kimś ważnym. I to bardzo. Twoje oświadczenia są miłe...

- Człowiek wysmarowany białą maścią i oszołomiony opium nie może być miły - powiedział Mack.

- Wiem, że to, co powiem, zaboli cię - odparła, z trudem dobywając głosu. - Więcej nawet: prawdopodobnie będziesz mną pogardzał. Jest mi doprawdy przykro, ale muszę być uczciwa wobec samej siebie. Prosząc mnie o rękę żadasz, bym stała się kimś mniej wartym, niż jestem, pracując dla Hearsta.

- Proponuję ci moje życie, do diabła.

- Tak, ale w zamian za moje.

- Przecież tak właśnie wygląda miłość.

- Sądzę... - jej oczy wypełniły się łzami, co było zupełnie do niej niepodobne - że gdybyś naprawdę mnie rozumiał... gdybyś kochał mnie na tyle, by móc mnie zrozumieć... nie poprosiłbyś mnie o rękę.

- Mój Boże! Nie rozumiem tych twoich szalonych idei. Któż ci nakładł tego wszystkiego do głowy?

To pytanie rozgniewało ją. Poczzerwieniała i zerwała się z krzesła.

- Świat, Mack. Świat. Mamy prawie dwudziesty wiek. Ciemne średniowiecze jest już dawno za nami.

- Przestań - zawołał, tracąc cierpliwość. - Cała sprawa sprowadza się do jednego: nie kocham nikogo innego i nigdy nikogo innego nie kochałem.

- Ani ja. Ale ty kochasz także swoje własne przekonania. A one są groteskowo staromodne. Kochasz to, co napisano w tej zniszczonej małej książeczce, którą tak czcisz. Popatrz na siebie. Przemierzasz stan kupując farmy i zakładając sady... Spieszysz się z tym wszystkim tak, jakbyś miał umrzeć już jutro...

Mack gwałtownie usiadł na łóżku. Czuł się zraniony i wściekły.

- Cóż jest złego w tym, że człowiek ma ambicje? Znam ludzi, którzy podziwiają mnie z tego powodu. - „Na przykład Carla” - pomyślał gorzko.

- Nie ma w tym nic złego, Mack, dopóki ambicje nie stają się ważniejsze od wszystkiego innego. Dopóki nie tworzą muru między tobą a ludźmi.

- A co z twoimi ambicjami? Co z Nowym Jorkiem? Smutny uśmiech Nellie powiedział mu, że jego atak chybił celu.

- A więc są między nami już dwa mury - bezradnie potrząsnęła głową. - Nie wiem, Mack, jak to się dzieje, że

choć oboje mamy absolutną rację, to jednocześnie oboje się mylimy.

Nellie pochyliła się i pocałowała go. Mack objął ją, przytulając do siebie. Otoczyła go ramionami.

- Och, uważaj na siebie... - szepnęła drżąc i przymykając oczy, kiedy jego pocałunki stały się jeszcze bardziej namiętne.

Zapomnieli o wszystkich wzajemnych nieporozumieniach i żalach. Nie na długo jednak. Kiedy Nellie odsunęła się, Mack dostrzegł w jej twarzy ten sam wyraz zdecydowania, jaki zapamiętał z ich pierwszego spotkania na nabrzeżu. Opuścił ręce na koldrę.

- Muszę już iść - powiedziała wstając. - W redakcji czekają, byśmy telegraficznie wysłali im informacje, a Ambrose i ja mamy jeszcze umówione spotkania. Odwiedź mnie w Nowym Jorku.

Mack utkwiał w niej wzrok, którego wyraz dobitnie świadczył, że takie odwiedziny nigdy nie nastąpią.

- Mack, proszę...

Nie doczekała się żadnej innej odpowiedzi. Cicho wyszła z pokoju. Mack usłyszał, jak szepnęła coś do Bierce'a. Turkot odjeżdżającego powozu zagłuszył na chwilę znajomy odgłos pomp naftowych szybów. Mack odwrócił twarz ku oknu. Nigdy dotąd nie czuł się tak nikomu niepotrzebny, nieszczęśliwy, zły i skrzywdzony.

Rozdział 32.

Na początku lipca Hellburner Johnson powrócił z miesięcznej wólczy po Baja w Meksyku. Przejechał przez łukowatą bramę San Solaro i odnalazł swego współnika siedzącego w biurze. Między zaścielającymi jak zwykle biurko rachunkami, raportami, kontraktami i licznymi notatkami stała otwarta butelka whisky z Kentucky. W szklance obok migotał ten sam bursztynowy płyn.

- O tej porze? - zapytał Johnson, strzepując ze swych prążkowanych spodni jakiś niewidoczny pyłek.

- Teraz czy później, co to za różnica?

Johnson przygryzł wargi i wyszedł na zewnątrz. Po krótkiej rozmowie z kilkoma kręcącymi się w pobliżu robotnikami wiedział już wszystko. Odkąd Mack podniósł się z łóżka, bez przerwy był pijany. I to porządnie.

Pułkownik Harrison Gray Otis zdecydował się złożyć Mackowi wizytę.

Mack przyjął go po południu w swoim biurze. W klapie marynarki Otis nosił wojskową rozetkę. Wciąż aktywnie działał w Stowarzyszeniu Weteranów Wojny Domowej. Pułkownik był skonsternowany niechlujnym wyglądem Macka i tym, że gospodarz przyjmuje go nie ogolony. W człowieku nawykłym do dyscypliny taki wygląd musiał budzić niechęć.

- Cóż za nieoczekiwany zaszczyt, pułkowniku.

- Uciekł pan tak daleko od Los Angeles, że trudno pana znaleźć. Ale czy nie spotkaliśmy się już wcześniej? Pańska twarz wydaje mi się znajoma...

- Całkiem możliwe - Mack nie był aż tak pijany, by zapomnieć o dniu, kiedy to zawiózł Marqueza do biura „Timesa”. - Napije się pan ze mną?

- Nie, dziękuję. Ale proszę sobie nalać, jeśli ma pan ochotę.

- Tak, chętnie łyknę jeszcze kropelkę. - Mack otworzył szufladę i odkorkował wyjętą z niej butelkę. Otis bębnił palcami w kolano, wystukując jakiegoś marsza.

- Nie zawsze piję o tej porze - wyjaśnił Mack. - Tylko wtedy, kiedy czuję się tak parszywie jak dzisiaj.

Zupełnie pozbawiony poczucia humoru Otis nawet się nie uśmiechnął.

- Został pan ranny podczas katastrofy w Tehachapi. Mam nadzieję, że już pan wyzdrowiał.

- Musiałem. Czekala na mnie praca - odparł Mack, unosząc pełną szklanę.

- Panie Chance, jeśli jest to niewłaściwy moment... - Machnięciem ręki Mack zapewnił go, że nic podobnego. Przy tej okazji ze szklanki wychlapało się kilka kropel alkoholu i spadło na leżące na biurku papiery. Na twarzy Otisa odmalował się jeszcze większy niesmak. - Przyjechałem tu, ponieważ zrobił pan duże wrażenie na przedsiębiorcach z Los Angeles. Jest pan jednym z największych biznesmenów naszego regionu. Poza tym wyczytałem w ukazującym się w San Francisco szmatławcu pana Hearsta, że w Tehachapi zachował się pan naprawdę bohatersko, pomimo iż nie jest pan zwolennikiem kolei.

- Podobnie jak prawie wszyscy w Kalifornii. SP jest monopolistą. Nie podoba mi się to.

- Wiem. To właśnie z tej przyczyny tu przyjechałem. Żeby prosić pana o wsparcie - tak osobiste, jak i finansowe - naszej nieustającej wojny przeciwko machinacjom kolei związanych z portem Santa Monica. Chciałbym, aby przyczynił się pan do rozwoju Los Angeles i do uwolnienia Południowej Kalifornii od parszywej zarazy komunistycznych związków zawodowych.

Mack odstawił szklanę. Jego oczy patrzyły przytomnie, a głos brzmiał trzeźwo.

- Nie jestem przeciwnikiem związków zawodowych. Przedsiębiorcy i robotnicy powinni wspierać się nawzajem, a nie wykorzystywać się. Dzięki temu jedni i drudzy mogliby bez przeszkód zarabiać pieniądze.

Otis zeszytniał tak, jakby Mack rzucił mu w twarz rękawicę.

- To są sentymentalne mrzonki. Proszę popatrzeć na bunty i zamieszki, jakie wybuchały w zeszłym roku podczas strajku u Pullmana. Sługusy Gene Debsa oddały Sacramento we władanie motłochu. Gubernator Pardee musiał wysłać parowcami w górę rzeki regimenty straży obywatelskiej, by zapobiec anarchii, rozbojom i masowym morderstwom.

- Niech pan da spokój, pułkowniku. Nie było aż tak źle. - Mack musiał jednak przyznać w duchu, że nie było też dobrze: strajkujący wysadzili w powietrze most kolejowy, w wyniku czego do rzeki spadł pociąg, zabijając inżyniera i czterech żołnierzy.

- Nie było źle? Ależ to był koszmar. Bunt przeciwko obowiązującemu prawu i wolnemu rynkowi. Każdy człowiek, który zatrudnia członków związków zawodowych, pertraktuje z tymi związkami lub choćby z nimi sympatyzuje, tak jak pan, jest wrogiem przyzwoitych obywateli Los Angeles.

Mack był już na tyle pijany, by zapomnieć, jak wielkimi wpływami cieszy się jego gość. Przechylił się nad biurkiem, uderzając w nie pięścią.

- Mam przyjaciela, pułkowniku. Nazywa się Marquez. Diego Marquez. To pański wróg, prawda?

Otis popatrzył na niego tak, jakby zobaczył przed sobą diabła.

- Chodzi panu o tego księdza? Tego wściekłego psa na usługach socjalistów?

Ten człowiek złamał swoje święte ślubowania, zdradził swój Kościół... samego Wszechmogącego. Parę lat temu

próbował zabarykadować się w redakcji „Timesa”, ale ja... - Otisowi nagle zabrakło tchu. - Zaraz! To właśnie tam pana widziałem. Razem z Marquezem.

- Doskonale, pułkowniku - powiedział Mack, unosząc szklanekę i wypijając jej zawartość do dna, jakby spełniał toast.

Otis zerwał się z miejsca.

- Wyjaśnię naszym przedsiębiorcom, jaki pan jest naprawdę - oświadczył.

- Zanim porzucimy temat Marqueza, może powie mi pan, kto spalił jego ranczo, kiedy poparł strajk drukarzy? Pańscy przyjaciele?

Otis zamierzył się laską.

- Nie próbowałbym tego, pułkowniku.

Drżąc z gniewu, Otis opuścił laskę.

- Wycofuję moje wcześniejsze zaproszenie, panie Chance.

- A ja oświadczam, że wyczerpał pan już moją cierpliwość. Proszę się stąd wynosić.

- Bardzo dobrze! Wspaniale!

Otis szybkim krokiem opuścił biuro. Chwilę później do uszu Macka dobiegł turkot odjeżdżającego powozu. „Świetnie - pomyślał Mack. - Teraz mam wrogów także w Los Angeles.” Pograżony w niewesołych myślach nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky.

Tego popołudnia zerwał się gorący, wilgotny, wschodni wiatr. Wieczorem niebo było tak czerwone jak rozpalone pręty rusztu. Mack siedział na ganku, u jego stóp stała świeża butelka whisky. Nie mógł przestać myśleć o tym, że Nellie go porzuciła. Nic się dla niego teraz nie liczyło.

Okoloł w pół do ósmej pojawił się Johnson. Niechętnym spojrzeniem obrzucił Macka i butelkę, po czym wspiał się na schody werandy. Wiatr przyginał do ziemi rosnącą nie opodal wysoką kępę chwastów.

- Santan - powiedział Johnson.

Mack opróżnił szklanę. Targał nim jakiś niepokój, czuł się zdenerwowany i zniecierpliwiony. Santan był wiatrem morderstwa i szaleństwa, kiedy wiał, ludzie tracili panowanie nad sobą.

- Nie czuję, byś przygotował kolację - powiedział Johnson, pociągając nosem.

- Obsłuż się sam. - Mack odstawił pustą szklanę i popatrzył na drogę. Johnson chwycił go za ramię.

- Dokąd się wybierasz? Mack odepchnął dłoń przyjaciela.

- Tam, gdzie moje miejsce.

Rozdział 33.

Koń Macka zatrzymał się gwałtownie. Kiedy Mack ściągnął cugle, wierzchowiec stanął dęba i niewiele brakowało, by zrzucił jeźdźca. Po kilku wierzgnięciach zaczął jednak iść spokojnie, kierując się zakurzoną drogą ku przekrzywionej tablicy z napisem HELLMAN.

Pomiędzy zabudowaniami unosiły się tumany pyłu. Z jednego z budynków wybiegł vaquero, przytrzymując obiema dłońmi swoje sombrero. Wiatr wyrywał z dachu stodoły wiązki słomy, które wirowały w powietrzu i ulatywały w dal. Przerażone konie parskwały, kopiąc w żłoby, nic nie robiąc sobie z przekleństw stajennych.

Znalazłszy się na podwórzu, Mack zeskoczył z konia. Wiatr rozwiewał połę jego płaszcza, targał włosy i wsypywał piasek w mankiety spodni. Nie zawracał sobie głowy uwiązaniem konia: ogier był zbyt przerażony, by gdziekolwiek uciec. Dwukrotnie uderzył w drzwi kołatką, po czym nacisnął klamkę.

- Carla?

Przeszedł przez podwójne drzwi, zostawiając jedno ich skrzydło otwarte. Porywisty wiatr wdarł się w głąb wysokiego mrocznego holu, szarpiąc wiszącymi kotarami tak silnie, że huczały jak wystrzały karabinowe.

- Carlo, gdzie jesteś?

Wszedł po trzech schodkach do ogromnego salonu. Prawie całą ścianę zajmował tu olbrzymi kominek, pozostałe trzy zawieszono kolorowymi, dekoracyjnymi tkaninami. Ciemne, lakierowane fotele stały wzdłuż ścian jak żołnierze w ordynku. Na wielkiej otomanie przed kominkiem rozłożono skórzane poduszki. Wszystkie okiennice w domu były zamknięte z obawy przed burzą.

W drzwiach po drugiej stronie holu ukazała się nagle Indianka, która na widok Macka pośpiesznie uciekła. Mack z hałasem przesunął jeden ze stojących pod ścianą foteli.

- Carlo, odezwij się!

- Nie oczekiwałam cię, mój drogi - powiedziała uśmiechnięta Carla, ukazując się w drzwiach obok wygasłego kominka.

- A więc zrobiłem ci niespodziankę. Masz coś do picia?

- Sądząc po twoim głosie, wypileś już dziś niemało.

- Czy to oznacza, że nie cieszysz się z mojego przyjazdu?

Podeszła do niego bliżej, zagryzając wargi. Choć nie używała szminki, jej usta zawsze były czerwone.

- Tego nie powiedziałam.

Mack usiadł na poduszkach przed kominkiem. Carla miała na sobie szlafrok z białego jedwabiu, spod którego wyzierał różowy, brokatowy gorset obszyty koronką. Jej jasne włosy swobodnie opadały na ramiona.

- Rozebrałam się właśnie, by wziąć kąpiel - powiedziała, wskazując jedwabny strój. - Nie spodziewałam się gości.

- Wyglądasz wspaniale. Równie ponętnie jak dziwka, która żąda za usługę całe pięćdziesiąt centów.

- Mój Boże, naprawdę jesteś pijany - powiedziała rozbawiona. - Ale nie gniewam się na ciebie. W końcu znalazłeś się tam, gdzie od dawna chciałam cię widzieć.

- Twoja indiańska służąca... - Mack wskazał ręką na drzwi w holu.

- Zajmę się nią. Czego byś się napił?

- Szampana.

- Mam. „Dom Perignon”. Całą piwnicę. Mam go tyle, że wystarczy nam na całą noc.

Wróciła wkrótce, niosąc butelkę szampana i dwa kryształowe puchary.

- Wysłałam Inez do jej pokoju. Jest szczęśliwa, że może zamknąć się w nim na całą noc. Ten wiatr ją przeraża. Czy możesz otworzyć butelkę?

Mack wziął szampana z jej rąk i przez chwilę mocował się z korkiem, nie udało mu się jednak go wyjąć. Zniechęcony podszedł do kominka i obtłukł szyjkę butelki o jego gzyms. Szampan wytrysnął w górę zalewając podłogę.

- Widzę, że znalazłeś sposób, żeby go otworzyć - powiedziała Carla, podsuwając kryształowe puchary.

Mack napełnił je szampanem, po czym duszkiem, zanim Carla przełknęła łyk, wypił do dna. Zachwiał się na nogach.

Carla dotknęła językiem krawędzi swego pucharu. Mack prześlizgnął się wzrokiem po uwypuklonych przez gorset krągłościach jej ciała.

- Łatwo odgadnąć, co ci chodzi po głowie.

- Nie podoba ci się?

- A czy powiedziałam coś takiego?

Mack rzucił swój puchar w głąb kominka i przytulił Carle do siebie. Przesunął ręką po jej przesłoniętych koronką piersiach.

- O, mój Boże - powiedziała Carla głosem, w którym brzmiał zarówno lęk, jak i podniecenie. Rozchyliła usta poddając się namiętym, niecierpliwym pocałunkom Macka.

Szalejący na zewnątrz santan gwałtownie łomotał czerwonymi dachówkami. Miało się wrażenie, że cały czas ktoś puka do drzwi domu. Jakaś przerażona wyciem wichury klacz zerwała się z uwięzi w stajni. Rżąc i parskając przebiegła przez podwórze, ginąc w ciemnościach.

Carla rozebrała się szybko i opadła na olbrzymie łóżko. W jej buduarze było ciemno, zza okien dobiegało skrzypienie szarpanych wiatrem zamkniętych okiennic. Mack leżał obok niej pozwalając, by nim kierowała. Wiatr szaleńczo wył za

oknami, ich zaś ogarniało szaleństwo pożądania. Carla niecierpliwie przyciągnęła Macka do siebie.

Obudziła się w środku nocy. Otworzyła oczy i natychmiast zamknęła je na powrót, oślepiąca migotliwym światłem stojącej na małym stoliku świecy. Obok niej piętrzył się stos książek. Mack także otworzył oczy. Był już teraz zupełnie trzeźwy. Okrywające ich prześcieradła były zmięte i pogniecione. Na jego lewym ramieniu Carla zobaczyła ślad swoich zębów i uśmiechnęła się.

Wiatr wył nadal. Carla poruszyła się i przetarła oczy. Jej różowe ciało zaśniło w świetle świecy.

- Która godzina, ukochany?

- Prawie północ. - Mack przechylił się i wyciągnął spod łóżka kolejną butelkę szampana. Była jeszcze zamknięta. - Nadal masz na mnie ochotę?

Parsknęła jak małe zwierzątko, dając mu do zrozumienia, że jest to oczywiste.

- No cóż, mnie także nie wystarczyło to na długo - stwierdził. Odgarnęła z czoła złote loki. Z uśmiechem wyjęła otwartą już butelkę z jego rąk.

Przez chwilę piła z niej chciwie, po czym oblała szampanem swoje sutki i kępkę złotawych włosów na łonie.

Mack zabrał jej butelkę i próbował postawić ją obok łóżka. Po chwili na wycie wiatru nałożył się bulgot wylewającego się spienionego szampana i jeszcze głośniejsze skrzypienie kołyszącego się łóżka.

Płomyk zapalki rozbłysnął w ciemnościach. Mack zapalił zgaszony przez podmuch powietrza ogarek świecy. Carla obudziła się po chwili, mamrocząc coś pełnym skargi głosem. Mack wstał z łóżka i po chwili wrócił z nową butelką szampana. Otworzył ją, podał Carli, po czym napił się sam. Dziewczyna ujęła szyjkę butelki, zmysłowo pieszcząc ją

palcami. Mack roześmiał się. Znowu ogarniał go płomień pożądania.

- Jesteś nienasycony. - Przesunęła dłonią po jego skórze. W ciemności jakiś koń rżał ze strachu kopiąc w żłób. Wiatr nie ustawał...

Mack obudził się z takim uczuciem, jakby miał w ustach kłęb waty. Pachniał szampanem i potem.

Carla spała jeszcze. Dotknął jej piersi. Były chłodne, najdelikatniej więc, jak tylko mógł, przykrył ją prześcieradłem. Przez szpary w okiennicach sączyło się szarawe światło.

W sypialni panował okropny bałagan. Podłogę zaścielały kawałki potłuczonego szkła, z łóżka opadała zmięta, przepocona pościel, a część mebli leżała przewrócona. Wszystko to razem robiło wrażenie pobojuwiska. Piękne, stare hiszpańskie krzesło z miękkim skórzanym siedzeniem leżało w nogach łóżka. Mack jak przez mgłę przypominał sobie, że raz kochali się z Carlą właśnie na tym krześle.

Ostrożnie stanął na chłodnej podłodze i poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Wszędzie po pokoju walały się puste zielone butelki. Mack znalazł jedną, w której pozostało jeszcze trochę szampana, i wypił go.

Ostrożnie, by nie nadepnąć na potłuczone szkło, podszedł do najbliższego okna i uchylił okiennicę. Światło sprawiło, że jęcząc z bólu, pośpiesznie przymknął oczy. Carla poruszyła się w łóżku. Jej błękitne oczy miały teraz dziwny, koci wyraz. Cała była posiniaczona od pocałunków i uścisków.

- Już rano - powiedział Mack, wskazując okno.

- Nie... to już wieczór.

- Co? Jesteś pewna?

- Obudziłam się na chwilę dziś rano. Spędziliśmy tu niemal cały dzień. Jest piąta albo szósta po południu.

Usiadła, składając ręce na piersiach, jakby pozowała malarzowi do kobiecego aktu. Miała pełne, złote uda, krągłe ramiona i ciężkie, duże piersi, którym groziło, że za kilka lat staną się obwisłe. Była ideałem kobiecości: duża i macierzyńska jak Lillian Russell. A przecież cały świat kochał Lillian Russell...

Carla podciągnęła nogi pod brodę.

- Nigdy nie kochałam się w ten sposób, nigdy.

- Ja również.

Mack chodził po pokoju tak długo, póki nie znalazł pełnej butelki szampana. Odkorkował ją i zdmuchnąwszy wypływającą z niej pianę, podał Carli.

- Nie, nie mogę już więcej. Ty jesteś wszystkim, czego pragnę. Chciałabym, żebyśmy byli razem, na zawsze. - Jej błękitne oczy stały się nagle jeszcze większe. Utkwiła w nim napięte spojrzenie. - Ożeń się ze mną.

Mack milczał zaskoczony. Światło za okiennicami poczyniło już blednąć. Wiatr ucichł.

- Czy słyszałeś, co powiedziałam, Mack?

Pomyślał o Nellie. Ale przecież ona odeszła. Z trudem przełknął ślinę, po czym zbliżył butelkę do ust i pociągnął z niej solidny łyk.

- Odpowiedz mi przynajmniej - powiedziała Carla, patrząc na niego dziwnie łagodnie i nieśmiało.

- Zgoda. Mężczyzna musi mieć żonę. A każdy byłby dumny, mając za żonę taką kobietę jak ty. Wybuduję dla nas piękny, nowy dom w Riverside...

Na jej twarzy zagościł wyraz triumfu. Radosne iskierki zalśniły w jej oczach.

- Nigdy nie sądziłam, że się zgodzisz. Nie śmiałam nawet marzyć, że dostanę w końcu to, czego pragnęłam najbardziej na świecie. Chodź tutaj, przytul mnie... Wyciągnęła przed siebie ramiona. Mack odstawił butelkę i podszedł do łóżka.

Nadepnął bosą stopą na jedną z rozrzuconych na podłodze gazet i odruchowo popatrzył w dół. Jego wzrok przyciągnął umieszczony ponad trzyszpaltowym artykułem nagłówek: „Tragedia w Tehachapi! Zaniedbania Southern Pacific pociągnęły za sobą nowe ofiary! Najświeższe informacje od naszych specjalnych korespondentów pana Bierce'a i panny Sweet!"

„Zapomnij o niej. Ona odeszła” - powtarzał w myślach jak jakieś zaklęcie.

- Mack, kochanie, co ci jest?

- Nic - odparł, klękając na brzegu łóżka i przytulając Carlę do siebie. Jej wilgotne usta mocno przywarły do jego warg.

- Jeszcze raz, kochanie, dobrze? By uczcić nasze zaręczyny - powiedział i dodał w myśli: „Nellie, czemu to nie jesteś ty?"

- Mack, mój drogi, czy wszystko w porządku?

Carla przymknęła oczy, przeciągając się jak kotka. Ciało Macka, choć zmęczone, natychmiast zareagowało na ten rozkoszny widok. Kiedy jednak Carla rozchyliła nogi, czekając aż w nią wejdzie, opanowało go gwałtowne uczucie klęski.

30 lipca 1895 roku James Macklin Chance poślubił Carlę Marię Hellman podczas cywilnej ceremonii w Los Angeles. Hugh Johnson był drużbą swego przyjaciela i współnika. Teksaszczyk odnosił się do panny młodej grzecznie, acz z rezerwą.

Drugi co do wielkości posiadacz ziemski w całym stanie dał narzeczonej swoje błogosławieństwo. Później, w hotelowym salonie, powiedział do Macka:

- Przyjmij moją radę, Johnny. Tym razem naprawdę lepiej, byś mnie posłuchał. Trzymaj się o sto mil od swojej żony wtedy, kiedy jest pijana. Za młodo zaczęła To moja

wina, pozwalałem jej na to. Byłem zbyt zajęty, by dostrzec, co się dzieje. Kiedy wypije za dużo, wstępuje w nią diabeł.

- Nie tylko w nią - odparł Mack z dziwnym uśmiechem. - Uniósł do góry kieliszek szampana i wznosił toast na cześć swego teścia.

Księga V
DŻENTELMENI Z RIVERSIDE
1895

-

1899

Pomarańcze zostały pobłogosławione jako cenne i mistyczne dziedzictwo jeszcze na długo przed tym, zanim trafiły do Kalifornii. Legendy mówiły, że już u zarania cywilizacji rosły bujnie w ogrodach. Ktoś nazwał je złotymi jabłkami Hesperyd: złotymi jabłkami słońca.

Arabscy książęta cenili pomarańcze. Starożytni Rzymianie wysysali z nich sok na ucztach, średniowieczni Hiszpanie sadzili i pielęgnowali pomarańczowe drzewa. Kolumb, podczas swej drugiej podróży, zawiózł te owoce do Nowego Świata, a konkwistadorzy upowszechnili je na całym kontynencie. W 1750 roku większość chrześcijańskich zakonników w Kalifornii hodowała pomarańcze na należących do Kościoła ziemiach.

W początkowym okresie kalifornijskie pomarańcze miały grubą skórę, były kwaśne i pełne pestek. Ich zalety nie zostałyby dostrzeżone, gdyby nie spoczęło na nich oko przedsiębiorczych przybyszów. Sam owoc musiał się jednak zmienić.

W 1841 roku były traper z Kentucky, William Wolfskill, zasadził dwa akry słodkich śródziemnomorskich pomarańczy między Central Avenue a East Fifth Street w Los Angeles. Choć sąsiedzi kpili z jego rolniczych pomysłów, Wolfskill stopniowo powiększył plantację do siedmiu akrów i w 1870 roku zaczął osiągać zyski około tysiąca dolarów z akra. To wystarczyło, by zachęcić innych farmerów. Zaczęły powstawać nowe gaje pomarańczowe, a także nowe odmiany owoców, bardziej odpowiadające powszechnym gustom.

Prawdziwy rozkwit uprawy przypadł na rok 1873. Tego roku za pośrednictwem federalnego Departamentu Rolnictwa przybyły do Kalifornii sadzonki słodkich, bezpestkowych pomarańczy z Brazylii. Zakupiło je pewne małżeństwo z Riverside: Luther i Eliza Tibbets. Jak większość Kalifornijczyków, także Tibbetsowie zaczęli życie gdzie

indziej, odnaleźli jednak swe miejsce na ziemi na wybrzeżu Pacyfiku. Po jakimś czasie wszyscy chcieli już tylko odmiany „Washington navel” i Luther Tibbets mógł żądać pięciu dolarów za buszel.

W 1876 roku, w stulecie powstania Ameryki, z Hiszpanii przywieziono pomarańcze „Valencia”. Owoce te dojrzewały w lecie, podczas gdy odmiana „Washington navel” - zimą.

Teraz był już tylko potrzebny całoroczny rynek zbytu i stary Wolfskill postanowił go utworzyć. W 1877 roku załadował wóz pomarańczami i zawiózł je do St. Louis. Wóz był w drodze przez miesiąc. Kiedy zajechał na miejsce, mieszkańcy Środkowego Zachodu zgromadzili się przy nim, podziwiając to, co przywiózł: jaśniejące słońcem owoce z wiecznie zielonych drzew, rosnących w kraju, gdzie nigdy nie pada śnieg. Nawet po miesiącu pomarańcze wciąż nadawały się do jedzenia, były świeże i pachnące.

Stare, kwaśne odmiany także ulegały ulepszeniu i gaje pomarańczowe stawały się coraz liczniejsze. Okręg Riverside Redlands okazał się idealnym terenem do uprawy „Washington navel”, podczas gdy „Valencia” najlepiej udawała się w innych częściach Pomarańczowego Hrabstwa. Południowa Kalifornia okazała się także nad wyraz gościnną dla jasnożółtych cytryn z Sycylii i Hiszpanii, które szczególnie dobrze rosły w hrabstwach Santa Barbara, Ventura i San Diego.

W 1887 pierwsze kalifornijskie pomarańcze pojawiły się w Nowym Jorku, dokąd przybyły w wentylowanych wagonach kolejowych, a w 1889 roku istniały już wagony chłodnicze. Przeklinana przez tak wielu kolej żelazna szybko przekształciła przemysł lokalny w ogólnonarodowy. W 1890 roku w Południowej Kalifornii rosło ponad milion drzew pomarańczowych. W pięć lat później było ich już co najmniej trzy lub cztery miliony i turyści jeździli specjalnym pociągiem

na wycieczki do Riverside Redlands, by podziwiać i fotografować tamtejsze gaje.

Dżentelmeni, którym nigdy nie zamarzyłoby się posiadanie świń czy pól ziemniaków, uważali pielęgnowanie gajów pomarańczowych za nadzwyczaj szlachetne zajęcie. Budowali szerokie drogi i stawiali wielkie domy, dając początek tradycji, którą najlepiej oddaje następujące hasło: „Pomarańcze dla zdrowia, Kalifornia dla bogactwa”.

Rozdział 34.

Na szczycie wzgórza pewien dżentelmen - sadownik zbudował liczącą sobie dwadzieścia sześć tysięcy stóp kwadratowych posiadłość.

Jego dom był mieszaniną stylu toskańskiej willi oraz kalifornijskiego dworu i został zaprojektowany jesienią 1895 roku przez mieszczącą się w San Francisco firmę Arthura Page'a Browna. Brown był duchownym i urzędnikiem w Mission Revival. Szukał inspiracji dla neofranciszkańskiego stylu w swych kalifornijskich korzeniach. Jeszcze doskonalszą i bardziej znaną realizacją tego stylu był California State Building, wchodzący w skład World's Columbian Exposition w Chicago. Następną miała się stać nowa Southern Pacific Ferry Terminal w San Francisco. Charles Lummis, redaktor „Land of Sunshine”, gorąco propagował ten styl. SP projektowała dla swoich lokalnych biur wiele wspaniałych budowli, zaś indywidualni właściciele domów zaczęli również ulegać tej modzie. Mack z entuzjazmem się do nich przyłączył.

Z trzydziestoósmiopokojowego domu roztaczał się wspaniały widok na najwyższy w mieście Mount Rubidoux, Santa Ana oraz równinne ziemie, na których zasadzono gaj cytrynowy i odporniejszą na mrozy odmianę pomarańczy „Valencia”. Sypialnia Macka i Carli liczyła sobie czterdzieści na sześćdziesiąt stóp, zaś gabinet pana domu, wraz z miejscem przeznaczonym na książki, o dwadzieścia stóp więcej w każdym wymiarze.

Brązowy kamień doskonale harmonizował z drewnianymi belkami oraz krytym dachówką czerwonym dachem. „Nawet w pochmurne zimowe dni dom będzie wydawał się słoneczny” - obiecał architekt. Urządzono go z pewną rozrzutnością. Mack nalegał na solidne kamienne łuki, nie chciał wydrążonych w środku, z gipsu i desek. Za dalsze dwadzieścia

dwa tysiące dolarów zażądał doprowadzenia na wzgórze elektryczności. Architekci sprowadzili też z Meksyku i Włoch ozdobne listwy do wnętrza domu - Mack nie chciał bowiem produkowanych w Los Angeles imitacji - sprzeciwili się natomiast jego żądaniu dobudowania na zewnątrz tylnych schodów. Ich zdaniem psułoby to linię całej budowli i zakłóciło jej harmonię. Mack uważał jednak, że ludzie majątni i wpływowi nie mogą mieszkać w domu, w którym nie ma tylnych zewnętrznych schodów. Tak więc dobudowano je, choć bardzo pokpiwano z Macka za jego plecami.

Żelazna brama, podobna do tej w San Solaro, zapraszała na podjazd długości trzech czwartych mili. Nad bramą, podobnie jak nad drzwiami domu, Mack umieścił inicjały JMC. Nie uważał, że jest próżny czy głupi, pomimo że Hellburner Johnson uznał ten pomysł za jeszcze jeden dowód złego gustu.

- Czasami jesteś zbyt szczery, H.B.
- Jeśli ci się to nie podoba, mogę w każdej chwili odejść.
- Zrobisz to, kiedy tylko będziesz gotów.
- To prawda! Odczep się więc ode mnie, dobrze?

W bestsellerze Charlesa Dudleya Warnera na temat Kalifornii Mack przeczytał: „Oto mamy nasz własny okręg śródziemnomorski. Położony nad błękitnym oceanem i chroniony od północy ścianą granitu... Mamy naszą własną Italię.”

Wzruszony tym porównaniem zdecydował się nazwać swój nowy dom Villa Mediterranean (Mediterranean (ang.) - śródziemnomorski.). Nie zapytał o zdanie Carli ani nikogo innego, po prostu powiadomił wszystkich o tym, jako o najwspanialszym wydarzeniu. Postanowił, że teraz będzie odpowiadał wyłącznie za własne błędy.

Rezydencja była wielkim ambitnym przedsięwzięciem i prace nad nią posuwały się powoli. Miała zostać ukończona

jesienią 1896 roku. Mack i Carla mieszkali tymczasem w tandetnie ozdobionym zameczku na końcu Magnolia Avenue, najbardziej eleganckiej ulicy w Riverside.

Mack wypijał codziennie do kolacji odrobinę kalifornijskiego wina. Od dnia, gdy oświadczył się Carli, nie brał do ust nic mocniejszego.

Po miodowym miesiącu na Hawajach był to dla nich szczęśliwy okres. Carla była pełna energii w łóżku i zadowolona z życia poza nim. Bardzo często się śmiała. Poza nachodzącymi go od czasu do czasu i budzącymi wyrzuty sumienia wspomnieniami o Nellie, Mack nie miał powodów, aby żałować swego małżeństwa.

Bardzo interesowała go sprawa równoległych torów kolejowych. Spieranie się o to ze wszystkimi dookoła pochłaniało mnóstwo energii i godzin pracy, ale nie zmienił jednak zdania.

Znów przewodnik zajął honorowe miejsce na jego biurku. Wierzył teraz w jego obietnice jeszcze silniej niż niegdyś i czuł, że z każdą minutą, z każdym nowym przedsięwzięciem coraz bardziej wciela w życie swoje marzenia, te same, które przywiodły go do Kalifornii. Odkrył, że ma do zrealizowania znacznie więcej niż pierwotnie sądził. Gdy tylko zaspokoił jedno pragnienie, osiągnął jeden cel, natychmiast zaczynał marzyć o czymś innym. Oddanie i życzliwość Carli dodawały jego życiu jeszcze wspanialszego posmaku.

Mack nigdy nie rozstał się z myślą o powrocie do San Francisco i uważnie śledził polityczną sytuację w całym stanie.

W mieście uformował się silny antykolejowy sojusz. Claus Spreckels, potentat cukrowy, połączył swe siły z Adolphem Sutro, członkiem partii ludowej, który w 1894 roku został wybrany burmistrzem, otrzymując mandat z rąk przeciwników SP. Obaj stali na czele grupy planującej

stworzenie nowych kolei: San Francisco & San Joaquin. Miała być to tak zwana „kolej ludowa”, nie pozostająca pod kontrolą Huntingtona i jego popleczników. Jej budowa zaczęła się w 1895 roku w Stockton i Mack wykupił w niej udziały za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Na równinie zakupił cztery i pół tysiąca akrów ziemi i posadził na nich drzewka pomarańczy „Valencia”. Ponieważ miał również dojrzewające zimą „Washington navel”, było co robić przez cały rok. Potrzebował dwóch grup pracowników: jednej do pracy na plantacji i drugiej do czyszczenia, mycia, sortowania i pakowania pomarańczy.

W tej właśnie sprawie pod koniec 1895 roku w jego biurze złożył wizytę pewien meksykański dżentelmen. Na biurku Macka leżała deseczka ze skrzynki, w jakie pakowano pomarańcze. Widniał na niej napis:

WASHINGTON NAVELS
CHANCE ORCHARDS
RIVERSIDE, CAL.

Mack uważał, że za mało rzuca się to w oczy i próbował wymyślić coś lepszego. Szkice i rysunki ozdobionego zawijasami nazwiska Macka pokrywały wielki karton leżący pod deseczką.

Rozmówca Macka był szczupły, mocno opalony i obłudny. Przedstawił się jako Alfonso Vicente Blas.

- Es un gran honor conocerlo - powiedział.

- Igualmente - odparł Mack, którego hiszpański bardzo się do tego czasu poprawił.

Blas usiadł bez zaproszenia i założył nogę na nogę - nosił biały garnitur, który miał zapewne świadczyć o tym, jak ważną personą jest jego właściciel - po czym poinformował Macka, że może zwracać się do niego „Fonso”.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał Mack.

- Słyszałem, że potrzebuje pan ludzi do pracy na swoich plantacjach.

- Tak. Zatrudniam już kilku, ale potrzebuję ich znacznie więcej.

- A więc ja będę pańskim padron - oświadczył Blas z nadzwyczajną radością w głosie. - Comprador. Znajdę panu tylu ludzi do pracy, ilu tylko trzeba.

- Sam zajmuję się najmowaniem ludzi, señor Blas.

- Nie, nie. Proszę mi mówić „Fonso” - jego uśmiech stał się odrobinę chłodniejszy. - Powinien pan ze mną zrobić interes. Jeden kontrakt i po kłopotach.

- Czemu miałbym spodziewać się jakichś kłopotów?

- Zatrudnia pan niewłaściwych ludzi. To wróży nieszczęście.

Mack sporo słyszał o takich pośrednikach. Żądali od plantatorów wysokich stawek, robotnikom płacili jednak bardzo mało, a różnicę zatrzymywali dla siebie.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że ktoś sprowadzi na mnie to nieszczęście?

- W 1893 roku wybuchły tu, jak pan wie, zamieszki, spowodowane niezadowoleniem robotników. Teraz mamy do pracy Meksykanów. To dużo lepiej. Poza sezonem wracają do domu w Meksyku i nie ma z nimi żadnych problemów.

- Ja nigdy nie miewam problemów z niczym, poza brakiem czasu, który właśnie przez pana tracę. Wybacz mi pan - powiedział wstając. Blas wyprostował nogi. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, ale teraz stał się jakiś inny, złowroźbny.

- To głupota z pańskiej strony. Jestem naprawdę ważną osobistością.

- Proszę opuścić mój dom - odparł Mack.

Aby znaleźć potrzebnych mu do pracy robotników Mack osobiście udał się do małej chińskiej dzielnicy w Riverside. Blas napomknął o zamieszkach w 1893 roku, kiedy biali

ludzie usunęli Chińczyków z większości plantacji. Chińczycy z Riverside byli jednak gotowi wrócić do pracy w gajach pomarańczowych, szczególnie gdy usłyszeli, jakie zarobki proponuje im Mack.

Johnson zgodził się zostać u niego tymczasowym zarządcą. Obaj z Mackiem uczyli się, jak prowadzić ten interes. Ku swemu zaskoczeniu Johnson odkrył, że uprawa cytrusów bardzo mu się podoba. Była to ciężka praca, ale wykonywało się ją na świeżym powietrzu, a „Valencia” i „Washington navel” były prawdziwą arystokracją rolniczego świata. Gdyby było inaczej, czemu tak wielu turystów przyjeżdżałoby z Santa Fe do Riverside, żeby zobaczyć gaje?

Po sześciu miesiącach małżeństwa pomiędzy Mackiem i Carlą zaczęło się coś psuć. Kochali się rzadziej, a jej podziw dla męża jakby się zmniejszył. Nie uśmiechała się już tak często i łatwo wpadała w zły humor. Ciągłe narzekała, że Mack zbyt długo przebywa poza domem.

- Przecież sama chwaliłaś mnie i zachęcałaś do ciężkiej pracy - wybuchnął któregoś dnia.

- A ty zawsze serio traktowałaś to, co mówiłam, tak? - uśmiechnęła się krzywo, wychodząc z pokoju.

Słowo „nuda” zaczęło się coraz częściej pojawiać w jej ustach. Nie interesowało jej prowadzenie domu. Mack uznał, że dają o sobie znać jej dawne przyzwyczajenia. Służba musiała sama sobie radzić, postępując w myśl jego ogólnych zaleceń.

Pracował jeszcze dłużej, ona zaś zaczęła wyjeżdżać na zakupy, nie mówiąc mu, dokąd się wybiera, ani nie zostawiając żadnej kartki z wyjaśnieniem. Od służby dowiedział się też, że coraz częściej zaglądała do kieliszka.

Kiedy jedli razem obiad, milczała, nie patrząc na niego, nieraz wręcz otwarcie okazując zły humor, w odpowiedzi na co Mack zaczął specjalnie szukać zajęć, które pozwoliłyby mu

jak najrzadziej przebywać z niezadowoloną żoną. Kiedy nie zajmował się plantacjami, spędzał całe godziny zamknięty w swym biurze, przeglądając sterty gazet i periodyków, szukając w nich informacji, które mogłyby okazać mu się przydatne. Wiedział, że to błędne koło: im więcej był poza domem, tym bardziej Carla nudziła się i piła, im częściej zaś tak się działo, tym chętniej on wyszukiwał sobie zajęcia z dala od domu. Niepokoiło go to, ale nie chciał z nikim na ten temat rozmawiać. Nawet z Johnsonem. Miał nadzieję, że jeśli nie przyjmie tego, co się dzieje, do wiadomości, wszystko się jakoś samo ułoży.

Dzięki Clive'owi Henleyowi oboje mieli otwartą drogę do najlepszego towarzystwa tej „brytyjskiej kolonii”, jak czasem nazywano Riverside. Przyjąwszy propozycję wstąpienia do Casa Blanca Tennis Club, Carla próbowała nauczyć się grać w tenisa, ale nie szło jej zbyt dobrze. Przeszkadzała jej w grze ta sama porywczność, która czyniła ją tak atrakcyjną dla mężczyzn. Szybko więc poddała się - wolała siedzieć w płóciennym pawilonie obok kortów, popijając wyśmienitą angielską herbatę, podawaną między meczami. Mack starał się nie pamiętać o powtarzanych po wielekroć przez jej ojca przestroгах, ale patrząc na swoje małżeństwo, musiał przyznać, że nie dawało mu ono szczęścia.

Clive Henley wprowadził Macka do Riverside Golf and Polo Club, gdzie wpisowe wynosiło dziesięć dolarów. Henley nauczył Macka i Johnsona zasad tej starej gry i był pod wrażeniem jeździeckich umiejętności byłego kowboja oraz jego wrodzonych zdolności do odbijania piłki.

Johnson stwierdził, że gra w polo podoba mu się tak bardzo jak uprawa pomarańczy. Był zdumiony, że polubił coś, co początkowo uważał za wyjątkowo głupi sport. Clive Henley powiedział, że na Long Island pewne drużyny dobrze płacą doświadczonym jeźdźcom.

- Słyszałem, że podobnie jest na północy, w klubie Burlingame - dodał.

Johnson rozmyślał nad tym przez parę dni, po czym zażądał małej pensji.

- Ależ mój drogi H.B. - odrzekł Henley. - My grywamy tylko między sobą. Dopiero w przyszłości mamy zamiar zmierzyć się z jakimś innym klubem. Prawdę mówiąc, niewiele ich tu jest w Kalifornii.

- To bez znaczenia. Jestem profesjonalistą. Nie będę jeździł konno za darmo. Udam się gdzie indziej. Jeden dolar miesięcznie.

Członkowie klubu śmiejąc się zgodzili się na tę niewielką sumę. Wkrótce zaczęli być nawet dumni z tego, że drużyna z Riverside ma w swoich szeregach rodowitego teksańskiego kowboja.

Stopniowo Mack nabył sześć koni do gry w polo - przynajmniej tyle potrzebował jeździec biorący udział w sześciu turach gry. Jeden z koni, Fireball, choć liczył sobie piętnaście lat, nie potrafił jeszcze pogodzić się ze swoim imieniem. Inny, Jubilee, stał się dumą Macka. Była to mała, mierząca zaledwie półtora metra klacz, szybka, silna i sprytna. Hodowca z Pasadeny zażądał za nią czterech i pół tysiąca dolarów, podczas gdy inne konie kosztowały zwykle około pięciuset.

Klub zgodził się zaopatrywać Johnsona w konie, ale on i tak kupił dwa na własność: Full O'Gina i szybkiego, narowistego, małego czarnego konika, którego nazwał Sam Houston.

Mack przyłączył się do Southern California Fruit Exchange - nie obliczonej na zyski organizacji, powstałej z przekształcenia się związku niezależnych agentów, którzy walczyli z nieuczciwymi cenami za pakowanie i transport cytryn i pomarańczy. Świadczyła ona usługi po kosztach

własnych i założyła swe biura w Los Angeles i Riverside. Ponieważ przewoziła duże ilości cytrusów, SP i Santa Fe dały jej poważne zniżki w opłatach. Plantatorzy, tacy jak Henley, nie czynili tajemnicy ze swego entuzjazmu dla kolei. Przewóz owoców na wschód gwałtownie rozszerzył rynek cytrusów: sadownicy z Kalifornii mogli konkurować z hodowcami z Florydy.

Mack wstąpił także do Riverside Horticultural Club i wspomógł kwotą kilkuset dolarów prowadzone przezeń badania nad najlepszym dla sadów klimatem.

Pomimo licznych zajęć zostawało mu jednak nieco czasu na życie towarzyskie i starał się zainteresować nim Carlę. Raz w tygodniu jadali obiad w Anchorage Hotel lub we Frank Miller's Glenwood Inn. Mack wykupił też karnet w Loring Opera House. Obejrzeni tam wystawianych przez wędrowną trupę Gondolierów - Gilbert i Sullivan byli wówczas idolami „brytyjskiej kolonii” - oraz spektakl Camille, gdzie główną rolę grała Helena Modrzejewska, polska aktorka, która zakochała się w Kalifornii i przez jakiś czas mieszkała w osadzie artystów w Anaheim. Kiedy James O'Neill przybył do miasta z wyreżyserowanym przez siebie przedstawieniem Hrabiego Monte Christo, Mack po spektaklu wydał na jego cześć przyjęcie w swoim domu. O'Neill zabawiał gości podniosłą recytacją Kruka Poego.

Co roku w marcu w Riverside u zbiegu ulic Main i Seventh odbywały się targi cytrusów. Na nich właśnie, w 1896 roku, Carla powiedziała Mackowi, że jest w ciąży.

Dokładnie pamiętał ten moment. Stał w szerokim przejściu pomiędzy stojakami, na których Clive Henley rozkładał swoje piękne „Eureki” i dojrzewające zimą cytryny „Lisbona”. Carla była podniecona do szaleństwa, całowała go i ścisnęła na oczach innych plantatorów.

Na początku trzeciego miesiąca ciąży poroniła.

- Och, Mack, jakże mi przykro - powiedziała, gdy tylko doktor pozwolił jej się z nim zobaczyć. - Wiem, jak bardzo czujesz się rozczarowany.

- A ty nie jesteś rozczarowana?

- Tak, owszem - odparła słabym głosem, który zabrzmiał nieco bardziej przekonywająco, kiedy ściskając jego dłoń, dodała: - Czuję się zraniona. Potwornie zraniona. To straszne.

„Być może w gruncie rzeczy wcale nie żałowała tego, co się stało - myślał Mack - i czuła z tego powodu wyrzuty sumienia.”

Doktor nalegał, by Carla przez piętnaście dni nie wstawała z łóżka. Hellman złożył im wizytę, by zobaczyć, jak miewa się córka, i tego wieczora po obiedzie powiedział do Macka:

- Słuchaj, mam pewne pytanie. Czy Carla kiedykolwiek mówiła ci coś o mnie? Mack milczał.

- Daj spokój, powiedz mi. To nie jest pytanie jakiejś wścibskiej plotkary. Jestem twoim teściem. Należę do rodziny. No więc?

- Owszem, mówiła. Powiedziała, że żałuje, iż jej nie kochasz. Uważa, że to z powodu jej matki... - przerwał, spuszczaając oczy.

- No, dalej, dalej - ponaglił go Hellman.

- Podobno jej matka była... niemoralna - wyrzucił z siebie jednym tchem Mack.

- Chciałeś powiedzieć, że była dziwką. „Dziwka” - tego właśnie słowa użyła, prawda?

Mack nie zaprzeczył.

- Mówiła, że uważasz, iż odziedziczyła ona po matce wiele skłonności. To znaczy, nie chciałem...

- Nic nie szkodzi - westchnął Hellman marszcząc brwi i tak bardzo zniżając głos, że Mack ledwie go słyszał. - Nie będę rozmawiał o matce Carli. Dla mnie ona po prostu nie

istnieje. Jeśli chcesz, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, nigdy nie podejmuj tego tematu.

- Na litość boską, sam zadałeś to pytanie.

- A więc tym razem wybaczam ci. Ale tylko tym razem. No, idę spać - Hellman wstał i udał się do swego pokoju.

Mack siedział jeszcze przez chwilę, rozmyślając o dziwnej reakcji teścia na wspomnienia o matce Carli. Hellman żywił wobec tej kobiety wrogie uczucia i przenosił je na córkę - a przynajmniej ona tak uważała. Nie rozumiał tego do końca, obiecał sobie jednak okazywać żonie jak najwięcej czułości i zainteresowania podczas jej rekonwalescencji.

Carla jednak zdawała się nie zwracać na to uwagi, jakby było jej to zupełnie obojętne. Kiedy wyzdrowiała, nie starała się nawet ukryć, co naprawdę myśli o Riverside.

- To miejsce zasługuje na pogardę - stwierdziła pewnego wieczora przy kolacji. Siedziała po drugiej stronie wielkiego stołu, trzymając w dłoni kieliszek wina. - Jest wstrętne, prowincjonalne i nudne jak kościół. Nawet Clive jest tylko zwykłym farmerem. Tak jak i wszyscy inni.

- I ja? - zapytał oschle Mack.

Spojrzała na niego i napiła się wina.

Mack poczerwieniał i odepchnął od siebie talerz.

- Setki razy dawałaś mi do zrozumienia, że byłabyś szczęśliwsza gdzie indziej. Ale co, u licha, mam zrobić? Wyjechać stąd?

- Nie, oczywiście, że nie, mój drogi - odparła ze słodkim uśmiechem. - Masz tu swoje interesy. Ale być może pewnego dnia to ja odejdę.

- Chryste, oszczędź mi tych czczych gróźb - odparł i wyszedł z jadalni. Młody geolog Haven Ogg wykonywał dla Chance - Johnson Oil świetną robotę. Pod jego zarządem majątek firmy rozrósł się znacznie i teraz w jego skład wchodziły sto dziewięćdziesiąt dwie mile rur, wielkie

magazynowe zbiorniki w Newhall, Santa Paula i Ventura, mała rafineria, trzy parowe tankowce, dziewięćdziesiąt cystern kolejowych i trzydzieści pięć sześciokonnych wozów do dostarczania ropy lokalnym odbiorcom. Chance - Johnson posiadała czynne szyby nie tylko w San Solaro, ale także w niedawno odkrytym Summerland, na południowy wschód od Santa Barbara, w Whittier, w Coalinga w hrabstwie Fresno oraz w Diablo Range. Wkrótce Ogg osobiście kierował już zespołem górników na wzgórzach koło Kern River, na wschodnim krańcu San Joaquin.

Mack z rosnącym zdumieniem czytał raporty o zyskach kompanii. W połowie 1896 roku mianował Havena Ogga generalnym dyrektorem swojej firmy, kilkakrotnie podnosząc mu wynagrodzenie, co pozwoliło młodemu geologowi ożenić się i wybudować dom w Newhall.

Gorączka ropy nadal zżerała Los Angeles. Zanieczyszczenia z ponad pięciuset szybów uczyniły miasto brzydkim, hałaśliwym i brudnym, ale dopóki przynosiło to ludziom zyski, nikt nie zwracał na takie rzeczy uwagi. Do osób, którym było to całkowicie obojętne, należała między innymi pani Emma Summers. Wierciła swoje szyby i handlowała ropą dawno zapomniawszy o tym, że niegdyś uczyła gry na pianinie. Nazywano ją Królową Ropy.

Rynek ropy naftowej ciągle się rozrastał. Gładki, czarny asfalt pokrywał coraz więcej ulic Los Angeles. Lyman Stewart przekonał SP, że ropa jest paliwem przyszłości, i wkrótce lokomotywy tej firmy zaczęły używać jej zamiast węgla i drewna. W rezultacie Mack mógł sprzedawać kolejom rafinowaną ropę. Czuł się jednak, jakby paktował z diabłem i rekompensował to sobie kupując więcej udziałów w „Kolejach Ludowych”.

Ropa naftowa była dla Macka ważna, ale prawdziwą namiętność stanowiły cytrusy. Spędzał całe godziny z biblią

plantatorów, książką profesora Wicksona z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, zatytułowaną Owoce Kalifornii i jak je uprawiać. Mack wertował ten podręcznik tak często, że niektóre stronice stały się zupełnie nieczytelne i musiał kupić sobie nowy egzemplarz.

Uczył się, jak przechowywać owoce i jak przewozić je w wagonach chłodniach, wraz ze swymi chińskimi pracownikami przemierzał plantację, podpierając nadłamane przez wiatr drzewka i uczył się, jak dostrzegać na nich ślady mszyc, które pod koniec lat sześćdziesiątych od czasu do czasu przybywały tu z Australii. Jajeczka tego szkodnika pokryły kiedyś wszystkie gaje śnieżnobiłą warstwą, powodującą żółknięcie liści, opadanie owoców, a co za tym idzie, całkowite zniszczenie zbiorów. Także w latach osiemdziesiątych owad ten groził załamaniem się całej uprawy pomarańczy. W 1889 roku Departament Rolnictwa wysłał do Australii pewnego naukowca, by na miejscu zbadał ten problem. Dokonał on sensacyjnego odkrycia, biedronka z gatunku *Vedalia cardinalis* chętnie zjadała owe mszyce. Importowane biedronki uratowały kalifornijskie cytrusy, choć szkodniki nie wyginęły całkowicie.

A potem przyszedł mróz.

Wysoko na zboczach wzgórz, w tak zwanym mrozoodpornym pasie pomarańcze powinny być bezpieczne. Mimo to Clive Henley i inni ostrzegali Macka, by trzymał w pogotowiu ogrzewanie. Kiedy nadchodził nocny przymrozek, nie było czasu, aby martwić się o urządzenia i opał. Mack kupił i zainstalował setki metalowych piecyków oraz sprowadził beczki z ropą Chance - Johnsona do ich opalania. Był to olbrzymi wydatek, ale żaden plantator nie mógł go uniknąć, jeśli nie chciał utracić wszystkich drzew.

Pewnego poranka, jeszcze przed świtem, Mack nie budząc Carli wymknął się z sypialni. Założył na siebie stare ubranie,

wsunął do kieszeni składany nóż i zwitek banknotów, po czym wyszedł z domu. Miał w kawiarni umówione spotkanie z kilkoma farmerami. Przejeżdżający przez miasto komiwojażer obiecał zademonstrować im działanie nowego modelu piecyka do ogrzewania sadów.

Wyszedłszy z domu, zatrzymał się na chwilę spoglądając na czerniejące w pierwszych promieniach słońca wieżyczki. Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu mieszkać w tak pięknym domu, nie mówiąc już o tym, który budował.

Wdychając chłodne, rześkie powietrze, szedł zastanawiając się nad swoim życiem, nad wszystkimi zdumiewającymi rzeczami, jakie działy się w nim od chwili, gdy tamtej pamiętnej nocy spotkał Doheny'ego. Myślał o tym wszystkim, co posiadał, a do czego doszedł dzięki uporowi i tamtemu przypadkowemu spotkaniu.

Ile był teraz wart? Posiadał San Solaro, firmę Chance - Johnson, handlował nieruchomościami, hodował cytrusy, inwestował w obligacje i udziały innych przedsiębiorstw... Nigdy nie zadał sobie trudu podliczenia tego wszystkiego. Był wart jakieś pięć i pół miliona, może kilkaset tysięcy mniej lub więcej. Ale jego majątek ciągle rósł, co rodziło kolejne pytanie: kiedy będzie miał dosyć? Pieniądze stanowiły miarę jego sukcesu. A więc ile będzie dość? To pytanie miał odtąd zadawać sobie przez resztę życia.

Nagle spostrzegł, że znalazł się już w pobliżu kawiarni, której okna lśniły żółtym światłem w mroku poranka. Z otwartych drzwi Frontiere's Bakery dolatywał kuszący, smakowity zapach gorącego chleba. Przed piekarnią, przyciskając twarz do szyby, stała mała dziewczynka w zarzuconej na głowę, postrzepionej chuście.

Usłyszawszy kroki Macka odwróciła się i obrzuciwszy go lekliwym spojrzeniem, uśmiechnęła się. Mack popatrzył na nią uważnie. Dziewczynka miała siedem lub osiem lat i

wyglądała zadziwiająco. Orientalne rysy jej twarzy kłóciły się wyraźnie z ciemnoczekoladowym kolorem skóry. Mack nigdy dotąd nie widział takiej mieszanki, musiał jednak przyznać, że nadawało to dziecku egzotyczne, kruche piękno, które zapewne miało zniknąć po latach życia w ubóstwie.

Dziewczynka uśmiechała się, zachłannie wdychając smakowitą woń płynącą zza drzwi piekarni.

- Tak ładnie tu pachnie - zwróciła się do Macka. - Tak właśnie musi pachnieć niebo, nie sądzi pan?

Skinął głową i wskazał na kilka świeżych bochenków, które już pojawiły się w witrynie.

- Ja najbardziej lubię ten żytni chleb, a ty?

Dziecko przyglądało się przez chwilę ciemnobrązowym bochenkom.

- Nigdy go nie próbowałam. Nigdy nie jadłam niczego z tego sklepu.

- A to czemu?

- Nie mam ojca. Umarł. Na całą naszą szóstkę pracują tylko matka i starszy brat.

Pod wpływem nagłego impulsu Mack wyciągnął z kieszeni pieniądze i podał dziewczynce jeden z banknotów.

- Kup sobie trochę chleba na śniadanie - powiedział. Dziewczynka chwyciła banknot, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Czemu pan mi to daje?

- Bo sprawia mi to przyjemność. - Ale ja wiem, że to dużo pieniędzy. Całe dziesięć dolarów.

Uśmiechnął się na myśl, że nie potrafiła nawet rozpoznać studolarowego banknotu.

- W porządku, weź je. - Niespodziewanie przyszła mu do głowy myśl: „Zawsze mogę ich mieć jeszcze więcej.”

Dziewczynka pośpiesznie wbiegła do piekarni, jakby obawiała się, że dobroczyńca zmieni zdanie.

Na ulicy rozległ się turkot kół i przed kawiarnią zatrzymał się powóz. Z jego okna wychylił się znajomy plantator. Mack przeszedł na drugą stronę. Czuł się usatysfakcjonowany odpowiedzią, którą znalazł na swoje pytanie: kiedy będzie miał dosyć? Odpowiedzią może nie najszcześniejszą, ale jedyną możliwą: dla człowieka takiego jak on nigdy nie będzie dość.

Mack i Carla przeprowadzili się z Magnolia Avenue na szczyt wzgórza na początku listopada 1896 roku. W dniu Święta Dziękczynienia zaprosili trzysta osób z Riverside i okolicy na olbrzymie przyjęcie.

Japońscy dekoratorzy, nie znając się specjalnie na amerykańskich świętach, zasadzili palmy i włoskie sosny wzdłuż alei, którą w karocach i powozach wjeżdżali goście. Mack pomyślał, że łączenie palm z sosnami jest pomysłem nieco dziwnym, ale projektant ogrodu zapewnił go, że efekt jest „całkowicie kalifornijski”.

Villa Mediterranean od pierwszej chwili szalenie się wszystkim spodobała. Jej właściciele także. Pomogło im w tym bogactwo oraz to, że Chance był bardzo popularnym, zaangażowanym w pracę dżentelmenem - sadownikiem. Panie z zazdrością przyglądały się srebrnym talerzom z wygrawerowanym monogramem JMC. Na obrusach Mack kazał wyhaftować nieco mniejsze inicjały CHC. Dżentelmeni w monoklach stwierdzili, że był to doskonały pomysł.

Gości poczęstowano zieloną zupą żółwiową, gotowanym kalifornijskim łososiem i plastrami dzikiego indyka, pieczonego z kasztanami. Podano także gęsinę, przepiórkę, dziczyznę, nerkówkę z grzybami, kandyzowane pomarańcze, krokiety i ostrygi. Były również selery i sałata z własnych pól Macka w Central Valley. Ziemniaki przyrządzono aż na pięć sposobów, a prócz tego przygotowano też olbrzymie misy innych warzyw. Podano francuskiego szampana i

kalifornijskie wina, ser edamski i roquefort, winogrona malaga, ciasto rodzynekowe, z dyni i szarlotkę, no i oczywiście angielski pudding śliwkowy z sosem z brandy i kawałkami świeżych pomarańczy.

Mack od dawna nie miał już czasu gotować i tęsknił za tym zajęciem. Żałował, że zamiast tego tłumu hałaśliwych gości nie zaprosił jedynie kilku najbliższych przyjaciół. Johnson odzywał się tylko z rzadka. W końcu zagłębił się w rozmowę z przystojną młodą wdową, która wkrótce, uśmiechnąwszy się na pożegnanie, opuściła przyjęcie. W dwadzieścia minut później wyszedł także Johnson.

Mack i Carla krążyli między gośćmi osobno. Carla flirtowała z kilkoma Anglikami, co irytowało Macka, nic jednak nie powiedział. Zauważył, że wypić mnóstwo szampana i nie mniej czerwonego wina. O wpół do czwartej po południu zniknęła. Wiedział, że leży pijana w swojej sypialni. Miał nadzieję, że zasnęła.

Tej nocy, kiedy goście już odjechali i słychać było tylko krzątanicę sprzątającą po przyjęciu służby, Mack zastał Carłę siedzącą na łóżku w jedwabnym szlafroku, oszołomioną jeszcze po drzemce, ale już z nowym kieliszkiem czerwonego wina w dłoni.

- Czemu tak się dziś zachowywałaś?

- Bo jestem znudzona. Ci głupi, mdli ludzie śmiertelnie mnie nudzą. Ten śmierdzący, wielki dom także mnie nudzi.

- Nasz nowy dom?

- Tak, straszliwie mnie nudzi.

Popatrzyła na niego swymi jasnobłękitnymi oczyma, po czym kilkoma łykami wypić całą zawartość kieliszka.

Pierwsze półtora roku jego małżeństwa wplotło się w utkane z innych wydarzeń życie Riverside. Mack czuł się jak w matni. Nadal starał się wypełnić czas pracą, czytaniem i sportem. Dosiadał Jubilee i galopował na niej po Jefferson

Street, wzdłuż boiska do gry w polo. Całymi godzinami wędrował samotnie po plantacji pomarańczy. Z rozrzewnieniem wspominał swego przyjaciela Corbetta, mistrza wagi ciężkiej. Zastanawiał się, co zrobić z nastrojami Carli. Starał się nie pamiętać, że Swampy, który rzadko ich teraz odwiedzał, dokładnie przewidział obecną sytuację.

Sprawa ta wyjaśniła się nieco w sylwestra 1896 roku.

Rozdział 35.

Przez cały dzień wiał północny wiatr. Nawet w południe chłodne powietrze wprawiało w drżenie liście i dojrzewające owoce w gaju na Arlington Heights.

Temperatura spadała od dwudziestu czterech godzin. Na plantacji na wzgórzu Mack pracował ramie w ramie z Chińczykami ubranymi w ciężkie pikowane płaszcze i kapelusze kulisów. Wszyscy drżeli z zimna, ściągając z zaprzężonych w muły wozów metalowe piecyki. Johnson był na dole, na plantacji położonej na równinie, nadzorując identyczną pracę.

Zastępy robotników napełniały piecyki ropą z beczek, ustawiając je w regularnych odstępach, co dwa drzewka. W cienistym mroku plantacji błyskały białka oczu pracujących wytrwale mężczyźni. Wiatr gnał kilka postrzępionych chmur ku wschodowi, poza tym całe niebo było czyste, błękitnobiałe jak nowo ścięty lód.

Mack starał się zapomnieć o swoich zobowiązaniach na wieczór, ale nie mógł. Myśl o nich towarzyszyła mu przez cały czas. Kiedy widział jakiś słaby punkt w systemie ogrzewania plantacji, kazał stawiać dodatkowe kosze z żelaznych prętów, wypełnione miałem węglowym. Spustoszenie, jakie mógł uczynić mróz, oznaczało coś więcej niż tylko utratę zbiorów. Silny mróz mógł zniszczyć całą plantację. Mackowi groziła więc strata drzew wartych setki tysięcy dolarów. Zanim zaś na miejscu wymarznionych wyrosłyby nowe gaje, minęłoby pięć, sześć, może nawet siedem lat. Tego popołudnia nie oszczędzał ani siebie, ani robotników i o piątej wszystkie piecyki i kosze już płonęły. Mack wspiął się na siodło swego Morgana i truchtem ruszył w stronę Villa Mediterranean.

Jasne zimowe światło kładło na zboczach wzgórz długie, głębokie cienie. Mack minął dwa wypełnione beczkami wozy,

pnące się mozolnie pod górę. Czy cały ich wysiłek miał pójść na marne? Wszystko zależało od tego, jak bardzo spadnie temperatura.

Mack podjął decyzję co do sylwestrowego wieczoru i przygotował się na kłopoty.

W przylegającej do gabinetu garderobie zmienił ubranie. Siedząc za biurkiem, próbował podsumować grudniowe wydatki, ale nie mógł się skoncentrować.

Słyszał uderzające o dach domu poddmuchy wiatru. Choć nie miał jeszcze nawet trzydziestki, we włosach ukazały mu się już pasemka siwizny, a tego wieczora jego oczy miały ponure, zmęczone spojrzenie.

Słyszał, jak nadchodziła. Obcasy jej pantofli stukwały o podłogę w holu. Parkiet w ich domu zrobiony był z twardego drewna, nie z miękkich desek, jak to bywało u mniej zamożnych ludzi.

Weszła bez pukania. Musiał przyznać, że jej wygląd zapierał dech w piersi. Czemu zresztą miałyby być inaczej? Całe popołudnie spędziła kąpiąc się i ubierając. Jej czarna, atlasowa, godna księżniczki suknia znakomicie podkreślała złotą karnację skóry. Brzeg sukni oblamowano aksamitną złotą wstążką. Jej włosy zdobiły czarne egrety, a czarne zamszowe rękawiczki sięgały ponad łokcie, aż po bufiaste rękawy z pokrytego czarną koronką atlasu. W lewej ręce trzymała malowany wachlarz. Na serdecznym palcu prawej dłoni pysznił się założony na rękawiczkę szmaragd wart piętnaście tysięcy dolarów - prostokątny, pięknie oszlifowany i osadzony w złotej oprawie. Mack ofiarował go żonie w ślubnym prezencie.

- Czy koniecznie muszę ci przypominać, że dziś jest sylwester? Kolacja zacznie się o siódmej. Za pół godziny musimy wyjść. Maria przygotowała już twój wieczorowy strój.

- Żałuję, że zadała sobie niepotrzebnie tyle trudu.

Carla okręciła się w miejscu, a halki pod jej wspaniałą suknią zaszeleściły w sposób bardzo kuszący. - Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

- Że nie mogę iść. Muszę zostać na plantacji. Zapowiada się paskudny mróz. Te pomarańcze są całym moim życiem.

- Oszalałeś? Jutro możesz sobie kupić dziesięć następnych gajów pomarańczowych.

- Tu chodzi także o życie innych ludzi. Jestem im potrzebny. Nie mogę ich po prostu zwolnić z pracy.

- To jest najlepsza zabawa w tym roku. Tak zapowiedział ją Clive. Wszyscy tam będą.

- Przyjdą tylko ci nieliczni, co nie zainwestowali w cytrusy. Niewielu będziesz miała partnerów do tańca.

- Zawsze znajdę sobie mężczyznę do tańca. O to się nie martw. - Być może chciała w ten sposób zasugerować, że on nie jest prawdziwym mężczyzną.

Zmarszczywszy brwi podszedł do niej. Poczł ciężki zapach pomarańczowego kwiecia i odór whisky. Przekreślił kontakt, zapalając dwa wiszące u sufitu piękne elektryczne żyrandole. Było tu także oświetlenie gazowe, gdyż elektrownia często bez ostrzeżenia wyłączała prąd.

- Czy ty już zupełnie mnie lekceważysz, Mack?

Bez słowa odemknął okiennice zasłaniające okna, z których roztaczał się widok na całe Riverside. Niebo było zimne i ciemnognatowe. Migające w dole światła przypominały drogocenne kamienie w naszyjniku. Jakie to dziwne, że właśnie w taką piękną noc groziło mu, że straci miliony.

Wiatr uderzył w okiennice, wprawiając je w drzenie. W okna wprawiono piękne szyby z kryształowego szkła. Każda z nich ozdobiona była czerwonym prostokąciem. Stanowiło to

jeszcze jeden dowód ich bogactwa - czerwone szkło uzyskiwano dodając do piasku złoto.

- Ja czekam, Mack. Chcę, żebyś zabrał mnie na bal.

- Nie mogę. Zostaję na plantacji.

- Czy moje uczucia zupełnie się dla ciebie nie liczą?

- Oczywiście, ale...

- Gdybym wychodząc za mąż wiedziała, że będziesz postępował w ten sposób...

- Dobrze wiedziałaś, kim jestem. Jeśli pragnęłaś mężczyzny innego rodzaju, czemu mnie poślubiłaś?

- Nakłoniłaś mnie do tego, kochanie - uśmiechnęła się słodko.

- Mój Boże - westchnął, opadając na swój ulubiony skórzany fotel. - Jesteś piękną kobietą, Carlo. Ale czasami jesteś tak pijana, że nie można z tobą wytrzymać.

- Ach tak? Ale przecież żyjemy w zgodzie. - Znowu zakręciła spódnicą. - Czy nie jesteśmy dobrą...

Zacisnął ręce na poręczach fotela.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie poślubiłaś? Pochyliła się ku niemu.

- Bo potrzebowałam jakiejś rozrywki - wycedziła. Popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

- No cóż, wierzę ci.

- A dlaczego ty się ze mną ożeniłeś? Bo nie mogłeś dostać pannicy z jakiegoś szmatławca? - Mack zerwał się na równe nogi. - Och, widziałam, jak na nią patrzyłeś. Nie miałam żadnych złudzeń. „Do tego stopnia pijana, że nie można z tobą wytrzymać.” Czy tak to właśnie określiłeś?

- Carla, przepraszam... - próbował ją objąć, ale czuł się bezradny. Nigdy nie mógł przewidzieć, jak się zachowa, kiedy za dużo wypije. - Przepraszam, poniosło mnie. Idź sama na tańce.

- Och, jakiś ty wspaniałomyślny.

- Ah Sing zabierze cię tam, a potem przywiezie z powrotem do domu.

- Nie chcę, żeby eskortował mnie jakiś przeklęty Chińczyk. Chcę mego męża. Żyły na skroniach Macka stały się grube jak sznurek. Na podjeździe przed domem parsknął koń.

- Będę wypatrywał, czy nie nadjeżdża twój powóz. Otworzymy szampana. - Podeszedł do niej. - Baw się dobrze.

Usiłował pocałować ją w policzek, ale odsunęła się od niego. Poczłł jeszcze silniejszy smród whisky. Carla uśmiechnęła się z fałszywą słodyczą.

- Dobranoc, kochanie - powiedziała.

- Do zobaczenia w przyszłym roku.

- Któż to wie? Miejmy nadzieję, że tak będzie.

Odeszła stukając obcasami. Kiedy umilkł odgłos jej kroków, Mack posłyszał inne ociężałe człapanie. To Johnson. Szedł charakterystycznym długim krokiem, świadczącym o tym, że jest czymś zaniepokojony. Miał na sobie brudne drelichowe spodnie, skórzaną kamizelkę i nieodłączną wielką chustę. Ta, którą miał dzisiaj, była, jak na ironię, jaskrawopomarańczowa.

- Czy wszystkie piecyki pracują?

- Tak. Wszystkie, jakie mamy. Ale jest ich i tak o połowę za mało, żeby starczyło dla wszystkich drzewek pomarańczy „Valencia”.

- Co z temperaturą?

- Około trzydziestu stopni Fahrenheita. Spada.

Mack sięgnął po leżący na stole brązowy kapelusz z szerokim rondem i ruszył za Johnsonem.

- Czy coś nie w porządku, Mack? Carla jest ubrana piękniej niż królowa, ale jej oczy ciskają gromy.

- Wszystko w porządku. Sama pojedzie na zabawę.

- Słuchaj, nie musisz wystawać przez całą noc na wzgórzu. Wskakuj w smoking i jedź razem z nią.

- Nie mogę. Nie dzisiejszej nocy.

Czoło Johnsona przecięły jeszcze głębsze bruzdy niż zwykle. Północny wiatr wiał bezustannie. Na niebie migotały gwiazdy - zniknęły nawet ostatnie nieliczne chmury.

- Ani obłoczka - zauważył Johnson, kiedy jechali na koniach. Warstwa chmur mogłaby zmniejszyć efekty działania wiatru.

Na szczycie wzgórza Chińczycy skupili się wokół piecyków. Mack czuł smród ropy, kiedy wraz z Johnsonem szli między drzewami. Sam osobiście sprawdzał, jak grzeje każdy piecyk.

Oprócz piecyków zapalono także pochodnie. W drucianych koszach płonął miał węglowy. Dym unosił się ku górze i piekł w oczy.

- Wiatr jest zbyt silny - stwierdził Mack. - Tracimy przez niego całe ciepło.

- Niewiele możemy na to poradzić - odparł Johnson.

Mack włożył dłonie w kieszenie kożucha i zapatrzył się w zimowe niebo. Około jedenastej wszędzie, aż po linię horyzontu, widać było rozgrzane piecyki i kosze z palącym się węglem. Ciekawe, czy Carla dobrze się bawi. Za godzinę Nowy Rok. Czy ich wzajemne stosunki poprawią się? Dopóki on sam czegoś z tym nie zrobi, z pewnością nie. Nie starała się nawet go zrozumieć.

Johnson obudził się i sięgnąwszy po płaską butelkę, którą miał w kieszeni, zapytał:

- Cerveza? Mack pociągnął solidny łyk.

- Do diabła, to piwo jest jedyną ciepłą rzeczą dzisiejszej nocy. Co z temperaturą?

Johnson zerknął na przywiązany do gałęzi termometr.

- Dwadzieścia sześć stopni.

- Wiatr trochę się uspokaja.

Była to prawda. Dym z nad piecyków i koszy z węglem nie wirował już tak gwałtownie w powietrzu. Można było poczuć bijące od nich ciepło.

- Gorzej będzie z cytrynami w dole - powiedział Johnson.

- Tutaj być może nam się udało. Teraz chyba powinieneś tam pójść.

Mack nie odpowiedział. Słyszał ciche kłótnie robotników i grzechot kości do gry. Pomyślał o Bao Kee. To sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej. Johnson dokończył piwo.

- Powiedz mi coś - poprosił. - Ożeniłeś się przeszło półtora roku temu. Jesteś szczęśliwy?

W orzechowych oczach Macka odbił się białoniebieski płomień piecyka.

- Powiem ci, że to nie twój pieprzony interes.

- Zapytałem po prostu jako twój przyjaciel.

Mack chuchał w dłonie, usiłując je rozgrzać.

- Jeśli robienie pieniędzy jest szczęściem, to jestem szczęśliwy.

- Nie całkiem to miałem na myśli.

- Jestem zbyt zajęty, żeby dostrzegać cokolwiek innego.

Johnson spojrzał na niego bacznie.

- Rozumiem twoją troskę o pomarańcze. Ale kobiety też mogą być interesujące. Nigdy nie dałem się schwytać w pułapkę małżeństwa, ale tyle przynajmniej zdołałem się nauczyć.

- Tak, wiem...

Nagle poczuł się zmęczony milczeniem. Potrzebował zwierzenia się przyjacielowi.

- Tu chodzi o coś więcej niż tylko o kłótnię na temat balu. Carla znowu powróciła do dawnych przyzwyczajzeń. Przez kilka miesięcy wszystko było w porządku. Teraz, kiedy choćby zasugeruję, żeby pojeździła konno po okolicy albo

urządziła piknik - od razu wpada w złość. Nudzi się. Chce czegoś innego: przyjęć, podróży, ciągłych zmian. Swampy mnie ostrzegał.

- Ale wygląda na to, że dziś chciała tylko tego, żebyście byli razem.

- I wyłącznie ja zawiniłem?

- Hm. Miałaś powody, by postąpić tak, jak postąpiłeś. Bardzo ważne powody. Ale przecież jesteś jej mężem. Nie przerzucaj całej odpowiedzialności na Carlę.

- Dziękuję za wykład.

Johnson westchnął.

- Potrafisz być prawdziwym draniem. To dobre w walce, ale nie w małżeństwie. - Umilkł na chwilę. - Jak będziemy już mieć tę noc za sobą, coś ci powiem.

- Coś nowego? Powiedz teraz.

Johnson zignorował dźwięczący w jego głosie sarkazm. - Rano. Jeśli dożyjemy. A teraz wybac mi.

Ponownie oparł się wygodnie plecami o pień drzewa, opuścił kapelusz nisko na oczy i zasnął.

Mack wpatrywał się w desenie dymu na tle nieba. Stał, trzymając dłonie tuż nad ogniem. Rozgrzewało to jego ciało, ale nie duszę. Nie miał pojęcia, jak powinien postępować z tak zepsutą i bogatą kobietą jak Carla. Miał dobre intencje, ale jego nerwowość i jej kaprysy sprawiały, że na nic się one nie zdawały. Po północy na odległej plantacji wystrzelono race, by powitać rok 1897. Za godzinę lub dwie Ah Sing powinien przywieźć Carlę do domu.

Ta zimna, samotna noc rozstroiła Macka. Johnson miał rację: niewłaściwe postępowanie Carli w niczym go nie usprawiedliwiało. Połowa odpowiedzialności spoczywała na nim. Rano spróbuje z nią o tym porozmawiać.

Kiedy się obudził, ziemia pod jego nogami była zamarznięta, a twardy pień drzewa uwierał go w plecy. Nie

pamiętał, kiedy zasnął. Jeszcze na wpół tylko przytomny usłyszał obok chrapanie Johnsona. Na zachodzie ukazały się pierwsze promienie świtu. Mack zakaszał, wciągając w płuca dym, który unosił się znad piecyków prostymi słupami, jak gdyby wśród drzew ukryte były równe rzędy mikroskopijnych domków z dymiącymi kominami. Jeden z najlepszych pracowników Macka, młody Chińczyk Kim Loo, otwierał właśnie drzwiczki jednego z piecyków, sprawdzając, jak wiele zostało w nim ropy.

- Prawie się skończyła, panie Chance - zwrócił się do Macka.

- Lepiej napełnij je wszystkie od nowa. Zapowiada się kolejny chłodny dzień. Kim Loo skinął głową i pośpiesznie odszedł. Mack wstał przeciągając się i próbując przepędzić z ciała senną ociężałość. Zerknął na termometr. Dwadzieścia cztery stopnie. Zerwał z drzewa pomarańczę i obrawszy ją ze skórki wyssał z niej sok.

- Chyba się nam udało - powiedział, trącając Johnsona czubkiem buta. Johnson ziewnął i mruknął coś niezrozumiale. Dopiero po pięciu minutach rozbudził się na dobre.

- A teraz powiedz, cóż takiego chciałeś mi zakomunikować rano?

- Że odczuwam wewnętrzny niepokój.

- Chcesz przez to powiedzieć, że pragniesz stąd odejść.

- Tak sądzę. Być może na wiosnę.

- Drużyna polo będzie niepokieszona. Potrzebujemy cię. Ja nigdy nie będę grał równie dobrze jak ty. Jesteś najlepszym naszym jeźdźcem.

Johnson zaśmiał się.

- No cóż, muszę przyznać, że lubię, kiedy oklaskują mnie damy. Lubię też, gdy mi za tę grę płacą. Nigdy nie przypuszczałem, że zafascynuje mnie taka zabawa. No, ale skoro owładnęła mną dawna tęsknota...

- Wiesz, jak bardzo jestem od ciebie zależny - powiedział Mack. - Ale nasza umowa miała zawsze charakter warunkowy. Miałeś prawo odejść w każdej chwili. I wciąż je masz.

- A co z plantacją?

- Dopóki nie wrócisz, zajmie się tym Billy Biggerstaff.

- Poradzisz sobie przez jakiś czas beze mnie?

- Oczywiście - potwierdził Mack, choć wcale nie był tego pewien.

Pół godziny później Mack jechał w górę wzgórza ku Villa Mediterranean. Olbrzymi dom był cichy i chłodny. Mack całkiem wyczerpany, wszedł na schody i ostrożnie otworzył rzeźbione drzwi salonu.

Wewnątrz było ciemno, a okiennice nadal pozostawały zamknięte. Nasłuchiwał.

Cisza.

Zaniepokojony poszedł do sypialni. Pokrywający podłogę puszysty dywan tłumił jego kroki.

- Carla? - szepnął. - Szczęśliwego Nowego Roku.

Dotknął ręką łóżka od jej strony. Było zaścielone i puste. Zszedł na dół, by wypić filiżankę kawy. W kuchni zarządca domu, zwalisty Meksykanin Rodolfo Armendariz, wskazał mu butelkę „Mumma” stojącą w srebrnym wiaderku, do wysokości sześciu cali wypełnionym wodą.

- Oto szampan, senior. Przygotowałem go o północy, tak jak pan sobie życzył. Mack zupełnie zapomniał o tym, że zanim udał się na plantację, prosił Rodolfa o przygotowanie małej uroczystości po powrocie Carli.

- Lód się stopił, senior.

- Widzę. Niech kto inny wypije tego szampana. Ktokolwiek. Nie będzie już żadnej uroczystości.

Mack obudził się po trzech godzinach. Był kolejny jasny, bezchmurny dzień. Ale wiatr ucichł i ziąb nie był już tak

dojmujący. Zerknął na swój kieszonkowy zegarek. Kwadrans po dziesiątej. Po zjedzeniu śniadania wybrał się aż na krańce swej posiadłości, gdzie obejrzał nowe pawilony. Dwupiętrowe, zadaszone, ale jeszcze nie pomalowane miały zostać przeznaczone na czyste, wygodne kwatery dla niektórych jego robotników, takich jak na przykład Kim Loo.

Chodził po plantacji, rozmawiając ze zmęczonymi ludźmi od nowa napełniającymi ropą piecyki. Wczorajszy wiatr poobrywał nieco liści, ale na pniach drzew nie widać było pęknięć spowodowanych mrozem.

Stanął przy jednym z drzew i jeszcze raz wyjął z kieszeni zegarek. Wpół do pierwszej. Spojrzał na drogę, ale zobaczył na niej tylko chińskich robotników.

Wałęsał się po plantacji bez celu ponad godzinę. W końcu dotarł do brudnego podwórza przed powozownią. Chiński chłopak dokręcał właśnie przednią piastę koła w nowym rowerze Macka. Ujrzawszy pracodawcę, uśmiechnął się.

- Już wszystko w porządku, panie Mack. Koło obraca się dobrze.

- Dziękuję. Klub rowerowy organizuje w niedzielę dwudziestomilowy rajd... - Nagle usłyszał turkot kół powozu.
- Dziękuję - zawołał raz jeszcze i oddalił się szybkim krokiem.

Ah Sing zatrzymał powóz, unikając wzroku pracodawcy. Mack otworzył drzwi, na których pyszniły się złote inicjały JMC i popatrzył na zapuchnięte oczy Carli. Wciąż miała na sobie swą sylwestrową kreację.

- Długie przyjęcie. Jest już po drugiej.

- Wypiłam trochę za wiele. Moi przyjaciele zajęli się mną.

- Jacy przyjaciele?

- Och, nieważne. Cóż cię może to obchodzić?

Jej ubranie było pomięte, a pomadka na ustach rozmazana. Macka ogranała nagle zazdrość i gniew.

- Nic, Carlo. I nigdy nie obchodziło.

Ze złością chwyciła drzwi powozu i zatrzasnęła je.

- Ah Sing, ruszaj! - krzyknęła. Chińczyk potrząsnął lejcami. Przyciskając dłonie do skroni Carla z całej siły zacisnęła powieki. Powóz przejechał obok Macka stojącego w kurzu drogi.

Po zmroku temperatura znowu spadła poniżej trzydziestu dwóch stopni, ale ta noc zapowiadała się bezwietrznie. Mack pozostał na plantacji aż do północy, a wróciwszy do domu pościelił sobie na kanapie w gabinecie. Rankiem osiodłał konia i powrócił na równinę. Zniszczenia były niewielkie i większość jego pomarańczy ocalała.

Inaczej rzecz się miała z plantacją cytryn Clive'a Henleya, wyglądająca teraz jak pobojuwisko. Liczni robotnicy obrabrywali ogołoczone z liści gałęzie, niejednokrotnie zaś ścinali całe pnie.

Mack nie znosił takich widoków. Nienawidził patrzeć, jak coś umiera. Poza tym zniszczona plantacja była dla niego czymś na kształt symbolu jego małżeństwa.

Rozdział 36.

Tej nocy ponownie położył się spać w gabinecie. Następnego dnia Carla zdobyła się na połowiczne przeprosiny i zaproponowała, żeby wrócił do ich wspólnej sypialni. Uczynił to, ona jednak odmówiła uściskania go na dobranoc, spał więc na swojej części małżeńskiego łóża, odwrócony do niej plecami. Pod koniec następnego tygodnia spakowała się i wyjechała złożyć kilkudniową wizytę ojcu.

Mack liniami Santa Fe pojechał do Los Angeles. W swym apartamencie w Pico House omówił interesy z Potterem, zaś następnego popołudnia powędrował do Philips Block na rogu ulic Spring i Franklin, gdzie w pokojach 77 i 78 mieściły się biura Southern California Fruit Exchange.

Idąc, dostrzegł na murach budynków trzy nowe wywieszki lekarzy. Czytał swego czasu w „Citrographie”, że proporcjonalnie do ludności Kalifornia ma więcej lekarzy niż jakikolwiek inny stan. Stało to w zupełnej sprzeczności z tym, co twierdził Wyatt: że lekarzy jest tu mało, ponieważ prawie nikt nie choruje, ani nie umiera. Lekarze chcieli otwierać tu praktykę, gdyż nigdzie indziej nie mieli tylu pacjentów. Otis i jego weterani zwabiali ich tutaj zachwalając, że już sam klimat jest cudownym lekarstwem. Potencjalnym nowym mieszkańcom reklamowano Los Angeles jako „największe na świecie uzdrowisko”.

W pokojach Exchange'u zebrało się dwudziestu kilku plantatorów z całej okolicy. Mack znał tylko Clive'a Henley'a, który przyjechał porannym pociągiem. Budzącym najwięcej kontrowersji tematem dyskusji były koszty skrzynek na cytrusy. Od poprzedniego roku ich cena skoczyła z jedenastu na dwadzieścia centów. Całkowite koszty skrzynki pomarańczy na większości plantacji, w tym także u Macka, zamykały się sumą pięćdziesięciu centów. Jeśli nadal będą rosły, niewielu sadowników zdoła sobie z nimi poradzić.

- To wszystko przez ceny skrzynek - narzekał jeden z plantatorów. - Jesteśmy bezradni. Musimy płacić tyle, ile od nas żądają.

- Nie musielibyśmy, gdybyśmy mieli własną wytwórnę opakowań - zauważył Mack.

- Chce pan powiedzieć, że Exchange powinien zająć się tą sprawą?

- Tak. Powinniśmy posiadać wszystko, co jest potrzebne do wypuszczenia na rynek końcowego produktu. - Wokół rozległy się szmery i okrzyki niemal zbiorowego sprzeciwu wobec tak radykalnej idei. Mack wzruszył ramionami. - Myślcie sobie, panowie, co chcecie, ale dziś rano zarządziłem, by w moim imieniu zakupiono dziesięć tysięcy akrów przeznaczonych do wycięcia drzew w hrabstwie Lassen. Mam więc zapas materiału na skrzynki przynajmniej na rok.

Po spotkaniu farmerzy otoczyli go, chcąc dowiedzieć się, w jaki sposób Exchange mogłoby zająć się ich problemem.

Wieczorem Mack i Clive Henley wyruszyli lokalnym pociągiem z powrotem do Riverside, rozmawiając o nowym prezydencie - elekcje McKinleyu. Mack i Clive jako republikanie głosowali na McKinleya przeciw Bryanowi. Clive i inni republikanie z Riverside uważali zresztą Macka za człowieka o znacznie bardziej liberalnych poglądach niż było to w istocie.

Mack rozmyślał o zbliżającej się walce między Corbettem i Bobem Fitzsimmonsem, która miała się odbyć w marcu w Carson City. Clive i Mack rozważali też sytuację na Kubie po nacjonalistycznym powstaniu przeciw Hiszpanii. Zarówno Hearst jak i jego nowojorski rywal Joe Pulitzer byli gorącymi zwolennikami tej rewolucji, za co zresztą Hearsta bardzo krytykowano.

Poza tym, co nieuniknione, gdy było się Kalifornijczykiem, obaj przyjaciele rozmawiali na temat kolei.

Zaledwie kilka dni wcześniej Kongres uchwalił ustawę o kredytach, zadając tym Huntingtonowi poważny cios, przez odmowę umorzenia lub prolongaty spłaty jego długu wobec państwa. Gubernator Jim Budd, demokrat, ogłosił ten dzień świętem stanowym.

Clive, zawsze przyjaźnie odnoszący się do SP i Santa Fe, uważał to za niesmaczne. Przytaczał znane argumenty, że kolej otworzyła rynek wschodni, dzięki czemu rozwinęła się produkcja cytrusów.

- No ale jak inaczej można było ściągnąć te długi, Clive? Wysłałem już Buddowi list gratulacyjny.

Przez cały czas Mack miał wrażenie, jakby Clive myślami był gdzie indziej. Anglik nie wydawał się tak odprężony i beztroski jak zwykle. W jego szarych oczach pojawił się wyraz skupienia.

Konduktor zapowiedział Colton.

- Wkrótce będziemy w Riverside - stwierdził Mack. - Lepiej zrobisz, jeśli już teraz przejdziesz do rzeczy.

Clive poczerwieniał.

- Och, Boże, kiepski ze mnie konspirator, co?

- Rzeczywiście - uśmiechnął się Mack. - No więc, o co chodzi?

- No cóż, proszono mnie... prawdę mówiąc, wręcz polecono, żebym z tobą porozmawiał. Dlatego że jesteśmy przyjaciółmi...

- Kto ci polecił?

- Och, inni plantatorzy... z Riverside - powiedział z jakimś dziwnym wyrazem twarzy, gwałtownie polerując szkło swego monokla rękawem białej płóciennej koszuli.

- O czym chciałbyś porozmawiać?

- No... o robotnikach.

Mack powoli zaczynał rozumieć.

- O moich Chińczykach?

- Tak, właśnie o nich. Wiesz, o tych... kłopotach cztery lata temu.

- Tak, pamiętam, jak biali ludzie pracujący na plantacjach wyrzucili stąd Chińczyków.

- Istotnie, ale to jeszcze nie było najgorsze. Chińczyków napadano na ulicach, bito, niszczone ich domy i sklepy. Motłoch spalił Chinatown w Redlands. Musieliśmy powołać specjalne patrole straży obywatelskiej. Bezpieczeństwa w mieście strzegło wówczas ze dwustu ludzi. Nie chcemy, by podobna rzecz się powtórzyła.

- Rozumiem - odparł Mack.

Clive odchrząknął i zaczął wiercić się niecierpliwie na swoim siedzeniu.

- Zgodzisz się chyba, Mack, że biali ludzie także zasługują na pracę na twoich plantacjach?

- Dlatego, że są biali, czy dlatego, że żądają połowy tych pieniędzy, jakie trzeba zapłacić chińskiemu robotnikowi?

- Otóż to. Siedemdziesiąt pięć centów dniówki to o wiele mniej niż dolar czterdzieści czy dolar pięćdziesiąt, co stary? Wtedy także Meksykanie i pół - Indianie zgodzą się na niższe płace.

- Chcę mieć najlepszych robotników, a nie najtańszych. Chińczycy i Japończycy są urodzonymi rolnikami. Spójrz na hrabstwo Orange sprzed pięciu lat. Nie było tu nic prócz wędrownych obozów i biedoty zbierającej korzonki dzikich roślin, ponieważ nie potrafiła wyhodować kartofli. A potem kilku przedsiębiorczych farmerów na próbę, za nieco wyższe płace, wynajęło Chińczyków. Teraz, dzięki ich pracy, rok w rok zarabiają krocie. Ziemia, za którą płacono piętnaście dolarów za akr, kosztuje dziś od pięciuset do sześciuset dolarów. Japończycy dokonali tego samego cudu z kalifornijskimi szparagami, kantalupami, sałatą i burakami

cukrowymi. Ludzie Wschodu czują rytm ziemi, łączy ich z nią instynktowna więź. Potrzebuję takich ludzi.

- Ale kiedy ty płacisz więcej, szkodzi to nam wszystkim. Wywołuje niezadowolenie naszych robotników. Być może w rezultacie także my będziemy musieli podnieść zarobki...

- Wynajmujcie sobie kogo tylko chcecie i płaćcie ludziom tyle, za ile tylko zgodzą się pracować. Ja nie chcę rozstawać się z moimi robotnikami.

- Mój przyjacielu, mówiłem ci, że to nie jest tylko moje zdanie. To wspólne stanowisko wszystkich plantatorów z Riverside.

- Znaczy to więc, że zostałem sam na placu boju.

- Tak, prawie - odparł Clive z przepaszającym uśmiechem.

- Rozumiem. Czy jeśli nie zmienię mojego postępowania, utracę twoją przyjaźń?

- Och, mój drogi, nie. Skądże - zapewnił gorąco Clive. - Ja tylko - z najwyższą zresztą niechęcią - przemawiam w imieniu grupy. My zawsze pozostaniemy przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, sądziłem, że wyświadczam ci w ten sposób przysługę. Ciągłe kręca się tu jacyś najemni robotnicy...

- Tak, widziałem ich obozujących wzdłuż dróg.

- Są głodni. Mogą nie chcieć pogodzić się z twoją odpowiedzią. Poza tym, oczywiście, jest jeszcze Blas.

- Fonso Blas, agent do spraw pracowników?

- Tak, zwracał się do mnie, proponując swoje usługi.

- Do mnie też. Już ponad rok temu. Wyrzuciłem go za drzwi.

- Do mnie przyszedł w zeszłym tygodniu. Jest bardzo na ciebie zły. Twierdzi, że twoje postępowanie może sprowadzić na nas te same kłopoty, jakie mieliśmy tu w roku dziewięćdziesiątym trzecim.

Clive Henley, jako dobrze wychowany dżentelmen, przeproszał za to, co mówił, całą swą postawą.

- Przykro mi, Clive, ale odpowiedź brzmi: nie. Jeśli zaś chodzi o Blasa, nie podoba mi się ten człowiek. Nikomu nie uda się mnie zastraszyć.

Pewnej soboty w końcu lutego Mack napisał entuzjastyczny list do prezydenta Los Angeles Litho Company, chwalać wydział artystyczny firmy za wykonanie na jego zamówienie naklejek na skrzynki. Były one drukowane w sześciu kolorach za pomocą chromolitografu. Znalezienie nazwy dla swych cytrusów oraz pomysł na zilustrowanie jej zawdzięcza temu, że pewnej nocy nie mógł zasnąć aż do trzeciej nad ranem. Miał za sobą burzliwą awanturę z Carlą o jej picie i całkowitą obojętność w łóżku i wtedy właśnie przyszedł mu do głowy pomysł na doskonały wzór nalepek.

Akwarelowe odbitki leżały teraz obok przewodnika. Przedstawiały starego kalifornijskiego rolnika, brodatego, krzepkiego i nieśmiało uśmiechniętego, wyciągającego przed siebie tacę pełną dojrzałych pomarańczy. Napis pod tym rysunkiem głosił:

ZŁOTO KALIFORNII

WASHINGTON NAVELS

Być może dobre pomysły przychodzą do człowieka wtedy, kiedy jest wściekły, bo etykieta była wspaniała.

Hellman przyjechał pociągiem z ranczo w Santa Clara, by złożyć im jedną ze swych rzadkich wizyt. Na stacji w Riverside czekał nań wynajęty powóz. Mack proponował, że wyjedzie mu na spotkanie, ale Swampy nie zgodził się. Jednym z dobrodziejstw bogactwa była niezależność, a on lubił z niej korzystać. Jednak na wszelki wypadek podróżował zawsze ze swym S&W, pistoletem Jesse Jamesa. Kalifornia

nadal pełna była sezonowych robotników i innych niebezpiecznych typów wszelkiego autoramentu.

Piękny, biały kowbojski kapelusz chronił oczy Swampy'ego przed zimowym słońcem. Jego biały modny garnitur, odebrany od krawca zaledwie w ostatni czwartek, był już wygnieciony i poplamiony. Mijając tablicę oznaczającą granice posiadłości zięcia, Hellman wstrzymał zaprzęzonego do powozu konia. Na plantacji uwijało się przy pracy wielu Chińczyków. „Pracują jak maszyny” - pomyślał Swampy. Podobało mu się to, gdyż wiedział, jakie dochody osiągają dzięki temu właściciele sadów.

Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej, na zalesionej polanie, dostrzegł coś, co spodobało mu się znacznie mniej - dwudziesto czy trzydziestoosobową bandę włóczęgów, obozującą pomiędzy drzewami eukaliptusowymi. Z rozpalonego przez nich ogniska, nad którym coś się gotowało, unosił się ku niebu szary dym. Wszyscy skupieni wokół ognia lub drzemiący pod brudnymi derkami ludzie mieli ten sam niechlujny wygląd. Żaden nie był ogolony.

Trzech z nich odprowadziło wzrokiem przejeżdżający powóz Swampy'ego. Po drugiej stronie drogi kilku Chińczyków przygotowywało piły do oczyszczenia drzew ze zbędnych gałęzi.

Swampy potarł czoło. Nie podobali mu się ci włóczędzy, szczególnie owa trójka, która teraz szeptała coś, pokazując sobie palcami Chińczyków.

W chwili, kiedy Swampy cmoknął na konia, jeden z włóczęgów podniósł kamień i rzucił go w stronę Chińczyków. Kamień trafił w pień drzewa i wystraszył wspinającego się nań robotnika, który omal nie spadł na dół. Zdołał jednak w porę chwycić się gałęzi.

- No, jazda, skacz, ty mały bękarcie - wrzasnął włóczęga.
- Może skrećisz sobie kark.

Dwaj jego towarzysze roześmieli się. Jeden z nich wyciągnął wielki składany nóż i rozłożywszy czterocalowe ostrze, zaczął nim czyścić sobie brud spod paznokci, by Chińczycy musieli zauważyć, co trzyma w rękach. Swampy z uwagą przyjrzał się śmierdzącym od brudu włóczegom. Splunął.

- Na co się gapisz, dziadku? - zapytał mężczyzna z nożem, w którego ostrzu odbijały się promienie słońca.

Swampy gwałtownie zatrzymał powóz.

- Na ciebie. Trzymaj się z daleka od posiadłości mojego zięcia.

- Masz na myśli tę plantację? Nie jesteśmy na niej. Zaczyna się dopiero po drugiej stronie. To wolna ziemia.

Słyszając tę wymianę zdań, zbliżyli się dwaj pozostali włóczędzy, zatrzymali się jednak w pewnej odległości i Swampy ruszył dalej. Wkrótce minął żelazną bramę i wjechał na długi, prowadzący do domu podjazd.

Zaraz po przyjeździe Swampy'ego Mack chciał pokazać mu nową etykietkę na skrzynki pomarańczy. Stary Niemiec wolał jednak wypić szklaneczkę miętowego sznapsa i pogadać o włóczęgach w pobliżu plantacji.

- Paskudna banda, wierz mi, Johnny. - Obozują tam już od trzech dni.

Mack przeszedł przez salon, by przygotować napój. Nienawidził przyrządzania drinków, ale uważał, że ma pewne obowiązki wobec swego teścia.

- Czego, do diabła, chcą?

- Jeden z nich przyszedł tutaj i pytał o pracę. Powiedziałem mu, że mam już tylu ludzi, ile potrzebuję. Zaczął mi wygrażać. Odkąd tu są, jeden z moich ludzi przez całą noc pilnuje głównej drogi. Z karabinem, by strzelać na alarm.

- Wyjeżdżając z Riverside widziałem strażników w sadach. Ale oni nie mieli karabinów.

- Są tam po to, by trzymać z dala od plantacji turystów, którzy inaczej poniszczyliby drzewka, chcąc zabrać sobie coś na pamiątkę. Są gorsi od plagi mszyc. Na szczęście nie ma jeszcze tego problemu tu, w Arlington Heights.

- Czy ci włóczędzy mają jakieś specjalne powody, żeby prześladować akurat ciebie?

- Nienawidzą Chińczyków. Miałem też zatarg z pośrednikiem najmującym ludzi do pracy, z którego usług nie chciałem skorzystać. Sądzę, że szepnął on tym ludziom słówko, kiedy byli w mieście. Dajmy temu spokój. Weź swego drinka i zejdźmy do kuchni.

- Co jest na kolację?

- Bonito.

- To makrela?

- Tuńczyk. Kupiłem je wczoraj na wybrzeżu.

- Smaczne?

- Nawet bardzo. Sam przyrządzę.

Swampy zaśmiał się i kołysząc trzymaną w ręku szklaneczką z drinkiem ruszył za nim. Kilka kropel opryskało przy tym jego garnitur, on jednak nie zwrócił na to uwagi.

- Gdzie Carla?

- Ucięła sobie drzemkę.

- Zje razem z nami?

- Nie wiem - odparł bezbarwnym głosem Mack. Swampy pociągnął nosem. Węszył kłopoty. I wcale nie były one dla niego niespodzianką.

Jedli siedząc przy wielkim stole w jadalni, Mack u jego szczytu, Swampy naprzeciwko niego, Carla zaś z boku, pomiędzy nimi. Ponad ich głowami płonęło trzydzieści sześć świec zatkniętych w olbrzymim, okrągłym kandelabrze, zwieszającym się z sufitu na żelaznych łańcuchach. Liczył on

sobie ponad sto lat i był jedynym oświetleniem w domu nie zasilanym prądem ani gazem. Mack lubił jego łagodne światło, które nadawało chłodnemu pokojowi atmosferę starego klasztoru.

Carla piła czerwone wino, jedzenie jednak pozostawiła nietknięte. Natomiast jej ojciec błyskawicznie rozprawił się ze swoją porcją.

- Bardzo dobre, Johnny. Powinnaś wziąć parę lekcji gotowania u swego męża, Carlo.

Córka popatrzyła na niego wzrokiem pełnym pogardliwego rozbawienia.

- Naprawdę? A po co? Mamy przecież służbę.

- To nic. Gotowanie jest obowiązkiem kobiety.

- Daj mi spokój, Swampy. Użycie tego przezwiska rozzłościło go.

- Nigdy nie chciała się nauczyć - zwrócił się do Macka. - Nie potrafi nawet rozbić jajka na jajecznicę.

Mack nie odpowiedział. Patrząc na nich ze złością, Carla odepchnęła krzesło i podeszła do kredensu. Zanim się przy nim znalazła, zdążyła opróżnić do końca trzymany w rękę kieliszek.

Mack odłożył nóż na talerz.

- Czy nie sądzisz, że cztery kieliszki powinny ci wystarczyć? - Całkowicie panował nad swoim głosem - nie było w nim gniewu, a jedynie stanowczość.

- Sama potrafię orzec, kiedy będę miała dość - odparła, nalewając sobie kolejną porcję.

Swampy spojrział na Macka skonsternowany, po czym pośpiesznie odwrócił się ku meksykańskiej dziewczynie, która podeszła, by nałożyć mu jeszcze jeden kawałek smażonej ryby.

- Wierz mi, Johnny, że martwią mnie ci włóczędzy. Wyglądają groźnie. Żaden biznesmen nie potrzebuje takich

kłopotów. Nie byłoby lepiej nająć paru z nich, dać im jakąś brudną robotę i w ten sposób ich uciszyć? Mógłbyś znaleźć dla nich miejsce, zwalniając kilku Chińczyków.

- Moi ludzie nie lubią słowa „zwolnienie”. Nie używam go.

- Och, przepraszam - odparł Swampy. Sięgnął po kufel z piwem i pociągawszy solidny łyk, otarł usta. - Czasami cię nie rozumiem. Co ty widzisz w tych żółtych pchłach, których wszyscy tak nienawidzą?

Mack starał się zapanować nad sobą i nie wybuchnąć gniewem..

- Widzę w nich to, że są wspaniałymi pracownikami. Nie mam zamiaru zastępować ich jakimiś włóczęgami tylko dlatego, że ktoś powiedział mi, iż powinienem tak zrobić. Plantację wzięliby wtedy diabli. Poza tym nie byłoby to uczciwe.

Mack miał świadomość tego, że stojąca przy kredensie, odwrócona do nich plecami Carla ciągle pije wino.

- Nadal nie rozumiem - upierał się Swampy, siorbiąc piwo. - Czemu tak strasznie martwisz się o te nędzne psy?

- Pewnie dlatego, że urodziłem się jako jeden z nich. A ty nie?

- Tak, owszem, ale wszedłem do innego świata. To wszystko zmieniło.

Od kłótni uchroniły ich dobiegające z zewnątrz hałasy. W chwilę później Mack rozpoznał głos Hellburnera Johnsona. Teksańczyk jak burza wpadł do pokoju. Przy boku kołysał mu się peacemaker, a na jego spoconej twarzy malował się lęk.

- Włóczędzy, Mack. Podpalili pawilony.

Mack poszedł po wiszącego na kołku w gabinecie shopkeepera i wyjąwszy go z kabury, umieścił za pazuchą.

Johnson siedział już w siodle. Mack wskoczył na tego samego konia. Zarządca spał wierzchowca ostrogami i ruszył.

Mack czuł słodki zapach drzew i odór dymu. Objął Johnsona w pasie i zaklął na widok płonącego w oddali budynku.

- Dlaczego nie było ostrzegawczego wystrzału?

- Nie wiem.

- Co stało się ze strażnikiem?

- Przestań na mnie krzyczeć. Nie wiem. Trzymaj się.

Johnson skręcił gwałtownie. Galopowali skrajem zakurzonego gościńca. Na końcu drogi Mack dostrzegł ludzi, którzy uwijali się, usiłując ugasić olbrzymi ogień. Płomienie zniszczyły już połowę dwupiętrowego pawilonu.

Z drugiej, jeszcze nie zajętej ogniem części budynku, włóczędzy wyciągali Chińczyków na podwórze. Mack spostrzegł, jak dwóch napastników powaliło jakiegoś robotnika na kolana, po czym obcięło mu warkoczyk, kopiając go jednocześnie w brzuch. Chińczyk krzyknął i w tym momencie otrzymał jeszcze trzy ciosy w plecy. Zemdlny osunął się na ziemię.

Mack wyciągnął kolta. Na podwórzu włóczędzy znęcali się nad zupełnie zdanymi na ich łaskę żółtymi robotnikami, bijąc ich i kopiając. Inni biali ludzie wyciągali z pawilonów dobytek Chińczyków i wrzucali w ogień.

Johnson wstrzymał konia tak gwałtownie, że Mack omal nie spadł na ziemię. Jakiś Chińczyk, na którym tliło się ubranie, wybiegł z płonącego budynku i pognął w stronę drogi, znikając w oddali jak świetlista kometa. Mack zeskoczył z konia i włączył się do walki.

Zauważył przed sobą włóczęgę, który jedną ręką trzymając za gardło jakiegoś robotnika, drugą próbował zadać mu cios nożem. Mack podszedł bliżej, by celniej strzelić, dokładnie wymierzył, po czym nacisnął spust. Włóczęga zawył i chwycił się za nogę. Chińczyk uciekł z krzykiem. Z jego ramienia sterczała czarna rękojeść noża.

Mack nie ryzykował kolejnego strzału. Ludzie wokół niego uciekali, krzyczeli, klęli i walczyli ze sobą. Gęsty dym sprawiał, że z trudem udawało się odróżnić napastników od ofiar. Johnson zrozumiał to w lot. Chwycił rewolwer za lufę i kolbą rozdawał razy włóczęgom. Uderzywszy jakiegoś mężczyznę w szczękę uskoczył, kiedy ten próbował wydrapać mu oczy. Cios nie sięgnął wprawdzie celu, ale paznokcie włóczęgi przeorały policzek Johnsona. Chciał jeszcze udusić zarządcę jego własną chustą, Johnson jednak kolbą rewolwera złamał mu nos.

Ktoś chwycił ramię Macka, ściskając je z całej siły. Nim zdołał się uwolnić, w skroń uderzył go spory kamień. Upadł na ziemię. Włóczęga zarechotał. Na jego żółtej brodzie lśniły kropelki potu. Mack usłyszał z oddali stłumione okrzyki, ale nie miał czasu się nad nimi zastanawiać. Zanim włóczęga zdołał zadać kolejny cios, wpakował mu kulę w udo.

Mack wstał, osłaniając twarz przed bijącym od pożaru żarem. Wszędzie widział Chińczyków uciekających z tym, co udało się ocalić z ognia. Większość z nich wołała nie ryzykować zetknięcia się z ogarniętymi furją napastnikami.

Walcząc zaciekle, Johnson pozbył się wkrótce wszystkich atakujących go włóczęgów i został sam na placu boju. Stał z nisko pochyloną głową, ocierając kapiącą z policzka krew. W jego oczach jarzył się błysk okrucieństwa. Dobiegające od strony drogi okrzyki stały się jeszcze głośniejsze. Po chwili Mack rozpoznał niemieckie przekleństwa Swampy'ego.

Kim Loo zwijał się z bólu na ziemi trzymając się za brzuch. Jego policzki i czoło całe były w sińcach i krwawych ranach. Mack pochylił się, by odciągnąć Chińczyka na bok.

- Uważaj, z lewej strony - usłyszał nagle krzyk Johnsona. Odwracając się, potknął się o nogi Kim Loo i upadł obok ранnego. Kolt wyslizgnał mu się z ręki. Włóczęga skoczył kolanami na plecy Macka, przygniatając go do ziemi.

Gestem, jakby był kapłanem składającym ofiarę na ołtarzu, napastnik uniósł prawą dłoń. W bijącym od ognia świetle załśniło ostrze noża do oprawiania ryb. Włóczęga zacisnął palce na rękojeści i jego ręka zaczęła opadać...

Kula Johnsona trafiła go prosto w pierś. Nóż do ryb wypadł mu z dłoni. Mack wyczołgał się pośpiesznie spod zabitego, odnalazł rewolwer i wstał. Zobaczył, że Kim Loo także podnosi się i ucieka w stronę ciemnej drogi.

Swampy Hellman szedł przez podwórze purpurowy z gniewu. W dłoni ścisnął swego S&W kaliber 45.

- Ty przeklęty sukinsynu, ty śmieciu! Wynoś się stąd! - Uderzył kolbą jednego z włóczęgów, zwalając go z nóg. Miotał się jak błyskawica na tle ognia.

Inni włóczędzy, słysząc dziki skowyt poranionych, nie wytrzymali nerwowo. Odrzucili kamienie, znikając w ciemnościach. Johnson spróbował schwytać jednego z nich za kołnierz, ale mężczyzna odepchnął go i uciekł.

Mack podszedł do teścia, który zdawał się w swoim żywiole.

- Nie powinieneś tu przyjeżdżać.

- Nie wyciągaj z tego fałszywych wniosków, Johnny - wysapał Hellman. - Zrobiłem to dla ciebie, nie dla tych kitajców.

- Lepiej usiądź, zanim upadniesz. - Na policzku Swampy'ego widniał paskudny, purpurowy siniak. - Siadaj! - krzyknął, popychając go. Starzec, któremu nagle zabrakło tchu, co wystraszyło go tak, że oczy wylazły mu na wierzch, usiadł bez protestów.

Mack bezradnie popatrzył na płonący budynek. W pobliżu nie było wody - platforma pomp także płonęła, a następne ujęcie znajdowało się aż o ćwierć mili dalej. Pobiegł ku wysokiej, rozjarzonej ścianie ognia, jak gdyby chcąc zdusić płomienie siłą swojego gniewu.

Poczuł, jak Johnson obejmuje go ramieniem.

- Trzymaj się od tego z daleka. Pawilonu już nic nie uratuje.

- Do diabła, nie mogę stać tu bezczynnie...

- Musisz - Johnson zagroził mu drogę. - Nic się nie da zrobić. Hałasy wokół nich - krzyki, jęki, przekleństwa - powoli ucichły. Pozostał jedynie suchy trzask ognia, który teraz ogarnął już cały budynek. Mack bezradnie zwiesił głowę. Johnson odszedł, chowając do kabury swego peacemakera.

- Całe szczęście, że przynajmniej nie ma wiatru. Ogień sam wygaśnie, nie niszcząc drzew.

Była to prawda. Tryskające z ognia snopy iskier leciały pionowo w górę i nie opadały na ciągnącą się wokół plantację. Mack rozejrzał się za Swampym. Z ulgą zobaczył, że siedzi on w błocie jak tłusciutkie dziecko, niemiłosiernie brudząc swój biały garnitur. Na kolanach trzymał nieodłącznego S&W. Nadal oddychał z trudem.

Kątem oka Mack dostrzegł przy drodze jakiś ruch. Trzech zbitych w gromadkę Chińczyków patrzyło na pożar. Ruszył w ich stronę.

- Możecie wracać, oni wszyscy uciekli. Wracajcie, jesteście bezpieczni...

Kiedy jednak Chińczycy zobaczyli go, rozpierzchli się we wszystkie strony i zniknęli mu z oczu. Mack zatrzymał się po środku zakurzonej drogi. Wszystkie siły i wola walki opuściły go. Ogień trawił teraz strop pawilonu, wydając nowy, jękliwy dźwięk. Z trzaskiem zawaliła się podłoga pierwszego piętra.

Kiedy rozstawiał ludzi, by na wszelki wypadek pilnowali, czy nagły poryw wiatru nie rozprzestrzenia ognia, przybył z wiadomością Johnson, że znaleziono strażnika. Mack ruszył za Tekszańczykiem i ujrzał młodego Chińczyka leżącego obok przydrożnego głazu, bez karabinu, z pustym dzbankiem po

winie śliwkowym na kolanach. Być może zasnął tutaj, ale tego nikt już nigdy nie miał się dowiedzieć, ponieważ napastnicy rozłupali mu głowę. Mack nigdy przedtem nie widział ludzkiego mózgu. Odszedł na bok, czując jak jedzenie podchodzi mu do gardła, a do oczu napływają łzy.

Rankiem do rezydencji przybył przedstawiciel prawa. Po krótkiej rozmowie Mack odprowadził go do drzwi akurat w chwili, kiedy wrócił Johnson. Teksańczyk był zmęczony i brudny.

Mack napełnił kawą dwie filiżanki i zarządca opadł na swój ulubiony, głęboki fotel.

- Zastałem Billy'ego Biggerstaffa na plantacji. Skrzyknie paru chłopaków.

- Co z włóczęgami?

- Wynieśli się stąd. Sami, albo ktoś ich zabrał. Obóz przy drodze jest pusty. Ten, którego zastrzeliłem, leży tu na zewnątrz. Miał to w kieszeni - podał Mackowi poplamiony i wymięty skrawek papieru.

Mack przeczytał nabazgrane na kartce słowa i zmarszczył się gniewnie.

- Ktoś obiecał mu nagrodę, jeśli mnie wykończy. Ktoś, kto podpisał się inicjałem „F”. Jak „Fonso”.

Swampy wszedł do pokoju ze swoim codziennym porannym kuflem piwa. Jego twarz przybrała już normalny kolor. Mack skinął mu głową na powitanie, po czym zwrócił się do Johnsona:

- Ilu Chińczyków pozostało?

- Żaden. Wszyscy zwiali. Masz im to za złe? To byli dobrzy chłopcy. Mack uderzył pięścią w blat biurka z taką siłą, że leżące na nim papiery i przewodnik spadły na podłogę.

Swampy przysunął sobie krzesło i zdmuchnął pianę z piwa.

- Dam ci pewną radę, Johnny, choć ty pewnie wcale jej nie chcesz. Jak na człowieka majątnego, masz niewłaściwe upodobania. Otaczasz opieką złych ludzi. Przydałaby ci się niemiecka szkoła. - Umilkł na chwilę, po czym po namyśle dodał: Mogłeś zostać zabity.

Mack popatrzył na niego, ale nic nie odpowiedział.

Johnson napił się kawy, po czym wyciągnął przed siebie nogi.

- Chyba już pora, żebym stąd odszedł - powiedział. Tego samego dnia spakował się, osiodłał konia i zniknął.

Carla przespala całą tę noc spokojnie. „Pijana” - orzekł Mack. Nie przejął się tym. Kiedy się zbudziła, jej żal z powodu spalonego pawilonu był udawany, podobnie jak jego wdzięczność za okazane współczucie.

Tego samego dnia Mack przypasał kolta i wyruszył do Riverside. Kilka razy pytał o drogę, aż w końcu pojechał na wschód i odszukał małą lepiankę stojącą nad zakurzonym zakolem Santa Ana. Zapukał do drzwi. Otworzył mu otyły Meksykanin w średnim wieku. Rozpoznawszy Macka, cofnął się pośpiesznie w głąb domu.

- Gdzie mogę znaleźć Alfonso Vicente Blasa? - zapytał po hiszpańsku Mack.

- Nie ma go - odpowiedział tamten, jakby z ulgą. - Pojechał odwiedzić krewnych w Mexico City.

- Ale mieszka tutaj, prawda?

- Tak, panie. Jestem jego kuzynem. Nazywam się Carlos. - Puścił framugę drzwi, którą dotąd kurczowo ścisnął. - Ach, rozumiem - powiedział z fałszywym uśmiechem. - Chce pan nająć ludzi do pracy?

- Chcę powiedzieć twemu kuzynowi, żeby nie wracał do Riverside. Jeśli to zrobi, wpakuję mu kulę w łeb.

Fonso Blas nigdy już nie pokazał się w tej okolicy.

Tydzień później, udając się do miasta, Mack zobaczył po drodze pół tuzina postrzępionych namiotów rozbitych tuż przy drodze. Odruchowo sięgnął po kolta, ale oczywiście nie miał przy sobie broni. Z zaciśniętymi ustami podjechał tam, gdzie dwoje dzieci huštało się na gałęzi drzewa. Napięcie opuściło go.

Obdarty starzec z białą jak śnieg brodą i mlecznobiałą skórą przyczłapał z jednego z namiotów i grzecznie skłonił mu się na powitanie. Mack odpowiedział skinieniem głowy. Starzec zakaszłał ciężko i splunął na kępę chwastów.

Milcząc jak duchy, także z innych namiotów zaczęły wyłaniać się obdarci ludzie. Starzec znowu zakaszłał, chwytając się za brzuch. Dzieci przestały się huścić i przyglądały się bez słowa, patrząc na Macka smutnymi oczyma. Nawet wielkie, żółte psisko, które wyczołgało się gdzieś z cienia, było wynędzniałe i ciche. Dotychczas Mack jedynie ze słyszenia znał te namiotowe obozy pełne ciężko chorych ludzi, którzy przybyli do Kalifornii dla jej leczniczego klimatu. Niestety, nie uzdrowił on ich. Jak wielu z nich umrze, pozbawionych złudzeń?

Chorzy jeszcze przez długi czas stali w milczeniu, przyglądając się, jak odjeżdżał.

Jechał traktem u stóp wzgórza. W sadach po obu stronach drogi pracowali w promieniach słońca nowi ludzie: biali i mulaci. Billy Biggerstaff najął robotników szybko i tanio. Mack spiał konia ostrogami, zmuszając zwierzę do galopu. Jego twarz przybrała kamienny wyraz, a oczy patrzyły gdzieś w dal.

Na walkę mistrzów, która odbyć się miała siedemnastego marca w Carson City, Mack pojechał razem z Clive'em Henleyem. Clive nie szczędził przyjacielowi wyrazów współczucia z powodu pożaru.

- Muszę ci jednak powiedzieć - dodał - że inni plantatorzy są zadowoleni z twoich nowych pracowników.

- To świetnie, ale nic mnie to nie obchodzi. Robię interesy dla pieniędzy, a nie po to, żeby przypadkować się ludziom.

Clive ukrył swoje rozczarowanie, zapalając kolejne cygaro. Znajdujący się pod gołym niebem ring, którego widownia pomieścić mogła dwadzieścia tysięcy kibiców, ustawiono na tle ośnieżonych górskich szczytów. Mack i Clive usiedli za narożnikiem Dżentelmena Jima. Mack był podniecony walką i niemal równie mocno podekscytowany trzema ustawionymi przy ringu kamerami.

- Weryskopy - powiedział Clive'owi. - Czytałem o nich.

- Do czego służą?

- To aparaty fotograficzne, które robią zdjęcia na ruchomym pasku kliszy. Po raz pierwszy zostanie zarejestrowana w ten sposób walka bokserów. - Wskazał na ring. Na kamerach dostrzec można było napis: „COPYRIGHTED BY THE VERIS - COPE COMPANY”.

Clive przetarł swój monokl.

- Zaczekaj. Czy oni będą robić nieruchome zdjęcia?

- I tak, i nie.

- Daj spokój, wytłumacz mi to dokładnie.

- Kamera robi całą serię kolejnych nieruchomych zdjęć, kiedy jednak później puści się film w specjalnej maszynie, takiej jak kinetoskop Edisona, obrazki te stają się ruchome. Widziałem, jak gubernator Stanford demonstrował prototyp tego urządzenia już wiele lat temu...

- ... skop taki, skop siaki. Brzmi to bardzo dziwnie, mój drogi. Dziwnie i bezsensownie.

Przeciwnicy weszli na ring witani burzą oklasków. Corbett ważył sto osiemdziesiąt, Fitzsimmons sto siedemdziesiąt dwa funty. Na Dżentelmena Jima stawiano dziesięć do siedmiu, co było zrozumiałe, gdy popatrzyło się na jego rywala: podczas

gdy Corbett tańczył lekko na ringu, Fitzsimmons stapał ciężko, powłócząc nogami. Przez pierwsze dwie rundy ledwie udawało mu się dotknąć Corbetta, który nie szczędził mu ciosów.

W końcu piątej rundy Fitzsimmons został zraniony w twarz i zaczął paskudnie krwawić. Kiedy po gongu wrócił do narożnika, jego żona, Rose, głośno zaczęła ponaglać go do walki:

- Rozgnieć go na miazgę, Bob!

W przeciwległym rogu trener Corbetta, stary Delaney z Oakland, szeptał coś uspokajająco do swego podopiecznego.

W szóstej rundzie Corbett powalił Fitzsimmonsa na ziemię, ale Kornwalijszyk schwycił przeciwnika za nogi i sędzia nie mógł natychmiast rozpocząć odliczania.

- Wstawaj, Bob! - wrzeszczała Rose Fitzsimmons i w końcu, gdy doliczono już do dziewięciu, jej mąż dźwignął się na nogi. Corbett ze złością zawołał, że przez ten czas, kiedy przeciwnik leżał na ziemi, z powodzeniem można by doliczyć do piętnastu, ale sędzia zignorował tę jego uwagę i walka znów się zaczęła.

Pod koniec trzynastej rundy Fitzsimmons zadawał już ciosy na oślep, bardzo rzadko trafiając Corbetta. W czternastej rundzie Dżentelmen Jim pozwolił sobie na chwilę nieuwagi i lewy sierpowy przeciwnika wylądował prosto na jego klatce piersiowej. Opadł na kolana, po czym doliczono do dziesięciu i walka skończyła się. „Cios w splot słoneczny” - orzekł później Delaney. Kibice Corbetta opuszczali widownię zawiedzeni. Przecież tak wyraźnie przewyższał przeciwnika i aż do ostatniej rundy niemal nie pozwalał mu się dotknąć.

Hotelowe przyjęcie, na którym miano świętować zwycięstwo, przerodziło się w stypę po klęsce. Corbett i jego druga żona, Vera, jasnowłosa, krzepka młoda kobieta, krążyli wśród tłumu gości jak ludzie, na których spadło

niespodziewane nieszczęście. Pokonany mistrz przywitał się serdecznie z Mackiem.

- Dziękuję, że tu jesteś. To bardzo wiele dla mnie znaczy. Przykro mi, że tak kiepsko się spisałem.

- Dałeś z siebie wszystko, Jim.

Corbett popatrzył na niego tak, jakby chciał zaprzeczyć tym słowom.

- Kiedy dojdiesz już do siebie po tym wszystkim, chciałbym zaprosić ciebie i twą żonę do Riverside.

- Zobaczymy - mruknął bez entuzjazmu Corbett. - Jeszcze raz dziękuję. - Odwrócił się i odszedł krokiem pokonanego człowieka. Mack rozpoznawał ten chód, ponieważ sam także chodził niegdyś w ten sposób.

Rozdział 37.

Hellburner Johnson zniknął na całe dwa miesiące.

- Byłem w Dolinie Śmierci - powiedział po powrocie. - Odkryto tam wiele żył złota: Randsburg, Joburg, Atolia. Widziałem całe połacie czegoś, co miejscowa ludność nazywa tufem. Pejzaż zaiste księżycowy. Na pewno nie jest to miejsce, które należy odwiedzać.

- I tak się tam nie wybierałem - uśmiechnął się Mack.

Johnson rozejrzył się wokół, nie usłyszawszy chyba nawet odpowiedzi przyjaciela.

- Jak twoja żona?

- Bez zmian. W tym tygodniu jest w San Luis Obispo, gdzie „dla urody” zażywa błotnych kąpiel w Newcomb's Spa. Rozumiem, że chętnie wrócisz do pracy?

- Nie do takiej, o jakiej myślisz. Chętnie na przykład pogram trochę w polo.

- To dobrze, drużyna cię potrzebuje: mamy międzyklubowe zawody w następną sobotę. Carla powinna być już do tego czasu z powrotem, no i mój przyjaciel, Jim Corbett, obiecał w końcu wybrać się do nas na parę dni.

- Ze swoją damą?

- Nie, ona nie może przyjechać. Pakuje się. Oboje z Jimem wkrótce wyjeżdżają do Nowego Jorku. Jim nie wie, co ze sobą począć, odkąd Fitzsimmons go pokonał.

Johnson w zamyśleniu żuł prymkę tytoniu.

- Utrata tytułu musi być dla niego ciężkim przeżyciem.

- Utrata wszystkiego, co nam drogie, jest zawsze ciężkim przeżyciem. - Ogarnęły go wyrzuty sumienia, kiedy wyobraźnia podsunęła mu obraz Nellie.

Wśród hałasu i kurzu Mack galopował przez plac do gry w polo. Od strony ławek dla widowni słyszał okrzyki publiczności kibicującej błękitnej i czerwonej drużynie. Nie zwracał na to uwagi, gnając przed siebie z opuszczonym

młotkiem, którym wybił piłkę w stronę czerwonej bramki. W szóstej i ostatniej rozgrywce czerwoni i błękitni uzyskali po cztery punkty.

Twarz Macka brudna była od potu i pyłu, unoszonego przez końskie kopyta. Jak dużo czasu stracił? Z pewnością zaledwie parę sekund. Spiał ostrogami Jubilee. Zawsze był to najlepszy koń w końcowej partii.

Piłka przeleciała nad kępą zdeptanej trawy, po czym Eric Portfield z drużyny błękitnych pięknym, eleganckim uderzeniem wybił ją w inną stronę. Piłka minęła Johnsona, Macka, Clive'a Henleya i Bunny Bunthorne'a, należących do drużyny czerwonych, i pomknęła do błękitnej bramki.

Mack spiał ostrogami Jubilee i pogalopował naprzód, wyprzedzając Johnsona, który dziś przywdział czerwoną chustę. Reszta zawodników zaznaczała swoją przynależność do danej drużyny noszonymi na rękawie opaskami w odpowiednim kolorze.

- Szybciej, Jubilee! - zawołał, pochylony nad końską szyją. Jeremy Fripp z niebieskich wyprzedził piłkę, po czym spojrzał do tyłu. Dostrzegł galopującego Macka i zmarszczył brwi. Mack był groźnym przeciwnikiem, nie tyle ze względu na swe umiejętności, ile na brawurową odwagę, jaką wykazywał w krytycznych momentach.

Mack zrównał się z Jeremym, którego wierzchołek już po chwili został w tyle, i skierował piłkę w stronę drugiej bramki. Kibice czerwonych poczęli bić brawo. Johnson, Clive i Mack ramię w ramię ścigali się do piłki. Bunthorne nie brał udziału w tej gonitwie. Gorący wiatr owiewał twarz Macka. Spod płóciennego hełmu, który miał na głowie, spływał pot. Nagle natarł na niego jak taran Chitwoode z drużyny błękitnych. Mack szarpnął Jubilee w prawo, gdyż inaczej Chitwoode, który niezbyt dobrze panował nad swoim wierzchowcem, mógłby ją przewrócić.

Z zamieszania skorzystał Johnson i wbił piłkę między słupki bramki. Teksańczyk uniósł się w strzemionach i wymachując młotkiem począł radośnie krzyczeć. Mack zatrzymał Jubilee i zagwizdał.

- Hip hip, hura! - zawołał Clive Henley.

Chitwoode podjechał do Macka z przepaszającym uśmiechem.

- Przeklęty koń, wymknął mi się spod kontroli. Naprawdę nie chciałem faulować, chłopie.

- Tylko co, zabić mnie? - Chitwoode wyglądał na przerażonego. - Daj spokój, nic się nie stało - poklepał ramię winowajcy, czym omal nie spowodował kolejnego zderzenia, bo Chitwoode był bardzo kiepskim jeźdźcem.

Mack zdjął hełm i powiesił go sobie u pasa, podczas gdy pozostałych ośmiu graczy podjechało do wyrysowanej kredą linii, wymieniając gratulacje i wznosząc wesołe okrzyki. Clive wyciągnął rękę do Macka.

- Świetny galop, przyjacielu. Gracze podeszli do ławek widowni. Modnie ubrane damy i dżentelmeni kierowali się już do płóciennego pawilonu, gdzie przygotowano herbatę.

- Wyjątkowo łagodna gra - stwierdził Johnson. - Następnym razem powinniśmy grać bardziej agresywnie. Nie wiem, czy słyszałeś, że kluby ze Wschodu wynajmują ludzi znających mnóstwo nieuczciwych sztuczek. Musimy być gotowi na spotkanie z takimi drużynami.

- Och, H.B., czyżbyś naprawdę sugerował, że powinniśmy zniżyć się do poziomu tych faulujących zawodników? - Człowiekiem, który zadał to pytanie, był Portfield, młody plantator o niewielkich umiejętnościach gry w polo, ale za to o ogromnym talencie jeździeckim. - Jesteśmy dżentelmenami. Gramy w polo dla sportu.

- A jeśli spotkamy się z klubem, który nie przestrzega takich reguł? - zapytał Mack. - Hellburner ma rację. Nie poradzimy sobie z taką drużyną.

- Po prostu nigdy nie staniemy z nimi do walki - odparł Jeremy Fripp.

- A jeśli staniemy - dodał Clive - uczciwość zawsze zwycięży, zobaczycie.

Mack miał co do tego wątpliwości, ale nie spierał się dłużej.

Niejednokrotnie słyszał, jak na placu do gry w polo omawiano faule spowodowane przez konia lub jeźdźca. Dochodziły go także słuchy o tragicznych wypadkach przy takich okazjach. Polo przestawało być sportem zręczności i szybkości, stawało się grą niebezpieczną. Biorąc w niej udział, Mack czuł podniecenie, ale miał też świadomość, że podejmuje pewne ryzyko. Nie zawsze bowiem dobrze kończyły się wypadki, gdy zawodnicy najeżdżali na siebie, żeby odebrać sobie piłkę. Jak dotąd w klubie w Riverside nie doszło jeszcze do nieszczęścia, ale nie oznaczało to, że nie mogło się ono przytrafić w każdej chwili.

Uznał jednak, że nie ma powodu martwić się o to właśnie teraz. Czerwoni wygrali pojedynek i należało się tym cieszyć. Dostrzegł Carłę, która prowadziła do pawilonu Jima Corbetta, zauważył, jak mocno przytulała się do jego ramienia - tak mocno, że Jim chcąc nie chcąc musiał czuć jej pierś. Zmarszczywszy brwi, Mack zsiadł z konia i z czułością poklepał go po szyi. Jubilee była piękną klaczą, zręczną i dzielną.

Niektórzy gracze nadal jeszcze dyskutowali o grze i opowiadali jej szczegóły swym towarzyszkom, które, mrużąc oczy, co chwilę wykrzykiwały słowa podziwu. „Nellie nigdy nie zachowywałaby się tak naiwnie” - uznał Mack, po czym

zgał się w duchu za to, że znowu wraca myslami do dawnej miłości.

- ... ta gra prowadzi od Persów, którzy ćwiczili w ten sposób swoją jazdę. Podobno nawet Mongołowie Czingiz - chana grywali w to, używając jako piłek ściętych głów swoich wrogów.

Mack odpiął pasek z młotkiem i wszedł do pawilonu, kierując się ku Johnsonowi i Portfieldowi. Rozmawiali oni o nowym polu do gry na rogu alej Van Buren i Victoria. Klub wynajmował tam od czasu do czasu dwa piękne place, ale były kłopoty ze sfinansowaniem pawilonu i miejsc dla publiczności. Członkowie klubu spierali się na temat tego, czy pieniądze należy zdobyć przez pobieranie wyższych opłat, czy też przez zwiększenie składki członkowskiej takim klubowym snobom jak na przykład Portfield.

Błękitne oczy Carli lśniły, kiedy podawała Corbettowi herbatę. Wyglądała świeżo i ponętnie w spódnicy i bluzce z białego batystu. Bluzka miała sztywny, wysoki kołnierzyk i żabot ozdobiony kwiatami pomarańczy. Na głowie Carla miała słomkowy kapelusz, a na ramionach letnią pelerynkę, wszystko to - podobnie jak sięgające łokci rękawiczki i parasolka - również w kolorze białym. Było jej w tym wyjątkowo do twarzy, gdyż biel podkreślała złocisty odcień jej opalanej skóry.

Mack ruszył ku żonie i jej gościowi, ale zatrzymał się po drodze, by odebrać gratulacje z powodu zwycięstwa. Do Carli i Corbetta pierwszy dotarł Clive.

- Panie Corbett, to prawdziwy honor mieć wśród naszych kibiców człowieka, który zdobył w swej karierze tytuł mistrza wagi ciężkiej.

Corbett wyraźnie czuł się niezręcznie, trzymając w rękę filiżankę z kruchej porcelany.

- Cieszę się, że mój przyjaciel, Mack Chance, zaprosił mnie tutaj. Ale proszę pamiętać, że jestem tylko byłym mistrzem.

- Gratulacje, kochanie - powiedziała do Macka Carla.

- Dzięki - odparł Mack, biorąc Corbetta pod ramię, by odciągnąć go na bok. Jim nie był już tym pogodnym młodzieńcem, jakiego Mack pamiętał sprzed lat. Był przygnębiony, załamany. Nic go nie interesowało. - Powiedz mi uczciwie, Jim. Co sądzisz o tym, co widziałeś?

- Myślę, że nie jest źle. Powinniście rozegrać mecz z drużyną Bay Area, reprezentującą Burlingame Country Club.

- Czy to klub, który mieści się na terenie tej nowej posiadłości w South Bay? - zapytała Carla.

- Tak. Burlingame Park. Wyjątkowo drogie miejsce. I ekskluzywne. Członkowie klubu utrzymują, że ich plac do gry w polo jest lepszy od tego w Newport. Drużyna ma w swych szeregach dwóch czy trzech wynajętych graczy.

- Z pewnością żaden z nich nie jest tak dobry jak nasz oryginalny teksański kowboj - powiedział ktoś, klepiąc Johnsona po plecach.

- Jim, jest tu piekielnie gorąco - powiedziała Carla. - Czy możemy trochę pospacerować? Przez ten czas opowiesz mi więcej o Burlingame. - Odebrała od niego pustą filiżankę i ponownie ujęła go pod ramię.

Corbett zauważył uśmiech, jakim żona jego przyjaciela obdarza swego męża. Postarał się więc, by jego odpowiedź była możliwie powściągliwa.

- Zdaje mi się, że powinienem powoli się zbierać. Nie chciałbym całego pakowania zostawiać na barkach Very...

- Och, jestem rozczarowana. Czy naprawdę nie możesz poświęcić mi pięciu minut? Jasne, że możesz. Mój ojciec wspominał mi o Burlingame, a poza tym do tego klubu należy pewien zaprzyjaźniony ze mną dżentelmen, pan Fairbanks.

Muszę usłyszeć wszystko... - Wyprowadziła Dżentelmena Jima z pawilonu, muskając palcami jego policzek i szepcząc mu coś na ucho. Mistrz bokszerski poczerwieniał.

Żona Bunthorne'a, Mavis, znana plotkara, zadzwoniła filiżanką o spodeczek, by skupić na sobie uwagę stojących obok pań.

- Kogo ona poślubiła? - usłyszał Mack. - Chance'a czy pana Corbetta? Ktoś obcy mógłby mieć co do tego poważne wątpliwości.

- Co za przedstawienie - powiedział ze złością Mack. - Wprost się na niego rzuciłaś!

- Nieprawda. Jesteś zazdrosny i dlatego tak mówisz.

Mack odciągnął ją od pawilonu w stronę ławek dla publiczności. Pozostali zawodnicy i widzowie ruszyli ku swym powozom i karocom.

- Nie podoba mi się, kiedy flirtujesz w ten sposób. Wszyscy widzieli, co robisz. A w każdym razie zwrócili na to uwagę w chwili, kiedy Mavis ogłosiła to wszem i wobec swym donośnym głosem. Jim był bardzo zmieszany.

- Nic takiego nie mówił.

- Jest na to zbyt dobrze wychowany.

Corbett rozstał się z nimi dziesięć minut wcześniej. Johnson miał odwiedzić go na stację Santa Fe.

- Przez cały weekend martwiłeś się, że twój przyjaciel jest taki przygnębiony - odparła Carla. - Chciałam go tylko rozweselić.

- Wyglądało to na coś więcej. Jim jest żonaty. Nie wolno ci rzucać się na żonatyh mężczyzn. Szeptalaś coś do niego i dotykałaś go...

Carla roześmiała się. Jej rozpuszczone włosy powiewały na wietrze.

- Czasem jesteś okropnie pruderyjny. Nie sądziłam, że to zauważysz. Przy innych okazjach ledwie mnie dostrzegasz.

- I właśnie dlatego tak się zachowywałaś? Po to, żeby zwrócić na siebie moją uwagę?

- Owszem. I odegrać rolę skrzywdzonego niewiniątka.

- Na litość boską, Carla, skończ tę głupią grę.

- Jesteś zazdrosny? Zazdrość jest wstrętna... Mack ścisnął jej nadgarstek.

- Carla...

- Idź do diabła - odparła, wyrywając mu się i idąc wzdłuż wymalowanej kredą linii. - Clive - zawołała. - Clive, mój drogi, zaczekaj. Muszę z tobą porozmawiać.

Tego dnia Mack opuścił biuro o wpół do jedenastej. Villa Mediterranean była cicha i milcząca. Wyłączono już na noc elektryczność, a oświetlenie gazowe zostało przykręcone do minimum. Kiedy Mack po porannym meczu wycierał Jubilee, Carla poprosiła Clive'a, aby zawiózł ją do domu. Nie zeszła na kolację. Jak wyjaśniła jej służąca, spała.

Mack przeszedł przez mroczny hol na piętrze, kierując się ku podwójnym drzwiom sypialni. Nacisnął klamkę.

Drzwi nie ustąpiły.

Zapukał delikatnie.

- Carla?

Odpowiedziała mu cisza.

Zapukał ponownie, tym razem głośniej.

- Otwórz, proszę. Byłem zmęczony po grze. Straciłem panowanie nad sobą. Wiem, że to był tylko zwykły flirt. Chciałem cię przeprosić.

Suknie, buty i inne części garderoby leżały porozrzucane na łóżku i dywanie, a kufry i walizy, puste, bądź na wpół spakowane, stały porozstawiane po całym pokoju. Carla siedziała na łóżku, wpatrując się w zamknięte drzwi. Jej rozpuszczone włosy wiły się na ramionach złotymi lokami, rozchylone poły zdobionego koronką jedwabnego szlafroka

ukazywały krągłość jej ud. Niepewną ręką dolewała sobie do szklanki burbona.

„Nieco za późno, nie wydaje ci się? Jesteś zawsze tak bardzo w porządku wobec wszystkich. Wobec swoich koni, ropy, drzewek pomarańczowych, wszystkiego, co wypełnia twe życie, prócz mnie. Jak mam dać ci to do zrozumienia?”

- Zwykły flirt? - rzuciła przez drzwi, pociągając solidny łyk burbona. Kilka jego kropel spłynęło jej po brodzie, między piersi. - Nie bądź tego taki pewien, kochanie.

Jej dobiegający zza drzwi głos był ochryply i stłumiony. Macka ogarnęły mdłości: Carla znowu się upiła. Usłyszał brzęk upadającej butelki.

- Nie bądź tego taki pewien - powtórzyła. Chwycił klamkę i potrząsnął drzwiami.

- Carla, to niepoważne - zawołał.

Odpowiedziała mu całkowita cisza.

- Otwórz drzwi! - Tym razem nie zapukał w nie, lecz załomotał pięściami, poczerwieniały z gniewu.

Wielkie łzy zmywały tusz z jej rześ i spływały po twarzy. „Ty sukinsynu. Czemu nie możesz mnie kochać? Czy naprawdę zupełnie nie jestem tego warta? Czy ona jest o tyle lepsza ode mnie?”

Mack ponownie załomotał do drzwi.

- Czy chcesz, żebym je wyważył?

Płacząc, zamachnęła się i rzuciła szklanką prosto w drzwi. Kryształowe szkło rozprysło się na drobne kawałki, raniąc ją w policzek. Jęknęła i przycisnęła dłoń do twarzy. Pomiedzy jej palcami ukazały się rubinowe kropelki. Spód szklanki potoczył się po podłodze i burbon wypłynął dołem spod rzeźbionych drzwi do holu.

Na dźwięk tłuczonego szkła Mack odskoczył od drzwi, ale w chwilę potem znowu zapukał w nie otwartą dłonią.

- Carla?

Żadnej odpowiedzi.

Przyłożył ucho i usłyszał coś, co mogło być bełkotem lub stłumionym płaczem. Postanowił dać spokój. Włożył ręce w kieszenie bonzurki i zszedł na dół.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, zapalił lampę gazową w kąciu bibliotecznym - kwadratowej wnęce aż po sufit wypełnionej regałami z książkami. To było jego schronienie, miejsce, do którego uciekał kryjąc się przed światem i szukając wytchnienia.

Dookoła wielkiego, głębokiego fotela znajdowały się książki z różnych dziedzin, wszystkie wychodzące w Los Angeles gazety z ostatnich czterech dni i egzemplarze „San Francisco Examiner”, co tydzień dostarczane tutaj pocztą.

Na jednej z półek Mack zbierał artykuły dotyczące statków parowych oraz opisy największych amerykańskich okrętów, takich jak „Alva” Williama Vanderbilta, „Corsair II” Morgana, czy też „Namouna”, piękny, dwudziestosiedmiostopowy statek, zbudowany na zamówienie potentata prasowego, Gordona Bennetta. Mack miał pełen spis wspaniałych mebli, jakie znajdowały się na „Namounie”, a także kominków, płaskorzeźb i dekoracji. Z licznych opisów i zdjęć powoli wyłaniał się obraz jego własnego wymarzonego jachtu. Zaczął nawet robić na jego temat notatki i rysować szkice.

Inną półkę zajmował zbiór zdjęć i tekstów poświęconych bezkonnym pojazdom. Bez wątplenia nadchodziła teraz ich era. Przemysłowcy i konstruktorzy wciąż zastanawiali się nad najlepszym źródłem energii. Benzyna? Prąd elektryczny? Para? I jak nazwać taki wehikuł? W prasie toczyły się na ten temat nie kończące się dysputy, ale nie padała żadna, możliwa do przyjęcia, nazwa. Czasem określano ten pojazd mianem „automatu”, czasem „petrowozu”, kiedy indziej zaś „motoru” lub „motocykla”.

Mack wiedział jedynie, że chce coś takiego mieć. Jednym z jego ulubionych sposobów spędzania czasu było wczytywanie się w długie sprawozdanie z wielkiego wyścigu, który odbył się w Chicago w 1895 roku, w dniu Święta Dziękczynienia. Tego właśnie dnia, po gwałtownej zamieci, sześć dziwnych pojazdów pognało z Jackson Park przez całe wybrzeże do Waukegan i z powrotem. „Elecrobot” i „Sturges Electric” ścigały się tam z „motorowym wozem” wyprodukowanym przez braci Duryeaów i trzema zbudowanymi przez Niemców benzynowymi autami. Po ośmiu godzinach wyścigu, rozwijający prędkość siedmiu mil na godzinę zwyciężył wóz Duryeaów. Mack czasami zamykał oczy i wyobrażał sobie siebie samego prowadzącego taki pojazd po oblodzonej drodze, z dłońmi zaciśniętymi z całej siły na kierownicy i co jakiś czas sięgającymi ku ostrzegawczej, mosiężnej trąbce. Pragnął bezkonnego pojazdu i ów nowy wynalazek podniecał go. Chciał być pierwszym, który go wypróbuje, posiadać na własność, pokaże innym. Miał już dość pieniędzy, by spełnić swoje marzenie.

Ale tej nocy nie pozwolił sobie na żadne mrzonki o bezkonnym pojazdach. Na skórzanym fotelu leżał ważny dokument prawny. Przykrył płomień gazowej lampy i zabrał się do czytania siedemdziesięciosześciostronicowego tekstu dotyczącego utworzenia San Solaro Irrigation Inc., przedsiębiorstwa rozprowadzającego wodę, które powstawało pod Wright Bill. Przygotowany przez Pottera dokument zakładał, że sieć rur będzie kiedyś należeć do mieszkańców miasta: na każdą budowlaną parcelę przypadłoby po dziesięć akcji przedsiębiorstwa.

Ledwo zdając sobie sprawę z tego, co czyta, prześlizgnął się wzrokiem po suchych, prawniczych paragrafach. Nie mógł oderwać myśli od Carli. Około wpół do drugiej posłyszał w holu jakiś hałas. Zerwał się na równe nogi, ale jego pełen

oczekiwania uśmiech zniknął w jednej chwili. Zbliżające się kroki były zbyt ciężkie. Czyżby któryś ze służących?

Rozległo się delikatne pukanie i Johnson wsunął głowę przez szparę w drzwiach.

- Zobaczyłem światło. Czy coś się stało? Nie możesz spać?

- Mam robotę - odparł Mack.

Johnson ziewnął. Na jego policzkach widniał kilkudniowy zarost.

- A ja tańczyłem i radowałem się - powiedział wchodząc i nalewając sobie solidną porcję najlepszej whisky Macka, sprowadzanej aż z Tennessee. Nie musiał pytać o pozwolenie. Byli przyjaciółmi.

- Siadaj - Mack wskazał mu fotel.

Johnson łyknął whisky i z ulgą zsunął buty z nóg. Mack też nalał sobie trochę. Był to pierwszy mocniejszy trunek, jaki pił od bardzo dawna.

- Co czytasz?

- Dokumenty przedsiębiorstwa, które ma rozprowadzać wodę. Muszę się tym zająć, choć wolałbym raczej projektować mój przyszły jacht.

Johnson śmiał się. Światło gazowej lampy zamigotało w jego zielonych oczach.

- Przysięgam na Boga, Mack, że nigdy nie spotkałem człowieka tak łasego na wszelkie nowinki techniczne.

Mack odprężył się i oparł nogi o regał z książkami.

- Myślę, że ma to związek z tutejszym klimatem - odparł. Alkohol rozgrzewał jego wnętrze, ale nie serce.

Johnson obserwował go uważnie.

- Nie czujesz się ostatnio zbyt dobrze - stwierdził w końcu. Mack nie odrywał wzroku od szklanki.

- No wiesz, ten pożar...

- Och, tu nie chodzi o pożar. Przeżyjemy jakoś tę stratę. Po prostu twoja duma została urażona, kiedy musiałeś wynająć tych ślamazarnych białych chłopaków. Ale to jeszcze nie wszystko - w końcu ja i Biggerstaff jakoś sobie z nimi radzimy. Chodzi o coś innego. - Umilkł na chwilę. - O co?

Mack potrząsnął głową.

- Widzę, że znasz mnie zbyt dobrze, Hugh - powiedział powoli, ze skrepowaniem. - Zawsze, od dnia, kiedy zszedłem w dół z Sierry i rozejrzawszy się wokół stwierdziłem: „Boże, a więc dokonałem tego, jestem w Kalifornii”, zawsze brakowało mi mnóstwa rzeczy. Czasem był to nocleg, czasem jedzenie. Bywały nawet dni, kiedy obawiałem się o swoje życie. Ale nigdy nie brakowało mi nadziei.

Otwierałem ten przewodnik i nigdy jej nie traciłem. Aż do ostatnich dni.

Stojący w gabinecie zegar tykał głośno. Johnson bez słowa obracał w dłoniach szklanę. Sądził, że Mackowi dobrze zrobi, jeśli wyrzuci z siebie to, co go gryzie. O ile zdoła...

- Sprawy z Carlą nie mają się dobrze... - zaczął Mack.

- To żadna niespodzianka. Przykro mi to mówić.

- A ja nie widzę sposobu, jak to wszystko rozwiązać. Za każdym razem, kiedy próbuję, przegrywam.

- Może to dlatego byłeś ostatnimi czasy taki poirytowany, niecierpliwy. Jak młody żreback, któremu po raz pierwszy wsadzono na grzbiet siodło.

- Parszywy z ciebie drań. Johnson wzruszył ramionami.

- Skoro wolisz pochlebstwa i piękne słówka, wracam do łóżka.

- Nie, zostań. Masz rację. Bardzo trudno przyznać, że się przegrało.

- Być może nie jest to tylko twoja wina. Mówiłeś, że Hellman ostrzegał cię, byś nie pakował się w to małżeństwo. Choć czynił to niezbyt gorliwie, trzeba przyznać.

- To prawda. Carla jest znudzona. Zaczęła się nudzić już w pół roku po miodowym miesiącu.

- I to właśnie dlatego dziś po południu, zaraz po meczu, kazała służbie spakować swój bagaż? Dlatego, że się nudzi?

Mack wyprostował się w fotelu, zaniepokojony.

- Spakowała się?

- Poszedłem do kuchni nalać sobie filiżankę kawy i tam o tym usłyszałem. Od pewnej małej, z którą sypiam. Na imię jej Nuncia. Powiedziała mi, że senora wyjeżdża rano do Los Angeles. Wybiera się tam na kilka dni na zakupy.

- Pierwsze słyszę - odparł z ulgą Mack, który przez moment obawiał się, że Carla chce go opuścić na dobre. Uczucie ulgi szybko jednak ustąpiło miejsca urazie, że żona nie poinformowała go o swoich planach. Biorąc jednak pod uwagę scenę, jaką zrobił na placu do gry w polo, nie miał prawa winić jej za to.

- Sądzę, że powinieneś po prostu pójść na górę i położyć kres waszym nieporozumieniom.

Mack zastanowił się.

- Nie - powiedział w końcu. - To by tylko wszystko pogorszyło. Parę dni beze mnie dobrze jej zrobi, uspokoi ją. Poczekam, aż wróci i wtedy spróbuję z nią porozmawiać. Nalej mi jeszcze jedną szklaneczkę.

Rozdział 38.

Pięć dni później Mack wsiadł w pociąg Santa Fe, by pojechać do miasta. Najpierw udał się do Los Angeles Litho Company, aby obejrzeć matryce etykietek przedstawiających starego plantatora. Zrobiono je do różnych kolorów: czerwonego, różowego, granatowego, błękitnego, żółtego i czarnego, a także do kompozycji wszystkich tych sześciu barw.

Omówiono szczegóły i Mack, nie szczędząc słów zachwyty, podpisał zamówienie i udał się do Baker Block, gdzie spędził dwie godziny z Enrique Potterem nad papierami przedsiębiorstwa irygacyjnego.

- Pewien znany ci ksiądz założył tu w mieście biuro - powiedział prawnik, kiedy skończyli. - Tyle tylko, że nie jest już księdzem. Kościół go ekskomunikował. Mieszka razem z dziewczyną.

Mack zapytał o adres. Biuro mieściło się w nędznej dzielnicy na południu miasta. Wędrując przez zalane słońcem ulice, ponownie nie mógł nadziwić się zmianom, jakie zaszły tu od czasu, gdy zobaczył Los Angeles po raz pierwszy. Większość nędznych, glinianych chat zniknęła, zburzona, by zrobić miejsce dla wyższych, granitowych i ceglanych budynków. Elektryczne tramwaje mknęły po lśniących szynach ułożonych pośrodku wyasfaltowanych ulic. Łatwo można by pomylić to miejsce z miastami na Wschodzie, gdyby nie wznoszące się w tle góry i błyszczące w słońcu, pracujące na okrągło przez całą dobę pompy szybów naftowych, jakich pełno było w północnej i zachodniej dzielnicy przemysłowej. Mack już dawno temu uznał, że są one wyjątkowo brzydkie, ale mimo to lubił je. Może dlatego, że ich obecność symbolizowała rozwój, pieniądze, podejmowanie ryzyka: wszystko to, z czym kojarzyła mu się Kalifornia.

Wkrótce opuścił zatłoczone ulice pełne turystów i znalazł się w dzielnicy, zamieszkałej głównie przez białych i meksykańskich włóczęgów, którzy spoglądali na niego z głębi cantinas. Zauważył to, ale nie obawiał się niczego. Na biodrze, pod płaszczem, kołysał mu się gotowy do strzału kolt. Wiedział jednak, że nie będzie musiał go używać. Jego wzrok i postawa sprawiały, że chodnik przed nim był pusty.

Pod wskazanym adresem wspiał się na zaśmiecone schody i minął brudny, zapluskwiony korytarz prowadzący do solidnych drzwi z przyczepioną do nich tabliczką o treści: „LIGA PRACY W LOS ANGELES”.

Nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Zapukał.

- Quien es? - usłyszał głos Marqueza.

- Es el señor Mack Chance, Diego. Rozległy się ciężkie kroki i drzwi uchyliły się.

- Mój przyjacielu! - wykrzyknął Marquez, ściskając Macka. Mack poczuł odór potu i czosnku oraz zatechły smród nie zmienianego zbyt długo ubrania. Obecna w pokoju dziewczyna kryła się za plecami Marqueza. Była bosa, miała pełne piersi i wyglądała jak wystraszone i wygłodniałe zwierzątko. Jej włosy były proste, brązowe z jaśniejszymi pasemkami. Lśniące piwne oczy spoglądały na Macka z lękiem. Jej obecność tutaj była dla niego wstrząsem nie mniejszym niż ubogi wygląd małego biura. Składało się z dwóch niewielkich pokoików, z których jeden w całości zajmowało olbrzymie, tandetne biurko. Brudne okno wychodziło na podwórze, gdzie właśnie spierały się o coś ze sobą dwa koty. Przez uchylone drzwi do sąsiedniego pomieszczenia Mack dostrzegł gazowy palnik, stosy szmat i rozłożony wprost na podłodze barłóg, wystarczająco szeroki dla dwóch osób.

Mack uśmiechnął się, by ukryć niesmak. Ojciec Marquez, zawsze dość korpulentny, przytył jeszcze jakieś trzydzieści czy czterdzieści funtów, co szczególnie uwidaczniało się w jego brzuchu, wylewającym się znad paska spodni. Były ksiądz miał też dłuższą niż niegdyś brodę przetykaną srebrnymi pasmami. Na nogach nosił sznurkowe sandały, z których wystawały brudne palce nóg.

- Miło cię widzieć, Diego.

- Ciebie także - uśmiechnął się szeroko Marquez. - Co za widok! Co za strój! El millonario.

- Niezupełnie - odparł Mack, zerkając ku dziewczynie.

- Och, wybacz mi - powiedział Marquez, po czym zwrócił się po hiszpańsku do swej towarzyszki: - Felicia, to senor James Macklin Chance. Dobry, przyzwoity człowiek, chociaż kapitalista. Czy zechcesz pobiec na róg i przynieść nam butelkę czerwonego wina? - Rzucił jej monetę, którą schwyciła w locie, jak posłuszny szczeniak. Marquez starannie zamknął za nią drzwi na klucz.

Mack zdjął swój kremowy, ranczerski kapelusz i położył go na zasłanym broszurami i plakatami biurku. Na ścianie wisiała olbrzymia mapa stanu. Kropki, kreski i tajemnicze napisy w różnych kolorach pokrywały całą Central Valley oraz tereny wokół Los Angeles.

- Gdzie poznałeś tę dziewczynę?

- Koło Fresno. Organizowałem tam wiec robotniczy. Jej ojczym hodował melony i traktował swych robotników jak niewolników. A nawet jeszcze gorzej: jak bydło! Felicia ma dziewiętnaście lat. Ten człowiek poślubił jej matkę dziewięć lat temu i zaczął wychowywać pasierbicę w żelaznej dyscyplinie. Obiecał, że zlinczuje mnie, jeśli dziewczyna ze mną ucieknie, ale tylko blefował. Felicia pomaga mi w pracy i wie dzie teraz lepsze życie niż kiedykolwiek przedtem. Poza

tym, przez wiele lat żyłem w celibacie i mam mnóstwo do nadrobienia.

Błysk w jego oczach ostrzegał: „Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia, i proszę nie zadawać mi więcej żadnych pytań.”

Marquez podsunął mu jedyne krzesło i Mack, nie robiąc ceremonii, usiadł. Były ksiądz powiedział, że często opuszcza swoją „kwaterę główną”, udając się wszędzie tam, gdzie czuje się potrzebny. Pomaga robotnikom organizować związki, o ile tylko starcza im odwagi, aby przeciwstawić się groźbom przemocy i prześladowaniom ze strony pracodawców.

- Założyłem kolejną organizację, ale nie jest już ona tak popularna, jak ta pierwsza - wyznał. - A jak żyje się tobie?

- Nieźle. Ożeniłem się. Wiedziałeś o tym?

- O tak, doszły mnie jakieś słuchy. Los Angeles to nadal małe miasto, a ty jesteś tu w okolicy ważną figurą.

- Jestem właścicielem kilku plantacji pomarańczy...

- W Riverside - skinął głową Marquez. - A więc teraz złoto kapie ci do rąk zarówno z drzewek, jak i z czarnych czeluści szybów naftowych. To wspaniale. W dniu, kiedy cię poznałem, wyznałeś, że chcesz być bogaty. Gratuluję! - W jego głosie nie było szyderstwa ani wyrzutu.

Felicia wróciła z glinianym dzbankiem wina. Postawiła go na stole, po czym położyła dłoń na ramieniu Marqueza i wspiąwszy się na palce, pocałowała go w policzek. Uśmiechnęła się i wymamrotawszy coś, zniknęła w sąsiednim pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Mack nie miał ochoty na wino o tej porze, przez grzeczność pozwolił sobie jednak nalać pół szklaneczki.

- To od mego prawnika dowiedziałem się, że założyłeś w Los Angeles biuro. Marquez obserwował bawiące się na podwórzu koty.

- Nie jest to zbyt imponujący sztab jak na czasy wojny, co? Mamy jednak mało pieniędzy. „My” - to znaczy nasz ruch. A i te, które mamy, lepiej wydawać na ulotki i wynajmowanie sal na zebrania.

- Czemu wybrałeś akurat Los Angeles? Były duchowny wskazał poniewierający się na biurku egzemplarz „Timesa”.

- Ponieważ w całej południowej Kalifornii nie ma potężniejszego szatana niż Otis. To Antychryst i zguba robotników. Niemal nie ma dnia, by nie wystąpił z jakimś atakiem, najczęściej zupełnie bezinteresownym... - Przerzucił kilka stron gazety, znalazł to, czego szukał, i zaczął czytać na głos: - „Pijani włóczędzy i zdegenerowane nieroby z nielegalnych komunistycznych grup znowu szerzą wśród nas niepokój.”

Mack roześmiał się.

- Ho, ho, co za pompatyczny styl.

- Uznałbym to nawet za zabawne, gdyby nie było tak pogardliwe w tonie i, co tu dużo mówić, niebezpieczne. Tutaj wygrał już bitwę. Czy wiesz, jak zaczęto nazywać tę twierdzę plugawej propagandy? Ottistown. - Marquez podarł gazetę i rzucił jej strzępy na podłogę.

Za ścianą Felicia śpiewała cicho jakąś hiszpańską kołysankę. Marquez zerknął na drzwi wiodące do sąsiedniego pokoju i jego twarz złagodniała. Mack odstawił szklaneczkę z winem na biurko i sięgnął po płaszcz.

- Chętnie wspomógłbym jakimś datkiem tę twoją działalność.

- Nie mam żadnego interesu w sprzedawaniu rozgrzeszenia bogaczom.

- To, co powiedziałaś, cholernie mnie obraża - odparł Mack wstając i kierując się ku wyjściu.

- Tak - przyznał Marquez zmarszczywszy brwi. - Chyba masz rację. Przepraszam. Tak przywykłem do tego, że każdy

rozmówca jest moim wrogiem, iż zupełnie zapominam o moim chrześcijańskim wychowaniu. - Położył rękę na ramieniu Macka. - Chętnie przyjmę od ciebie datek. Anonimowo bądź też jawnie, jak sobie życzysz.

- Wolę anonimowo. - Wydawało się, że ta odpowiedź rozczarowała Marqueza, nic jednak nie powiedział. Mack wypisał mu czek na tysiąc dolarów. - Dziękuję - skłonił się Marquez, po czym zerknął na wypisaną sumę. - Dzięki... madre de Dios! - wykrzyknął. - To prawdziwy cud! Bądź pewien, że zużyjemy te pieniądze na dobry cel. - Pośpiesznie złożył czek i wsunął go do kieszeni koszuli. - Jesteś dobrym człowiekiem, Mack. Jeszcze raz cię przepraszam za moje zachowanie. Słyszałem, że dzielnie broniłeś swoich chińskich robotników.

- Niepotrzebnie. Wszyscy plantatorzy byli przeciw mnie, ponieważ oferowałem wyższe zarobki. No i doprowadziłem do tego, że powtórzył się rok 1893. Po pożarze nie mogłem już najać ani jednego Chińczyka.

Marquez założył ręce na plecy i w zamyśleniu popatrzył na kolorowo pokreśloną mapę.

- To pod wieloma względami wspaniały stan, pełen promienistej nadziei zdobycia bogactwa. Ale niektórzy, gdy już dochrapią się majątku, nie chcą dzielić się Kalifornią z innymi. Szczególnie z takimi, których kolor skóry i język różni się od ich własnego...

- Muszę iść, Diego.

Marquez przez chwilę patrzył na niego w napięciu, nie mrugając powiekami.

- Wyglądasz na przemęczonego i przepracowanego, przyjacielu - powiedział, ocknąwszy się po chwili z zamyślenia. - Czy wszystko u ciebie w porządku?

Mack miał ochotę skłamać, ale spojrzenie byłego duchownego zmuszało go do szczerości.

- Nie. Przegrałem swoją własną bitwę. - Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Przybyłem do Los Angeles, aby odszukać moją żonę. Mieliśmy pewne nieporozumienie...

- Nie będziesz miał problemu z odnalezieniem jej. Widziałem ją wczoraj. Piękna kobieta. Wszyscy ją znają. Sądzę, że zatrzymała się w Pico House. - Ponownie położył ciężką dłoń na ramieniu Macka, jakby chciał dodać mu otuchy i życzyć powodzenia.

- Dziękuję, Diego. Uważaj na siebie.

- Ty także. Może Wszechmogący uchroni nas przed spotkaniem się kiedyś jako wrogowie.

- Czeka cię jeszcze wiele bitew.

- Mnóstwo. Bóg z tobą.

- Tak, proszę pana, oczywiście, jest w hotelu - poinformował go recepcjonista w Pico House. - Nie dalej niż dziesięć minut temu zeszła do jadalni.

Szybkim, energicznym krokiem Mack skierował się do jadalni. Usłyszał dobiegającą stamtąd muzykę i zrobiło mu się rażniej na duszy. Pomyślał, że pogodzi się z Carlą, która na pewno ucieszy się na jego widok i chętnie przyjmie propozycję wspólnego powrotu do domu w Riverside. Może spróbuje zainteresować ją swoimi planami budowy jachtu? Mogłaby też pomyśleć o zmianie mebli, podróży do Europy.

- Dzień dobry, sir - powitał go portier stojący w drzwiach prowadzących do jadalni.

- Nazywam się Macklin Chance. Podobno jest tutaj moja żona. Spłoszony wzrok portiera powinien był go ostrzec.

- Oczywiście, senor Chance. Proszę tędy.

Carla siedziała przy stoliku w kącie. Nie była jednak sama. Jadła obiad pogrążona w rozmowie z Walterem Fairbanksem. Macka w jednej chwili opuścił dobry nastrój. Gdy Carla zauważyła go, przez chwilę na jej twarzy odbiło się niezadowolenie.

- Mack, mój drogi. Nie miałam pojęcia, że pojawisz się dzisiaj w Los Angeles.

- Miałem do załatwienia pewne interesy z Potterem. - Zdjął kapelusz i obrzucił towarzysza swej żony chłodnym spojrzeniem.

- Witaj, Chance. - Fairbanks niechętnie skinął na kelnera.
- Jeszcze jedno krzesło, proszę.

Kelner przyniósł je natychmiast od sąsiedniego stolika. Mack jednak nie usiadł. Zauważył na srebrnej tacy ciemnozieloną butelkę po winie. Pustą. Podobnie jak oba kieliszki. To wyjaśniało silne rumieńce na policzkach Carli.

- Usiądź - poprosiła.

- Nie chciałbym przeszkadzać...

Spojrzenie zimnych, szarych oczu prawnika powiedziało mu, że właśnie to robi. Usiadł.

Walter Fairbanks był równie elegancki i wymuskany jak zwykle, a wąsy przycięte miał tak starannie, że wyglądały jak narysowane. Jego szaroniebieski kapelusz, zamszowe rękawiczki i laska ze srebrną gałką leżały na wąskiej półeczce obok stolika.

Carla spoglądała na nich obu, jakby oczekując, że zaraz wybuchnie awantura. Może nawet miała nadzieję, że to nastąpi? Fairbanks pstryknął palcami i zamówił kolejną butelkę „Chardonnay'a" oraz trzeci kieliszek. Muzyczne trio zaczęło grać The Emperor Waltz.

- Przyjechałem tu w interesach - wyjaśnił Mackowi Fairbanks. - Nie sądziłem, że spotkam tylu dawnych przyjaciół - uśmiechnął się do Carli. - Wpadliśmy na siebie zupełnie przypadkowo na Main Street. Twoja żona wychodziła właśnie ze sklepu z sukniami, a dwóch murzyńskich chłopców niosło całe sterty pakunków.

Carla dotknęła ramienia Macka.

- Pewnie dostanę od ciebie burę, kiedy zobaczysz te wszystkie pudła od Mademoiselle Claudine. Ale nie złość się zbytnio, dobrze?

Kelner otworzył wino i nalał odrobinę do kieliszka Fairbanksa. Prawnik skosztował trunku i z aprobatą skinął głową.

- Może być - stwierdził.

Mack uważnie przyglądał się swojej żonie, tak nagle ożywionej i pogodnej. Reagowała w ten sposób na fałszywie grzeczne i układne zachowanie Fairbanksa.

Kelner napełnił kieliszki i odszedł. Spróbowali wina. Carla wypila go nieco więcej niż oni.

- Słyszę, że nadal wyrzucasz pieniądze na tę idiotyczną linię kolejową biegnącą przez dolinę - powiedział prawnik.

- Cóż jest idiotycznego w konkurencji?

- Gdy chodzi o sport - nic. Pochwalam ją. Ale...

- Kiedy linie San Francisco i San Joaquin zostaną ukończone - przerwał mu Mack - farmerzy i rzemieślnicy nie będą już musieli płacić za przejazd tyle, ile zażąda od nich wasza rada nadzorcza. Będą mieli wybór: waszą kolej albo Kolej Ludową.

Fairbanks uśmiechnął się szeroko.

- Cóż za wspaniała nazwa! Rozumiem, że taki narwany cudzoziemiec jak Adolph Sutro przystał na ów plan, ale co skłoniło do tego Clausa Spreckelsa? Jest przecież rodowitym Amerykaninem. No i zawsze chciał, by szanowano go w San Francisco.

Mack roześmiał się.

- Walterze, mało ci, że ty i twoi pryncypałowicze macie na własność trzy czwarte rządu stanowego i że trzymacie na smyczy wielu polityków w Waszyngtonie? Uważasz, że każdy bogaty człowiek w Kalifornii powinien płaszczyć się przed wami?

- Nie chodzi tu o „płaszczanie się”, jak byłeś uprzejmy to nazwać. Oczekujemy po prostu współpracy, która leży w interesie każdego inteligentnego człowieka, należącego do pewnej klasy. Ludzie z towarzystwa, dobrze urodzeni...

Fairbanks paplał dalej. „Do diabła z nim” - pomyślał Mack. Wyprostował się na krześle i wziął ze stołu butelkę z winem. Kelner ruszył w jego stronę, ale nim zdążył podejść, Mack napełnił już swój kieliszek. Kilka kropel kapnęło na obrus.

- Jak wiesz, ja nie spełniam warunków, o których mówisz. Nigdy ich nie spełniałem. Przynajmniej w twoich oczach, Walterze.

Opróżnił kieliszek jednym haustem, tak jak czynili to spragnieni górnicy w saloonie Mother Lode.

Fairbanks nadał się, zaś Carla była tak podniecona, że prawie położyła się na stole, dotykając biustem obrusu. Spoglądała szeroko rozwartymi oczami jak zaintrygowane czymś dziecko. Czyżby rzeczywiście tak lubiła kłótnie mężczyzn?

Kelner przyniósł Carli i prawnikowi zamówione dania. Zręcznym ruchem zdjął z półmisek z pieczonymi kapłonami srebrne pokrywki i uniósł je wysoko w górę.

- Wspaniale - stwierdził bez entuzjazmu Fairbanks.

- Jedzcie. Nie pozwólcie, by wystygło - powiedział Mack. Carla sięgnęła po nóż i widelec, ale prawnik nie poruszył się nawet.

- Twoja żona mówiła mi, że grywasz w polo.

- Owszem.

- W drużynie, do której należy także teksaski kowboj oraz paru Anglików utrzymujących się z tego, co przyślą im rodziny? - Westchnął. - Boże, miej w opiece nas i tę szlachetną grę.

- Członkowie mojej drużyny są świetnymi jeźdźcami.

- Na pewno nie tak dobrymi jak ci z naszego zespołu Burlingame.

- Grasz w Burlingame?

- Tak.

- Chętnie zmierzymy się z wami. W terminie, jaki tylko zaproponujecie.

- Świetny pomysł - wykrzyknęła Carla. - W Riverside odbywają się jak dotąd jedynie mecze wewnątrzklubowe. Czas już więc na prawdziwą walkę.

Fairbanks odchylił się do tyłu, przyglądając włosy. - To byłoby nawet zabawnie przyjechać do tego krowiego hrabstwa i pokazać waszym niezdarom, jak należy grać w polo.

Carla zarumieniła się z podniecenia.

- O tak, koniecznie trzeba to zorganizować. Drużyna z Riverside naprawdę jest nieco nieokrzesana, Walterze. Mój drogi, słodki mąż ma przedziwne upodobanie do tego rodzaju ludzi.

- Czemu to, Chance? Może wstydzisz się, że dopiero tak niedawno zdobyłeś fortunę? A może wciąż jeszcze czujesz się niezręcznie wśród dżentelmenów?

Cała, tak starannie okazywana przez Macka grzeczność zniknęła w jednej chwili. Wstał i odstawił krzesło na miejsce.

- Kiedy będziesz gotowa, Carlo, przywołam powóz, który zabierze nas na stację.

- Chciałabym skończyć jeść, jeśli można.

To było dla niej takie charakterystyczne. Mack opanował się, nie chcąc pogarszać sytuacji.

- Oczywiście. Zostań tu tak długo, jak zechcesz. Poczekam przy barze. Jego nieoczekiwana łagodność zdawała się sprawiać jej przyjemność. Fairbanks wyjął z kieszeni skórzany portfel i wyciągnął z niego złożoną wizytówkę.

- To jest adres naszego klubu w Burlingame - powiedział, trzymając ją w dwóch palcach. - Każ sekretarzowi swojej drużyny, by napisał do nas i ustalił datę.

- Zdołacie dowieźć tutaj swoje konie?

- Trzeba będzie wynająć specjalny wagon - odparł Fairbanks, takim tonem, jakby przemawiał do niezbyt rozgarniętego dziecka.

Mack miał ochotę plunąć mu w twarz.

- A więc do spotkania na placu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł lodowatym tonem Fairbanks. Mack nasunął na czoło duży, ranczerski kapelusz.

- Będzie mi miło widzieć cię znowu w domu, Carlo - powiedział. - Czułem się nieco samotny. Żegnaj, Fairbanks - skłonił się lekko i odszedł.

Prawnik spoglądał w ślad za nim. Mack zauważył to, kiedy wręczał napiwek stojącemu w drzwiach portierowi.

No cóż, czemu ten sukinsyn nie miałby się gapić? Ich rozmowa przy stole była otwartym wypowiedzeniem wojny. Carla wyczuła to. Opuściła jadalnię po dziesięciu minutach - bez Fairbanksa. Była wesola i czuła, tak jakby nigdy się nie pokłócili.

Tragarz przyniósł z góry jej bagaże i wszystkie zakupy - szesnaście pudeł. Tej nocy w domu powiedziała mu, że żałuje swego zachowania na placu do gry w polo. On także ją przeprosił, po czym dwukrotnie się ze sobą kochali.

Potem, kiedy zasnęła już w jego ramionach, Mack zastanawiał się, czy okazała mu tyle zainteresowania dlatego, że była świadkiem, jak rzucił wyzwanie innemu mężczyźnie, i czy jej przyływ uczuć nie był nagrodą za podziw, jaki w niej tym wzbudził.

Rozdział 39.

Z wizgiem kół, fontannami iskier tryskających z szyn i rzeniem ukrytych w wagonach koni zespół Burlingame zjechał do miasta.

Dwa wagony SP dostojnie wtoczyły się na stację. Mack i Johnson obserwowali wyprowadzane na rampę konie, których kopyta podnosiły z ziemi tumany złotego kurzu.

- O, cholera - mruknął pod nosem Johnson. - Ileż oni ich przywieźli? Naliczyli dwadzieścia sześć koni.

- Wiedziałem, że Fairbanks chce zwyciężyć, ale nie sądziłem, że aż tak bardzo.

Na przyjęciu w poprzedzający mecz piątkowy wieczór gospodarze poznali swoich przeciwników. Fairbanks szybko zaprzyjaźnił się z większością miejscowych graczy, ale inni członkowie jego klubu nie wykazywali takich talentów towarzyskich, czując się sztywno i niezręcznie w garniturach i wykrochmalonych kołnierzykach. Znajdował się wśród nich siwowłosy Billy Rodeen o okrągłej twarzy i ponurej minie oraz niejaki Petticlerq, żyłasty, młody mężczyzna o lśniących włosach, rozdzielonych pośrodku przedziałkiem. Trzecim, wyraźnie czującym się tu obco zawodnikiem, był Roscoe Eagle, wielki, potężnie zbudowany człowiek z szerokim, złamanym nosem. Wyglądał jak skrzyżowanie kowboja z Indianinem. Oświadczył, że pochodzi z Oklahomy i więcej nie otwierał już ust.

- Czuję tu smród forsy - szepnął Mackowi Jeremy Fripp.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że jeżeli tych trzech należy do klubu, to ja jestem królowa Wiktoria. Twoi kompani kupili sobie trzech zawodników.

Szóstka innych ludzi z Burlingame - trzy pary - przybyła do Riverside w sobotę porannym pociągiem. Był piękny jesienny dzień, jasny i ciepły. W klubie rozstawiono dwa

otwarte płócienne pawilony. Około południa zaczęli zbierać się widzowie, niosąc rozkładane stoliki, koszyki z lunchem, srebrne bukłaki z winem, świeżo ścięte kwiaty i parasolki od słońca. Plac wypełnił się zapachem kurzu, brylantyny, perfum i gotowanych homarów.

Dwadzieścia cztery konie z Riverside zaprowadzono na ogrodzony linami padok za jedną z bramek. Zawodnicy Burlingame zajęli miejsce po drugiej stronie pola. Mack z niepokojem nakładał na głowę płócienny hełm. Wynajęci przeciwnicy patrzyli na gospodarzy nieprzyjaznym, ponurym wzrokiem.

Fairbanks spacerował po placu, czekając na uroczystość rozpoczęcia meczu, zawiadując wymachując młotkiem. Mack zapiął ciasniej popręg Fireballowi, koniowi, którego używał w czasie pierwszej rozgrywki.

- Wspaniały koń, Mack. Zupełnie nie wiem, jak damy sobie z wami radę. Mack przyjął szyderstwo z kamienną twarzą. „Nie daj się wyprowadzić z równowagi - ostrzegał sam siebie w duchu. - Przecież tylko o to mu chodzi.”

- Jestem pewien, że znajdziesz jakiś sposób, Walterze. Twoi przyjaciele wyglądają, jakby naprawdę płynęła w nich błękitna krew graczy w polo.

- Tak, to zręczni gracze.

- A kiedy są najzręczniejsi? Przed czy po tym, jak otrzymają swoją zapłatę? Fairbanks popatrzył na niego ze złością, opanował się jednak.

- Posuwasz się za daleko - stwierdził.

Po uroczystości powitania i oficjalnego przedstawienia sobie drużyn wylosowano pola i zawodnicy zaczęli się rozstawiać. Eric Portfield pojechał na pozycję numer jeden, Mack zajął pozycję drugą, Johnson - trzecią, a Clive - czwartą. Ich przeciwnikami byli: Petticlerq, Eagle, Fairbanks i Rodeen.

Konie potrzęsały łbami i parskały, gotowe do biegu. Rozległ się gwizd i publiczność zaczęła bić brawo. Sędzia liniowy rzucił korkową piłkę. Jeśli zawodnicy znajdowali się blisko siebie, należało wybić piłkę z półzamachu. Fairbanks wziął jednak pełen zamach, nie trafił i uderzył w kolano Clive'a. Clive zaklął, ale po męsku zacisnął zęby.

Sędzia nie zauważył faulu. Ospowaty Petticlerq ściał piłkę uderzeniem spod szyi swojego konia, kierując ją prosto do Eagle'a, który prostym ciosem wybił ją sto sześćdziesiąt jardów wzdłuż pola.

„A więc tak ma to wyglądać - pomyślał Mack, galopując w stronę Fairbanksa. - Zwyciężyć za wszelką cenę." W porządku. Przynajmniej stanowiło to dla niego ostrzeżenie.

Gracze drużyny Burlingame byli twardymi jeźdźcami, nie przejmującymi się tym, że mogą zrobić komuś krzywdę, i często faulującymi. Na minutę przed końcem pierwszej siedmiominutowej rundy Eagle wyprzedził Clive'a i Erica Portfielda. Mistrzowskim wstecznym strzałem z lewego boku posłał piłkę w szeroką na dwadzieścia cztery stopy przestrzeń między słupkami bramki. Rozgrywka zakończyła się zwycięstwem Burlingame 1 : 0.

Odpoczywali przez cztery minuty. Dla publiczności było jasne, że drużyna Burlingame gra zręcznie i agresywnie. Miejscowi kibice pełni byli jak najgorszych przeczuć co do dalszego przebiegu meczu. Johnson patrzył ponuro, jak drużyna przeciwników wraca na boisko na świeżych koniach.

Zespoły zamieniły się na bramki, tak jak czyniono to po każdej rundzie. Przez pierwsze parę minut ścigano się po trzystujardowym polu, ale nikt nie zyskał przewagi. Mack musiał przyznać, że Fairbanks był pierwszorzędnym jeźdźcem i niezłym graczem.

Mack przejął piłkę i dwoma precyzyjnymi uderzeniami skierował ją w stronę bramki. Jeździec, który prowadził piłkę,

miał pierwszeństwo i nie wolno mu było przeszkadzać. Teoretycznie. Fairbanks nie dbał jednak o teorię. Kiedy Johnson przejął piłkę, prawnik podjechał do niego na dziesięć stóp - stanowczo za blisko, zważywszy na to, że konie biegły pełnym galopem. Johnson krzyknął ostrzegawczo, ale Fairbanks dalej jechał przed siebie. W pewnej chwili niespodziewanie spał konia, powodując, że wierzchowiec Johnsona upadł prosto na niego.

Koń Johnsona wspiał się na tylne kopyta. Mack pomyślał, że za chwilę padający koń zrzuci Johnsona i przygniecie go swoim ciężarem, podczas gdy Fairbanks odjedzie nawet nie draśnięty. Teksańczyk jednak pochylił się do przodu i ściągnął wodze wierzchowca, siłą unosząc jego pysk w górę, aż zwierzę odzyskało równowagę. Wszystko to trwało kilka sekund i Mack miał wręcz wątpliwości, czy mu się coś nie przewidziało.

Widok nabrzmiałej wściekłością twarzy Johnsona upewnił go jednak, że zdarzenie takie istotnie miało miejsce. Teksańczyk obrzucił Fairbanksa wyzwiskami, a sędzia uznał w końcu faul.

- Obrzydliwe - powiedział Clive do Macka, po czym zwrócił się do przejeżdżającego obok Rodeena. - To najbardziej niebezpieczny upadek, jaki może przytrafić się podczas gry, i wy o tym wiecie.

- Odpierdol się, chłopie - warknął z krzywym uśmiechem siwowłosa Billy Rodeen i odjechał.

Podyktowano rzut wolny z odległości trzydziestu jardów. Eric Portfield spudłował i gra potoczyła się dalej. Fairbanks dyrygował zawodnikami swojego zespołu jak generał na polu bitwy. To już nie była zwykła gra, lecz poważny mecz, w którym rzucił na szalę prestiż, reputację i Bóg wie co jeszcze. Aż do końca tej rozgrywki wynik nie zmienił się.

Trzecia runda.

Słońce wysuszyło ziemię na boisku i kopyta końskie wzniecały tumany kurzu. Drużyna Riverside grała z dużym poświęceniem, ale nie mogła zdobyć bramki. Na spoconej twarzy Fairbanka pojawił się w końcu słaby uśmiech. Gra przebiegała tak, jak sobie tego życzył.

Clive wybił piłkę silnym strzałem, podając ją Johnsonowi. Jadący na zreżym, małym gniadoszu imieniem Soubrette Mack przymierzał się do ciosu, mającego skierować piłkę do bramki. Galopował z szeroko rozstawionymi, odstającymi od boków wierzchowca nogami. Fairbanks atakował go z lewej strony, próbując zrównać się z nim swoim koniem. Wysunął prawą stopę ze strzemienia i zahaczył nią o lewą nogę Macka, wymierzając mu jednocześnie silny cios łokciem w żebra. Mack stracił równowagę.

Przed jego oczami zawirowało nagle niebo, boisko i płonące fanatyzmem oczy prawnika. Chwycił lewą ręką za siodło, próbując uratować się przed upadkiem. Szarpnięciem uwolnił się od nogi Fairbanka i nagle tuż przed oczami zobaczył umykającą w tył ziemię. Zwisając z siodła dostrzegł piłkę. Rozwścieczony faulem wziął zamach i mocno, precyzyjnie uderzył. Piłka uniosła się w powietrzu, po czym wylądowała w bramce.

W większym z pawilonów Carla zerwała się na nogi tak gwałtownie, że przewróciła swoją piątą szklanę wina. Gorąco oklaskiwała zawodników, nie zwracając uwagi na pot, którego strumyki żłobiły ślady w grubej warstwie różu na jej policzkach. Za jej plecami Mavis Bunthorne głośno zastanawiała się, komuż też Carla chce dodać w ten sposób odwagi i czy brawa były przeznaczone dla jej męża, czy też raczej dla faulującego go przystojnego prawnika, który przed chwilą omal nie wysadził go z siodła?

Runda zakończyła się po czterdziestu sekundach, a bramka strzelona przez Macka była jedynym zdobytym w niej punktem.

W przerwie meczu przez dziesięć minut kibice Riverside powtarzali jak zwykle wyświechtane banały, mające dodać zawodnikom otuchy, ale nikt ich nie słuchał. Teraz wiedziano już dokładnie, jak gra drużyna Burlingame. Był to tego rodzaju zespół, przed jakim Johnson ostrzegał ich na początku sezonu. Ci ludzie zrobiliby wszystko, żeby tylko wygrać.

Rozległ się gwizdek. Przez dwie minuty zajmowano pozycje, po czym Johnson sfaulował Eagle'a, który zamierzył się nań swoim młotkiem. Spór rozstrzygnięto na korzyść Burlingame. Sędzia rzucił piłkę na środek pola. Petticlerq mocnym uderzeniem posłał ją do Rodeena, który z kolei skierował ją ku Fairbanksowi. Mack zatrzymał ją jednak w połowie drogi i wybił w stronę swojej bramki.

Fairbanks najwyraźniej lubił atakować z flanki. Jeszcze raz spróbował tej sztuczki, galopując tuż za Mackiem, który odwróciwszy się zobaczył kołyszący się niebezpiecznie blisko pysk wierzchowca przeciwnika. Prawnik skręcił w stronę Macka pod tak precyzyjnie obliczonym kątem, że wędzidło jego konia zaczepiło o tył koszuli Macka i rozdarło ją. Fairbanks roześmiał się i ściągnął wodze, w ostatniej chwili unikając zderzenia. Mack grał do końca rundy, czując spływający po plecach ciepły strumyczek krwi, który wsiąkał pod pasek i brudził spodnie.

- Boże, człowieku, jesteś cały we krwi - jęknął Eric Portfield, kiedy bezbramkowym wynikiem zakończyła się kolejna runda.

- Jeremy zastąpi cię - powiedział Clive.

- Mogę grać dalej - odparł Mack. - Podrzyj koszulę albo znajdź jakiś gałgan, żeby zatamować krwawienie.

- Przecież nikt nie będzie miał do ciebie najmniejszych pretensji, jeśli zejdziesz z pola. Ta rana będzie ci się goić miesiącami.

- Przestań mu krakać nad uchem - zezłościł się Johnson. - Skoro powiedział, że chce grać, to będzie grał.

Inni zaczęli protestować, ale nagle coś ich powstrzymało. Mack odwrócił się. W promieniach południowego słońca ujrzał zmierzającego ku nim Fairbanksa. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Przykro mi, Chance, że cię zraniłem - powiedział prawnik. - Straciłem panowanie nad koniem.

Mack otarł pot z czoła.

- Oczywiście, Fairbanks. Zraniłeś mnie całkiem przypadkowo.

- Wynoś się stąd, szczurze - rzucił Johnson.

Fairbanks cofnął się o krok. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Odszedł, nie powiedziawszy już ani jednego słowa.

W czasie piątej rundy, w której wynik nadal wynosił 1:1, Mack i Fairbanks znowu walczyli obok siebie. Prawnik usiłował wybić piłkę, nie trafił i jego młotek gwizdnął w powietrzu. Mack zauważył go w ostatniej chwili i nie zdołał już się uchylić. Młotek uderzył w płócienny hełm na jego głowie. Mack poczuł straszny ból, ale pocieszył się myślą, że przynajmniej nie stracił oka.

Dwie minuty później ścigający się ramię w ramię Mack i Eagle próbowali odebrać sobie piłkę toczącą się do bramki drużyny Burlingame. Obaj podnieśli młotki, gotując się do uderzenia, jednak Eagle w ostatniej chwili zmienił zamiar i zaczepił swoim młotkiem o młotek Macka.

Mack zaklął. Ponieważ młotek był przymocowany rzemieniem do jego nadgarstka, nie mógł go tak po prostu

puścić. Eagle skrzył w bok ściągnając Macka z siodła. Jego koń, Royal, także się przewrócił.

Nowe ukłucie bólu przeszło krwawiące plecy Macka. Wstrzymano grę. Na drużynę Burlingame posypały się kolejne przekleństwa, groźby i kary. Mack nie miał już dłużej żadnych wątpliwości co do Fairbanksa. To właśnie jego prawnik za wszelką cenę starał się sfaulować.

Royal kulejąc podniósł się z ziemi, ale po chwili mógł już biec normalnie. Mack wypluł kurz, zerknął na kilka nowych otarć na skórze i wstał. Ból omal nie zwałił go z nóg.

- Lepiej żebyś dał spokój, przyjacielu, zanim... - powiedział Johnson, podjeżdżając do Macka.

- Zawołajcie sędziego, chcę wsiąść na konia - powiedział ochryple Mack.

Jasne promienie słońca przesłonił nagle szeroki cień.

- Przepraszam. Sam nie wiem, jak to się stało - wymamrotał Eagle i odjechał.

Przed ostatnią rundą Fairbanks podszedł, by obejrzyć konie pozostawione przez drużynę Riverside do ostatniej rozgrywki. Jubilee Macka szczególnie przyciągała jego wzrok. Sprawdzając jej siodło, Mack rzucił prawnikowi twarde spojrzenie. Przebrał się wprawdzie w pożyczoną od kogoś koszulę, ale krew zdołała już przez nią przesiąknąć. Fairbanks szybko zakończył swoją inspekcję. Zespół nie miał żadnego zapasowego wierzchowca. Stwierdziwszy to, pośpiesznie wrócił do swojej drużyny.

Był zmęczony i zdenerwowany. Początkowo sądził, że drużyna Burlingame błyskawicznie rozprawi się z przeciwnikiem. Teraz postanowił zmienić strategię. Skoro nie zdołał wykluczyć Macka z gry, to trudno. Osiągnie ten sam cel, pozbywając się z pola jego wspaniałego konia. Jeśli wierzchowiec nie będzie nadawał się do gry, Mack zostanie zmuszony do dokończenia rozgrywki na zmęczonym

zwierzęciu z pierwszej rundy. Ta przewaga powinna wystarczyć zawodnikom Burlingame do odniesienia zwycięstwa.

Wezwał do siebie pozostałą trójkę zawodników.

- Panowie, postawię sprawę jasno. Jeśli nie wygracie tego meczu, nie dostaniecie swoich pieniędzy.

Petticlerq zdjętą z głowy czapkę otarł ospowatą twarz i splunął na ziemię.

- Robimy to, za co nam zapłaciłeś, parszywy sukinsynu.

- Jesteśmy zawodowcami - warknął Rodeen.

- A więc udowodnijcie to. Albo jesteście skończeni zarówno w drużynie Burlingame, jak i wszędzie indziej. Już ja tego dopilnuję.

Zaczęła się ostatnia runda. Fairbanks nie tracił czasu, ale potrzebował odpowiedniej okazji. Pojawiła się ona dopiero wtedy, gdy do końca meczu pozostały już tylko dwie minuty.

Clive Henley wybił piłkę, którą zgrabnie przejął Billy Rodeen. Mack i Johnson ramię w ramię ruszyli za nią w pościg. Fairbanks pozostał nieco z tyłu, gotując się do rozstrzygającego manewru.

Kolejny strzał Rodeena skierował piłkę w stronę bramki. Fairbanks galopował po lewej, a Mack po prawej stronie toru piłki i prawnik wiedział, że nadeszła krytyczna chwila. Tylko teraz może udać, że to, co chce zrobić, stało się przypadkowo. Bezlitośnie spiął ostrogami konia i skierował go na wierzchowca przeciwnika. Zamachnął się i uderzył młotkiem w przednie ścięgno Jubilee.

Klacz upadła z rżeniem, a Mack po raz kolejny tego dnia znalazł się na ziemi. Rozległ się gwizd i odmierzający minuty meczu zegar zatrzymał się. Zapadła nagła cisza. Fairbanks ściągnął wodze, po czym podjechał do Macka, który rzucił się ku ulubionemu zwierzęciu. Koń leżał na boku. Prawnik z satysfakcją zauważył, że jego cios odniósł pożądany efekt.

Jubilee z pewnością już nigdy nie będzie nadawała się do gry w polo.

Chmury pyłu unosiły się nad boiskiem. Mack ukląkł obok klaczy, głaszcząc ją po pysku. Jubilee wciąż próbowała wstać, ale uniemożliwiał jej to silny ból.

- Chance - odezwał się Fairbanks.

Mack przeniósł na niego spojrzenie swych orzechowych oczu.

- Co za pechowy mecz - stwierdził prawnik. - Nie widziałem, że jedziesz tuż za mną.

- Gówno tam, nie widziałeś. Specjalnie zaatakowałeś konia. Zejdź mi z oczu, zanim odpłacę ci tym samym.

Fairbanks chciał coś odpowiedzieć, ale, po zastanowieniu, pokiwał tylko głową w sposób, który w jego mniemaniu miał wyrażać żal. Zawrócił konia i napotkał spojrzenie członków swojej drużyny. Patrzyli na niego kamiennym wzrokiem.

- Kocham konie. Każdy człowiek, który rani konia, żeby wygrać grę, jest gnidą - powiedział Eagle.

- Zamknij się - szepnął w odpowiedzi Fairbanks. - Zamknijcie gęby i zarabiajcie swoją forszę, albo do końca życia będziecie wyrzucać łajno ze stajni.

- Chyba wolałbym już raczej to - stwierdził Petticlerq.

- Ja też - dodał Billy Rodeen.

Jeden po drugim zawracali swoje wierzchowce i odjeżdżali.

Grę przerwano na dziesięć minut, podczas których służba położyła Jubilee na płóciennej płachcie i ściągnęła z boiska. Dobry nastrój graczy, jak i widzów, zniknął bez śladu.

Mack powrócił na boisko na grzbiecie Fireballa. Trzej wynajęci zawodnicy grali teraz znacznie wolniej, wręcz z niechęcią. Fairbanks bez przerwy przypuszczał jakieś ataki, ale żaden mu nie wychodził. Na minutę przed końcem meczu faul Rodeena sprawił, że podyktowano rzut dla Riverside.

Wykonał go Eric Portfield, ale piłka szybko znalazła się z powrotem na polu gospodarzy.

Mack strzelił w stronę Johnsona i Teksańczyk popisał się pięknym uderzeniem, które przeniosło piłkę o sto pięćdziesiąt jardów dalej. Fairbanks, w szaleńczym pościgu, pochylił się nad szyją swego konia i obejrzał się przez ramię. Petticlerq, Eagle i Rodeen znajdowali się tuż za nim, ale widać było, że nie zechcą mu pomóc.

„Do diabła z nimi” - pomyślał Fairbanks, koncentrując się na strzale, od którego wszystko zależało. Chciał wybić piłkę poza boczną linię, co pozwoliłoby grać na zwłokę aż do końca meczu.

Galopował tuż obok Hellburnera Johnsona. Teksańczyk obejrzał się i popatrzył nań morderczym wzrokiem. Na szyi Johnsona powiewała cytrynowa chusta. Obaj próbowali dogonić piłkę, ale nagle Johnson zamiast zamierzyć się młotkiem, skierował swego konia na Fairbanksa, wypychając go poza boisko.

Prawnik krzyknął przeraźliwie, na moment tracąc panowanie nad koniem. Mack przemknął obok niego pełnym galopem i precyzyjnym strzałem wbił piłkę prosto do bramki.

Zanim Fairbanks zdążył ściągnąć wodze, rozległ się gwizdek.

Riverside - Burlingame 2:1.

Johnson podjechał po prawnika, ocierając twarz chustą.

- Ma pan szczęście, że tylko tak to się skończyło. Na pana miejscu nie pozostawałbym po zmroku w tym mieście.

W płóciennych pawilonach uroczystości z okazji zwycięstwa przebiegały smutno, wręcz ponuro. Strzeliły korki szampana i gratulowano zawodnikom wygranej, ale czyniono to niezbyt radośnie. Kibice klubu Burlingame odjechali zaraz po meczu.

Walter Fairbanks także nie miał ochoty na zabawę, rozumiał jednak, że najlepszym sposobem obrony jest udawanie, iż faul i upadek konia były przypadkowe. Wszedł więc do pawilonu i wytrzymał rzucając mu zewsząd niechętnie spojrzenia.

Rozboliła go głowa. Ból przeszywał mu czaszkę tak, jakby ktoś wbijał w nią stalowe gwoździe. Każda przegrana sprawiała zawsze, że czuł się wykończony. A tak poważna przegrana jak ta rozbiła niemal jego życie na kawałki. Wszystkiemu winien był Chance.

Dobrze przynajmniej, że Carla nie okazywała mu dezaprobaty za to, co zrobił. Miała tak silne rumieńce i mówiła tak szybko, kiedy odciągała go na bok, że musiała być albo pijana, albo podniecona seksualnie. Albo też obie te rzeczy naraz. On sam stał sztywno sącząc szampana i odklejając od skóry przepoconą koszulę.

- Grałeś wspaniale, Walterze.
- Niestety, nie zapanowałem nad sytuacją.
- Nie z twojej winy. To wszystko wypadek. Jestem naprawdę pod wrażeniem.

Podeszła bliżej i Fairbanks dostrzegł świeże plamy z szampana na gorsie jej bluzki. Carla patrzyła nań gorącym, roziskrzonym wzrokiem.

- Proszę - szepnęła, ściskając go za nadgarstek. - Kiedy znowu będziesz miał coś do załatwienia w Los Angeles, daj mi znać. Moglibyśmy się gdzieś spotkać bardziej prywatnie.

Jej śmiałość zaskoczyła go. A potem nagle opuściło go poczucie klęski. Zdał sobie sprawę, że jest w stanie zwyciężyć w znacznie ważniejszej rozgrywce. Uśmiechnął się uwodzicielsko i mrugając porozumiewawczo, wznosił toast za Carłę.

- Dziękuję za zaproszenie. Chętnie je przyjmę.

Jeszcze raz ścisnęła jego dłoń, po czym puściła ją zauważywszy, że Mavis Bunthorne przygląda się im pełnym potępienia wzrokiem.

Szampan odświeżył Fairbanka. Czemu miałby się przejmować swą reputacją w oczach tych prowincjonalnych parweniuszy?

- A tak przy okazji, gdzie twój mąż?

- Powiedział, że nie przyjdzie tutaj. Jubilee została ciężko ranna. Mack bardziej dba o te swoje przeklęte konie niż o własną żonę...

Wystrzał z rewolweru zabrzmiał w ich uszach jak grzmot burzy. Umilkły rozmowy i tylko jakaś kobieta westchnęła żałośnie. Pawilony rzucały długie cienie na dobrze utrzymaną przystryżoną trawę. Przed zmrokiem Fairbanks opuścił Riverside, wracając lokalnym pociągiem do Los Angeles. Zanim odjechał, wręczył swoim zawodnikom grube, wypchane koperty. Natychmiast po tym wszyscy trzej zniknęli, jakby rozplynęli się w powietrzu.

Rozdział 40.

Mack rzucał się nagi na łóżku. Doktor Mellinger opatrzył mu po meczu plecy, zakładając dwa szwy i bandażując ranę. Mack był tak wykończony, że pragnął jedynie zasnąć i zapomnieć o wszystkim. Zwycięstwo nie cieszyło go, ponieważ stracił Jubilee.

Spostrzegł, że Carla przeszła przez pokój i usiadła przed lustrem, smarując kremem policzki. Przez cały wieczór miała nienaturalnie zaróżowioną twarz, jak gdyby nie opuściło jej podniecenie po grze. Wydało mu się to raczej dziwne.

- Carla?

- O co chodzi? - zapytała, nie odwracając się. Pośpiesznymi, nerwowymi ruchami masowała miejsca, w których, jej zdaniem, zaczynały tworzyć się zmarszczki.

- Chcę pod koniec jesieni udać się w podróż do Nowego Jorku.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem... tydzień lub dwa. Muszę zorientować się, jak wygląda na Wschodzie zakładanie wodociągów. Poza tym jest tam grupa inżynierów, z którymi chcę nawiązać kontakt. Pragnę też podjąć decyzję, ile pieniędzy przeznaczyć na trzy rancza, jakie kupiłem na północy.

- Banki Kalifornii już ci nie wystarczają? - zapytała odwracając się ku niemu. Mack nie sądził dotąd, że może ją to cokolwiek obchodzić.

- Wiesz, że prowadzę jednocześnie wiele różnych przedsięwzięć - odpowiedział grzecznie, nie chcąc wywoływać kłótni. - Początkowe inwestycje zawsze wymagają kapitału, powinienem więc zwrócić się o kredyty do nowojorskich banków.

Carla zaczęła szcztokować swe długie, jasne włosy.

- Zastanów się, co robisz. Nie oczekuj, że będę siedziała tu i umierała z nudów, kiedy wyjedziesz.

- Nie oczekuję już od ciebie w ogóle niczego - odparł Mack nie mogąc się powstrzymać.

Przez chwilę z jawną wrogością mierzyli się wzrokiem.

- Dobranoc - powiedział gniewnie Mack, układając się na brzuchu do snu.

Rozdział 41.

Szum, stukot, hałas. Narastające wycie. Zaprzężone w konie wozy jechały Broadwayem i Piątą, mijając po drodze liczne skrzyżowania. Gdziekolwiek widziało się benzynowe samochody, ale stanowiły one wielką rzadkość. Częściej natomiast pojawiali się chłopcy gnający przez ulicę stada świń. Słupy telegraficzne i rynsztoki ciągnęły się tu całymi milami. Przy skrzyżowaniach leżały sterty gnijącego, brązowego końskiego nawozu, którego smród przenikał zimowe powietrze.

Nowy Jork. Już po godzinie Mack tęsknił za słonecznym, bezchmurnym niebem Kalifornii.

W firmie braci Wardlow - Civil Engineers - Mack spotkał się z jej właścicielami, bliźniakami urodzonymi w Savannah. Obaj mieli różowe, łyse czaszki z wianuszkami siwych włosów, co nadawało im nieco mnisi wygląd. Przypominali Mackowi Tweedleduma i Tweedledee'a z rysunków Tenniela.

- Właśnie złożyłem wizytę profesorowi LeConte, panowie - oświadczył. - Jak wiecie, w zeszłym roku opuścił on katedrę w Berkeley, przechodząc na emeryturę.

- Joe LeConte jest doskonałym geologiem i powszechnie znanym naukowcem - oświadczył Clemons Wardlow.

- Chrześcijaninem i znamienitym obywatelem Georgii - dodał jego brat Cole. - W młodości walczyliśmy u jego boku z tym diabłem, Shermanem.

- Poleciał panów jako inżynierów najlepiej w Ameryce znających się na wodociągach. Chciałbym zatrudnić was do sporządzenia pewnego projektu.

- W Kalifornii? Nic nie wiemy o Kalifornii - powiedział Cole Wardlow.

- To poważny problem - potwierdził jego brat.

- Nie zajmowałibyście się tym w Nowym Jorku - odrzekł Mack. - Chciałbym, byście się udali wraz ze mną do Kalifornii

na tak długo, jak będzie to konieczne, żeby przestudiować przepływ wody w kanionach. Oczekuję, że potem powiecie mi, jak najlepiej zbudować tam wodociąg i podejmiecie się nadzoru nad jego zakładaniem.

- Musielibyśmy poświęcić na to mnóstwo czasu - stwierdził z powątpiewaniem Clemons.

- Tak, to trudna sprawa - przytaknął Cole.

- Chodzi o system wodociągowy dla nowego miasta, czy tak? To wielkie wyzwanie. Być może moglibyśmy pokazać, co naprawdę potrafimy. Ale, panie Chance, czy wziął pan pod uwagę ewentualne koszty naszej podróży i konsultacji?

- Kolejny problem - pokiwał głową Cole. - I to olbrzymi.

Mack rzucił na biurko oklejony jeszcze bankową banderolą plik studolarowych banknotów.

- Nie, to nie problem. Proszę, by panowie przyjechali do San Solaro. Mam zamiar siedzieć tu tak długo, aż wyrazicie zgodę.

William Randolph Hearst miotał się po swoim biurze z charakterystyczną dla siebie energią.

- Mack! Nellie mówiła mi, że przyjeżdżasz. Jest właśnie na jakimś zebraniu, ale wkrótce wróci. Jakże miło cię widzieć. Nie przypominasz już tego nie mającego grosza przy duszy pielgrzyma, który wyciągnął naszą dziewczynę z wody.

- To prawda - przyznał z uśmiechem Mack. Idąc tu, ubrał się nadzwyczaj starannie. Jego ozdobiona aksamitnym kołnierzem peleryna pochodziła z kosztownej kolekcji Chesterfielda, a na głowie miał czarny kapelusz.

Hearst, obecnie dobiegający trzydziestki, był równie wesoły jak zawsze, a jego widok wywoływał w Macku te same ciepłe uczucia, co niegdyś.

- Jak się masz, Willie?

- Nigdy nie miewałem się lepiej. Witaj w „Journalu”. Poranne, wieczorne i niemieckojęzyczne wydanie. - Popukał

palcem w nieporządnie poprzipinane pinezkami papiery na ścianie.

Okna położonego na trzecim piętrze gabinetu Nellie wychodziły na Prinung House Square na rogu Park Row i Spruce Street. W dole, na skwerze, gruba czapa śniegu skrywała szlachetne, odlane z brązu oblicze Bena Franklina. Było trzy dni po świętach Bożego Narodzenia 1897 roku.

- Zaczynamy bić na głowę Joego Pulitzera - powiedział siadając. - Wyobrażasz sobie?

- Owszem. Nie dziwi mnie to. Wiem bowiem, jakie artykuły lubisz zamieszczać i znam niektórych z twoich redaktorów.

- Nigdy nie zapomnę człowieka, o którym po raz pierwszy pomyślałem jako o moim typowym czytelniku. Był to pewien woźnica. Niezbyt wykształcony, ale pełen wrodzonej inteligencji i ciekawości. Ten człowiek nudził się podczas pracy. Potrzebował jakiejś podniety... - Hearst wskazał palcem leżącą na biurku Nellie kartkę. Mack dostrzegł nagłówek: „Journal” rozwiązuje zagadkę przerażającego morderstwa. Oto tytuł, który mrozi krew w żyłach.

Mack usłyszał znajome kroki w holu i serce zabiło mu szybciej. W drzwiach stanęła Nellie.

- A więc jesteś! - wykrzyknął Hearst, czule ją obejmując. - To wciąż jedna z najlepszych moich dziennikarek, Mack.

Mack starał się zapanować nad sobą. Nellie wyglądała nader pociągająco i zgrabnie w ciemnej spódnicy i bluzce w kolorze dojrzałej dyni. Straciła jednak swoją opaleniznę i była równie blada jak większość poznanych przez niego nowojorczyków. Obrzuciła Macka szybkim, niemal ukradkowym spojrzeniem, które stało w sprzeczności z jej pewną siebie miną, a na jej jasnych policzkach wykwitły

rumieńce. „A więc nie wszystko przeminęło. Nadal coś do mnie czuje” - pomyślał przepełniony nadzieją Mack.

Nellie rzuciła na biurko plik papierów i podeszła, żeby go uściskać.

- Słyszałam, że masz przyjechać. Wybacz, że tak długo mnie nie było. Nie mogłam uwolnić się od pana Brisbane'a.

Mack uśmiechnął się i potrząsnął głową na znak, że nic nie szkodzi. Miał sucho w ustach.

Nellie podeszła do okna.

- Sądziłam, że pojawisz się jeszcze przed świętami.

- Wiem, że tak napisałem w moim liście. Trzykrotnie przekładałem jednak termin wyjazdu z powodu interesów.

- Chance - kalifornijski milioner - z emfazą powiedział Hearst. - Powiedziałeś kiedyś, że nim zostaniesz. No i dopiąłeś swego.

Nellie wpatrywała się w śnieg za oknem, jakby nie chciała zbyt długo przyglądać się Mackowi. On zaś czuł coraz silniejsze, zapierające dech w piersiach pożądanie.

- A jak się miewają inni? Co z Bierce'em?

- Ciągłe jest w Waszyngtonie - odparł Hearst, odpinając ze ściany jakiś papier. Był to projekt strony tytułowej gazety z karykaturą starego Huntingtona, który zamiast oczu miał dwa symbole dolara, ręce trzymał zaś w kieszeni niczym Wuj Sam.

- Jak tylko zbierzemy materiały numeru poświęconego jego długowi, zwolnię tę młodą damę, której artykuły tak bardzo podobają się czytelnikom.

- Masz na myśli naszą Nellie?

- Poczekaj, to nie jest jeszcze ostateczna decyzja... - zaczęła.

- Owszem - uciął Hearst. - Panna Ross może sobie nie uświadamiać, że jej wyjazd jest nieunikniony, czy też raczej nieuchronny, ale ja o tym wiem. Czytałem jej powieść.

- Powieść! - wykrzyknął Mack. - Zawsze powtarzałaś, że ją napiszesz!

- I napisała. W dodatku cholernie dobrą - oświadczył Hearst. - Nellie, zrób sobie dzisiaj wolne. Pokaż naszemu kalifornijskiemu nababowi, jak wygląda naprawdę wielkie miasto.

- Z przyjemnością.

Stojąca przy oknie Nellie, na tle nowojorskich dachów, zimowych kontrastów czerni i bieli, wydała się nagle Mackowi zjawiskowo piękna. „Jakaż to niezwykła kobieta” - pomyślał. Jej bluzka lśniła równie intensywnie jak kalifornijskie słońce.

Ale jeszcze bardziej jej oczy.

Nellie pokazała mu kilka słynnych miejsc, również to, co szczególnie chciał zobaczyć: stojącą w porcie Statuę Wolności Bartholdiego. Oglądali ją spacerując ramię w ramię po zasypanym śniegiem Bartery Park.

Następnie udali się do Music Hallu Kostera i Biala przy Thirtyfourth Street, w Herald Square. Siedząc na ciemnej widowni oglądali na dwudziestostopowym ekranie migotliwą projekcję zdjęć z plaży w Denver, w Anglii. Potem, jakiś ekscentryczny aktor tańczył i padał na ziemię, po nim zaś przyszła kolej na obwieszoną bransoletkami kobietę w cienkich tiulowych pantalonach, która wiła się w haremowym tańcu. May Irwin i John Rice, gwiazdy Broadwayu, całowali się na oczach publiczności. Usztywnione mydłem wąsiki mężczyzny łaskotały policzki jego partnerki. Pomimo humorystycznej wymowy tej sceny, zdjęcie pocałunku oburzyło strażników moralności, którzy żądali wręcz „interwencji policji”.

Gwoździem witaskopowego programu był film z lokomotywą, która mknęła po szynach, wjeżdżając prosto w publiczność. Wiele zgromadzonych na widowni dam poczęło

krzyczeć. Mack nieświadomie, chwycił Nellie za rękę. Z otwartymi z zachwytu ustami siedział całkowicie oczarowany tym, co zobaczył. „Oczarowany w ciemności”, jak to później określił.

Następnie zjedli coś w ulubionym barze Nellie, „German Gardens”, naprzeciwko Printing House Square, po drugiej stronie ulicy niż City Hall. Mack opowiedział jej o nowojorskich bankierach, o braciach Wardlow i profesorze LeConte z Berkeley. Nellie była niegdyś jego studentką i podziwiała go.

- Był członkiem John's Sierra Club - przypomniała sobie. Ona z kolei opowiedziała mu to i owo o gazecie.

Hearst popierał Bryana w jego ostatniej kampanii prezydenckiej, w związku z czym Nellie jeździła w ślad za tym kandydatem po całym kraju, jako jedna z pierwszych kobiet, które pisały reportaże z takich podróży.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, w jakich miejscach sypiałam. Złotousty mówca we dnie i zapluskwione łóżko w nocy.

Hearst nadal wierzył w siłę artykułów pseudonaukowych, a także tekstów na temat seksu, dlatego też Nellie często pisywała o tych właśnie rzeczach („Czy morskie potwory zagrażają naszym wybrzeżom?"; „Republikanie przyłapani w miłosnym gniazdku"). „Journal” wciąż też zwiększał swoją atrakcyjność artykułami, które powstawały dzięki eksperymentom i prowokacjom, przy czym przeprowadzano je teraz na znacznie szerszą skalę niż w czasach „Examinera” - wręcz z międzynarodowym rozmachem.

- Niemal codziennie drukujemy doniesienia na temat rewolucji kubańskiej: o okrucieństwie wobec więźniów w hiszpańskich obozach, o bitych i palonych żywcem księżach, o zakonnicach gwałconych i rzuconych na żer portowym rekinom w Hawanie. Całe szczęście, że to nie ja odpowiadam

za wiadomości zagraniczne. Większość tych informacji jest wymyślona.

- Czemu?

- Hearst chce wojny. Joe Pulitzer i „World” także chcą wojny. I każdy z nich próbuje udowodnić, że to on chce jej bardziej.

- Dla zasady czy w celu zwiększenia nakładu?

- To nie jest zabawne - odparła, pukając go w czoło. Była w tym geście spontaniczność ich dawnej przyjaźni. Jej dłoń przez przypadek dotknęła jego ręki, ale Nellie szybko ją cofnęła, ponownie skupiając uwagę na leżącym przed nią na talerzu sznyclu. Macka ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu jego własnej gwałtownej reakcji fizycznej. Boże, nadal ją kochał!

Okna pracowni Nellie wychodziły na East River i olbrzymi most Roeblinga wiodący na Brooklyn. Nie było tu bałaganu, ale od razu widać było, że pomieszczenie to należy do kogoś z bohemy. Sprawiały to sterty książek i rękopisów, gitara ze zwisającymi z gryfu kolorowymi wstążkami, znana już Mackowi sterta futer i srebrny samowar. Ściany zdobiły liczne pamiątki z Kalifornii: jaskrawa derka indiańska, zdjęcie krewnych Nellie w futrzanych okrągłych czapach oraz litografia przedstawiająca zatokę, której widok sprawił, że Mack uczuł gwałtowną tęsknotę za domem.

Kiedy zapadł zmrok, na East River zamigotały światła. Przez trzy wielkie łukowate okna widać było, że zaczął padać jeszcze gęstszy śnieg. Mack, szczęśliwy, że nie musi wychodzić na dwór, usadowił się przed kominkiem, na którym płonęły jabłoniowe polana, i zaczął czytać rękopis Nellie. Akcja Córki Kalifornii rozgrywała się tuż po gorączce złota. Była to powieść o zamożnej młodej kobiecie, która zakochała się w amerykańskim włóczędze, pomimo że rodzice i przyjaciele ostrzegali ją przed nim. Człowiek ten pragnął

jednak nie dziewczyny, lecz jej rodzinnego rancza. Po ślubie odebrał je rodzinie żony na podstawie obowiązującego prawa własności, wykorzystując władzę, jaką dawał mu ożenek. Samobójstwo żony kończyło tę krótką powieść, która na poły była dziełem literackim, na poły zaś manifestem domagającym się równych praw dla kobiet. Przesłanie to było proste i przejrzyste jak artykuł gazetowy, tyle że budziło daleko większe emocje i wzruszało swoją goryczą. Mack wyczuwał w tym wpływ Bierce'a. Całość napisana była gładkim, niewymuszonym stylem. Dzięki wszechwiedzącemu narratorowi czytelnik - w przeciwieństwie do bohaterki - nie dawał zwieść się czułym słówkom łowcy posagów.

Lekturę przerwał mu dzwonek telefonu.

- Nie, nie, mój drogi - powiedziała Nellie, kiedy telefonistka połączyła rozmowę. - Nie, Frank. Nie dziś wieczorem. Mam gościa. W piątek, tak jak się umawialiśmy. Oczywiście. Dobranoc.

A więc nie była samotna, nie wiodła życia zakonnicy, tęskniąc za nim. Czemu był tak zarozumiały, by sądzić, że jest inaczej? Nienawidził tego nieznanego Franka.

Skończywszy ostatni rozdział, poskładał równo kartki.

- Nie jestem krytykiem literackim, Nellie, ale myślę, że Willie ma rację. Mocna rzecz.

- Dziękuję. Jestem wielbicieleką Emila Zoli: *Germinalu*, *Nany*. Oczywiście, wszystko to, co można dostać po angielsku, jest ocenzone. Przejmując jego manierę, chciałabym złożyć mu hołd.

- Prowadząc interesy, pisuję często listy i idzie mi to jak po grudzie. Ty natomiast piszesz bez najmniejszego wysiłku.

Roześmiała się.

- Nie wyobrażasz sobie nawet, ile godzin męczarni zabiera osiągnięcie takiego efektu - odparła, ustawiając talerze na małym, oświetlonym świecami stoliku przy oknie.

- To zostanie wydane?
- Tak. W wydawnictwie Appletona. Na wiosnę.
- Wspaniale. Gratuluję. Nellie przyniosła zieloną butelkę.
- Trzymam ją już od tygodni, specjalnie na twoją wizytę.
- Winnica Miraville. „Napa Chardonnay”. Co za niespodzianka.

Wskazując naklejkę, przypadkowo dotknął dłoni dziewczyny. Na jej oświetlonej blaskiem ognia twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Odsunęła się. Szyby w oknach jęczały pod naporem wiatru. Mack uczył pod palcami chłód kieliszka, poczuł także inny rodzaj chłodu, bijący od Nellie.

- Tak niewiele mówisz o sobie - zauważyła, kiedy zaczęli jeść.

- Nie mam zbyt wiele do opowiadania. Ciągle jestem zajęty. Robię pieniądze.

- Czy twoja żona dobrze się miewa?

- O tak, u Carli wszystko w porządku. - Mack uniósł kieliszek i napił się wina. Zaczął sypać jeszcze gęstszy śnieg. Mostu na rzece prawie nie było już widać, a stojące po drugiej stronie budynki Brooklynu zupełnie zniknęły za ścianą bieli. Mack obserwował przez chwilę wirujące za szybą płatki.

- Ostatniej nocy, w miękkim łóżku w Astor House, wrócił do mnie senny koszmar o śnieżnej zadymce. Kiedy wyszedłem dziś rano z hotelu, zobaczyłem ten sam śnieg. Już wiem, dlaczego mieszkam w Kalifornii. - Uśmiechnął się, nakładając sobie sałatki, którą Nellie przygotowała z sosem vinaigrette. - To avocado jest doskonałe.

- Domowe. Podobnie jak pomarańcze na deser - wskazała stojącą na kuchennym kontuarze misę.

- Można tu kupić kalifornijskie owoce?

- Tak. W sklepie spożywczym na rogu.

- Te pomarańcze mogłem ja wyhodować, wiesz?

- A więc koleje nie są takie złe. Proszę, nie powtarzaj panu Hearstowi, że to powiedziałam. No, a teraz opowiedz coś o tym jachcie, który budujesz.

- Nie zajmowałem się nim ostatnio. Ale rozmawiałem już z projektantami i wiem, czego chcę. Musi mieć minimum dwieście stóp długości.

- Czy będzie wymagał dużej załogi?

- Około czterdziestu, pięćdziesięciu ludzi. Mówiłem ci, że wrócę do San Francisco w pełnej gali.

- I już jesteś gotów?

- Będę wkrótce.

- Ogromnie się cieszę, że tak świetnie ci się wiedzie. Musisz być bardzo zadowolony.

- Zadowolony? Nie wiem... - Ujął kieliszek z winem, wstał i podszedł do kominka, gdzie płonęło pachnące słodko drewno jabłoniowe. Płomienie rzucały blask na złote kule pomarańczy. - Zawsze jest jakieś następne Klondike, jeszcze jedna żyła złota do odkrycia. Czasem żałuję, że jestem zbyt zajęty, by udać się na Alaskę...

- Ale odniosłeś sukces i chyba jesteś szczęśliwy... Mack odwrócił się i roześmiał gorzko.

- Nigdy nie zadawaj tego pytania żonatemu mężczyźnie - powiedział.

- Nie miałam na myśli nic złego...

Popatrzył na nią, po czym wrócił do stołu i energicznym gestem odstawił kieliszek.

- Nie. Nie jestem szczęśliwy - powiedział, kładąc jej ręce na ramionach. - Próbowałem znaleźć szczęście przy boku Carli, ale nie udało się...

- Mack, proszę... - szepnęła Nellie z przerażoną miną.

- Z tobą byłoby inaczej - ciągnął Mack, nie zwracając uwagi na jej zakłopotanie. - Przyjechałem do Nowego Jorku przede wszystkim po to, by ci to powiedzieć.

Nellie odsunęła się od niego.

- Carla wydała mi się inteligentną kobietą - powiedziała, stając przy oknie. - Sądzę, że wie, co czujesz.

Mack stanął za jej plecami, objął ją.

- Zapomnij o Carli - poprosił, całując Nellie.

Przywarła do niego całym ciałem.

- Och, Boże - powiedziała, zaciskając palce na jego rękach.

Puścił ją, by mogła się odwrócić twarzą do niego. Uniosła rękę i objęła go za szyję, całując namiętnie. Jej usta wskrzesiły wspomnienia o Yosemite, huczących nad nimi wodospadach, o płomieniu, który wówczas zapłonął w nich obojgu.

Nastrój tej chwili zniknął jednak natychmiast, gdy Mack spróbował wziąć ją na rękę.

- Nie - powiedziała cicho, ale stanowczo, odpychając go od siebie. - Nie.

- Czemu nie? Nikt nie będzie wiedział.

- My będziemy wiedzieli.

- Kocham cię, Nellie.

- Ja też cię kocham. Ale to niczego nie zmienia. Nasza miłość skrzywdziłaby wszystkich. Nawet tych, co nie mają z nią bezpośrednio nic wspólnego.

Uświadomił sobie, że Nellie prawdopodobnie daje mu w ten sposób do zrozumienia, że nie jest wolna.

- Jesteś w tych sprawach ekspertem, co? - zapytał. W jego głosie zadźwięczała złość.

Zbliżyła się do ognia.

- Owszem, ale nawet nie wiesz dlaczego. To ma związek z przeszłością. Jak tu przybyłam, starałam się jakoś o tobie zapomnieć. Tak czy owak, jeśli uczynimy to, na co oboje mamy ochotę, będziemy później cierpieć. Ty i ja... i twoja żona.

- Nie sądzę, by ona choć trochę o to dbała.

- Przykro mi, Mack, ale muszę odmówić.

Obciągnęła bluzkę i przygładziła spódnicę. Niemal wyczuwał walnę, jaką uczucia toczyły w jej sercu z rozsądkiem i silną wolą.

- Musimy dalej wieść takie życie, jakie jest nam pisane. Ja mam swoją powieść, o której wydanie muszę się zatroszczyć, a ty chcesz podbić San Francisco, odwrócić kolejną stronę w swoim przewodniku. Nadal go jeszcze masz?

- Leży na moim biurku w Riverside.

- Haines. Pamiętam, że tak nazywał się autor. Wciąż mam zamiar sprawdzić, kto to taki.

- Zmieniłaś temat, a ja chciałem porozmawiać o...

- Nie. Tamto już skończone. Cieszę się z twojej wizyty, nawet bardzo się cieszę. Ale musi ona pozostać tylko wizytą.

- Do diabła z twoimi sztywnymi zasadami! Nellie wyszła do kuchni, jakby jego słowa uraziły ją.

- Czy masz zamiar dłużej zostać w Nowym Jorku? - zapytała, wnosząc do pokoju misę z pomarańczami.

- Jeszcze dziś po południu tak mi się wydawało - odparł matowym głosem. - Ale teraz widzę, że nie mam tu już nic więcej do roboty. Wyjadę jutrzejszym pociągiem.

- A więc spędzisz sylwestra w podróży?

- Tak. Będę prawdopodobnie witał Nowy Rok patrząc na śnieżne zasy w jakimś zakazanym miejscu, takim jak Iowa czy Nebraska. Ale co to ma za znaczenie?

Był na nią wściekły, ale jednocześnie czuł, że chyba nigdy nie kochał nikogo aż tak mocno.

- Masz ochotę na pomarańczę? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Gdy wrócę do domu, będę miał ich tyle, ile zechcę.

Dwie godziny po wyjściu Macka rozszalała się burza śnieżna. Nellie wstała ze swego wąskiego, twardego łóżka i wyjrzała przez okno, nie zdołała jednak dostrzec mostu, ani

też niczego innego. Wszystko przesłaniała wirująca za szybą biel.

Nie mogła usnąć. Czowała się głęboko upokorzona. Przez cały czas miała zimne stopy. Przykryła się wprawdzie futrami, ale niewiele to pomogło. Jakże chciała, by Mack był razem z nią...

Nie, nie wolno jej tak myśleć. Była taka bliska oddania mu się tej nocy. Zbyt bliska! To teraz żonaty człowiek! Ale wciąż był dla niej najważniejszą istotą w życiu. Uświadomiła to sobie w pełni w chwili, gdy zobaczyła go wraz z Hearstem w swoim biurze. Pośpiesznie wróciła do łóżka. Drżąc pod futrzanymi okryciami przypominała sobie, jak Mack patrzył na nią i dotykał jej. Wspominała wszystkie te drobne rzeczy, które mówił, by rozweselić ją lub czymś zainteresować.

„Do diabła z twoimi sztywnymi zasadami!” - to także powiedział.

- Och Boże, jakże żałuję tego, co zrobiłam - wymamrotała, kryjąc zapłakaną twarz w poduszce.

Ostatniego dnia 1897 roku Carla wyjechała do Pasadeny pociągiem Santa Fe. Wagony pełne były turystów. Ich dobry nastrój i hałas, jaki czynili, drażniły ją. Bez przerwy myślała o Macku i o tym, jak zostawił ją na tydzień przed Bożym Narodzeniem, by pojechać do Nowego Jorku.

„Ja też potrafię cię zostawić, przyjacielu - myślała. - Jeszcze zobaczysz.”

„Turniej Róż jest świetną nazwą dla przedsięwzięcia mającego dostarczyć szybkim jak błyskawica córom i synom Wschodu źródła radości, z którego tak bardzo jesteśmy dumni w Krainie Wiecznego Słońca.”

Tak napisano w oficjalnym programie uroczystości, który leżał rozłożony na jej kolanach. Poranek pierwszego stycznia 1898 roku był w San Gabriel Valley naprawdę wspaniały. Carla ubrała się na tę okazję w stroje kosztowne i

ekstrawaganckie; podobnie jak wszystkie damy, które tak licznie przybyły na werandę pięknego domu przy Orange Grove Avenue. Należał on do wiceprezesa banku, nudnego, niskiego człowieczka, prowadzącego liczne interesy z ojcem Carli.

Od samego początku, czyli od Nowego Roku 1890, turniej stał się ważnym wydarzeniem w kalendarzu Południowej Kalifornii. Miejscowy podróżnik namówił Valley Hunt Club, aby sponsorował paradę pojazdów, po której odbywały się zawody i koncerty. Człowiek ów miał w pamięci kolorowe festiwale, jakie widywał bywając nad Morzem Śródziemnym, i zaproponował, by również tu paradę uświetniały wielkie kwietne dekoracje. Uroczystości miały być lekarstwem na ogólny upadek ducha w ludziach po trzęsieniu ziemi, które nawiedziło te tereny w roku 1888. Teraz turniej organizowała już grupa prywatnych obywateli i z roku na rok przyciągał on coraz liczniejsze rzesze turystów.

Dokładnie o wpół do jedenastej zgromadzeni na werandzie goście usłyszeli muzykę z Colorado Avenue. Odstawiwszy poncz i szampana oraz talerze pełne świeżych arbuzów i truskawek ze śmietaną, zgromadzili się przy barierce, oczekując na pierwszych uczestników parady. Znudzona Carla nie dołączyła do nich, uznając, że nie będzie zawracać sobie głowy udawaniem entuzjazmu.

Na czele maszerowała orkiestra miejska, wygrywająca Thunderer March. Za nią jechali dżentelmeni z Valley Hunt Club z czerwonymi kwiatkami w butonierkach i czerwonymi rozetkami przypiętymi do uzd wierzchowców. Popisywano się też jazdą na rowerach. Jadący powozem dziesięcioosobowy chór śpiewał My Old Kentucky Home. Ale najgłośniejsze brawa otrzymały pojazdy, artystycznie przybrane różami, geranium, goździkami, nagietkami oraz słonecznikami i

chryzantemami ułożonymi w kobierce, girlandy i wieńce. Kwiatami przybrane były wszystkie koła, uprząże i kozły.

Zielone łańcuchy powojów stanowiły uzupełnienie dla kwiatów. Carli na widok tych barw wkrótce poczęło mienić się w oczach.

Wozy były różne, od skromnych po olśniewające swą wspaniałością. Podzielono je na poszczególne kategorie, poczynając od pojedynczych, ciągniętych przez szetlandzkie kuce, i podwójnych, ciągniętych przez kozy, a kończąc na zaprzężonych w osły. Hotele przygotowały wielkie cztero- i sześciokonne karoce, powożone przez zawodowych stangretów. Na szczycie tych zapierających dech w piersiach wozów siedziały roześmiane, machające do widzów dziewczęta, najładniejsze, jakie tylko udało się znaleźć. Ubrani na błękitno, żółto i szkarłatno sędziowie przyznawali pierwsze, drugie i trzecie nagrody powozom z każdej kategorii.

Profesora Thaddeusa Lowe'a, który dowodził wojskami Unii w czasie Wojny Secesyjnej, reprezentowało aż sześć pojazdów. Lowe i jego rodzina jechali pierwszym: faetonem Jerzego IV. Dodatkową atrakcją było to, że profesor sam obsługiwał wąskotorową kolejkę rodem z wesołego miasteczka, która wspinała się na szczyt nazwany Górą Lowe'a.

Gospodarz i gospodyni Carli czuli się w obowiązku zachęcać ją do udziału w zabawie.

- Czy dobrze się bawisz, moja droga? - zapytała żona bankiera.

- O tak, to bardzo piękne - odparła Carla, wielce znudzona całą tą uroczystością.

- Po lunchu jedziemy do parku - oświadczył bankier. - Odbędą się tam wyścigi rowerów, zawody bokserskie i gonitwa osłów. Jakież to fascynujące!

„Człowiek, którego ekscytują gonitwy osłów, sam musi być osłem” - pomyślała Carla.

- Zamierzałam udać się tam z wami - uśmiechnęła się - ale dostałam okropnej migreny. - Czasami przez cały dzień boli mnie głowa.

Gospodarze zrozumieli, że jest to taktowna wymówka. Na zakończenie parady Carla jeszcze raz przeprosiła za niedyspozycję i wróciła do swego apartamentu w Green Park Hotel. Zamówiła lekki lunch, zjadła go, wykapała się, po czym usiadła, czekając na swego gościa. Było wpół do jedenastej. Leżeli nago, przykryci prześcieradłem.

- Jestem szczęśliwy, że wysłała pani do mnie ten telegram, pani Chance. - A ja cieszę się, że zdołał pan wybrać się na Turniej, panie Fairbanks.

- Czy jesteś pewna, że twój mąż nadal przebywa w Nowym Jorku?

- Tak. Możesz załatwić wszystkie swoje sprawy, nie obawiając się, że ci przeszkodzi.

Prawnik roześmiał się, miętosząc jej jędrny biust. Był niecierpliw, nawet trochę brutalny, ale jego mięśnie i męski zapach podniecały ją. Objęła go ramionami i jak wygłodniałe zwierzę otworzyła usta. Fairbanks przywarł do niej i wszedł w nią głębokim pchnięciem. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jaką minę miałby Mack, gdyby ich teraz zobaczył.

Odchyliła do tyłu głowę i poddała się rytmowi ich ciał, jęcząc z rozkoszy.

W ciągu trzech godzin Fairbanks wziął ją trzykrotnie. Rano ubrał się i powiesiwszy na drzwiach kartkę „NIE PRZESZKADZAĆ”, wrócił do swego hotelu.

Rozdział 42.

Piętnastego lutego w porcie w Hawanie wyleciał w powietrze okręt wojenny „Maine”. Spośród liczącej trzystu pięćdziesięciu marynarzy załogi zginęło dwieście sześćdziesiąt osób. Wszyscy podejrzewali hiszpańską minę i ludzi ogarniała coraz silniejsza gorączka wojny. Niezdecydowany prezydent McKinley coraz bardziej skłaniał się do zbrojnej interwencji, zachęcany do niej przez swych republikańskich współpracowników i rozgorączkowaną prasę. Hearst i Pulitzer żądali zemsty i domagali się akcji wojskowej. „Pamiętajcie o «Maine»” - krzyczały nagłówki ich gazet.

Villa Mediterranean zdawała się leżeć daleko od tych wszystkich spraw. Mack otrzymał pocztą egzemplarz Córki Kalifornii z wpisaną na stronie tytułowej dedykacją: „Z wyrazami miłości - N.” Postanowił nie pokazywać tej książki żonie.

Od czasu jego powrotu do domu Carla była zresztą zdumiewająco miła, a nawet czuła. Pewnego wieczoru na początku kwietnia jechali razem przez równinę swym czarnym powozem, przemierzając zakurzony trakt wiodący przez gaje dojrzewających pomarańczy. Ciemnozielone liście szeleściły na ciepłym wietrze, a w powietrzu unosił się słodki zapach drzew.

Niespodziewanie Carla poprosiła go, by zatrzymał powóz. Wyraźnie blada, rozcierała przez chwilę ręce.

- Tak bardzo lubię tutejszą wiosnę - powiedziała.
- Czy dobrze się czujesz? Wydaje mi się, że zbladłaś.
- Trochę mi słabo - odparła patrząc na wielobarwną wieczorną zorzę. Mack milczał, nie chcąc psuć nastroju. - Jest pewna przyczyna, dla której tak się czuję - oświadczyła w końcu, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Mack sięgnął po wiszącą na widełkach słuchawkę i dwukrotnie zakręcił tarczą. Boże, kiedy wreszcie będą mieli nowy telefon, nie wymagający łączenia się z centralą?

- Centrala, słucham.

- Tu Chance, Harriet. Połącz mnie z doktorem Mellingerem.

- Panie Chance, jest pięć po ósmej. Już zaraz zamykamy.

- Do licha, Harriet, to nagła sprawa. Zadzwoń do niego.

Doktor Gustav Mellinger odebrał telefon, odzywając się swoim grubym, teutońskim głosem.

- Doktorze, tu Mack Chance. Czy mógłby pan przyjechać do nas zaraz z samego rana? Musi pan obejrzeć Carlę. Znowu spodziewa się dziecka.

Tej nocy leżeli trzymając się w objęciach.

- To wspaniała wiadomość - powiedział. - Nie jestem jednak pewien, kiedy...

- Jednej z tych nocy po twoim powrocie do domu. Dziecko powinno przyjść na świat na początku października.

- Czy cieszysz się z tego, Carlo? Milczała przez chwilę.

- Będę uczciwa - nigdy nie starałam się zająć w ciąży. Tata twierdzi, że nie jestem typem domatorki. Nie będę jednak ryzykować życia, prosząc o pomoc jedną z akuserek z przedmieść Los Angeles. Uważam, że tak będzie lepiej.

- Tak, tak - przyznał, rozcierając jej dłonie, by je ogrzać. - Teraz wszystko już będzie dobrze.

Uśmiechając się gorzko, poklepała go po policzku. - Zawsze jesteś takim optymistą.

- Nie, naprawdę tak uważam.

Pragnął wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu. Czemu było to takie trudne?

Dziewiętnastego kwietnia Kongres uchwalił rezolucję, że Kuba powinna być uwolniona od obcej dominacji. Nakładało to na prezydenta obowiązek przekazania tej wiadomości

rządowi Hiszpanii i zorganizowania interwencji, która pomogłaby wcielić te deklaracje w czyn. Dzień później McKinley podpisał rezolucję.

Wieczorem, pod koniec następnego tygodnia, Mack i Johnson udali się na spacer przez równinę w stronę pakowalni pomarańczy. Obie należące do Macka pakowalnie prowadzone były wzorowo, dzięki wyposażeniu je w światło elektryczne i utrzymywanej wewnątrz idealnej czystości.

Magazyn był pełen, a wiosenne zbiory zapowiadały się bardzo obficie. Do sezonowych robót Mack zatrudniał w większości starszych mężczyzn, zamężne kobiety i młode dziewczęta. Co najmniej trzydziścioro z nich było Meksykanami. Pracowali oni w wielkich, połączonych ze sobą halach, które kończyły się łukowatym wyjściem. W oknach nie było szyb, dlatego też wewnątrz nie brakowało świeżego powietrza.

Mack i Johnson podeszli do sortowniczego podajnika. Pomarańcze były tu mechanicznie oczyszczane i myte. Przy drugim końcu taśmociągu mężczyźni i kobiety sortowali owoce w zależności od gatunku. Pracowali tak szybko, że ich białe bawełniane rękawiczki migają w powietrzu niczym stado głodnych ptaków.

Mack wziął jedną pomarańczę, obrał ją ze skórki i wysał sok wraz z odrobiną miąższu. Johnson zaczął zapalać lampy. Miał tego wieczoru zamyśloną minę i nosił błękitną jak niebo chustę.

- Wstawię tu stołki - wpadł nagle na pomysł Mack. - Przekonam Exchange, by zrobiono tak wszędzie.

- Czemu sadownicy mieliby wyrzucać na to swoje pieniądze?

- A czemu ci ludzie mają stać tu przez dziesięć godzin? Przecież kręgosłupy pękają im z bólu.

Kiedy przeszli do sąsiedniej hali, oczy Johnsona błędziły po suficie, a myślami był wyraźnie gdzie indziej.

- Co się dziś z tobą dzieje? - zapytał Mack. - Dokąd tak uciekasz myślami?

- Do Teksasu. Tam, gdzie się wybieram.

- Z powrotem do domu? Do Fort Worth?

- Do Camp Wood, San Antonio. Leonard Wood i Roosevelt, błękitnokrwiste szczeniaki z Departamentu Marynarki, formują Pierwszy Ochotniczy Regiment Kawalerii. Przeczytałem chyba wszystko na ten temat. Potrzebują ludzi, którzy potrafią obchodzić się z końmi. Kowbojów, graczy w polo... Ja zaliczam się do obu tych grup.

- Czy ten oddział będzie walczyć?

- Oczywiście, że tak. Chcą usunąć z Kuby tych przeklętych Hiszpanów.

- Hugh, czterdzieści sześć lat to trochę za dużo na takie eskapady.

- Mam tylko czterdzieści pięć lat. Przyczernię sobie siwe pasma we włosach i będę kłamał jak z nut. Widziałem w życiu wiele różnych cudów, ale nigdy wojny. Dziś po południu kupiłem bilet na pociąg.

Macka ogarnęło nagłe przygnębienie. Popatrzył na szeroki podajnik i trzy linie do pakowania owoców. Stojące przy nich kobiety owijały każdą pomarańczę w jaskrawopomarańczową bibułę. Nieco dalej najlepsze, starannie dobrane pracownice Macka, szybko układały owoce w dwuczęściowych skrzynkach. Najlepszym gatunkom przyklejano etykietkę zaprojektowaną przez Macka. Pozostałe skrzynki zdobione były mniej atrakcyjnymi naklejkami, z innym znakiem firmowym.

Pakowaczki rozmawiały i śmiały się. Wiele z nich miało pospolity, zaniedbany wygląd wiejskich żon. W tej hali panował jeszcze większy hałas niż w sortowni. Gdy tylko

jakaś skrzynka zostawała napełniona, pakowaczka wołała tragarza. Tragarzami byli silni, młodzi chłopcy, ta praca należała bowiem do najcięższych. Załadowana skrzynka ważyła siedemdziesiąt funtów.

Mack zauważył, że palce tragarzy krwawią, gdyż szorstkie deski skrzynek kaleczyły im dłonie. Mack wyjął z kieszeni koszuli kartkę i ołówek.

- Trzeba powiedzieć Biggerstaffowi, że potrzeba tutaj rękawiczek.

- Czy masz coś przeciwko memu zaciągnięciu się do wojska? - zapytał Johnson.

- Nie. Już ci kiedyś mówiłem, że możesz odejść w każdej chwili, kiedy tylko zechcesz.

- Jeśli odejdę, nie będzie mnie tutaj przy narodzinach twego dzieciaka... Możesz wtedy potrzebować mojej pomocy.

Wyszli na zewnątrz w ciepłą, wietrzną ciemność.

- Chyba niewiele mógłbyś dla mnie zrobić - odparł Mack.

- Mógłbym przynajmniej podtrzymać cię na duchu. Być może nie będziesz wiedział, co ze sobą począć, kiedy ten malec pojawi się na świecie.

Padające ze środka elektryczne światło oświetliło na chwilę zmęczoną twarz Macka.

- Czuję z tego powodu wyrzuty sumienia. Być może... - urwał, wsadzając ręce w kieszenie spodni i spoglądając na drzewa. - Być może dlatego, że całe to małżeństwo nie ma sensu. Johnson zawiązał w bibułkę szczyptę tytoniu i skleił skręta.

- No cóż, pośpieszyłeś się z tym ślubem. Ale zawsze jesteś impulsywny i szybko podejmujesz decyzje. Taką masz już naturę. Jesteś zupełnie inny niż ten sztywniak Fairbanks czy inni faceci, których poznałem.

- Nie jestem pewien, czy Carla chce tego dziecka.

- Nie sędę, by zbytnio chciała. Jest piękną kobietą, ale nie ma serca do domu i rodziny. A to, jak mi się wydaje, nakłada na ciebie podwójny ciężar.

- Nie uważam, by tak było.

- Ale tak czy owak będziesz musiał dać sobie radę - ciągnął Johnson wyjmując z kieszeni zapalę. - Czasami zdarza ci się zapominać o żonie - stwierdził, zbliżając płomień do papierosa. Pracujesz po osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę. W Nowym Jorku spędziłeś o wiele więcej czasu niż potrzeba na załatwienie interesów. Ta twoja dziennikarka jest teraz w Nowym Jorku, prawda? Ta, która napisała tę książkę?

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Johnson nie uwierzył mu, ale nie spierał się.

- W porządku. Powtarzam ci jednak raz jeszcze: nie zaniedbuj Carli. Szczególnie teraz, gdy oczekuje dziecka. Nie znaczy to, że musisz spędzać z nią każdą minutę. Po prostu nie zostawiaj jej samej sobie, zanim to małe stworzenie nie przyjdzie na świat. Jesteś ojcem, wypełniaj więc wszystkie swoje obowiązki, a także, być może, przejmij niektóre od Carli, jeśli chcesz, by to dziecko dobrze się chowało.

- Czy sądzisz, że pragnę czegokolwiek innego? To małeństwo zostanie otoczone najlepszą opieką niezależnie od tego, jak Carla będzie się zachowywać.

- To dobrze - odparł cicho Johnson.

Ameryka przystąpiła do tej małej wojny na dwóch frontach. Wszystko to trwało sto pięć dni. Na Karaibach siły generała Shaftera wyparły kolonizatorów na Kubę, a generał Miles przepędził ich aż do Puerto Rico. Na Filipinach komandor Dewey, generał Wesley Merrit i filipińscy rebelianci rozbili garnizon w Manili. Trzydziestego lipca McKinley zażądał od Hiszpanów poddania się i podyktował im warunki kapitulacji. Hiszpania skapitulowała w drugim tygodniu sierpnia, godząc się na przekazanie Puerto Rico i

Guam pod zarząd amerykański oraz rezygnując z okupowania Kuby i Filipin. Zwycięzcy obliczali swoje straty na pięć tysięcy żołnierzy, z których większość umarła na żółtą febrę i dezynterię.

Pod koniec sierpnia sierżant Hellburner Johnson wrócił z wojny do domu. Na godzinę przed świtem na dworzec w Riverside wyszła, by go powitać, gromada ludzi. Spowijająca miasto wilgotna mgła sprawiła, że zgromadzeni ujrzeli światła lokomotywy dopiero na chwilę przed tym, jak pociąg wtoczył się na stację. Kiedy Johnson schodził na peron, kilka osób podbiegło, by go podtrzymać, on jednak niecierpliwie potrząsnął głową. Ujął dłonią drewnianą kulę i wsparty o drzwi stanął na ziemi. Jego prawa noga, zastąpiona teraz przez protezę, zastukała o deski peronu.

Hiszpański snajper postrzelił go pierwszego lipca podczas ataku na położoną na szczycie wzgórza wioskę w El Caney.

- Kiedy rozlega się głośnie „pif” z mauzera, wiadomo już, że ktoś został trafiony. Raz usłyszałem ten dźwięk i gdy się rozejrzałem, spostrzegłem, że sam zostałem ranny.

Przez miesiąc Johnson przebywał w szpitalu w Tampie. Biorąc pod uwagę jego trwałe kalectwo, był w całkiem dobrym nastroju.

- Dla mnie taka wojna to jak zabawa. Tyle że, niestety, nie będę już mógł tańczyć z damami. Będę musiał od razu brać je do łóżka.

Opowiadał mnóstwo historyjek o swoim oddziale:

- Dziennikarze nie wiedzieli, jak go nazwać. Raz określali go mianem „Teddy's Terrors”, innym razem „Terry's Gilded Gang”. W końcu wszyscy zgodzili się na miano „Rough Riders”.

Wiele mówił o zastępcy dowódcy:

- Teddy był naprawdę niezwykły. Taki lalusiowaty facecik w małych okularkach na nosie.

Nie zabrakło też wspomnień o Nellie.

- Pułkownik Roosevelt przeczytał jej książkę. Dean, obrońca z drużyny futbolowej na Harvardzie, miał ją ze sobą. Podobnie jak reporter Stephen Crane. Twierdził, że Nellie jest sławna.

- To prawda - zgodził się Mack. - Książka rozchodzi się bardzo szybko. Jeszcze tej jesieni zostanie wydana w Europie.

Johnson miał także parę pytań.

- Jak się miewa Carla?

- Fizycznie dobrze. Ma już jednak duży brzuch i bardzo się tym krępuje. Ciągłe leży w łóżku. Na jej życzenie przeniosłem się do innej sypialni.

W nocy dwudziestego siódmego września, dziesięć dni po tym, jak Mack bez urządzania żadnych uroczystości skończył trzydzieści lat, Carla zaczęła rodzić. Blisko dwadzieścia cztery godziny później doktor Gustav Mellinger opuścił jej sypialnię. Mack zerwał się ze stojącego przy drzwiach krzesła. Zanim lekarz zamknął za sobą drzwi, do jego uszu doleciało ciche kwilenie.

- Doktorze, czy...

- W porządku, mój chłopcze. Twój syn ma się dobrze, a i żona czuje się nieźle.

Mack oparł się o ścianę. Ostatnie dwie noce prawie nie spał. Ubranie miał wymięte i przepocone, ale był w podniosłym nastroju.

- Jaki on jest, doktorze?

- Waży sześć i pół funta i ma bardzo silne płuca. Możesz tam wejść i zobaczyć go. Niańka już go wykapała. - Stary Niemiec zapraszającym gestem wskazał drzwi.

Mack przygładził włosy i obciągnął koszulę. Kiedy położył dłoń na klamce, Mellinger ścisnął jego ramię i popatrzył na niego jakoś dziwnie. Czy były to gratulacje? A może okazywał mu w ten sposób współczucie?

Zanim jeszcze zobaczył syna, usłyszał jego cichy płacz. Niania owijała go właśnie w czysty, miękki bawełniany kocyk. Nazywała się Angelina Olivar, liczyła sobie około trzydziestu pięciu lat i zaledwie miesiąc temu straciła swoje pierwsze dziecko, maleńkiego synka. Kilka miesięcy wcześniej uciekł od niej mąż. Miała długie warkocze, łagodne oczy i szeroką pierś, opiętą batystową bluzką.

- Senor Chance, mire que magnifico se ve.

Z nowym dla siebie uczuciem ojcowskiej dumy Mack uchylił rąbka kocyka. Ze zdumieniem patrzył na małą czerwoną główkę pokrytą jasnozłotym meszkiem, małe szparki oczu i szeroko otwartą bezzębną buzię. Dotknął maleńkiej, wciąż jeszcze wilgotnej piąstki. Powoli, jak wschodzące słońce, zrozumienie cudu narodzin rozświetliło jego twarz. Chłopczyk znowu zaczął płakać. Angelina Olivar skinieniem głowy wskazała Mackowi łóżko.

Doktor Mellinger przyjmował poród przy świetle lampy gazowej. Jej słabe światło rzucało mroczne cienie na nie najpiękniejsze ślady narodzin: wciąż pełne różowej wody wiadro w kącie pokoju i stertę pokrwawionych prześcieradeł.

Carla siedziała na łóżku z rozpuszczonymi, zmierzwionymi włosami, które jasną kaskadą opadały jej na ramiona. Ciemnoniebieskie oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle i jakby nieobecne. Była blada i spocona. Mack nigdy dotąd nie widział żony tak zaniedbanej. Skrzywiła się na jego widok. Mimo to ujął jej dłoń.

- Dziecko ma się dobrze.

- Wiem.

- Czy z tobą też wszystko w porządku?

- To straszne. Mój Boże, to straszne. Nigdy nie czułam się tak okropnie.

- Jak go nazwiemy? Rozmawialiśmy już o tym, ale nigdy nie podjęliśmy decyzji. Chciałbym nadać mu imię mego ojca.

- Nazywaj go, jak tylko sobie chcesz.

Jej obojętność wobec dziecka uraziła go, ale starał się tego nie okazać. Carla odwróciła się do niego plecami i przytuliła policzek do poduszki. Mack poczuł się nagle bezradny.

- Czy chcesz jeszcze raz wziąć go w ramiona?

- Nie. Zrobiłam, co do mnie należało. Teraz ty się o niego troszcz. Podobnie jak o resztę swoich dóbr.

Mack nazwał chłopca Jamesem Ohio Chance'em II i zamówił w Los Angeles specjalne pieluszki z inicjałami JOC.

Rozdział 43.

Późną jesienią inżynierowie z „Wardlow Brothers” przybyli do San Solaro. Mack wynajął projektantów i zasięgnął języka wśród agentów handlu nieruchomościami w Los Angeles, po czym jeszcze przed świętami podpisał umowę z Williamem Hazardem, którego Sundown Sea Realty Corporation miała stać się główną firmą sprzedającą tereny w nowym mieście.

W styczniu 1899 roku bracia Cole i Clemons Wardlow wysiedli w Los Angeles z pociągu kolei Southern Pacific i wkrótce rozpoczęli kreślenie projektów systemu rozprowadzenia wody w San Solaro. Żaden z braci nie palił tytoniu ani nie pił alkoholu. W chwilach wolnych od pracy obaj czytali Biblię. Pracowali sześć dni w tygodniu i tyleż nocy. W niedziele udawali się na nabożeństwo do kościoła baptystów.

Pod koniec miesiąca w pomiętej kopercie, na której nie było adresu, przysłano Mackowi wycinek z „króla dzienników”. Piętnastego stycznia „Examiner” opublikował wiersz pod tytułem Człowiek z motyką. Gazeta wydrukowała go na honorowym miejscu, w ozdobnej ramce. U dołu Mack zauważył odręczny dopisek: „Wspaniałe dzieło socjalistycznego sumienia. Wkrótce powieje wiatr historii. Marquez.” Poetę, Edwina Markhama, inspirował słynny obraz Milleta, obecnie stanowiący własność Crockersów.

„Pochylony przez ciężar wieków, które przeżył wsparty o motykę i wpatrzony w ziemię...”

W wierszu Markham wylewał swój gniew na właścicieli ziemskich, którzy zmuszają człowieka z motyką, by całe jego życie wypełnione było ciężką pracą.

O, panowie, lordowie, władcy całej ziemi,

Czy taką ręk pracą chcecie ofiarować Bogu?

Czy chcecie tworzyć potwory o wygasłym duchu?

Wiersz, przedrukowywany przez kolejne gazety, stał się znany w całym kraju.

Ameryka widziała w nim literacką sensację. Jednakowoż Swampy Hellman nie dostrzegął w nim nic godnego uwagi. Podczas jednej ze swoich weekendowych wizyt zobaczył u Macka gazetowy wycinek i zaczął wyrzekać:

- To jawna bezczelność. Kim jest ten Markham? Jakimś czerwonym anarchistą z Nowego Jorku?

- Nauczycielem. Zdaje się, że z Oakland.

- Że też w Oakland nie znaleźli trochę sznura na lincz. Czy wiesz, co powiedział o tym Huntington? Iż każdy człowiek powinien być wdzięczny losowi za to, że ma choć motykę.

- Daj spokój. Markham ma rację. Zbyt wielu bogatych ludzi wyzyskuje biednych. Mnie się ten wiersz podoba.

- Tobie podoba się wszystko, co radykalne. Jesteś szalony. Człowiek posiadający tyle pieniędzy nie powinien tak postępować. Sam nie wiem, jakim cudem dorobiłeś się tak wspaniałego syna. O właśnie, mam tu coś dla niego. Pistolet do zabawy. Kopia kolta. A na dworze stoi wózek, do którego można zaprząć kuca. Będzie mógł sobie jeździć po twojej posiadłości.

Mack roześmiał się.

- Ale dopiero wtedy, gdy będzie w stanie siedzieć. Rozpuścisz go, Swampy.

- Mam do tego prawo. Jestem jego dziadkiem.

„I starym, sprytnym draniem” - pomyślał Mack. Marquez pisał mu o robotnikach, którzy zwiększali swoje wymagania wobec pracodawców. Co zrobiłby Swampy, gdyby to miało dotyczyć także jego pracowników? Trudno dociec. Prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, co sam by zrobił.

Co będzie z królestwami i władcami, Z tymi, którzy uczynili go tym, kim jest, Kiedy trąby obwieszczą sąd nad światem, przerywając trwające przez wieki milczenie.

W marcu 1899 stare biuro w San Solaro zostało przebudowane i zmodernizowane. Akwarelowe obrazy i gipsowa makieta nowego miasta, z pomalowanym błękitną farbą kanałem, kusiły nabywców przyszłych rezydencji. Mack osobiście napisał listy do ludzi, którzy najwcześniej wykupili parcele, zachwalając nowy system wodny oraz projekty wspólnej jego własności, co miało zachęcić ich do budowy domów. W odpowiedzi otrzymał trzy listy od małżeństw, które zbliżały się już do emerytury i entuzjastycznie przystały na jego ofertę.

Podczas gdy szyby naftowe pompowały ropę, cieśle robili szalunki pod fundamenty czterech rodzajów domków. Były to małe, schludne budyneczki z wewnętrznym patio, kryte czerwoną dachówką. Mack oczyma wyobraźni widział już przyszłych nabywców domów: solidnych przedstawicieli klasy średniej, pracujących lub pobierających emerytury w Południowej Kalifornii. Nie chciał tu przeniesionych do miasta rolników ani sezonowych mieszkańców.

Spędzał w San Solaro większą część tygodnia, podczas gdy Johnson pozostawał w Arlington Heights, zajmując się sadami. Tekszańczyk przestał używać drewnianej kuli i nie utykał już tak bardzo. Codziennie uczył się chodzić, starając się przez kilka minut utrzymywać ciężar ciała na protezie, albo po prostu stał przed lustrem, wpatrując się w swe odbicie i upewniając się, że jego ramiona nadal pozostały proste.

- Nie chcę, by robotnicy uważali mnie za kalekę, nie mam też zamiaru rezygnować ze wspaniałej kariery gracza w polo. Ci faceci z klubu zaczynają myśleć o mnie jako o inwalidzie i chętnie przegłosowaliby usunięcie mnie ze swych szeregów.

To paskudne, jak traktuje się człowieka, który został ranny na polu bitwy.

W każdy piątek Mack wracał do Villa Mediterranean i spędzał wiele godzin z synem, którego nazywał Małym Jimem. Carli z reguły nie było w domu, a jeśli nawet była, nie okazywała żadnego zainteresowania dzieckiem. Za to Mack interesował się nim bezgranicznie. Każda nowa rzecz - gaworzenie, które dumny ojciec gotów był uważać za mowę, zgrubienie na dziąśle, świadczące o wyrzynającym się zębku - wszystko było dla Macka prawdziwym cudem. Angelina Olivar dbała o dziecko i nigdy nie wypowiedziała słowa nagany pod adresem jego matki.

W kwietniu rozpoczęto budowę przy falochronie San Pedro. Po latach walki C.P. Huntington poddał się w końcu. Mack próbował wyobrazić sobie twarz Huntingtona, zaciętą i ponurą, z zastygłym grymasem starości: człowiek ten miał wszak prawie osiemdziesiąt lat. Pomyślał także o Fairbanksie. Wstydził się, że jest tak mściwy, ale lubił rozkoszować się zemstą.

Kilka dni później ludzie z Sundown Sea Realty zaczęli rozsyłać z Los Angeles prospekty nowego miasta. Jeśli Mack miał tylko wolny czas, sam oprowadzał klientów po terenie, gdzie w przyszłości powstać miały domy i ulice. Pewnego wtorkowego popołudnia stał nad kanałem wraz z pewnym małżeństwem z Michigan.

- ... a więc jeśli wybudujecie tutaj dom, możecie mieć pewność, że nigdy nie zabraknie wam wody. San Solaro Irrigation, przedsiębiorstwo, które ma stanowić własność wszystkich mieszkańców miasta, właśnie kończy negocjacje z właścicielami ziemi stąd aż po Cat Canyon. Górski strumień z kanionu będzie naszym podstawowym źródłem wody. Firma „Wardlow Brothers” zaprojektowała liczący dwa tysiące stóp tunel, aby skierować nurt wody ku podziemnemu zwirowemu

łożysku. Mamy też groblę i cały rurociąg, który dostarczy wodę tutaj do każdego z odbiorców. Czysta, świeża woda dotrze do każdej parceli. Napęlni także ten kanał, choć ma on znaczenie raczej dekoracyjne. Firma „Wardlow” jest najlepsza w całym kraju. Jako główny udziałowiec w San Solaro Irrigation sam finansuję ten system, wy zaś musicie zakupić tylko pakiet dziesięciu akcji. Pieniądze, jakie zapłacicie, pokryją koszty doprowadzenia wody do waszej parceli. Jeśli, oczywiście, zechcecie ją nabyć.

- Podjąłem już decyzję - oświadczył mężczyzna, emerytowany urzędnik bankowy. - Podoba mi się tutaj. I podoba mi się sposób, w jaki pan o tym mówi, panie Chance. Prosto i zwięźle.

Mack pomyślał o retoryce Wyatta Paula i uśmiechnął się.

- Cóż, postaram się spełnić wszystkie moje obietnice.

- Miałbym jeszcze kilka pytań dotyczących... - Przerwał, widząc mężczyznę, który wyszedł z biura i pośpiesznie skierował się w ich stronę.

Człowiek ten odciągnął Macka na bok.

- Właśnie dzwoniła pani Olivar. Prosi, by pan natychmiast wrócił do domu. Pański syn ma bardzo wysoką gorączkę i doktor nie potrafi jej zaradzić.

- A co z panią Chance? Chyba tam jest, prawda? Mężczyzna z zakłopotaniem skinął głową.

- Tak, proszę pana. Ale pani Olivar powiedziała... hm... powiedziała, że pańska żona nie chce tym zawracać sobie głowy. Kazała jej zadzwonić do pana.

Mack natychmiast ruszył w drogę, świadom tego, że stracił dobrych klientów.

Podróż lokalnymi pociągami zabrała mu całe popołudnie i część wieczoru. Na stacji w Riverside znalazł się dopiero o wpół do dziesiątej. Jeden ze służących czekał na niego z parą osiodłanych koni. Mack był przygnębiony i wyczerpany

podróżą. Nie mając czym wypełnić godzin jazdy pociągiem, nie potrafił odpędzić od siebie zmartwienia.

Znalazłszy się w domu, pobiegł prosto do dziecięcego pokoju. Doktor Mellinger miał dla niego pocieszające wiadomości: o szóstej gorączka spadła i Mały Jim zasnął spokojnie.

Carla znajdowała się na dole, w salonie. Mack rozpoznał tak dobrze mu znaną bełkotliwą mowę żony i jej zamglone spojrzenie. Od jak dawna nie trzeźwiała?

- Carla, odpowiedzialność za Jima spoczywa także na tobie. Nie mogę być tutaj przez cały czas!

Lekceważąco machnąwszy ręką, niepewnym krokiem ruszyła w stronę kredensu.

- A więc będzie tu musiał być ktoś inny. Męczyłam się przez całą ciążę, żeby go urodzić. To wystarczy.

Mack zagroził żonie drogę z alkoholem i wyjął jej z ręki kieliszek.

- Posłuchaj, od sześciu miesięcy prawie nie widzisz naszego dziecka. Pozwoliłaś, by inna kobieta karmiła go piersią...

- Owszem - wzruszyła ramionami. - Pomysł, bym sama go karmiła, jest obrzydliwy.

- ... i zmusiłaś Angelinę, żeby zajmowała się nim codziennie od świtu do nocy, wyjąwszy te chwile, kiedy ja jestem w domu.

Carla odepchnęła go od siebie.

- Zejdź mi z drogi. Chcę się napić.

- Nie krzycz. Nie weźmiesz sobie następnego drinka, dopóki ja ci na to nie pozwolę. A mogę nigdy już nie pozwolić.

- Do diabła, mało ci, że rządysz wszystkimi, chcesz jeszcze mnie rozkazywać? - Rzuciła się na niego z pięściami. Mack zrobił unik i złapał ją za rękę.

- Uspokój się i posłuchaj mnie, Carlo. Powtarzam ci raz jeszcze, że ty także ponosisz odpowiedzialność za tego chłopca.

- Czemu? Wcale go nie chciałam. Nie kocham go. Mack puścił ją. Cofnął się o krok i popatrzył na żonę.

- Jest to najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - stwierdził.

- Ale to prawda. - Z jej oczu popłynęły łzy. - Tata ostrzegał cię, że nie nadaję się do małżeństwa. Miałam dość już w pół roku po miodowym miesiącu. Ale starałam się. Łudziłam się nadzieją, że z tobą będzie inaczej. Ale nie było. Nie jest.

- Nic mnie to nie obchodzi. Masz obowiązki wobec swego dziecka.

- Obowiązki? Idź do diabła. Nie nadaję się do żadnych obowiązków. Nadaję się jedynie do picia, do tego, byś czynił mi wyrzuty i pokazywał swoim przyjaciołom, jakbym była cackiem, które nabyłeś na aukcji w galerii sztuki. Pieprzę twoje obowiązki. Pieprzę je. Pieprzę.

Wyminęła go i sięgnęła po butelkę. Tym razem nie zaprotestował. Słyszał brzęk szkła i jej szloch. Próbował jakoś się uspokoić. Złość walczyła w nim ze współczuciem, widział bowiem, w jakim stanie znajdowała się Carla.

- Chodźmy na spacer - poprosił najłagodniej, jak tylko potrafił, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Jest piękny wieczór. Porozmawiamy. Przedyskutujemy to wszystko.

Carla obróciła się gwałtownie i strząsając z ramienia jego rękę, chlusnęła mu w twarz całą zawartością trzymanego w rękę kieliszka. Burbon zapiekł go w oczy, dostał się do nosa i spłynął po wargach.

- Nie będę z tobą dyskutować, Mack! - krzyknęła. - O niczym!

Mack wsłuchiwał się w odgłos oddalających się, pośpiesznych kroków. Trzasnęły drzwi i zazgrzytał klucz w zamku. Zacisnął powieki. Sięgnął po butelkę i nalał sobie solidną porcję.

Obudziło go gorące światło padające na twarz.

Kilka razy przetarł oczy, zanim uzmysłowił sobie, że są to promienie wschodzącego słońca, które wdzierały się przez na wpół uchylone okiennice jego gabinetu.

Palilo go w ustach. Poruszył się i uświadomił sobie, że musiał zasnąć na skórzanej kanapie, a w nocy zsunął się na wyfroterowaną podłogę. Podniósł leżącą na podłodze pustą butelkę i postawił ją na biurku. Jego pojawienie się w zatłoczonej kuchni sprawiło, że zapadła tam nagła cisza.

- Angelina, co z Małym Jimem?

- Ma się dobrze, senor Chance. Gorączka ustąpiła. Kiedy ja jem śniadanie, dogląda go Imelda.

Mack popatrzył na pochyloną nad jedzeniem służbę. Rodolfo Armendariz, odźwierny, jadł zupę, unikając wzroku swego pracodawcy. Jego srebrna broda miała ten sam odcień co lamówka krótkiej aksamitnej kurtki.

- Czy pani Chance jest na dole? - zapytał Mack.

Służący rzucił mu spłoszone spojrzenie, po czym popatrzył na pomocnika kucharza, jakby szukał u niego pomocy.

- Rodolfo, co się stało?

Stary Meksykanin niechętnie podniósł wzrok.

- Pani Chance odjechała powozem krótko po wschodzie słońca - powiedział ponuro. - Sama powoziła.

- Dokąd się udała?

- Nie powiedziała nam tego, senor.

- Czy była trzeźwa?

Odźwierny znowu umknął oczami w bok. Jedna z kucharek nerwowo wypuściła z rąk łyżkę. To wystarczyło

Mackowi za odpowiedź. „Pijana i wściekła do nieprzytomności - pomyślał. - Do diabła z nią! Do diabła!”

Z rozszerzonym gniewem oczyma wbiegł na górę i otworzył drzwi ich wspólnej sypialni. Puste szuflady leżały wysunięte z komody, zniknęła też zawartość stojącej otworem wysokiej bieliźniarki. Oglupiała i oszołomiony jak po serii silnych ciosów, podszedł do szafy. W umieszczonym na drzwiach lustrze odbił się fragment nie pościelonego łóżka oraz leżąca na nim złożona kartka papieru.

Wziął ją i zanim jeszcze rozwinął drżącymi dłońmi, wiedział, co na niej napisano:

„To wszystko jest nie do wytrzymania. Opuszczam Cię. C.”

Księga VI
WŁADZA I CHWAŁA
1899 - 1903

W końcu wieku San Francisco było już miastem na tyle starym, że mogło przerodzić się w wielką metropolię. Liczba mieszkańców sięgnęła trzystu pięćdziesięciu tysięcy. San Francisco stało się też drugim po Nowym Jorku portem handlowym Ameryki. Zestarzało się nawet na tyle, by zastąpić dawne, walące się budynki wspaniałą nową architekturą - w tym nawet drapaczami chmur. Nowy Ferry Building Page'a Browna, z dwustutrzydziestopięciostopową wieżą zegarową, górował nad całym Embarcadero, a nowy City Hall stałby się z pewnością oszałamiającą budowlą, gdyby go wreszcie dokończono.

San Francisco było też dostatecznie stare na to, by pielęgnować tradycje osobistych nienawiści. Wyrastały one na gruncie ciemnych politycznych interesów, podlewane krwią ludzi zabitych w klimacie tolerancji dla przemocy, którą zresztą uważano za nieodłączną część amerykańskiej walki o wpływy.

W 1859 roku amerykański senator David Broderick, demokrat, i sędzia David Terry, także demokrat, ale należący do najbardziej konserwatywnego skrzydła zwanego „Chivalry” obrazili się nawzajem i sędzia Terry wyzwiał Brodericka na pojedynek. Przeciwnicy spotkali się na brzegu jeziora Merced. Broderick nie miał doświadczenia w obchodzeniu się z pistoletami pojedynkowymi i nacisnął spust za wcześnie, zanim zdążył wycelować. Wykorzystując tę okoliczność, Terry precyzyjnie wymierzył i przestrzelił pierś Brodericka, zabijając go na miejscu.

Nowe prawo zakazujące pojedynków bynajmniej nie zapobiegło narastaniu nienawiści. W 1879 roku redaktor Charley de Young z „Chronicle” skrytykował na łamach pisma kandydata na jakieś stanowisko polityczne. Ów człowiek w odwecie bezczelnie ogłosił w prasie, że matka de Younga prowadziła dom publiczny. W odpowiedzi na tę

obelgę Charley de Young próbował go zastrzelić. Pewnego dnia w 1880 roku syn tego człowieka wszedł do redakcji „Chronicle” i zastrzelił Charleya. Pięć lat później Adolph Spreckels, potentat cukrowy, poczuł się tak urażony nagonką, jaką urządziła na niego prasa, że poszedł do redakcji i zranił brata Charleya de Younga, który teraz prowadził pismo. Będący świadkiem tej sceny księgowy zareagował natychmiast: postrzelił Spreckelsa. Tym razem obaj ranni dżentelmeni przeżyli.

Nadszedł fin - de - siecle i San Francisco gotowało się do powitania nowego stulecia. Oczekiwano, że będzie ono nieco lepsze i że czasy prymitywnej przemocy odejdą w przeszłość.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Przemoc stała się teraz tradycją i było jej coraz więcej.

Rozdział 44.

Pewnego jesiennego dnia 1899 roku Mack i Hellman spotkali się na lunchu w Los Angeles. Był to ich trzeci wspólny posiłek w ciągu ostatnich trzech tygodni. Odejście Carli wytworzyło między nimi nową więź. Byli jak żołnierze Legii Cudzoziemskiej, którzy odbyli forsowny wielomilowy marsz boso przez rozgrzane piaski i teraz żyją jedynie wspomnianiem tego wydarzenia.

Jedli aż do wpół do trzeciej. Hellman narzekał na gazowe światło i przykręcono je do minimum. Ojciec Carli zbliżał się już do siedemdziesiątki. Nie lubił ujawniać swego wieku, choć zmuszał innych, by świętowali jego urodziny. Włosy miał już zupełnie siwe, a jego brzuch stał się wielki i obwisły. Nosił pomięty garnitur w żółto - brązową kratkę, żeby zaś ozdobić swe letnie buty z białego zamszu i brązowej skóry, dołączył do nich żółte płócienne sznurowadła. Widniały na nich ślady ulicznego błota, a na rozpiętej marynarce i koszuli - ślady posiłku. Mack, schludny i elegancki w letnim garniturze z cienkiej wełny, był rozbawiony pawimi barwami stroju Hellmana.

Po lunchu spacerowali South Spring Street. Swampy wachlował się słomkowym kapeluszem. Łagodny wiatr przynosił zapach pompowanej w szybach ropy. Mack uznał, że nadszedł właściwy moment, by podzielić się z Hellmanem pewną nowiną.

- Carla zażądała rozwodu. Wczoraj otrzymałem list. Wynajęła sobie w San Francisco adwokata - byłego współnika Waltera Fairbanka.

- Z jakiego powodu?

- Oskarża mnie o cudzołóstwo.

Hellman zamrugał oczyma i omal nie wpadł pod przejeżdżający obok konny powóz.

- Z kim?

- Z kobietą z Nowego Jorku. Ale to nieprawda.

- W takim razie zaprzecz temu.

- Nie. Ona chce uwolnić się od tego małżeństwa. I z pewnością zwycięży w sądzie. Nie mam w tym mieście dobrej opinii: nie wstydzę się znajomości z ekskomunikowanym księdzem, zatrudniłem Chińczyków, sprzeciwiłem się generałowi Otisowi, który dowodził ochotnikami na Filipinach podczas ostatniej wojny i nikomu nie pozwalała o tym zapomnieć.

- Co za dziewczyna - potrząsnął głową Hellman. - Wcielony diabeł. Mimo wszystko powinieneś sobie pogratulować, Johnny. I tak była długo przy tobie. O wiele dłużej, niż tego oczekiwałem.

Mack obracał w palcach laskę.

- Czy miałeś od niej jakieś wieści? Do mnie nie odezwała się od czasu swego wyjazdu.

Hellman potarł zaczerwieniony nos.

- Miesiąc temu dostałem list. Carla jest w Europie. W Karlsbadzie. Pije szampana i kąpie się w mineralnych wodach. Miewa się chyba nieźle - westchnął. - Zastanawiałem się, czy jej nie wydziedziczyć, ale to tylko sprawiłoby, że znowu zaczęłaby pić. Twój syn, Jim... będzie lepiej, jeśli wychowa się z dala od niej. Nie patrz tak na mnie. Powtarzałem ci wielokrotnie: kocham Carlę, ale znam ją na wylot... A to znów co takiego?

Mack zerknął na wystawę. Prawie całą szybę pokrywały kolorowe plakaty. Znał doskonale ten lokal mieszczący się pod numerem trzysta jednaście przy South Spring. Wstępował tu tak często, jak tylko mógł. Wskazał laską napis nad drzwiami:

THOS. TALLY'S

SALON FOTOGRAFICZNY I WITAGRAFICZNY

ZDUMIEWAJĄCE NOWE MUTOSKOPY

ORAZ KINETOSKOPY EDISONA
CIEKAWY, POU CZAJĄCE
ODPOWIEDNIE DLA CAŁEJ RODZINY

- Czy to są te ruchome obrazki, o których czytałem? -
zacieka wił się Hellman.

- Owszem. Kinetoskop jest maszyną projekcyjną
wynalezioną w laboratorium Edisona w New Jersey. A
mutoskop jest jego rywalem. Tally kupił sobie w końcu
witoskop Edisona i teraz na dużym ekranie pokazuje ruchome
obrazki. Edison nadał temu projektorowi swoje imię, ale nie
sądzę, by wiele wiedział o jego działaniu.

- Sprytny facet, choć nie wydajesz się darzyć go zbyt
wielkim szacunkiem. Mack otworzył drzwi i weszli do środka.
Maszyny projekcyjne ustawiono po dwóch stronach sali.
Ubrany w płócienną czapkę dozorca pilnował porządku przy
okularze, przez który zagłądało się do mutoskopu. Na tylnej
ścianie były przesłonięte kotarą drzwi i drewniane
przepierzenie z siedmioma okularami. Przed trzema
znajdującymi się najniżej stały krzesła. Umieszczony na
ścianie napis głosił: WIELKI PROJEKCYJNY WITASKOP.

- Nie wygląda to zbyt okazale - stwierdził Hellman. -
Jakież to obrazki tu pokazują? Pewnie jakieś głupstwa.

Dozorca rozpoznał Macka i pomachał mu ręką.

- To naprawdę wspaniałe urządzenie. Klisza w środku ma
piętnaście stóp długości. Wewnątrz projektora cały czas
pracuje silnik.

- Jesteś prawdziwym ekspertem od tych urządzeń -
stwierdził Hellman takim tonem, jak gdyby Mack oświadczył,
że zamierza ubiegać się o fotel prezydencki w Waszyngtonie.

- To rzecz fascynująca. Sala za ścianą jest jeszcze
ciekawsza od tego pokoju. Siedzi się tam w ciemnościach
przed wielkim ekranem, a to, co można zobaczyć, jest wręcz
wstrząsające. Ludzie po prostu nie chcą stamtąd wychodzić.

Telly musiał zainstalować te okulary w ścianie. Nawet przez nie zobaczysz, jak wielu widzów ściąga ten pokaz.

- Ale z pewnością nie ujrzysz wśród nich przyzwoitych ludzi.

- Jeśli masz na myśli znane ci rodziny, przyznaję ci rację. Nigdy nikogo z nich tu nie widziałem.

- Ale sam bywałeś w środku?

- I to często. Ruchome obrazki są cudowne. Niektórzy już zastanawiają się, czy można je wykorzystać po to, by opowiadać jakieś historie. Wtedy na pewno zasłużyłyby sobie na twój szacunek.

Mack otworzył drzwi nieco szerzej.

- Wejść do środka. Zobaczysz, jak mój przyjaciel Corbett przegrywa z Fitzsimmonsem. Pokazują ten film już od dwóch lat.

- Mam wejść do środka? O nie, mój panie. Szanuję swoje zasady. Mack roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Przepraszam, Ned - zawołał. - Innym razem. - Dozorca machnął ręką, nie podnosząc wzroku.

Hellman wyszedł na ulicę tak szybko, jakby uciekał przed jakimś niebezpieczeństwem.

- Jak możesz zawracać sobie głowę tak szalonymi pomysłami?

- Nic nie ulegnie zmianie na lepsze, jeśli nowe rzeczy nie zastąpią starych, Swampy.

- Tutaj jest ich jednak za wiele. Diabelnie za wiele. Więcej niż w jakimkolwiek innym znanym mi miejscu.

- Jedną z zalet Kalifornii jest to, że nowe pomysły szybko znajdują tu realizatorów. Niewiele pozostaje po dawnych czasach. Ludzie lubią zmiany. - Pomyślał o Fairbanksie, zimnym jak stojące w muzeum marmurowe popiersie. - No... może nie wszyscy. Ale ja tak.

- Jesteś najbardziej zwariowanym bogaczem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zawsze będę to powtarzał.

- Powiem ci coś naprawdę szalonego - wpadł mu w słowo Mack. - Właśnie kupiłem dom na Nob Hill. Trzy kondygnacje, czterdzieści pokoi. Zajmuje pół przecznicy łączącej ulice Sacramento i Clay. Położony jest tuż za rezydencją Jima Flooda. Kupiłem go nawet nie oglądając.

Niewiele rzeczy mogło zdumieć starego Hellmana, ale tym razem wprost osłupiał.

- To znaczy, że w końcu wracasz do San Francisco?

- To chyba dobry moment? Mam pieniądze i nic już nie trzyma mnie w Riverside. Billy Biggerstaff jest świetnym zarządcą.

- A co stało się z twoim przyjacielem, tym kowbojem?

- Pożegłował na Alaskę, żeby zobaczyć, co to za miejsce, i wypłukać trochę złota.

Mack uniósł laskę i popatrzył na zaróżowioną, spoconą twarz teścia.

- Wracam, by przytrzeć im wszystkim nosa, Swampy.

Pierwszego grudnia kapitan Piers Norheim wprowadził jacht do doku na Catalina Island. Opływając Przylądek Horn przybył tu z Long Island, gdzie ostatniej wiosny statek ten został przekazany Oswaldowi Henry'emu Langfordowi III.

Niedługo potem żona Langforda przyłapała męża w hotelowym pokoju w ramionach metresy i zastrzeliła go. Zastrzeliła także tańczącą w music - hallu dziewczynę, po czym odebrała życie samej sobie. Wybuchł ogromny skandal. Wkrótce wystawiono na sprzedaż wspaniałe, należące do Langforda jacht parowy, którego koszt budowy wyniósł osiemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Statek miał załogę składającą się z czterdziestu trzech osób. Sześćdziesięcioletni kapitan Norheim był bardzo doświadczonym marynarzem. Przebywał na morzu niemal bez

przerwy od chwili, gdy znalazł się na nim po raz pierwszy jako czternastolatek po opuszczeniu rodzinnej Kopenhagi.

Po dokładnym wywiadzie przeprowadzonym przez wynajętych agentów, Mack kupił ten jacht. Był on równie wspaniały jak statki, na których pływali Morgan, Drexel, Whitney czy Vanderbilts - o ile nie wspanialszy. Miał dwieście pięćdziesiąt stóp długości, smukły kadłub i wąski dziób. Między dwoma masztami sterczał strzelisty komin. Wewnątrz znajdował się labirynt pokrytych puszystymi dywanami schodów, rzeźbionych balustrad i zdobnych kasetonami sufitów. Dekoracje i wyposażenie były różne w każdej kajucie. Zaskakiwały i cieszyły oczy przepychem drewna dębowego, wiśniowego, klonowego i kasztanowego. Meble w stylu chippendale rywalizowały z tymi z epoki cesarstwa czy Ludwika XV. Marmurowy kominek wabił gości do jadalni, zaś nieco skromniejszy zachęcał do odwiedzenia biblioteki. Siedemset dziewięćdziesiąt lamp świeciło z zawieszonych u sufitu kandelabrow. Załodze płaciło się rocznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a utrzymanie jachtu przez ten sam okres kosztowało aż sto siedemdziesiąt pięć tysięcy. Ale co z tego? Wart był dziewięć, może nawet dziesięć milionów i zasługiwał na troskliwą opiekę. Poza tym, jak lubił mawiać Pierpont Morgan, jeśli pytasz, ile kosztuje utrzymanie jachtu, to znaczy, że nie powinieneś o nim marzyć.

Gustowne, złożone litery wymalowane na burtach składały się na nazwę statku: „QUEEN OF HAMPTON”.

- Zamalujcie to - powiedział Mack, kiedy po raz pierwszy spotkał się z kapitanem jachtu, Duńczykiem o wąskich, zimnych oczach.

- Tak jest, sir. A jaka będzie nowa nazwa?

- „California Chance”. Chcę też, by na maszt wciągnięto banderę z tym oto znakiem. - Podał kapitanowi wizytówkę ze stylizowanymi inicjałami JMC. - Pragnę także, by ten symbol

znalazł się nad drzwiami wszystkich kajut. Niech zostanie umieszczony na porcelanie i wyhaftowany na pościeli. Chcę go widzieć wszędzie.

Ostatniego dnia roku „California Chance” płynęła przez zalane słońcem morze z szybkością piętnastu węzłów na godzinę, zostawiając za sobą w oddali obleczone w zimowe brzozy pagórkowate wybrzeże. Słonawy zapach wiatru podnosił Macka na duchu.

Ze wzruszeniem obserwował brzeg. Gdzieś w głębi lądu kryły się drogi, które przemierzył pieszo tyle lat temu. Smukły dziób jachtu ciął morskie fale, których szum zdawał się wieścić rychłe pomszczenie dawnej klęski poniesionej przez jego właściciela. Krople wody morskiej osiadające na twarzy Macka miały dla niego posmak triumfu.

Stał z założonymi z tyłu rękoma, tuż za kapitanem Norheimem i bosmanem. Flagi sygnałowe oraz bandera właściciela powiewały na masztach, które inaczej pozostałyby zupełnie nie wykorzystane. Równy rytm parowego silnika o mocy czterech tysięcy koni mechanicznych wprawiał w drżenie cały pokład i napełniał serce Macka nową nadzieją, oddalając odeń złe wspomnienia oraz ból spowodowany rozpadem małżeństwa.

Przypomniawszy, co sobie kiedyś powtarzał: nigdy więcej nie będzie mi zimno, nigdy nie będę biedny. Teraz dodał do tego jeszcze jedno: nigdy więcej nie będę nikim.

Bardzo starannie wybrał dzisiejszy strój: białe buty, białe flanelowe spodnie oraz marynarską bluzę w wyhaftowanym na piersi swoim emblematem. Na głowie miał marynarską czapkę z tym samym znakiem, zaś wokół szyi owinał najmodniejszy obecnie w Anglii szalik, na którym także widniały jego inicjały. Nikt nie śmiał sprzeciwić się zamiłowaniu Macka do oznaczania swymi symbolami całej garderoby i wszystkich posiadanych przedmiotów, ani też nikt

nie odważył się z tego żartować. Mack był na ogół pogodnym, pełnym poczucia humoru człowiekiem, ale istniały tematy, na które lepiej było z nim nie dyskutować.

Stojąca z boku Angelina trzymała Jamesa Ohio Chance'a w swych silnych ramionach, pilnując, by nie zdarzyło mu się nic złego na chybotliwym pokładzie. Chłopczyk miał na sobie marynarskie ubranko, ciemnogrnatowe z białymi wyłogami. Mack kupił je osobiście. Malec usiłował zdjąć z głowy włóczkową czapeczkę, ciągnąc za czerwony pompon, a niania starała się mu w tym przeszkodzić. W końcu poddała się, oświadczając tylko:

- Senor Chance, wiatr jest silny, a on chce stać tu z gołą głową.

Mack pogładził jasne włosy syna.

- Nie szkodzi. Świeże powietrze i słońce dobrze mu zrobią. Poza tym chcę, żeby był przy mnie, kiedy wpłyniemy do zatoki. Kiedy to będzie, kapitanie Norheim?

Duńczyk z wielką białą brodą rozłożył mosiężny teleskop i począł lustrować wybrzeże, obserwując małe rybackie łodzie i białe, schludne, kryte trzcina cukrową chaty na wzgórzach.

- Powinniśmy tam być za niecałą godzinę - powiedział po chwili.

- Wspaniale - wykrzyknął Mack z błyskiem w oczach.

Jacht kołysał się, ale Mack nawet podczas największej fali nie cierpiał na chorobę morską. Norheim orzekł, że jest on urodzonym żeglarzem.

Jednak jeśli chodziło o dziecko, Angelina nie zważała na całe bogactwo i pozycję społeczną swojego pracodawcy.

- Jest już za długo na wietrze - oświadczyła. - Zabiorę go na dół.

- Dobrze, ale przynieś go tu, gdy będziemy wpływać do zatoki.

Angelina odeszła. „California Chance” mknął na północ przez połyskujące w złotych promieniach poranka morze.

Rozdział 45.

Mack zastał w San Francisco wielkie zmiany.

Jego uwagę zwrócił przede wszystkim nowy, wielki Ferry Building, górujący ponad falochronem. Lśniaca wieża zegarowa tego budynku była kopią strzelistego mauretańskiego zwieńczenia katedry w Sewilli. Zakończono też w końcu, po dwudziestu dziewięciu latach i wydaniu na ten cel ośmiu milionów dolarów, budowę City Hallu, na rogu ulic Larkin i McAllister. Entuzjaści twierdzili, że francusko-koryncka zwieńczona kopułą budowla jest piękną ale byli też tacy, którzy mówili, że została ona tak skonstruowana, iż wystarczy silniejsze pchnięcie, by się zawaliła.

Mack spostrzegł, że miasto nieugięte prze w stronę oceanu, zabudowując piaszczyste nieużytki Western Addition coraz to nowymi domami. Odkrył, że na ulicach tłoczy się teraz znacznie więcej pojazdów niż kiedyś.

Miasto miało też nowego burmistrza Jima Phelana; ekscentryczny Sutro zmarł dwa lata temu, nie zdążywszy wcielić w życie większości swych pomysłów. Phelan należał do rzadkich okazów: był bogatym demokratą. Odebrawszy staranną jezuicką edukację, hołdował idealistycznym wizjom i szczerze brzydził się SP oraz królującym we władzach miejskich łapówkarstwem.

Mack odkrył też w San Francisco raczkujące towarzystwa literackie i artystyczne, których spotkania odbywały się równie często w centrum miasta, jak i w podszytych wiatrem chatach w Carmel. Nellie także wynajmowała jedną z takich chat, miała bowiem nadzieję wkrótce powrócić do Kalifornii - taką przynajmniej wiadomość otrzymał od niej Mack w liście, który nadszedł z Rzymu. Z wielkim entuzjazmem Nellie donosiła też, że inny mieszkaniec San Francisco, jej przyjaciel Frank Norris - „wielce przystojny, niestety już żonaty” - ukończył właśnie powieść, w której atakował koleje. Jej treść

oparto na autentycznych wydarzeniach - zabójstwach pod Mussel Slough.

Mack uzmysłowił sobie, że jego młodzięczy idealistyczny obraz San Francisco znów pozwolił mu zapomnieć o wszystkim, co złe: o Fairbanksie, śmierci Bao Kee, Huntingtonie i jego zbirach, srebrnozębyim Coglanie i dusznej, wilgotnej celi, gdzie dosięgło go poczucie klęski. Dotąd nie uświadamiał sobie, jak bardzo jego serce przylgnęło do tego wyzłoconego słońcem miasta.

Pierwszy miesiąc 1900 roku Mack przeżył spokojnie, urządzając dom, zatrudniając służbę, szukając współpracowników poprzez ogłoszenia umieszczane w wychodzących na Wschodnim i Zachodnim Wybrzeżu gazetach Hearsta oraz kupując kolejne nieruchomości. Wynajął też miejscowego prawnika, Rhetta Haversticka, wysokiego, postawnego mężczyznę, należącego do starego rodu miejskich demokratów. Korzenie jego rodziny tkwiły w Południowej Karolinie. Haverstick posiadał dobre maniere południowca, nie było w nim jednak tak częstej u ludzi Południa arogancji.

Mack założył sobie konto w Bank of California, nie chciał mieć bowiem nic wspólnego z Fairbanks Trust. Jeden z urzędników bankowych zaproponował mu wstąpienie do Olympic Club, Haverstick zaś ofiarował się, że będzie drugą wprowadzającą go osobą. Został przyjęty, choć Haverstick powiedział mu później, że Fairbanks z pewnością próbowałby się temu przeciwstawić, gdyby nie to, że interesy SP zatrzymały go z dala od miasta akurat w dniu, gdy zbierał się komitet przyjmujący członków.

Okazały pałac Macka przylegał frontem do Sacramento Street. Z jego tylnych okien wychodzących na Clay Street rozciągał się wspaniały widok na zatokę. Mack polecił murarzom, by ozdobili wejście do rezydencji filarami i

wmurowanymi w ścianę emblematami z jego inicjałami. Wynajął także firmę, która umeblowała dom i całkowicie zmieniła jego wystrój. Postanowił też całkowicie przebudować górne piętro, aby urządzić tam największy i najokazalszy apartament, jaki kiedykolwiek widziano w mieście. Składał się on z gabinetu i sali konferencyjnej.

Stopniowo elita miasta zaczęła dostrzegać jego obecność. Wiedział jednak, że członkowie najlepszego towarzystwa będą uważali go za parweniusza, i postanowił poradzić sobie z tym za pomocą prostej metody: wkupienia się w ich łaski.

Jane Stanford była już teraz zupełnie siwa, ale równie energiczna jak zwykle. Jej drugim obok Macka gościem był David Starr Jordan, rektor Stanford University. Jordan miał koło pięćdziesiątki i liczył sobie ponad sześć stóp wzrostu. Jego ogorzła twarz wskazywała na zamiłowanie do przebywania na świeżym powietrzu. Był jednym z pierwszych Amerykanów, którzy wspięli się na Matterhorn.

Jordan przyjął zaproponowaną mu przez Jane Stanford filiżankę herbaty, starając się za wszelką cenę opanować podniecenie. Mack wręczył wdowie po gubernatorze czek na sto tysięcy dolarów.

- Co za niezwykła hojność - wykrzyknęła rozemocjonowana pani Stanford. - I to tak nieoczekiwana.

- Doceniam wagę dobrego wykształcenia. Nigdy przy tym nie zapomniałem, że to właśnie gubernator dał mi pierwszą przyzwoitą pracę. Mam też nadzieję, że pozwoli to zapomnieć o tej historii z moim promem - dodał z rozbijającym uśmiechem.

- Jakże mogłoby być inaczej, panie Chance? Uniwersytet jest moją największą troską. Moją jedyną troską od śmierci Lelanda.

Jordan uśmiechnął się.

- Dba pani o naszą uczelnię z równym oddaniem, jak Phoebe Hearst dba o uniwersytet w Berkeley. - Popatrzył na czek i twarz mu się rozjaśniła. - Dzięki podobnym panu dobroczyńcom, panie Chance, Stanford ma szansę dorównać takim placówkom jak Columbia i Harvard. Kiedy przybyłem tutaj z Indiany, prasa twierdziła, że nie zdobędę funduszy na działalność i nie ściągnę tu ani profesorów, ani studentów. Pisano, że przez całe lata, a może i zawsze, będę wykladał w pustych marmurowych salach. Ale my zadamy kłam wizjom tych czarnowidzów. Dziękuję panu za wsparcie.

- Proszę nalać sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty, panie Chance - powiedziała pani Stanford. - I chyba powinnam powiedzieć panu: witamy w domu.

- Możemy wprowadzić cię do Bohemian Club, jeśli sobie tego życzysz - oświadczył Rhett Haverstick. - Kiedy klub ten powstał trzydzieści lat temu, był dokładnie tym, co sugerowała nazwa: klubem dziennikarzy i malarzy. Teraz należą doń głównie biznesmeni i politycy, ludzie z najlepszego towarzystwa, cieszący się największymi wpływami. Mógłbyś zostać jego członkiem już podczas jesiennej sesji.

- A czy pozwolą mi doń wstąpić?

- Tak, choć oczywiście znowu będziemy musieli jakoś przełamać opór Fairbanksa.

- Czy należy on do tego klubu?

- Obawiam się, że tak. Ale co do innych członków, jestem pewien, że przyjmą cię entuzjastycznie. Wiesz przecież, co mówiono o tobie w Riverside.

- Nie, nie wiem.

- „Chance jest zbyt bogaty, by można go było lekceważyć.” Mack zaśmiał się.

Dekoratorzy przybyli do domu Macka z dokładnym architektonicznym planem wyburzenia sufitu w głównym holu i piętra powyżej niego.

- Proponujemy stworzenie wielkiej dwupiętrowej sali, zwieńczonej najpiękniejszym kolorowym szkłem od Tiffany'ego.

Mack przyjrzał się projektowi.

- Ile?

- Poniżej trzystu tysięcy dolarów.

Milczał przez chwilę, wertując kolejne strony i dokładnie studiując każdą z nich.

- No to zaczynajcie - powiedział w końcu.

Bohemian Club przyjął go. Jedynie Fairbanks wrzucił do urny czarną gałkę, ale jego głos nie był w stanie zmienić rezultatu głosowania. Mack otrzymał też zaproszenie na Midsummer High Jinks, doroczne święto, które tym razem obchodzić miano na nowych letniskowych terenach klubu, w sekwojowym gaju nad Russian River.

Im więcej prowadził interesów w mieście, tym więcej poznawał ludzi z wyższych sfer. Część z nich nie chciała mieć z nim jednak nic wspólnego: byli to głównie ci z Fairbanks Trust oraz wysokie osobistości z Southern Pacific. Podobną niechęć budził także wśród pracowników największego rywala „Examinera”: dziennika „Chronicie”. Jego wydawca, Mike de Young, kierował swoim imperium z nowego dziesięciopiętrowego drapacza chmur przy Market Street. Choć był on wiernym stronnikiem partii republikańskiej, do której należał także i Mack, gdy się spotykali, pozdrawiał go jedynie chłodnym skinieniem głowy. Traktował w ten sposób wszystkich, o których wiedział, że przyjaźnią się z Hearstem.

Natomiast inny człowiek, Henry Huntington, syn starszego brata C.P. - Solona, który miał prawo traktować go jak wroga, odnosił się doń wręcz serdecznie. Henry, nazywany

przez wszystkich Edem, zaczął pracę w SP już dawno, w roku 1881. Był pulchnym mężczyzną około pięćdziesiątki i być może obaj z Mackiem szanowali się nawzajem dlatego, że mieli wiele wspólnych cech.

W czasie weekendów Mack oddawał się swojej pasji przebywania na świeżym powietrzu. Jeździł konno po dzikim wybrzeżu Big Sur i polował na przepiórki, wilki oraz dzikie kozice żyjące u podnóża Sierry. Nie używał jednak do polowań niczego innego prócz aparatu fotograficznego Kodaka.

Zachwycony Chodzeniem po górach Sierra w Newadzie Clarence'a Kinga, zaczął uprawiać wspinaczkę po wietrznych wulkanicznych wzgórzach Shasty i przyglądać się ze szczytu Mount Saint Heleny bujnym winnicom Napy i Sonomy. Szczyt ów nazwano tak na cześć żony rosyjskiego generała - gubernatora. W hrabstwie Contra Costa poprzez łąki porośnięte dzikim kwieciem i jaworowe oraz sosnowe zagajniki zawędrował aż na szczyt Mount Diablo. Znajdując się cztery tysiące stóp nad poziomem morza mógł widzieć ziemię niemalże w promieniu stu mil. Dostrzegał stąd Pacyfik i San Francisco, North Coast i Central Valley, a także odległe góry Sierra. Stojąc na szczycie czuł się jak król Kalifornii, a nawet jak król całego świata.

Cokolwiek robił, codziennie wieczorem poświęcał przynajmniej godzinę Małemu Jimowi. Chłopczyk miał już prawie dwa lata. Chodził i uczył się coraz to nowych słów oraz ściągał na ziemię wszystko, co tylko wpadło mu do ręki. Głęboki błękit jego oczu przypominał oczy Carli, a na głowie miał gęstą czuprynę jasnych loków. Angelina twierdziła, że bez wątplenia wdał się w matkę.

Czasem w weekendy Mack zabierał syna na spacer do Golden Gate Park lub z pokładu „California Chance” pokazywał mu skaliste wybrzeże Bodega Bay. Chłopiec nie

protestował przeciwko tym wyprawom, ale wydawało się, że nie jest nimi zbyt zainteresowany.

- Nie umiem panu powiedzieć dlaczego - powiedziała Angelina Olivar, kiedy Mack zapytał ją o to pewnego razu. - Być może przejął po matce także coś z jej charakteru.

„Boże broń” - pomyślał przerażony Mack.

Grove, nowa posiadłość Bohemian Club nad Russian River, tego lata po raz pierwszy gościła jego członków. Niezwykle onieśmienie ogarnęło Macka, kiedy niosąc bagaż do przydzielonego sobie pokoju spotkał po drodze Huntera Vanna, ważnego doradcę sądowego, Oscara Himmela, handlowca i właściciela licznych magazynów, oraz Joego Snella, urzędnika kontrolowanej przez SP sieci autobusów miejskich. Powitali oni Macka z oficjalną uprzejmością. Himmel był zresztą zbyt zarozumiały i pompatyczny, by komukolwiek udało się nawiązać z nim prawdziwą przyjaźń.

Joe Snell powiedział, że przybył tu wraz ze swym przyjacielem, także członkiem klubu, Edem Huntingtonem. Mack spotkał się z bratankiem starego Collisa już podczas pierwszego obozowego ogniska. Podobnie jak wielu innych, Huntington był w wysokich butach i płóciennej koszuli. Serdecznie uścisnął dłoń Macka. Przy ognisku Mack spostrzegł, że ktoś go obserwuje. Był to Fairbanks. Prawnik skinął mu na powitanie głową.

Podczas śpiewów Mack jak wszyscy inni wypił trochę whisky. Mężczyźni ze splecionymi ramionami kołysali się na boki pod japońskimi lampionami, rozbawieni i weseli jak gromada małych chłopców, nagle uwolnionych od codziennych obowiązków.

Nie wszyscy jednak mogli zapomnieć o kłopotach i zmartwieniach. Huntington najpierw wspomniał o swych ukochanych książkach, ale potem zaczął mówić o komunikacji miejskiej.

- Mam pewną teorię, Chance. Lokalne linie przewozowe mogą na skalę miasta robić to, co Central i Southern Pacific robią na skalę stanu. Mogą kształtować przyszłość, wyznaczając kierunki rozwoju miasta. Muszą jednak przewozić ludzi szybko, a wozy powinny być czyste. Być może należałoby użyć do ich napędzania energii elektrycznej. Jestem przekonany, że to niegłupi pomysł. Mam zamiar pewnego dnia wypróbować go w Los Angeles.

Kiedy Mack udawał się do swego pokoju, pełnego brzęczących owadów i wypełnionego szumem płynącej nieopodal rzeki, ponownie spotkał na schodach Fairbanksa, który szedł dokądś ze swoimi przyjaciółmi. Korytarz był niezbyt szeroki i jeden z nich musiał się cofnąć, by przepuścić drugiego.

Mack stanął pod papierowym lampionem rozświetlającym korytarz migotliwym, czerwonym światłem. Fairbanks zatrzymał się także.

- Cóż, Chance, muszę cię powitać wśród członków Bohemian - powiedział.

- Nic nie musisz, Walterze. Fairbanks przyglądał swe wymuskane wąsiki.

- Jak się miewają twoje udziały w Kolei Ludowej? - zapytał sarkastycznie.

- Zlikwidowałem je podczas ostatniej wyprzedaży. - Była to bolesna sprawa. Koleje San Francisco & San Joaquin w 1898 roku dotarły do Bakersfield, po czym ich dyrektorzy po krótkich negocjacjach połączyli tę linię z Santa Fe. Mack i kilku innych liczących się udziałowców próbowali nie dopuścić do tej transakcji, oskarżając dyrekcję o nieuczciwość, ale przegrali.

- Jaka szkoda.

- Wszyscy czasem przegrywamy, Walterze.

- Żadna przegrana nie osłabi pozycji naprawdę silnego przedsiębiorstwa - uśmiechnął się Fairbanks.

- Może nie. Ale i tak pewnego dnia nie będziecie już rządzić Kalifornią. Kiedyś ludzie po prostu przejrzą na oczy. Dobranoc.

Mack tak gwałtownie postąpił do przodu, że zaskoczony prawnik cofnął się. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co uczynił. Gwałtowny ból przeszył mu czaszkę.

- Kto to? - zapytali jego przyjaciele, kiedy Mack zniknął już w końcu korytarza.

- Sukinsyn, którego usunę stąd, gdy tylko nadejdzie odpowiednia pora.

Przez długie, pogodne godziny łowili ryby, śpiewali i leniuchowali. Odtwarzali też Kremacją Zgryzoty, tradycyjną sztukę napisaną i przedstawianą przez członków klubu. Szczęśliwi i odprężeni wrócili pod koniec tygodnia do miasta, gdzie czekały na nich wstrząsające wiadomości. C.P. Huntington, który opuścił niedawno rezydencję przy Fifth Avenue udając się na wakacje do swej letniej posiadłości nad jezioro Raquette w Adirondacks, zmarł tam w sierpniowym upale na rok przed ukończeniem osiemdziesięciu lat.

Odszedł ostatni z Wielkiej Czwórki. „Bezwzględny jak krokodyl”, napisał bezlitośnie „król dzienników”. Skończyła się pewna era.

Rzucało się to w oczy, szczególnie na pogrzebie. Jednym z żałobników był EH. Harriman, pośrednik, który dorobił się majątku na kolejowych spekulacjach. Jako prezes Union Pacific, Harriman nabywał udziały w kolejach na terenie całego kraju.

- Podobno już przeprowadził rozmowę z Edem Huntingtonem na temat jego udziałów - poinformował Macka jeden z przyjaciół. - To naprawdę koniec.

- Nie sędzę - odparł Mack. - Ośmiornica wciąż jeszcze żyje.

Wśród chrzęstu żelaza i przekleństw robotników Mack rozmawiał z siedemnastym już kandydatem na swojego asystenta. Ów młody człowiek wydał mu się równie nieciekawy jak wszyscy jego poprzednicy. Był niski, z delikatnymi dłońmi i wąskimi stopami. Posiwał przedwcześnie - miał bowiem najwyżej dwadzieścia dziewięć lat - a jego słabe, zamglone oczy kryły się pod grubymi szklami pince - nez. Skórę miał tak białą, iż należało wątpić, by kiedykolwiek oglądała ona słońce. Na policzkach wykwił mu nienaturalny, szkarłatny rumieniec. Potrząsnął dłonią Macka tak, jakby wprawiał w ruch pompę.

- Nazywam się Alexander Muller. Jestem Szwajcarem. Z kantonu Zurychu. Dawniej w moim nazwisku nad „u” były kropki, ale usunąłem je. Pragnę być w całej pełni Amerykaninem.

Pod uśmiechem, jakim obdarzył go młody człowiek, Mack wyczuł napięcie. Alexander Muller poruszył głową jak ptak na widok smakowitego robaka.

- Nie wie pan nic o moich interesach, Muller. Mam ten problem ze wszystkimi kandydatami. Nikt nie zna moich interesów tak jak ja.

- Być może przyjął pan złe kryterium.

- Słucham?

- Czy ktokolwiek może znać pana przedsięwzięcia równie dobrze jak pan sam? Będzie to możliwe dopiero po jakimś czasie. Ale za kandydatem mogą przemawiać również inne kwalifikacje. Ja przez trzy lata pracowałem w banku i znam się na przemyśle. Postanowiłem też związać moją karierę z Kalifornią.

- Czemu to? Jest pan przecież tak daleko od domu.

- Tak, daleko od brzegu rzeki Limmat, nad którą spędziłem dzieciństwo. Ale widzi pan... nie mogę kłamać, skoro ma mnie pan zatrudnić jako zaufanego człowieka. Przez dwa lata byłem w pewnym szpitalu w Alpach. W młodości chorowałem na gruźlicę.

- Na co?

- To choroba, która niszczy płuca. Została zaleczona. I nie będzie mieć już nawrotów, ponieważ przybyłem do największego szpitala i sanatorium na świecie - do Kalifornii.

- Pan w to wierzy?

- Tak. Podobnie jak miliony Europejczyków.

Mieć za asystenta chorego człowieka? Jednak Mack zdążył już polubić tego wymoczkowatego siwowłosego mężczyznę - chłopca.

- Proszę opowiedzieć mi więcej o sobie. Ma pan rodzinę?

- Nie. Moi rodzice zmarli.

- A żonę?

- Nie, proszę pana.

- Dziewczyne?

- Nie. Moją jedyną kochanką jest praca.

- Cóż, zgadzam się, że to bardzo amerykańskie. Pasuje pan do tego miejsca. I Mack zatrudnił go.

Latem Mack powrócił do jeszcze jednej swojej pasji: gotowania. Podczas ciągnącej się tygodniami przebudowy domu postanowił zaplanować sobie uroczyste przyjęcie sylwestrowe, by z pompą powitać nowy wiek. Kolacja miała zostać poprzedzona tańcami, a on sam chciał przygotować co najmniej jedno z głównych dań. Ponieważ nie był zadowolony z posiadanych win, wysłał zaopatrzonego w gotówkę Alexa Mullera na poszukiwanie lepszych trunków. Po trzech dniach tych poszukiwań Mack stał się właścicielem Sonoma Creek Winery.

Choć życie Macka było wypełnione licznymi zajęciami, nie zmniejszyły się jednak jego fizyczne potrzeby. Wciąż był młody i zdrowy, kiedy więc zapominał na chwilę o stresach i zmartwieniach, czuł, że trzeba mu innej jeszcze rozrywki: wizyty w jednej z tak zwanych „francuskich restauracji”.

„Francuskie restauracje” były szczególnym wynalazkiem tego miasta. Znajdowały się tu ich dwa czy trzy tuziny, stłoczone w zaniedbanej dzielnicy - tej, która powstała najwcześniej, jeszcze w czasach gorączki złota. Nikt nie wiedział, czemu lokale te nazywano „francuskimi”. Kuchnia w każdym razie nie dawała podstaw do takiego określenia - na ogół zresztą była doskonała, choć prosta. Także ich właściciele nie pochodzili z Francji. Być może nadano im to miano dlatego, że Amerykanie uważali Francuzów za ludzi wielce rozmiłowanych w seksie, a właśnie seks był główną pozycją w menu tych restauracji.

Parter takich lokali zajmowała zawsze restauracja jak najbardziej przyzwoita, której często patronował jakiś konserwatywny biznesmen. Na piętrze natomiast można było zamówić posiłek w towarzystwie dyskretnej damy. Każdy z pokoi wyposażony był w wygodną kanapę, wystarczająco szeroką dla dwojga. Jeśli ktoś miał ochotę na dłuższy wypoczynek, znajdowały się tu także małe apartamenty na drugim piętrze, zwane „sypialniami kolacyjnymi”, które można było wynajmować na całą noc.

Mack wypróbował kilka z tych francuskich restauracji, zanim znalazł jedną, którą polubił - „Maison Napoleon”, położoną po północnej stronie Mission, na południe od Slot. Podczas drugiej wizyty zaczął rozmawiać z właścicielką, która zaintrygowała go ze względu na wiek - liczyła sobie niewiele ponad dwadzieścia lat - oraz maniery prawdziwej damy. Nazywała się Margaret Emerson. Mack podziwiał jej przedsiębiorczość i wielką inteligencję: nie każda uliczna

dziwka potrafiłaby kierować takim biznesem, balansował on wszak na granicy prawa. W dodatku nie wszyscy umieliby uwieńczyć takie przedsięwzięcie sukcesem. On i Margaret szybko stali się przyjaciółmi.

Margaret była drobną kobietą o dużych brązowych oczach, kasztanowych włosach oraz piegach na nosie i policzkach. Jej twarz zdawała się nieco za długa, podobnie jak szyja. Kiedy zajmowała się restauracją, pełniąc tam honory domu, przywoływała na twarz powagę, która, podobnie jak i ciemna suknia, pasowała raczej do osoby znacznie starszej i dodawała jej lat. Margaret podkreślała jeszcze ten efekt nobliwie upinając włosy wysoko nad czołem i przypudrowując piegi.

Póki zachowywała powagę, przypominała starą pannę lub żonę prezbiteriańskiego pastora, Ale kiedy się uśmiechała, następowała w niej niewyobrazalna wręcz przemiana. Miała pełne usta i piękne, doskonale białe zęby, zaś uśmiech brązowych oczu nie pozostawiał złudzenia co do jej wieku. Nagle stawała się na powrót młodziutką, pełną uroku dziewczyną. Pieczołowicie ukrywała jednak tę część swojej natury przed klientami restauracji. Być może sądziła, iż budząca szacunek gospodyni na dole jest absolutną koniecznością, zważywszy na to, co działo się na górze.

Wkrótce zaczęli z Mackiem wspólnie wyjeżdżać poza miasto. W czasie słonecznych weekendów odwiedzali często Golden Gate Park, zabierając z restauracyjnej kuchni koszyk wypełniony piknikowym jedzeniem. Kiedyś Mack zabrał ją także w rejs na „California Chance”. Kazał wstawić bukiet świeżych kwiatów do największej z gościnnych kajut na jachcie i wprowadził ją tam, w milczeniu wskazując na tkwiący w drzwiach klucz w chwili, gdy ludzie kapitana Norheima byli akurat odwróceny tyłem. Margaret posłała mu szybkie, pełne zrozumienia spojrzenie. Pragnął jej

towarzystwa, ale nie w łóżku - ten rodzaj rozrywki znajdował na wyższych piętrach jej domu. Na twarzy dziewczyny pojawił się na moment żal, ale tego Mack już nie zauważył.

Rejs wzdłuż wybrzeża, który skończył się późnym wieczorem, okazał się wspaniałą przygodą. Oboje opowiadali sobie niezliczone historie, co chwilę wybuchając śmiechem. W chwili gdy cumowali do brzegu, byli już czymś więcej niż tylko znajomymi - stali się serdecznymi przyjaciółmi.

Mack znał Margaret już od kilku miesięcy, zanim przyszło mu na myśl, że mogłaby być ona dlań idealną towarzyszką na sylwestrowej zabawie. Jeszcze tego samego wieczoru udał się do niej w tej sprawie.

- A jeśli mnie ktoś rozpozna?

- Wątpię. Ale nawet jeśli, to co? Mówiłaś, że politycy i biznesmeni stale odwiedzają twoją restaurację.

- Ale wchodzą tylnymi drzwiami. I nigdy by się do tych wizyt nie przyznali. Bardzo ryzykujesz.

- Potrzebuję pani domu. Nie sądzę, bym znalazł kogoś piękniejszego i bardziej nadającego się do tej roli.

- Dobrze więc. Przyjmuję zaproszenie.

W sylwestra poprzedzającego pierwszy dzień 1900 roku setka gości okazywała pięknie zdobione zaproszenia przy wejściu do wysokiej na trzy piętra sali, zwieńczonej szkłem od Tiffany'ego i oświetlonej elektrycznymi lampami. Orkiestra grała już w sali balowej, podczas gdy damy i dżentelmeni przez godzinę witali się i przedstawiali sobie nawzajem w głównym holu. O wpół do dziesiątej wszyscy skierowali się do jadalni.

Margaret siedziała po prawej stronie Macka. We włosy wpięty miała diadem z szafirów, który ofiarował jej na gwiazdkę. Na wielkich, zasłanych białymi obrusami stołach stała srebrna zastawa i piękne kryształowe puchary. W tym pomieszczeniu Mack wolał pozostawić łagodne światło lamp

gazowych i nie zastępować ich elektrycznymi. Jego frakowa koszula lśniła nieskazitelną bielą. Kiedy umilkł szmer rozmów, Mack podniósł się, by wygłosić kilka słów.

- Panie i panowie, witajcie w moim domu, gdzie uroczyście powitamy nastanie nowego wieku. Nie urodziłem się w tym stanie, ale teraz jestem Kalifornijczykiem do szpiku kości. - Odezwały się liczne brawa i pełen aprobaty pomruk. Goście byli już nieco ożywieni po wypiciu szampana „Cresta Blanca”, najlepszego w całym stanie, który podawano w nieograniczonej ilości. - Każde z dań jest narodową potrawą tego stanu. Za chwilę otrzymacie drukowane menu. Mam nadzieję, że zechcecie spojrzeć szczególnie łaskawym okiem na nadziewane i podane w galarecie caille roti, przepiórki prosto z San Joaquin. Gotowanie jest moją wielką pasją i to ja sam przygotowałem zarówno farsz, jak i galaretę do tego dania. Wyznam wam, że nigdy dotąd nie gotowałem aż dla setki ludzi jednocześnie. Wymaga to spędzenia mnóstwa czasu w kuchni. - Rozległ się śmiech. - Wina także są kalifornijskie. Dziś w nocy świętujemy nie tylko nadejście Nowego Roku i witamy nowy, dwudziesty wiek, ale także obchodzimy narodziny naszego stanu w takim kształcie, jaki najlepiej nam odpowiada. - Uniósł trzymany w dłoni kieliszek. - Za Kalifornię! Wasze zdrowie!

Dżentelmeni wstali, by spełnić toast, tworząc wokół stołu długi rząd eleganckich czarnych fraków i białych krawatów. „Udało mi się” - pomyślał z dumą Mack.

Margaret symbolicznie umoczyła usta w szampanie i złożyła na kolanach dłonie w rękawiczkach, jak najskromniejsza i najlepiej wychowana z żon. Ale oczy jej lśniły, a twarz promieniała podnieceniem jak u podeksytowanego czymś dziecka.

Mack skinął na stojących w pobliżu przejścia do kuchni kelnerów.

- Podajcie menu. Zaczynamy ucztę.

Na początek podano Les Huitres de Tomales: ostrygi z Tomales Bay, przyrządzone w połówce muszli. Każda z ostryg owinięta była ozdobnie złożoną płócienną serwetką. Sos z pachnącej rezedy podano osobno.

Następnym daniem było Le Consomme de Hote Palace: klarowny bulion z kurcząt, podawany w osobnych filiżankach, zaprawiony lekko osoloną bitą śmietaną i przysypany gałką muszkatołową.

Kolejną potrawę stanowił Le Filet de Sole Sautee: gotowana płastuga, najlepsza z kalifornijskich ryb, serwowana z plasterkami cytryny.

Po rybie na stole pojawiły się przepiórki, z przyrządzonym przez Macka nadzieniem z brązowego ryżu, orzechów, suszonych moreli. Zatopiono je w galarecie z soku pomarańczowego i wina Sonoma Creek.

Sałatkę, na modłę europejską, podano dopiero po tym daniu. La Salade de Saison, sałatka rodem z Pasadeny, składała się z zielonych warzyw, kawałków grapefruitów, pomarańczy oraz cząstek awokado. Skropiono ją lekko słodkawym sosem vinaigrette.

Po sałatce przyszła kolej na Le Plateau de Fromages Assortis. Mack powiedział najbliższym gościom, że ten wyśmienity francuski ser od lat już wytwarza się w hrabstwie Sonoma. Tuż po serze kelnerzy wnieśli triumfalnie deser: La Poire Conde: całe, wydrążone gruszki z farmy w Central Valley, polane słodkim winem i ułożone na kremie posypanym tartą czekoladą i siekanymi migdałami.

Na zakończenie uczyty podano zaś Le Cafe Noir, Demi - tasse. O wpół do dwunastej Joe Snell z Bohemian Club zaproponował toast dla uczczenia ich gospodarza. Zamiast tego jednak ktoś zaklaskał w dłonie. Ku swemu zdumieniu Mack stwierdził, że była to dziennikarka z „Chronicle” de

Younga. Nie zauważył jej wcześniej, bo nie spodziewał się jej tu ujrzeć. Wysłał wprawdzie zaproszenie do redakcji, ale uczynił to jedynie dlatego, że gazeta de Younga była zbyt ważna, aby można ją było zlekceważyć.

Dziewczyna stała chwiejąc się lekko, najwyraźniej nieco podpita.

Jej klaskanie dało gościom sygnał do rozpoczęcia długiej owacji na stojąco.

Długo pamiętano w San Francisco tę noc. Stała się ona początkiem legendy, jaka otaczała przyjęcia w domu Macka. W całej Ameryce nie było nic, co mogłoby się z nimi równać - twierdzili ci, którzy dostąpili przywileju otrzymania zaproszenia, w rozmowach z tymi, których to szczęście nie spotkało. Do tych ostatnich należał Walter Fairbanks.

O wpół do czwartej nad ranem na parkiecie zasłanym confetti i kawałkami serpentyny Mack zatańczył z Margaret ostatniego walca.

- To triumf. Absolutny triumf, Mack.

- Tak, ja też tak sędzę. Dużo w tym twojej zasługi.

Uścisnęła go i narażając się na plotki, przytuliła policzek do jego ramienia.

- Byłabym szczęśliwa, zostając tu na noc - szepnęła cicho. Mack pomyślał o Nellie. Czy spała teraz? I z kim?

- Dziękuję ci, ale jestem bardzo zmęczony. Ty na pewno też. Alex odwiezie cię do domu.

Margaret skinęła głową, starając się, jak tylko potrafiła najlepiej, ukryć rozczarowanie.

Rozdział 46.

Hellburner Johnson wysiadł z tramwaju i powędrował California Street. Zatrzymał się na rogu, wdychając ciepłe wiosenne powietrze, lekko przesiąknięte przynoszonym przez wiatr znad zatoki zapachem ryb.

Pasażerowie przejeżdżających obok powozów przyglądali mu się ciekawie. Johnson miał na głowie wielką czapę z futra piżmaka, a na ramionach kozuch zdolny uchronić nawet przed arktycznymi mrozami. Z przewieszzonego przez ramię płóciennego worka wystawały przeznaczone do chodzenia po śniegu buty. Johnson miał też na sobie pas z kaburami na broń, w którym zaszył zrolowane banknoty - cztery i pół tysiąca dolarów. Zdobył je stojąc w morzu i wypłukując złoto na plaży w Nome.

Johnson nigdy dotąd nie był w San Francisco, widział je tylko z pokładu parowca, którym płynął na Alaskę. Wracał stamtąd bogaty w silne wrażenia, jakich doznał w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Miał świeżo w pamięci zwieńczone kopułami kościoły w Sitka, zimny, szklany blask lodowca Muir i jego zimny oddech, kiedy tamtędy wędrował. Johnson przeszedł szlak od Skagway aż do Chilkoot Pass, stanowiąc jedno ogniwo ciągnącego się na przestrzeni czternastu mil łańcucha ludzi, jednego dnia pocąc się z gorąca, a drugiego zacierając zgrabiałe z zimna ręce.

- Ta ziemia została przeklęta już w chwili jej tworzenia - narzekał później. - Komary wielkie jak bawoły i sople lodu zwieszające się ze skał w sierpniu.

Dawson City było ponurym miasteczkiem leżącym wśród trzęsawisk, przez większą część roku zalewanych przez wodę. Johnson żuł cebulę przechowywaną w pieczołowicie pilnowanym worku, by uniknąć skorbutu, którego ofiary spotykał na każdym kroku. Byli to ludzie o obwisłych brzuchach, ruszających się zębach i pożółkłej, przezroczystej

cerze pomarszczonych twarzy. Mimo to na przystani w Dawson tysiące nowych przybyszów gotowało się do wyprawy wzdłuż obfitującej w węże okolicy rzeki Yukon, aż po morze Beringa i nowy szlak do Nome.

Nome stanowiło ich ostatni przystanek. Było to zgiełkliwe miasteczko białych namiotów i czarnych piaszczystych plaż. Johnsonowi udało się ujść z życiem z dwóch rabunkowych napadów i miał teraz jeszcze więcej do opowiadania niż niegdyś. Wrócił też odrobinę bogatszy.

Ale wszystkie wspomnienia o tym, co przeżył, zbladły, kiedy szedł teraz przez Nob Hill. San Francisco okazało się przepięknym miastem, co zawdzięczało ślicznym, zdobiącym jego wzgórze domom i lśniącej poniżej błękitnej zatoce. Ale tym, co zachwyciło Johnsona najbardziej, były rezydencje milionerów. Skreślił w Sacramento Street i sprawdzając adres na trzymanej w ręku kartce papieru, spostrzegł dom, przewyższający rozmiarami i bogactwem wszystkie inne.

Przy wejściu stały wielkie kolumny. Na każdej z nich umieszczono wysoki na stopę emblemat z inicjałami właściciela. J. M. Chance nie stracił zamiłowania do wszystkiego, co okazałe. Johnson ze zdumieniem pokręcił głową. Wyjął zza pazuchy szmaragdowozieloną chustę i wsunął do ust ukrytą w niej prymkę tytoniu. Otworzył żelazną furtkę i wkroczył na dziedziniec.

- Pan Chance jest zajęty - powiedział dumnie wyprostowany kamerdyner. Johnson nie mógł oderwać wzroku od zalanego słońcem wysokiego na trzy piętra holu i widocznego przez szkło od Tiffany'ego błękitnego nieba. - Proszę przyjść później. I zapukać do tylnych drzwi. Tam jest wejście dla domokrażnych handlarzy.

- Jestem jego współnikiem, ty idioto. Wskaż mi drogę do gabinetu. I to natychmiast, bo inaczej zrobię z ciebie sito tym koltem, który mam przy pasie.

Przerażony kamerdyner poprowadził go na górę. Szli przez baśniowy świat rzeźbionych balustrad, rosnących w doniczkach kwiatów i puszystych dywanów, aż stanęli przed podwójnymi drzwiami na najwyższej kondygnacji. W każde skrzydło drzwi także wprawiono inicjały Macka, ręcznie rzeźbione i osadzone w medalionach z wiśniowego drewna. Drzwi wiodły do wspaniałego apartamentu złożonego z kilku pokoi. W jednym z nich stał długi stół i dwanaście krzeseł. Ostatni pokój, największy, był jeszcze okazalszy niż gabinet w Riverside. Mack siedział tam przy ogromnym biurku. Za plecami miał trój skrzydłowe okno, za którym rozciągała się panorama Russian Hill, zatoki i Marin.

Mack obracał w palcach ołówek w długiej skórzanej obsadce, a na jego twarzy malował się taki wyraz, że Johnson natychmiast odgadł, iż jego przyjaciel rozważa właśnie jakieś nowe przedsięwzięcie. Obok niego siedział młody człowiek o siwych jak u starca włosach.

- ... nie dam więcej niż sześćdziesiąt pięć tysięcy za tę przecznicę w pobliżu Presidio...

Johnson zastukał protezą w podłogę.

- Hellburner! Mój Boże! Myślałem już, że zamierzasz pozostać na Alasce na zawsze.

- Niewiele brakowało, a byłbym się na to zdecydował. Przepiękne miejsce. Nie chciałbym ci przeszkadzać.

Mack podszedł i uściskał go.

- Nie, nie. Na dzisiaj prawie skończyliśmy. Usiądź, proszę.

Jak zawsze uśmiechnięty, pełen energii Mack pośpiesznie składał rozłożone na biurku papiery.

„Zeszczupłał - pomyślał Johnson. - I przybyło mu sporo siwych włosów. Ciekawe, jak też daje sobie radę bez kobiety? I jak jego brzdąc rośnie bez matki?”

Mack przedstawił go wysokiemu, opanowanemu prawnikowi nazwiskiem Haverstick i Alexowi Mullerowi, zabawnemu, niskiemu cudzoziemcowi, który grzebał w ustawionych pod ścianami szafach z dokumentami tak, jakby to on był właścicielem tego domu. Haverstick siedział z nogą założoną na nogę, przechylony w fotelu pod takim kątem, by cały czas widzieć drzwi. W pewnej chwili skinął głową w ich kierunku.

- Masz gościa, Mack.

Mack uniósł wzrok i ujrzał Małego Jima. Chłopiec miał na sobie sportowe ubranko i zapinane pod kolanami pumpy. Jego czarne pończochy pasowały kolorem do butów i nienagannie zawiązanej dziecięcej muszki. „Doskonale wychowany, mały laluś - pomyślał Teksańczyk. - Ciekawe, czy choć czasem zdarza mu się pobrudzić?”

Chłopiec był niezwykle podobny do Carli, tym bardziej że stracił już dziecięcą pulchność. Stał, obserwując ojca poważnymi, może nawet nieco wylęknionymi ciemnobłękitnymi oczyma.

- To mój chłopak - powiedział Mack zrywając się z miejsca. - Ma dwa lata, wkrótce skończy trzy - dodał, biorąc syna na rękę. - Jest wpół do pierwszej, Jim. Czas na obiad. Idź i poszukaj w kuchni Angeliny.

- Ty idź, tato.

- Nie. Nie mogę.

- Oj, tato, chodź!

- Nie mogę - powtórzył bardziej stanowczym głosem Mack. Postawił chłopca z powrotem na ziemi. - Zobaczymy się później, mój mały.

Usta Małego Jima wykrzywiły się w podkówkę, ale nic nie powiedział. Rzuciwszy spojrzenie ojcu, który zdążył już usiąść za biurkiem, powędrował z powrotem przez rząd pokoi.

Pomimo że był jeszcze tak malutki, Johnson wyczuwał w nim jakiś smutek. Smutek samotnego, opuszczonego dziecka.

Niczym zdyscyplinowany żołnierz, poszedł prosto ku schodom. Johnson obserwował, jak jego jasna główka znika poniżej linii podłogi.

Mack rzucił okiem na listę zajęć, które Alex przygotował na ten ranek.

- Skończyliśmy. Posiadłość Presidio była ostatnią pozycją... Zadzwieczyła wiszący na ścianie telefon i Alex podniósł słuchawkę.

- Pan Potter z Los Angeles - zwrócił się do swego pracodawcy.

- Tak, słucham - powiedział Mack, po czym milczał przez chwilę. - Absolutnie nie. Żadnych ustępstw. Kończymy z Long Beach w ciągu trzydziestu dni, albo nici z interesu. Proszę im to powtórzyć.

Odwiesił słuchawkę i zapisał coś w swoim notesie. „Wygląda na to, że interesy idą mu cholernie dobrze” - pomyślał Johnson.

- To wszystko, panowie. Dziękuję wam. Rhett Haverstick zatrzasnął teczkę.

- Witamy, panie Johnson. Miło jest wreszcie pana poznać.

- Apartament gościnny czeka na ciebie na drugim piętrze
- powiedział Mack.

Alex Muller otworzył wieczko kieszonkowego zegarka.

- Za piętnaście minut jest pan umówiony w Olympic Club
- przypomniał.

- Bankierzy - wyjaśnił Mack, uśmiechając się przepraszająco do przyjaciela i sięgając po płaszcz na wieszaku. - Przywołaj powóz - poprosił Alexa, który podszedł do wiszącej na ścianie tuby.

Johnson polizał bibułkę papierosa i skleił skręta. Włożył go do ust, po czym zapalił zapałkę o podeszwę buta.

- Olympic Club. Brzmi bardzo dostojnie. - Zaczynał czuć się tu jak mała łódka miotana falami podczas tajfunu.

- Najlepszy klub w mieście - powiedział Mack, wkładając płaszcz. - Alex, co ze sprawozdaniem z rancz w Central Valley?

Muller popatrzył nań przez grube szkła pince - nez.

- Leży na pańskim biurku. Razem z wynikami zbiorów w winnicy.

- Przejrzę je dziś w nocy.

Johnson wybałuszył oczy ze zdumienia.

- Winnicy?

- Jeszcze jeden interes, do którego się wzięłem - uśmiechnął się Mack. - Na terenie położonym kilka mil od Sonomy. Wychodzi o wiele taniej, kiedy podaję na stół moje własne wina - dodał z rozbawieniem.

- Oto w jaki sposób bogaci stają się jeszcze bogatsi - mruknął Teksańczyk. Zagłębił się w fotelu, wpatrzony w smużkę papierosowego dymu, podczas gdy Mack szeptał o czymś ze swym asystentem.

- Zejdź ze mną na dół - powiedział Mack do swego przyjaciela. Johnson nie potrafił ukryć nieco kwaśnego nastroju.

- Czy przez cały czas zajmujesz się wyłącznie interesami?

- Niestety. Jestem ogromnie rad, że wróciłeś, ale mam dziś wyjątkowo zajęty dzień. Zresztą wszystkie są teraz zajęte. Zjemy jednak razem kolację i pogadamy.

- To prawdziwy pałac - oświadczył Johnson rozglądając się dookoła.

- Za duży dla mnie. Ale robi wrażenie. Pomaga w interesach.

Zeszli po szerokich schodach i minęli hol pierwszego piętra, wystarczająco duży, by mógł po nim jeździć okazały wóz.

- Słyszałeś coś o Carli?
- Od czasu rozwodu - nie.
- Twój chłopak jest do niej bardzo podobny.

Kolorowe światło, sączące się przez szybki Tiffany'ego, tworzyło na marmurowej posadzce fantazyjny wzór. Kamerdyner wręczył Mackowi kapelusz, rękawiczki i laskę.

- Jim jest bardzo spokojnym dzieckiem. Chwilami wydaje mi się, że nie bardzo umiem z nim rozmawiać.

- Trzeba mieć trochę czasu, żeby zaprzyjaźnić się z takim maluchem - odparł Johnson. Mack posłał mu wrogie spojrzenie. „Cholera, on nie jest w stanie znieść żadnej krytyki” - pomyślał Teksaszczyk. - Tak mi mówiono - dodał szybko.

Ostatnie słowa ułagodziły nieco Macka.

- Boże, ależ ja się stęskniłem za twoim towarzystwem - powiedział. - Cóż takiego robił przez tyle czasu?

- Szukałem złota na skutej odwiecznym mrozem północy. Jest tam tak zimno, że nawet na mojej drewnianej protezie osiadał szron. Poznałem w czasie tej wyprawy pewnego młodego człowieka, który by ci się spodobał. Nawiasem mówiąc, to chłopak z Oakland. Podobny do ciebie. Taki salonowy socjalista...

Mack przyjął to określenie z tolerancyjnym uśmiechem. Kamerdyner otworzył frontowe drzwi. Jego mina świadczyła, że Johnson zakłóca zwyczajny rytm życia w tym domu.

- Podobnie jak Nellie pisze powieści. Nazywa się Jack London. Przedstawię ci go.

- Wspaniale - odparł Mack, schodząc po schodach do oczekującego nań wozu. Miał on podwójne resory, z zewnątrz był zielony, a wewnątrz seledynowy. Otworzono przed Mackiem lakierowane drzwi. Na nich także widniał emblemat z inicjałami JMC. - A ja przedstawiam cię memu nowemu automobilowi - powiedział Mack, wsiadając.

- Komu?

- Automobilowi. To nazwa, którą nadano temu powozowi jeżdżącemu bez koni. Kosztował mnie osiemset pięćdziesiąt dolarów.

Wóz ruszył. Johnson patrzył, jak rozparty na tylnym siedzeniu Mack zapala cygaro. Widywał go już niegdyś z cygarem w ustach, ale były one zawsze tanie i podłego gatunku. To, które palił teraz, miało zieloną bibułkę i było tak długie jak lufa rewolweru.

Teksańczyk z niechęcią zacisnął pięści. „To już koniec” - pomyślał, patrząc na zjeżdżający w dół Nob Hill automobil, który zostawiał za sobą obłok dymu.

Pewnej soboty Mack, Johnson i Jack London jedli wspólnie lunch w ciasnej kuchni w Sonoma Creek Winery.

London był osiem lat młodszym od Macka, gadatliwym człowiekiem o silnych dłoniach i krępej sylwetce. Zajęty sobą, rzadko dopuszczał innych do głosu. Powiedział im, że przeczytał wszystkie dzieła Darwina, Huxleya, Spencera, a nawet Karola Marksa.

- Nie znam żadnego z tych chłopców - wyznał Johnson. - Ale podobne bajdy mogę też przeczytać w gazetach lub dziesięciocentowych powieściach o Bufflo Billu.

Oczy Londona błysnęły groźnie.

- Ci „chłopcy” piszą prawdę. Tak jak i ja.

- Jasne, Jack. Mack poderwał się nagle z miejsca. Otworzył ciężkie żelazne drzwiczki piecyka i wyciągnął ze środka wygiętą w kształt litery „U”, rozpaloną do czerwoności stalową rurę.

- Cóż to, u diabła, jest? - zapytał London.

- Rozpalone żelazo. Żeby rozgrzać palnik. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Powiedziawszy to wyszedł na dwór.

- Nie odpowiedział na moje pytanie - stwierdził London.

- Jego automobil nie jeździ na benzynie. Potrzebuje pary, a jej wytworzenie zabiera zawsze około pół godziny. To rozpalone żelazo rozgrzewa palnik.

- Nawet jeśli kiedykolwiek sprzedam dostatecznie dużo swoich książek, by stać się zgniłym kapitalistą, nigdy nie kupię tak skomplikowanego automobilu.

- Ani ja. Cztery nogi i ogon zupełnie mi wystarczą.

Z podwórza dobiegły ich soczyste przekleństwa. W chwilę później powrócił Mack. Żelazne „u” miało teraz popielatą barwę.

- Nie rozgrzał się wystarczająco. Muszę zaczynać od nowa.

Po południu pojawiła się mgła i aż do godziny trzeciej nie mogli opuścić winnicy. Kiedy jednak wreszcie pojechali, Johnson musiał przyznać, że było to naprawdę niecodzienne doświadczenie.

- Mamy wystarczająco dużo pary, żeby przejechać choćby i dwadzieścia mil - zawołał Mack.

Locomotive steam runabout był pięknym pojazdem, najlepszym, jaki miała do zaoferowania fabryka z Watertown w Massachusetts. Miał pojedyncze, szerokie siedzenie dla pasażera i błyszczącą warstwę czerwonego lakieru. Johnson również tutaj dostrzegł znak z inicjałami JMC.

Mack zapiął automobilową kurtkę, zsunął na oczy okulary i założył płócienną czapkę. Uśmiechnął się do swych pasażerów, którzy stłoczyli się na drugim siedzeniu. Samochód ruszył, mijając gliniany murek wokół winnicy i zmierzając ku głównej drodze. Automobil nie kaszłał, nie trząsał ani nie stukał. Nie słychać było żadnego hałasu poza cichym sykiem ulatniającej się pary. London i Johnson przyglądali się, jak Mack obraca kołem kierownicy. Przypominał chłopca, któremu dano do rąk nową zabawkę.

Wstęga pary zawirowwała we mgle za nimi, kiedy Mack z wprawą wyprzedził wypełniony melonami chłopski wóz. Farmer rzucił przekleństwo pod adresem parowego samochodu, po czym zaczął uspokajać przerażonego muła.

- Nie mam tu problemu z przeskakującą iskrą, ani z biegami. Także wiele innych rzeczy przemawia za silnikiem na parę.

- Jesteś świetnym kierowcą - roześmiał się Johnson, zachwycony szybkością, z jaką jechali, chwilowo zapominając o niesmaku, jaki wywoływała w nim obsesja Macka na punkcie posiadania różnych rzeczy.

- Pewnego dnia wezmę udział w rajdzie - oświadczył Mack.

Nagle wjechali w sam środek stada przerażonych gołębi, które dostały się do środka samochodu, gdzie miały się rozpaczliwie, bijąc skrzydłami. Mack przez chwilę oganiał się od ptaków, w końcu, zniecierpliwiony, wychylił się przez okno, wyrwał kilka rosnących przy drodze badyli i za ich pomocą wypędził gołębie. Przy akompaniamencie syku pary locomobile bez najmniejszego wysiłku pokonał trzydziestostopniowe wzniesienie.

- Zauważyliście, jak wspaniale wspina się pod górę? - zapytał zachwycony Mack.

Jechali przez pustynne tereny powyżej Sonomy, zwane Księżycową Doliną.

- Pewnego dnia wybuduję sobie dom na szczycie jednego z tych wzgórz - wykrzyknął oczarowany London.

- Moja przyjaciółka, Nellie Ross, zarobiła na swojej książce mnóstwo pieniędzy. Nie widzę powodu, byś i ty nie miał wzbogacić się na swoich - oświadczył Mack.

- Ona jest diabelnie dobrą pisarką - powiedział London. - Nazywają ją Zolą w spódnicy.

- Wiem - odparł Mack.

- Powiedz mi, przyjacielu - przekrzykując świst powietrza, zawołał Johnson - co by się stało, gdyby nagle zgasł ogień w tej cynowej puszcze?

- Musielibyśmy wracać na piechotę.

Piętnaście minut później okazało się, że wypowiedział te słowa w złą godzinę.

Pewnego majowego popołudnia Mack i Haverstick umówili się na drinka w Bank Exchange, ulubionym miejscu spotkań bogatych i wpływowych osobistości. Haverstick zamówił martini, koktail złożony z dżinu i wermutu, wymyślony przez legendarnego barmana „profesora” Thomasa z „Occidental Hotel”, Mack natomiast kazał sobie podać „Blue Blazer”. Haverstick przeprosił na moment swego towarzysza i przepchnął się przez tłum gości, by chwilę porozmawiać z Hunterem Vannem. Mack obserwował Jerry'ego, który mieszał szkocką whisky z syropem cukrowym i gotowaną wodą, po czym przytknął do tej mieszaniny zapalną. Kiedy nad trunkiem zamigotał błękitny płomyk, ktoś dotknął łokcia Macka.

- Hy Hazelton - przedstawił się nieznajomy. - Prezes Glacier Ice Company. Mack popatrzył na okrągłą, spoconą twarz przybysza. Niechętnie podał mu dłoń.

- Mack Chance - powiedział.

- Och, nie musi się pan przedstawiać. Wszyscy wiedzą, kim pan jest. Chciałbym porozmawiać z panem jak biznesmen z biznesmenem. Jest pan właścicielem dużej fabryki...

- Trzech.

- Pracuje w nich wielu woźniców. Wozy bez przerwy wjeżdżają i wyjeżdżają przez bramy pańskich fabryk... - Oczy Hazeltona zaśniły.

„Trzeba się mieć na baczności - pomyślał Mack. - Ciekawe, o co mu chodzi?”

- Nie chcemy w San Francisco związku zawodowego woźniców, panie Chance. Nie chcemy żadnych związków. Trzeba nam wolnego rynku pracy. Takiego, jaki generał Otis stworzył na południu. Powstaje właśnie nowa lokalna organizacja przedsiębiorców, którzy myślą podobnie jak ja. Nazywa się Stowarzyszenie Pracodawców. Chciałem osobiście zaprosić pana...

- Nie, dziękuję. Nie jestem tym zainteresowany. Uważam, że robotnicy mają prawo tworzyć organizacje, które będą broniły ich interesów.

- To niebezpieczna idea. Związki zawodowe są jak rak. Zbyt długo pozwalaliśmy im panoszyć się bezkarnie w San Francisco.

- Wybacz mi, Hazelton - powiedział ze słabym uśmiechem Mack. - Zapłaciłem za tego drinka i chciałbym go wypić w spokoju.

Hy Hazelton skłonił się wyniośle i odszedł. Jerry włożył do szklanki Macka kawałek skórki cytryny i podał mu ciepły jeszcze trunek. Po powrocie Haversticka Mack wspomniął mu o odbytej przed chwilą rozmowie.

- Słyszałem o Stowarzyszeniu Pracodawców - przyznał prawnik. - Nie wiadomo tylko, kto do tej organizacji należy, członkostwo jest tajne. Ale plotki głoszą, że podjęli już pewne działania.

- Jakiego rodzaju?

- Wymierzone w związki zawodowe. Zważywszy na wszystkie twoje powiązania z ludźmi z przystani, radziłbym ci mieć oczy i uszy otwarte.

- Nie umiem powiedzieć ci, czemu nazywają je „francuskimi restauracjami” - powiedział Mack, odpowiadając na pytanie Johnsona. Szli o zmierzchu w dół Nob Hill, przyglądając się elektrycznym światłom, które migotały w oknach budynków przy Market Street. Od strony

skrzyżowania słycać było klaksony samochodowe. „Zmiany - pomyślał Mack. - Tak wiele zmian.”

- Czy przyzwoici ludzie odwiedzają te przybytki? - dopytywał się Johnson. Miał teraz na sobie nowy czarny garnitur i prążkowany krawat. Przystrzygł nawet na tę okazję włosy.

- Oczywiście. Przynajmniej parter - wyjaśnił Mack, kiedy wstępowali na schody.

Wejście do „Maison Napoleon” zdołała elektryczna mosiężna lampa i malowany trójkolorowy szyld. W jadalni siedziało kilka par oraz jedna duża rodzina. Miejsce to niczym nie różniło się od sal restauracyjnych we wszystkich innych hotelach. Gipsowe popiersie Napoleona spoglądało na gości z narożnego piedestału, ze złożonych ram patrzyła na nich obojętna cesarzowa Józefina. Na każdym stoliku stała mała elektryczna lampka, osłonięta jedwabnym kloszem i rzucająca na obrus ciepłe, brzoskwińowe światło. Ozdobiona błękitnym szlaczkiem porcelana była ciężka i solidna, a leżący na podłodze gruby dywan całkowicie tłumiał odgłosy kroków.

Johnson przeglądał ręcznie napisane menu, wsunięte między skórzane okładki, zaś jego przyjaciel zapalał jedno ze swych przypominających rewolwerową lufę cygar. Teksańczyk pomachał ręką, odpędzając od siebie dym, na co Mack zareagował uśmiechem.

Kiedy łysy kelner przyjął już zamówienie Macka na butelkę caberneta, Johnson wskazał na prowadzące na górę schody.

- Byłeś tam kiedyś? - zapytał.

- Owszem, kilka razy. Kiedy miałem ochotę na tutejsze jedzenie i na towarzystwo Margaret. Oto i ona - uśmiechnął się i uniósł rękę, kiedy w drzwiach do kuchni ukazała się właścicielka restauracji. Była ubrana w białą bluzkę z długimi rękawami i z białym krawatem oraz w granatową spódnicę,

która szeleściła, kiedy Margaret szybkim krokiem zmierzała do ich stolika. Pomimo że prowadziła burdel, sądząc z wyglądu z powodzeniem można by ją wziąć za dobrze ułożoną pensjonarkę. Jej nobliwy wygląd rozbawił Johnsona.

- Dobry wieczór - przywitała się z gośćmi.

Mack podniósł się i pocałował ją w policzek. Dziewczyna uśmiechnęła się. „Jezu, co za zęby” - pomyślał zachwycony Johnson.

- Oto mój wspólnik i przyjaciel, H. B. Johnson - powiedział Mack. - A to nasza urocza gospodyni, Margaret Emerson.

Serdecznie uścisnęli sobie ręce.

- Witamy w „Maison Napoleon”, panie Johnson. Mack wiele mi o panu opowiadał...

- Pewnie nic dobrego...

- Wprost przeciwnie. Czy wspomiano panu o naszych górnych piętrach?

- Jasne. Jedne schody - i mogę siedzieć na górze, jedząc obiad. Drugie schody - i mogę leżeć przy deserze.

Margaret roześmiała się, rzucając jednocześnie niespokojne spojrzenie w stronę siedzącej opodal rodziny, by upewnić się, czy nikt nie usłyszał słów Johnsona.

- Dobrze powiedziane - stwierdziła. W tej samej chwili zadźwięczał zawieszony nad drzwiami dzwonek. - Bawcie się dobrze, panowie - powiedziała, dotykając ramienia Macka. - Ja, niestety, muszę was teraz opuścić.

Pośpieszyła powitać dwóch nowych gości, w których Mack rozpoznał ważne w mieście osoby. Usta miała już na powrót ściągnięte, co nadawało jej twarzy niemal surowy wyraz. Kiedy wskazywała przybyszom stolik, w jej oczach nie było nawet śladu po wesołych błyskach, jakie gościły w nich jeszcze przed chwilą.

- Wiele przeżyła jak na tak młodą dziewczynę - powiedział Mack. - Jej rodzice hodowali świnie na farmie w delcie Sacramento. Brudna praca, dająca małe dochody. Nasi wspaniali obywatele nazywają takich ludzi Piktami, ponieważ wielu z nich przybyło tutaj z hrabstwa Pike, z Missouri. Rodzice Margaret także. Uciekła z domu, kiedy miała dwanaście lat.

- Wygląda na to, że znasz ją bardzo dobrze.

- Nie w taki sposób, jak myślisz. To bystra i ambitna dziewczyna. Dostrzegam w niej wiele moich własnych cech. Może właśnie dlatego tak ją lubię.

Kiedy wrócił łysy kelner, Mack zamówił zrazy cielęce, Johnson natomiast dobrze wysmażony stek.

- Wygląda na to, że zawsze udaje ci się oczarować ciężko pracujące dziewczyny - zauważył Teksąńczyk.

- Nie sądzę, by Carla pasowała do tego określenia.

- Nie. I może dlatego się wam nie powiodło. - Johnson popatrzył ponad ramieniem Macka na stojącą przy kasowym kontuarze Margaret. Udawała, że sprawdza jakiś rachunek, podczas gdy tak naprawdę co chwila zerknęła na Macka. Dostrzegła spojrzenie Johnsona i oblała się rumieńcem. Pośpiesznie odwróciła głowę. Zachowanie Margaret utwierdziło Teksąńczyka w przekonaniu, że jeśli chodzi o jego współnika, ta dziewczyna miałaby ochotę na coś więcej niż przyjaźń.

Mack wyjął z ust cygaro i strzepnął popiół do popielniczki.

- Myślę, że Margaret jest w jakiś sposób podobna do Nellie. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

- Czy Nellie wróciła już do San Francisco?

- Owszem, dwa tygodnie temu.

- Jest tutaj? W mieście?

- Nie. Pojechała do domu, który wynajęła w Carmel. Chce tam skończyć swoją nową powieść.

- Widziałeś się z nią? Orzechowe oczy Macka zalśniły w świetle osłoniętej jedwabiem lampki.

- Zobaczę się w przyszłym tygodniu. Chcemy pojechać razem w góry. Johnson zerknął porozumiewawczo na przyjaciela, po czym jeszcze raz przeniósł spojrzenie na Margaret.

„Biedna dziewczyna - pomyślał. - Może aż do starości próbować zwrócić na siebie jego uwagę, ale i tak nic nie wskóra. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę?”

Rozdział 47.

Juczne muły kroczyły powoli brzegiem Merced. Nellie jechała konno na początku tej karawany, Mack natomiast zamykał pochód. Wodospady Yosemite dudniły w głębi lasu po ich lewej stronie. Jeśli nawet budziło to w Nellie dawne wspomnienia, nie dała tego po sobie poznać.

Zatrzymali się przy Camp Curry, dobrze utrzymanej osadzie z dwudziestu pięciu białych namiotów u podnóża Glaciar Point. Para młodych nauczycieli z Redwood City, David i Jennie Curry, utworzyła ten obóz latem 1899 roku. Oboje pochodzili z Indiany i byli absolwentami tamtejszego uniwersytetu. Tam też David Starr Jordan zaraził ich swoją miłością do życia pod gołym niebem.

Podczas wyśmienitego lunchu przygotowanego przez panią Bab, obozową kucharkę, David i Jennie z dumą opowiadali o swoim nowym przedsięwzięciu i pierwszej przynoszącej dochody stacji górskiej na terenie parku narodowego.

- To wspaniali ludzie - stwierdziła Nellie, kiedy pożegnali się już z nimi i wracali do swego obozowiska. Ja na ich miejscu nie traktowałabym turystów aż tak serdecznie. Zbyt często niszczą tutejszą przyrodę.

- Trzeba jednak odróżnić porządnych turystów od wandalii. Nie można przecież zabronić ludziom wstępu do jednego z najpiękniejszych miejsc w Ameryce. Każdy chce je zobaczyć.

- Nie wiem, co trzeba, a czego nie - odparła rozdrażniona Nellie. - Wiem tylko, z jakimi problemami przychodzi im się tu borykać.

Dolina rozkwitała wszystkimi kolorami wiosny. Dziecioty stukały w korę drzew, a przepływające po niebie obłoki zmieniały barwę El Capitana z białej na purpurową i z powrotem na białą. Około trzeciej rozbili obóz i Mack zajął

się rozstawieniem namiotu, Nellie tymczasem nazbierała drewna i rozpałała ognisko. Podczas długiej podróży z miasta odnosili się do siebie po przyjacielsku, wręcz czule, unikając jednak fizycznego kontaktu, poza najzupełniej przypadkowymi dotknięciami. Mack uznał z narastającą frustracją, że zachowywali się jak rodzeństwo.

Wbił ostatni palik i naciągnął linki namiotu. Nellie zwróciła nagle opaloną twarz ku słońcu i - jakby w transie - pobiegła na łąkę, gdzie odwrócona do niego plecami zaczęła tańczyć. Splecione w warkocz włosy rozsypały się jej na ramionach. Sprawiała wrażenie beztroskiego, rozbawionego dziecka.

- Och, Mack, tak bardzo kocham to miejsce - wykrzyknęła.

- Wolisz je od niemieckich zamków i rzymskiego Koloseum?

- Niczego innego nie pragnę. Wróciłam do Kalifornii po to, by już tu zostać. Stała od niego w odległości nie większej niż dwie stopy, promieniując ciepłem i siłą. Przeświecające przez młode listki słońce opromieniało jej zarumienione policzki. „To właściwy moment, żeby wziąć ją w ramiona...” - myślał Mack.

Wahał się jednak zbyt długo. Ciszę rozdarł rytmiczny hałas i Nellie, odwracając się na pięcie, wyteżyła wzrok.

- Tam - krzyknął Mack. Od strony Camp Curry, ziejąc obłokami błękitnego dymu, nadjeżdżał otwarty automobil z czwórką pasażerów. Ich gogle błyskały w słońcu, odbijało się ono także w trzymanej przez jednego z nich zielonej butelce. Pasażer siedzący z przodu wyrzucił coś prosto w kępę chwastów. Automobil przypominał bryczkę, do której zapomniano zaprząć konie, i Mack rozpoznał jego markę. - To importowany daimler. Nazywają go „Siamese”, z powodu drugiego siedzenia za kierowcą.

Daimler nadjeżdżał ku nim krętą drogą. Siedzące z tyłu dwie damy w pięknych, przewiązanych jedwabnymi szalikami, kapeluszach machały do nich powiewając chusteczkami. Kiedy samochód przejechał, Nellie zakaszła od dymu, który zasnuwał całą drogę.

- To już nie pierwszy taki pojazd w Yosemite - powiedziała. - Kilka miesięcy temu widziałam fotografię parowego auta na szczycie Glacier Point. Teraz, kiedy dolina jest parkiem narodowym, John Muir pragnie wymóc na Departamencie Spraw Wewnętrznych, by wygonił stąd te żelazne potwory.

Daimler pędził dalej, znacząc swój szlak coraz gęstszymi obłokami dymu. Teraz i Mack poczuł odór spalin.

- Potrafię zrozumieć, czemu mu na tym zależy - powiedział i także zakaszła.

Następnego dnia wspięli się na szczyt Sentinel Dome. Ostatnie dwieście jardów wschodniego zbocza wymagało trudnej wspinaczki i Mack podał Nellie dłoń, by pomóc jej w najniebezpieczniejszym miejscu. Na chwilę znaleźli się bardzo blisko siebie.

Nellie wyglądała bardzo zgrabnie w płóciennej koszuli i spodniach. Wspinali się jeszcze przez jakiś czas, po czym, dotarwszy do rozległej kępy sosen, stali w milczeniu na wietrze, zafascynowani roztaczającym się z tego miejsca widokiem na dolinę.

Mack otoczył przyjaciółkę ramieniem. Ciepło jego ręki sprawiło, że Nellie z trudem zapanowała nad sobą. „Po co mam się powstrzymywać?” - pomyślała.

Potem jednak opanowała własną słabość i lekkie drżenie wywołane dotykiem obejmujących ją silnych ramion.

Mack wyczuł jej napięcie i zmarszczył brwi, ale nie powiedział ani słowa. Nellie, nie patrząc na niego, ostrożnie wysunęła się z jego objęć i odeszła.

Wspinali się starą Tioga Road, drogą, która omijając główne szlaki, prowadziła do oddalonego o piętnaście mil Tuolumne Meadows.

Robiło się coraz zimniej. Wielkie połacie wiosennego śniegu leżały jeszcze w kotlinach i żlebach pozbawionych słońca. Nellie zwróciła uwagę na to, że cedry i sosny ustępują miejsca jodłom, górskiej kosodrzewinie oraz tamaryszkom. W cieniu, z dala od drogi, jakaś opustoszała chata z zabitymi oknami świadczyła o czyjejs nie zrealizowanej nadziei, o nie spełnionym kalifornijskim marzeniu.

Na łąkach wiatr kołysał wielkimi łodygami gorzycy i lawendy. W oddali baraszkowały dwa czarne niedźwiadki. Nellie i Mack przeszli w bród wartką Tuolumne River, która dwadzieścia mil stąd wpływała do doliny Hetch Hetchy.

- Byłam tam kiedyś z Muirem. To równie piękne i dziewicze miejsce jak Yosemite.

Obozowisko rozbili w pobliżu kępy świerków spalonych przez piorun.

- Zawieśmy jeszcze kawałek płótna dla ochrony przed wiatrem - poprosiła Nellie.

- Po co? Jest przecież gorąco jak w piekle.

- Przez cały dzień możesz walczyć z czarnymi mrówkami i komarami, ale gdy tylko zajdzie słońce, poczujesz dojmujący chłód. Jesteśmy osiem tysięcy sześćset stóp nad poziomem morza. Nie chcę mieć cię na sumieniu, jeśli umrzesz na zapalenie płuc.

- Gdzie jest to płótno? - zapytał ze śmiechem.

Ustawili namioty wejściami do siebie, zostawiając tylko trochę wolnej przestrzeni na ognisko. Wzrok Macka ciągle wędrował ku Nellie. A ona, nawet jeśli była tego świadoma, nie dawała nic po sobie poznać. Pracowała ciężko, w pocie czoła, Mack zaś na nowo odkrywał, ile wdzięku mają w sobie jej szybkie, precyzyjne ruchy. Wszystko zresztą wydawało mu

się w niej ponętne i piękne: linia jej podbródka, długa szyja, lekka zmarszczka przecinająca czoło.

W pewnej mierze jego pożądanie było natury fizycznej: od dłuższego czasu nie spał już z żadną kobietą. Ale tylko w pewnej mierze. Miłość i pragnienie bycia razem przenikało jego serce i duszę ze znacznie większą siłą niż fizyczna żądza.

Mack patrzył, jak Nellie wstaje i wiąże linki swego namiotu. Nagle zza kępy drzew wynurzył się jeleni wraz z łanią i powoli począł zmierzać w ich stronę. Mack pragnął zatrzymać to uczucie, jakim napawał go widok Nellie, jeleniej pary i łąki. Zatrzymać i zachować na zawsze.

Szkarłatnobłękitne cienie wydłużyły się i zrobiło się chłodniej. Na północy zaczęły się zbierać burzowe chmury i niespodziewanie kolorowy zachód słońca zakończył się nagłą wiosenną śnieżycą. Żeby rozpalić ogień, Mack musiał strząsać z drzew biały, mokry puch.

Po zapadnięciu zmroku, pomimo palącego się ogniska, musieli się ubrać w ciepłe płaszcze. Mack był w swoim żywiole: miał wieprzowy boczek i fasolę z puszki, mógł więc przyrządzić danie równie pyszne jak te, które podawał na przyjęciach w swojej rezydencji.

Kiedy nakładał jedzenie na cynowe talerze, znowu opanowało go przemożne, fizyczne pożądanie.

Wkrótce śnieg przestał padać, a chmury przeredziły się i na ciemne niebo wypłynął cienki rogalik księżyca. Mack odłożył talerz i ujął dłoń dziewczyny.

- Nie wiem, czy zdołam to powiedzieć... - zaczął.

- Mack! - Jej okrzyk zabrzmiał błagalnie i zarazem ostrzegawczo.

- Zostań ze mną. Wyjdź za mnie.

Spojrzała na niego jeszcze większymi niż zwykle, nieco zamglonymi oczami. Mack trzymał jej małą rękę w swych

silnych dłoniach, wyrwała mu ją jednak i nastrój tej chwili, podobnie jak na Sentinel Dome, przeminął bezpowrotnie.

- To piękny, kuszący pomysł, Mack. Ale już mówiłam ci, że to niemożliwe.

- Dlaczego, do diabła?

- Mam pewną książeczkę. Podobnie jak ty. A przy okazji: gdzie jest teraz pan T. Fowler Haines? Wciąż w Riverside?

- Tak. To chyba dobre miejsce dla niego.

- W końcu udało mi się przeczytać co nieco na temat tego dzielnego dżentelmena...

- Nie zmieniaj tematu. Jeśli mnie poślubisz, nigdy więcej nie będziesz już musiała pracować.

Wiatr uniósł z ogniska kilka iskier. Wąskie smużki śniegu utworzyły wokół namiotów przedziwne wzory. W mroźnym powietrzu rozbrzmiał czysty śmiech Nellie.

- Czyżbym naprawdę dobrze usłyszała? Nie wierzę własnym uszom. Tak. Tego właśnie się obawiałam. Muszę ci coś powiedzieć, by już nigdy więcej nie dochodziło między nami do takich nieporozumień. Zależy mi na tobie. I to bardzo. Ale nie jestem kobietą epoki wiktoriańskiej. Nie jestem obowiązkowa, skromna i pobożna, nie mam też licznych innych cech, które prawdopodobnie, zdaniem większości mężczyzn i zbyt wielu kobiet, powinnam posiadać. Cóż, pewnie to niedobrze. Ale jestem Nellie Ross, Natalią Rotche i nikim innym. Mam jeszcze wiele książek do napisania - znacznie więcej niż zdążę napisać w ciągu całego życia. Zawsze będę pracować.

- Ale nadal jesteś kobietą. Nie ma potrzeby, byś wyrzekała się samej siebie. Nellie wstała otrzepując kolana.

- Jesteś niemożliwy. Nie dajesz się przekonać. Czy nie słyszałaś, co powiedziałam?

Sprawy znowu zaczęły iść nie po jego myśli. Rozgniewał się.

- Owszem, słyszałem, ale nic z tego nie rozumiem. Nigdy nie rozumiałem Carli. A teraz nie rozumiem ciebie.

- Precyzyjnie to ująłeś - mimo pozornie beztroskiego głosu, nie potrafiła ukryć goryczy. - Może w tym właśnie największy problem, że nigdy nie próbujesz zrozumieć innych.

- Właśnie dziś wieczór próbuję - krzyknął, chwytając ją w ramiona. Ponownie uwolniła się z jego uścisku, Mack przysiągłby, że także tym razem jej

serce zabiło żywiej, a oddech stał się szybszy. Z rękami w kieszeniach obszedł dookoła ognisko i stanął obok kępy martwych drzew.

- Wyjmę całą naszą żywność i powieszę wysoko, by niedźwiedzie nie zdołały jej dosięgnąć - powiedział, nie odwracając się. - Wczesnym rankiem wyruszymy w głąb doliny.

- Tak będzie najlepiej - przytaknęła. - Tutaj o tej porze roku jest jeszcze bardzo zimno - powiedziała i skryła się w swoim namiocie, starannie zasznurowując wejście.

Zapinając marynarkę, Mack wszedł do sali bilardowej. Johnson siedział przy końcu stołu, obok niego zaś stał na stołku Mały Jim. Teksaszczyk przetoczył czerwoną bilę od jednej do drugiej bandy.

- Jeden - zawołał chłopczyk.

Stojąc w półmroku, Mack z zaciekawieniem obserwował tę scenę. Syn dostrzegł go i jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Johnson pchnął kijem białą bilę.

- Dwa! - wykrzyknął chłopak, podskakując i klaszcząc w dłonie. Johnson pogładził dłonią jasne włosy chłopca.

- Ten mały brzdąc jest naprawdę bystry. Bez trudu liczy już do dziesięciu, a jak się postara, potrafi nawet dojść do dwudziestu. Powinieneś zjawiać się tu trochę częściej i czasem popatrzeć na niego - dodał.

Chłopak spojrzał na ojca niepewnie.

- Poświęcam mu tyle czasu, ile mogę - odparł Mack, zniżając głos.

- Godzinę pod koniec dnia, kiedy jest już bardzo zmęczony. To naprawdę za mało. Szczególnie teraz, kiedy dzieciak ma trzy lata i tak szybko się zmienia.

- A ty skąd jesteś takim ekspertem od spraw ojcostwa?

- Kiedyś sam byłem takim brzdącem - odparł Johnson. - Komańcze wpakowali w mego ojca kulę ze strzelby, kiedy miałem dziesięć lat, i pamiętam, jak mi go brakowało. Krzywdzisz dzieciaka, wychowując go w taki sposób.

- Robię, co w mojej mocy - stwierdził Mack, podchodząc bliżej i wyciągając przed siebie ręce. Mały Jim podbiegł do niego. - Dobranoc, synu. Idź do łóżka i śpij - powiedział, ściskając chłopca. Kiedy odszedł, Mały Jim jeszcze przez długą chwilę patrzył w ślad za nim.

Mack skręcił w pasaż przy Jessie Street. Przez gęstą, białą mgłę do jego uszu dolatywały stłumione gwizdy promów na zatoce. Zatrzymał się przy tylnym wejściu, oświetlonym słabą elektryczną żarówką, po czym, rozejrzawszy się ostrożnie dookoła, zapukał. Musiał zapukać raz jeszcze, nim usłyszał, jak ktoś zwalnia łańcuch przy drzwiach.

- Mack - powiedziała Margaret, cofając się w głąb korytarza.

- Dobry wieczór - przywitał się wchodząc do małego, ciemnego holu, w którym pachniało smażonym tłuszczem. Z drugiego końca korytarza dobiegał brzęk mytych talerzy. - Potrzebuję twej gościny.

- Chcesz od razu iść na górę?

- Tak. I wołałbym, żeby nikt mnie nie widział. Zdziwiło ją to. Zawsze dotąd Mack korzystał z frontowych drzwi, a nie tylnych,

które dziewczęta i stali bywalcy określali żartobliwie mianem „mężowskich”. Być może w końcu i on poczuł ciężar odpowiedzialności, jaka wiązała się z jego pozycją społeczną. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. W jego głosie wyczuwało się nie spotykaną nigdy dotąd gorycz. Margaret wskazała na schody, starając zachowywać się jak najbardziej bez trosko.

- Zawsze chronimy anonimowość naszych gości. Idź prosto na górę. Nie jesteśmy zbyt zajęte dziś wieczorem. Będziesz miał z czego wybierać. Dopiszę to do twego rachunku.

Mack skinął głową i szybko zniknął na schodach.

Dziewczyna w szmaragdowozielonym szlafroku, którego rozchylone poły ukazywały jej masywne, białe uda, przechodziła przez hol, paląc papierosa. Margaret przycisnęła dłoń do bladych warg, których nigdy nie tknęła szminka.

- Tak, idź - szepnęła. - Możesz mieć tutaj każdą kobietę. Gdybyś tylko tego zechciał.

Rozdział 48.

W San Francisco było to lato kłopotów. Bardzo dużych kłopotów, jak podkreślał Haverstick.

W lipcu zjechał do miasta Narodowy Konwent Epworth League, a działające poprzez Komitet Woźniców Stowarzyszenie Pracodawców zapewniało woźnicom duże kontrakty na przewóz bagaży uczestników konwentu - jednak tylko tym nie zrzeszonym w związkach zawodowych.

- A więc pierwszym celem ataku stowarzyszenia są związkowcy - oświadczył Haverstick. - Związek istnieje niewiele ponad rok, ale mimo to jest już liczącym się członkiem Rady Pracy.

Nie zrzeszeni w związkach woźnicy nie potrafili poradzić sobie z bagażami tysięcy delegatów z całego świata i poprosili o pomoc. Kiedy członkowie związku odmówili, Stowarzyszenie Pracodawców wyrzuciło ich z pracy, oświadczając, że likwiduje przedsiębiorstwo.

Związek ogłosił strajk generalny na wybrzeżu. Do woźniców dołączyły załogi statków handlowych oraz pracownicy przystani i magazynów nabrzeżnych - łącznie około piętnastu tysięcy ludzi po obu stronach zatoki. Zamarł cały handel w porcie.

Produkty rolne z Central Valley gniły zatrzymane w Oakland, wypełnione towarami wagony kolejowe i statki daremnie czekały na rozładunek. Mack honorował strajk i płacił pracownikom swoich magazynów połowę pensji, obserwując, jak w ludziach narasta gniew.

Robotnicy polowi z Central Valley przywędrowali przez Coast Range, by najać się do nie wykonywanej przez nikogo pracy. Studentów Berkeley zatrudniano do letnich żniw. Nieuniknionym rezultatem tego była nienawiść, przemoc, obrzucanie łamistrajków kamieniami. Ktoś podłożył ogień pod dwieście skrzynek dojrzewających w dokach melonów i puścił

je z dymem. Magazyn należący do Himmela oraz słupki wyznaczające granice posiadłości Macka w Bohemian Grove zostały w nocy zdemolowane.

Niewielu ludzi miało odwagę bronić strajkujących. Zdecydowała się też na to tylko jedna gazeta: „Examiner”. Redaktor Hearsta, Tom Williams napisał: „Próba zniszczenia związków zawodowych przez Stowarzyszenie Pracodawców jest przestępstwem kryminalnym, nie mającym precedensu w historii naszego miasta.”

Szef policji Sullivan nie widział tego w ten sposób. Jako pułkownik straży miejskiej w 1894 roku rozprawił się bezwzględnie ze strajkami kolejowymi w Sacramento. Wydając rozkaz otwarcia ognia, zyskał sobie wówczas przezwisko Shoot Low.

Shoot Low Sullivan oświadczył teraz, że nie zrzeczeni w związku zawodowym robotnicy mają pracować, by transport działał bez przeszkód. Chcąc umożliwić im pracę, wynajął ludzi, których nazwał „policją specjalną”.

- To byli więźniowie i bezrobotni weterani wojny z Hiszpanią - wyjaśnił Johnsonowi Mack. - Jako swoje adresy podawali puste pokoje hotelowe. Wiesz, kto zapłacił za ich pistolety i pałki? Stowarzyszenie Pracodawców.

Burmistrz Jim Phelan, którego Mack znał i podziwiał, zdawał się stracić kontrolę nad wydarzeniami. Usprawiedliwiając się rozkazami z góry, zdecydował się na przywracanie ładu w mieście przy pomocy specjalnie do tego oddelegowanych policjantów. To rozwścieczyło związki zawodowe. Phelan odmówił następnie zmobilizowania wojska stanowego, co z kolei rozgniewało biznesmenów. Jeden z najbardziej szanowanych i lubianych w mieście obywateli stał się nagle postacią przez wszystkich krytykowaną i znieawidzoną.

Owo lato kłopotów stało się także porą śmierci. Szóstego września, w przedstawicielstwie Pan American w Buffalo, pewien fanatyczny anarchista postrzelił prezydenta Williama McKinleya, który osiem dni później zmarł. Dowódca Johnsona z Kuby, Roosevelt, został dwudziestym piątym prezydentem Ameryki na trzy tygodnie przed swymi czterdziestymi trzecimi urodzinami.

- Teddy jest w porządku - oświadczył Johnson. - Nieco zielony, ale życzliwy. Gdybyś kiedykolwiek potrzebował pomocy Wuja Sama, na pewno nie zawaham się zapukać do jego drzwi.

Dwudziestego dziewiątego września kilku „policjantów specjalnych” wyszło z „Thalii”, pijackiej spelunki przy Kearney Street. Przechodnie rozpoznali w nich łamistrajków i obrzucili obelgami. Nie wiadomo skąd pojawili się jacyś inni ludzie, którzy rzucili się na nich z pięściami oraz z pałkami i policjanci wyciągnęli pistolety. Regularna policja na wieść o zamieszkach odmówiła interwencji.

Mack zbladł, kiedy przeczytał zamieszczoną w gazecie listę zabitych i rannych. Podczas starć został zraniony w nogę między innymi Alonzo (Lon) Cogan, „policjant specjalny”, pracujący niegdyś jako detektyw w San Francisco.

W odpowiedzi na zamieszki związek zawodowy zwołał wiec w Metropolitan Hall. Cztery tysiące gniewnych, rozgorączkowanych robotników wypełniło wszystkie miejsca i przejścia między ławkami. Mack wyłożył połowę pieniędzy na wynajęcie sali i zza kulis obserwował całe spotkanie.

Młody socjalistyczny pisarz, London, wygłosił ogniste przemówienie. Następnie wystąpił ojciec Peter Yorke z archidiecezji z San Francisco. Ksiądz ów był Irlandczykiem z hrabstwa Galway i przemawiał śpiewnym głosem, rytmicznie postukując laską w deski podium.

- Przywieźli z uniwersytetu studentów, nazywając to wolnym rynkiem. Ale to są synowie bogaczy. Nie pracują dla siebie, lecz przeciwko prostym ludziom... - Odezwały się okrzyki i tupanie nogami, od którego zatrzęsała się podłoga i zamigotały lampy gazowe.

Mack wyjrzał ze swej kryjówki. Na widowni dostrzegł Diego Marqueza, obdartego i rozgorączkowanego. U jego boku siedziała Felicia.

- Co on tu robi? - wyszeptał Mack do Londona.

- Powiedziano mi, że jest to stary przyjaciel Yorke'a. Chciał przemawiać, ale mu nie pozwolono. Jego poglądy są zbyt radykalne nawet jak na ten tłum.

- ... związek bogaczy próbuje zmiążdżyć związek założony przez ludzi biednych - grzmiał Yorke, wymachując rękoma. - Ale bogacze przegrają, ponieważ jesteśmy silni i solidami. Nie będzie żadnych kompromisów. Żadnych negocjacji. Żadnych ustępstw.

Ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk aprobaty. Mack dostrzegł, że Diego Marquez patrzy w jego stronę, i uniósł dłoń na powitanie. Były duchowny przytulił do siebie Felicię, kołysząc się lekko na nogach. Czyżby był pijany? Jego szklane spojrzenie przesunęło się po Macku, ale szybko odwrócił wzrok. Mack zrozumiał. Marquez wstydził się tego, że nie dopuszczono go do głosu.

W chwilę później wraz z dziewczyną opuścił wiec.

Deszcz obmywał kamienie nabrzeża, spływając po spadzistym dachu nad dokiem przeładunkowym.

**PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNE CHANCE'A
SAN FRANCISCO - SACRAMENTO - ODESTO - FRESNO**

Magazyn stał przy końcu długiej, wrzynającej się w wody zatoki przystani. Tylko połowa jej należała do Macka, ta obok Embarcadero. Druga część stanowiła własność Oscara

Himmela. Żeby się do niej dostać, woźnice musieli przejeżdżać obok budynku Macka.

Przed dukiem przeładunkowym, blokując drogę do przystani, stała pikietka. Deszcz moczył i rozmazywał napisy umieszczone na ich tekturowych tablicach:

„ROBOTNICZY RAZEM”, „KONIEC Z WYZYSKIEM”, „STRAJK ROBOTNIKÓW PORTOWYCH”.

Nagle rozległo się skrzypienie kół oraz stukot kopyt końskich i przy wjeździe na przystań pojawiły się cztery wozy. Pikietka pobiegła ku schodom doku, przedzierając się przez stos pustych skrzynek i zostawiając za sobą otwartą bramę.

- Przyjechali, panie Chance.

Było dwa dni po krwawych wydarzeniach pod „Thalią”. Mack włożył płaszcz i wyszedł na zewnątrz. Pod płaszczem miał kaburę z rewolwerem.

Dotarł do ociekającego deszczem nabrzeża w chwili, kiedy właśnie ukazał się tam pierwszy dwukonny wóz. Obok woźnicy siedziało trzech pasażerów, silnych, krępych mężczyzn w pelerynach. Mack rozpoznał jednego z nich. Nazywał się Buck Float i siedział tuż za woźnicą z arogancką miną starożytnego Rzymianina, powożąc go rydwanem. Pracował kiedyś dla Macka przez trzy miesiące i był weteranem wojny amerykańsko - hiszpańskiej. Swoje liczne nieobecności w pracy usprawiedliwiał nerwicą, jakiej nabawił się podczas wojny. Pewnego piątku zniknął i nigdy więcej się już nie pojawił, co nie miało znaczenia, bo Mack i tak postanowił go zwolnić. Buck Float był potężnie zbudowanym mężczyzną o jasnych brwiach i nosie jak dojrzały burak. Miał na sobie poplamiony prochowiec i automobilową czapkę.

Jedynymi odgłosami poza szumem deszczu było skrzypienie osi wozów, turkot żelaznych kół i stukot kopyt

końskich. Mack nie dostrzegł żadnej broni, ale był pewien, że „specjalna” policja ją ma.

Woda przy nabrzeżu była ciemnozielona, pełna gnijących owoców i strzępów papieru. Między jednym pomostem a drugim pozostało akurat tyle miejsca, by mógł tu przybić mały kuter. Mack dostrzegł, że z oddali obserwuje go jakiś niski mężczyzna, ubrany w pelerynę i miękką czapkę. Poza sumiastymi wąsikami cała jego twarz pozostawała niewidoczna, ale to wystarczyło, by Mack rozpoznał go.

Mack stanął między zaniepokojoną pikietą a pierwszym wozem. Woźnica ściągnął lejce. Za cholewą buta miał metalowy drąg. Deszcz skapywał z runda kapelusza jednego z policjantów, który sięgnął za pazuchę lśniącego przeciwdeszczowego płaszcza. Jego wzrok zdawał się mówić: „No, tylko poczekajcie...”

- Nie ma tu żadnego przejazdu - powiedział Mack. - Honorujemy strajk.

- Zejdz nam z drogi - rozkazał Buck Float. - Te wozy należą do Oscara Himmela. Jedziemy do jego magazynu.

- To nie ma znaczenia. Zawracajcie - odparł Mack. Deszcz zmoczył mu twarz i zlepiał włosy. Miał ochotę rzucić okiem na dach doku przeładunkowego, ale nie ośmielił się teraz tego uczynić.

Mężczyźni towarzyszący Buckowi Floatowi wstali z miejsc. Wiatr rozwiął poły prochowca Floata i Mack dostrzegł pod jego płaszczem niklowany pistolet w starej kaburze.

- Wszyscy wiedzą, Chance, że zadajesz się z tymi brudnymi komunistami - powiedział Float sięgając po broń. - Ale pan Himmel nie pozwoli, żebyś pozbawiał go jego praw.

- Daj spokój, Buck. Nie mam zamiaru spierać się ani z tobą, ani z ludźmi, którzy ci towarzyszą. Mam pretensję jedynie do tych, którzy cię wynajęli. - Mówiąc to, czuł, że

żołądek ściska mu się ze strachu. - Odjedź stąd spokojnie. Nie chcę żadnych kłopotów.

- Ale tak czy owak już je masz - odparł Float z gniewnym błyskiem w oczach, wyciągając przed siebie pistolet.

Mack wskazał ręką ku górze.

- Ci ludzie na dachu także nie chcą żadnych kłopotów, Buck.

Woźnica i ci, których wiozł, odwrócili się jak na komendę. Dwóch uzbrojonych pracowników magazynu kryło się za wysokim kominem na spadzistym dachu.

Zaprzężony do wozu koń leniwie zamiatał ogonem. Buck Float wyprostował ramię i wymierzył w jednego z mężczyzn na dachu.

- Nie rób tego - rozkazał Mack, dobywając swego kolta.

Float opuścił broń, spoglądając przez ramię na byłego pracodawcę.

- Nie wierzę, byś chciał zmarnować naboje na obronę tego śmiecia, Chance - powiedział.

- Zaraz się przekonasz.

- Zawracam - nie wytrzymał woźnica. - Nie mam zamiaru poświęcać życia ani dla Himmela, ani dla żadnego innego bogacza. Wsiadaj, Buck. - Float nie poruszył się. - Buck, do diabła, odjeżdżam! - Float odkrył nagle, że zaraz pozostanie sam na placu boju. Zaklął i schował pistolet.

Mack także wsunął broń do kabury. Ludzie z dachu nie opuścili jednak strzelb, mimo że woźnica szerokim łukiem zawrócił, przejeżdżając obok trzech pozostałych wozów, które także jeden po drugim wycofywały się z nabrzeża.

Mack skierował się ku drzwiom magazynu, zupełnie zapominając o niskim mężczyźnie, wciąż stojącym za budynkiem i przyglądającym mu się z oddali.

- Niezłe przedstawienie - stwierdził Johnson rankiem następnego dnia. - Wszystkie gazety opisały to zdarzenie. Większość nie wyraża się o tobie zbyt pochlebnie.

- Przywykłem już do tego.

- Byłbym tam razem z tobą, gdybyś nie robił tak cholernej tajemnicy z tego, dokąd się udajesz.

- Nie chciałem nikogo narażać. A już najbardziej przyjaciół.

- Nie wydajesz się zbyt uszczęśliwiony tym, że udało ci się utrzyć nosa temu motłochowi.

- Nikt tam nikomu nie ucierał nosa. Pokonaliśmy ich dzięki nabitej broni i zastawionej pułapce. Musiałem to zrobić, choć wcale mi się to nie podobało. Brzydzą się stosowaniem tej samej taktyki, co Shoot Low Sullivan. To niczego nie rozwiązuje.

Johnson wzruszył ramionami, po czym sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął stamtąd skrawek papieru.

- Odebrałem telefon, kiedy byłeś na górze razem z Alexem. Dzwonił dżentelmen nazwiskiem Roof. Prosił cię, byś spotkał się z nim w „Pup”. Zapisałem to sobie: „Pup - 7 wieczór - Roof.”

- To Ruef, nie Roof - zdumiał się Mack.

- Kto to taki?

- Człowiek, który wczoraj obserwował nabrzeże. Rozpoznałem go mimo odległości. Abe Ruef - przeliterował nazwisko. - Prawnik. Jak sądzę, nie popierasz lokalnych polityków?

- Do diabła, jasne, że nie. Przypominają mi komiwojażerów z tymi swoimi sztywnymi kołnierzykami i przynależnością do Kościoła.

- Trafne spostrzeżenie - zgodził się Mack. - Ale Ruef zupełnie nie odpowiada takiemu opisowi. Jest republikaninem. A przynajmniej był.

Wśród polityków San Francisco przez wiele lat dominowali demokraci.

- Ruef działał w swojej partii przez wiele lat - wyjaśnił Mack. - Tej wiosny wysadził z siodła Crimminsa oraz Kelly'ego i zorganizował rozłamową grupę: Ligę Republikańską. Pierwszy zjazd ligi odbył się w sierpniu. Głosowałem przeciwko nim, ponieważ uważają mnie za niepoprawnego oportunistę. Ruef natychmiast zaczął zabiegać o reklamę nowej partii, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że tak naprawdę najbardziej zależy mu na reklamie samego siebie.

- Co to za partia?

- Robotnicza. Jej organizatorami są Ruef i Izzy Less. Ściągnęli już do siebie większość kelnerów, kucharzy, intendentów i rozwozicieli piwa. Ruef twierdzi, że wystawią własnych kandydatów w jesiennych wyborach. Jego ojciec był założycielem firmy Meyer Ruef Dry Goods Company. A on sam studiował w Berkeley i Hastings Law College. Ciekaw jestem, czego też może chcieć ode mnie.

- Nie sądzisz, że chodzi mu o pieniądze? - zapytał Johnson.

Mack dotarł do „Pup” dziesięć po siódmej. Mała restauracyjka była zatłoczona i panował w niej hałas. Elektryczne lampy oświetlały pomalowane na biało ściany i podłogę. W dusznym powietrzu na plan pierwszy wybijał się odór cygar i smażonych ryb. Ubrani w długie fartuchy kelnerzy wchodzili i wychodzili z kuchni roznosząc całe sterty półmisek i talerzy. Za ladą stały dwa wielkie ekspresy do kawy.

Abraham Ruef skinął na Macka od stolika w rogu sali, gdzie zawsze miał zarezerwowane miejsce. Był to człowiek w wieku około trzydziestu pięciu lat, nosił schludny jednorzędowy garnitur i ciemny prążkowany krawat. Macka

uderzało w nim kilka rzeczy: galijski nos, energia oraz blask brązowych oczu, lśniących jak futro sobolowe.

- Jakże miło znowu pana widzieć, panie Chance - powiedział Ruef, wyciągając do niego rękę pachnącą wodą kolońską.

- Dziękuję, nawzajem. - Mack położył na stole laskę i kapelusz. Zamówił czarną kawę, podczas gdy Ruef poprosił o jeszcze jeden kawałek placka z wiśniami.

- Mam nadzieję, że to miejsce panu nie przeszkadza. Lubię tę wrzawę. Załatwiam więcej interesów przy tym stoliku niż w moim biurze. - Uśmiechnął się zadowolony z siebie. Mack bez trudu wyobraził go sobie krocącego paryskim bulwarem - przodkowie Ruefa byli rodowitymi Francuzami.

Oszczędnymi, precyzyjnymi ruchami widełczyka jadł ciasto, podczas gdy Mack mieszał kawę, którą podawano tu w ciężkich, białych kubkach.

- Widziałem, co zdarzyło się wczoraj przed pańskim magazynem - powiedział Ruef.

- Wiem o tym.

- Wszyscy wiedzieli, że prędzej czy później do tego dojdzie. Chciałem zobaczyć, jak pan sobie z tym poradzi.

- No i?

- Poradził pan sobie wspaniale. Ale naruszył pan przy tym prawa Oscara Himmela.

- Honoruję strajk.

Ruef nie przestawał się uśmiechać, ale miał teraz wzrok prokuratora.

- Niech pan da spokój. Przystań, podobnie jak drogi, nie należy do pana. - Strajkujący okupują też inne miejsca publiczne.

- Łamiąc przy tym prawo.

- Zmuszeni do tego przez inne, wyższe. Nie chcą dopuścić, by silni wycisnęli całą krew ze słabych.

- Podoba mi się to, co pani mówi. Wychowałem się na Talmudzie. Czytając o prorokach i patriarchach. Podziwiam ludzi wielbiących sprawiedliwość. Tymi pytaniami tylko pana sprawdzałem.

- Powiedziałbym, że sprawdzaliśmy się nawzajem.

Ruef wybuchnął śmiechem. Mack uważał, że jego rozmówca wspominał o religii jedynie przez wyrachowanie. Ten człowiek był sprytnym manipulatorem.

- Do rzeczy zatem. Zналиśmy się z widzenia w czasie, kiedy obaj działaliśmy w partii republikańskiej. Uważałem, że teraz powinniśmy nawiązać kontakt, ponieważ pan popiera strajk. Niewielu ludzi tak bogatych i wpływowych jak pan podjęłoby takie ryzyko.

Mack nadal mieszał kawę.

Ruef rozejrzał się dookoła, po czym nachylił się ku swemu rozmówcy.

- Mogę powiedzieć panu w sekrecie, że gubernator Gage będzie interweniował, aby zakończyć strajk.

- To niedobra wiadomość. Henry Gage siedzi w kieszeni Waltera Fairbanksa, Williama Herrina i całego SP.

- Tak czy owak związkowcy nie potrafią tak po prostu pokonać wynajętych łamistrajków i policji. Sądzę, że negocjacje są nieuniknione i bardzo na nie nalegam, choć pozycja naszej strony nie jest zbyt silna i wcale nie będziemy mieli łatwego zadania.

„A więc teraz to jest nasza strona” - pomyślał ze zdumieniem Mack.

- Ta sytuacja równie mi się nie podoba jak panu, panie Chance. Ale kontynuowanie strajku jest nieroztropne, podobnie jak nieroztropna była pańska wczorajsza konfrontacja z ludźmi na wybrzeżu. A gdyby doszło do

rozlewu krwi? To niczemu nie służy. Musimy przejąć kontrolę nad samym mechanizmem. Wygrać robotniczą wojnę poprzez wybory.

- Czy mówi pan o swojej nowej partii?

- Owszem. O Union Labor. Zna pan Eugene'a Schmitza?

- Widziałem go, jak dyrygował orkiestrą w Columbia Theatre.

- Zatem zdradzę panu jeszcze jedną tajemnicę. Schmitz będzie naszym kandydatem na burmistrza.

Mack omal nie wybuchnął śmiechem.

- Ależ to skrzypek! Cóż on wie o zarządzaniu miastem?

- Wszystko - odparł urażony Ruef. - Ponieważ go tego nauczyłem. Gene jest idealnym kandydatem. Niemiecko - irlandzcy rodzice, katolik, żonaty. Związek zawodowy muzyków wydaje się zaś o wiele mniej groźny niż inne. Także jego wygląd przemawia za nim. Nie bez powodu nazywają go Handsome (Handsome (ang.) - przystojny.) Gene. Łatwo stanie się dla robotników San Francisco bohaterem. Będzie reprezentował ich interesy we władzach miasta. Tak jak senator Abe Ruef z Kalifornii będzie pewnego dnia reprezentował ich w Waszyngtonie. Trwało to całe lata, zanim zrozumiałem, że jeśli chce się uczynić coś dobrego, trzeba mieć siłę. Władza zaś jest jak dźwignia Archimedesesa. Dobra na wszystko.

Elektryczne światło odbijało się w oczach Ruefa. „Niebezpieczny człowiek” - pomyślał Mack.

- Rozumiem, o co panu chodzi - powiedział. - Nadal jednak nie wiem, czemu chciał się pan ze mną spotkać.

- Ponieważ mamy podobne przekonania i cele. Obaj chcemy władzy, która pozwoliłaby San Francisco stać się miastem bardziej praworządnym.

- A więc naprawdę porzucił pan republikanów?

- Posłużę się nimi, o ile będę mógł. Ale większość z nich to plutokraci. Tchorze. Pan jest wśród nich wyjątkiem. A Union Labor szuka ludzi wyjątkowych, ludzi, którzy mieliby odwagę poprzeć kandydaturę Gene Schmitza swoim autorytetem i... książeczką czekową.

„A więc o to chodzi” - pomyślał Mack.

- Obawiam się, że nie jestem człowiekiem, którego pan szuka - odparł. - Po tym, jak pańska partia straciła poparcie, szuka pan sojuszy, gdzie się da. Ale mnie interesuje wspieranie robotników, a nie wyzyskiwanie ich.

Uśmiech na twarzy Ruefa stał się nagle lodowaty.

- To bardzo krótkowzroczne myślenie. Powiadam panu, iż nadejdzie dzień, gdy ani w naszych dokach, ani w rządzie nic nie będzie się działo bez wiedzy i zgody Union Labor - bez akceptacji popieranego przez tę partię burmistrza i jej działaczy. Powinien się pan z tym liczyć. Kiedy znajdziemy się przy władzy, z pewnością zrewanżujemy się za pomoc naszym przyjaciółom i nie zapomnimy też, kto odmówił nam poparcia.

„Nie podoba mi się ten człowiek” - pomyślał Mack, wstając z krzesła.

- Innymi słowy, można kupić sobie waszą życzliwość za pieniądze? Ruef gniewnie zerwał z szyi serwetkę.

- Nie mam ochoty tego wysłuchiwać. Potrafię znaleźć innych, nie tak cynicznych dżentelmenów. Dotowali już moją partię i, co więcej, widzą we mnie człowieka, który będzie reprezentował ich w przyszłości w City Hall.

- Nigdy nie daję pieniędzy tym, którzy usiłują je wymusić ode mnie, Ruef - powiedział Mack. - A tym bardziej nie daję ich z góry.

Wąsy Ruefa zadrgały, a jego gładko wygolone policzki stały się białe jak porcelanowy kubek.

- Popelniasz błąd, Chance.

- Zobaczymy. Do widzenia.
- Jasne. Spotkamy się jeszcze.

Jego wzrok świadczył o tym, że to spotkanie może nie być miłe.

Po interwencji gubernatora Gage'a strajk zakończył się, choć warunki ugody pozostały otoczone tajemnicą. Należący do związku zawodowego woźnice powrócili do pracy. Ludzie Macka nie chcieli rozmawiać na ten temat, stwierdzili jedynie, że ruch związkowy w San Francisco przestał istnieć.

Abe Ruef osobiście napisał pięciominutowe przemówienie dla Handsome Gene Schmitza, który wyuczył się go na pamięć i wygłaszał przy każdej okazji, w czym z pewnością pomagało mu obycie ze sceną. Słuchające go kobiety wzdychały tęsknie, podczas gdy ich mężowie tupali i gwizdali.

Zakończenie strajku zmusiło członków związku do ciężkiej pracy w kampanii wyborczej, chcieli bowiem w ten sposób odnieść polityczne zwycięstwo. Wspierali ich w tych wysiłkach drugorzędni kandydaci innych partii. „Królowi dzienników” to wszystko jednak niezbyt się podobało:

„Większość kandydatów została starannie sprawdzona przez reprezentantów Southern Pacific, Market Street Railway oraz Spring Valley Water Company. Wybrano tych, co do których istniała pewność, że będą wykonywali rozkazy tych przedsiębiorstw, lekceważąc przy tym całkowicie dobro publiczne.”

W nocy piątego listopada 1901 roku w kwaterze głównej republikanów Mack zobaczył wypisane kredą wyniki:

Tobin - 12 000

Wells - 17 000

Schmitz - 21 000

„No cóż - pomyślał. - Wilk jest już w owczarni.”

Rozdział 49.

Pewnego deszczowego zimowego wieczora Mack udał się na obiad do restauracji Margaret. Podczas gdy ona przyrządzała wieprzowe zrazy i zieloną fasolę z pokrojoną w kostkę szynką, on szatkował przyniesioną z własnego magazynu żółtą paprykę i karczochy.

Ostatnio Margaret przygotowywała przynajmniej raz w tygodniu obiady dla nich obojga, o ile tylko zajęcia Macka pozwalały mu na wizyty u niej. Margaret mieszkała w wynajętym mieszkaniu obok „Maison Napoleon”, ale jej apartamentu nie łączyły z restauracją żadne wewnętrzne drzwi. Było to tak, jakby wracając do tego wiktoriańskiego mieszkania, umeblowanego trójnogimi stolikami i zastawionego licznymi staroświeckimi bibelotami, całkowicie pozostawiała za sobą tę drugą stronę swego życia.

Trzymając nóż w prawej ręce, Mack nałożył nim fasolę na trzymany w lewej ręce widelec. Był to europejski sposób jedzenia, którego nauczyła go Margaret. Siedzieli razem, odpoczywając pod elektryczną imitacją lampy Tiffany'ego. Panowała między nimi ciepła, niemal rodzinna atmosfera. Skończywszy jeść, Margaret wzięła się do cerowania małego rozdarcia na żółtawej koronce obrusa. Nigdy nie jadała dużo - by utrzymać linię, jak twierdziła.

- Niewiele wiem o Abe Ruefie - powiedział Mack, przełknąwszy łyk ciężkiego, niemal oleistego wina. - Ale ostatniej jesieni zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie i jak dotąd nie uczynił nic, bym mógł zmienić o nim zdanie. Nigdy nie spotkałem człowieka, który tak szybko parłby do przodu. Partia Ruefa nie tylko doprowadziła do wyboru popieranego przez nią burmistrza, ale także trzech jej członków zasiadło we władzach miasta.

- Słabo go znam. Raz w miesiącu je obiad w mojej restauracji. Zawsze zamawia francuskie dania. Jest dumny z

tego, że zna tyle języków. Nigdy nie idzie na górę. Powiadają, że ma tak wielkie ambicje, iż nie starcza mu czasu na kobiety.

- To powszechna dolegliwość - stwierdził Mack z krzywym uśmiechem. - Rhett Haverstick powiedział mi, że Ruef zdobywa poparcie na prawo i lewo: w Pacific Telephone and Telegraph, w United Railroads Pata Calhouna. Podobno dostaje co miesiąc po pięćset dolarów od każdego z nich.

- Co więc stanie się dalej?

- Jeśli zostanie wybrany, nic. Schmitz jest lekkomyślny, ale to niezły aktor, a Ruef ma wiele wdzięku. Wyborcy lubią ich obu.

Odsunął od siebie talerz, przeciągnął się i poklepał po brzuchu. Czuł błogą sytość.

- Świetna z ciebie kucharka.

- Dla przyjaciół wszystko - odpowiedziała znad ręcznej robótki. - Wybierasz się dziś do mojej restauracji? - zapytała po chwili, unikając jego wzroku.

- Nie. Marzę o odpoczynku. Twoje mieszkanie to najwspanialsze schronienie w San Francisco. O wiele lepsze od klubów, do których należę. Tam ciągle ktoś czegoś ode mnie chce. Na ogół wsparcia finansowego.

Westchnął. Rzadko czuł się tak dobrze jak w tej chwili. Złocony gabinetowy zegar co kwadrans wydzwaniał kuranty.

- Mówiłeś, że masz zamiar ponownie wybrać się na południe... - zaczęła Margaret.

- Za parę dni. Muszę popatrzeć trochę na słońce. - Zapalił wyjęte z kieszeni płaszczu cygaro i zaciągnął się dymem. Za oknem deszcz przybierał na sile. - Ta serweta jest bardzo piękna. To stara robota.

- Irlandzkie koronki - uniosła tkaninę, by pokazać mu wzór. Jedyna wartościowa rzecz, jaką posiadała moja matka. Zawsze mi ją przypomina. A także to, że człowiek nie musi siedzieć w jednym miejscu, hodując świnie.

- Ciężko ci się żyło, kiedy byłaś dzieckiem, prawda? Margaret uniosła głowę, prostując długą, piękną, łabędzią szyję.

- Mieszkańcy Kalifornii, ci, którzy osiedlili się w dolinie dwadzieścia lat przed moim ojcem, nie lubili takich jak on farmerów.

- A więc uciekłaś. A jak dostałaś się tutaj?

- Zapracowałam na to - odparła i nie doczekawszy się ze strony Macka żadnej reakcji, dodała: - W podobnym miejscu jak to na górze w „Maison”. Powiem ci coś: Mission Street także nie będzie moim ostatnim przystankiem.

- Czego więc chcesz od życia, Margaret? Padał deszcz, bębniąc w ukryte za ciężkimi aksamitnymi zasłonami szyby. Z Market Street dochodził zgrzyt przejeżdżających tramwajów. Margaret drgnęła, przyciskając serwetę do piersi.

- Czegoś lepszego. Pragnę czegoś lepszego niż to.

Jej oczy dopowiedziały resztę i Mack nagle poczuł się niezręcznie. Zgasił cygaro w popielniczce i po ojcowsku położył jej dłoń na ramieniu. Dziewczyna odetchnęła, opuściło ją napięcie.

- Lepiej pójdę już do domu - powiedział Mack.

- Pieszko?

- Nie przeszkadza mi deszcz. Świeże powietrze dobrze mi zrobi. - Poklepał ją po ramieniu. - Zobaczymy się, gdy tylko wrócę. Tymczasem dziękuję za świetne jedzenie.

- Niestety nie mam tyle pieniędzy, by wydawać uczyt równie wspaniałe jak ty. Ani takiego talentu.

Mack roześmiał się i pocałował ją w skroń. Jej zaczesane do góry włosy miały ciepły, świeży zapach.

- Jesteś cudowną kucharką. I cudowną przyjaciółką.

Ucisnęła jego dłoń, ale w lustrze ciężkiego, starego kredensu Mack ujrział jej ściągniętą bólem twarz.

Pośpiesznie puściła jego dłoń.

- Jestem ci ogromnie wdzięczna za wizytę.

Kiedy wyszedł, zamknęła drzwi i oparłszy się o nie stała, nie próbując już powstrzymać łez.

Mack leżał w ciemnościach, nie mogąc zasnąć. W głowie kotłowały mu się kolumny liczb i listy spraw, które powinien załatwić.

Obok wielkiego łóża z okresu cesarstwa, z rzeźbionym emblematem JMC, zawsze znajdował się notatnik. Mack miał wprawę w pisaniu po ciemku, choć rankiem niełatwo mu było odczytać własne zapiski.

Około drugiej w nocy rozpętała się gwałtowna burza. Pioruny biły w zatokę jeden po drugim, zaś stojący na wzgórzu dom drżał w posadach. Wspomnienie twarzy Margaret nie dawało Mackowi spokoju. Wiedział, czego chciała.

Zaskrzypiały schody. Mack otworzył drzwi pokoju i zobaczył błyszczące okulary Alexa Mullera. Młody mężczyzna schodził na dół w piżamie, trzymając przed sobą lampę. Kaszłał, a jego kaszel przypominał odgłos kruszonego cementu.

Światło zniknęło. Alex znowu zakaszłał. Mack przez jakiś czas pisał coś w notesie, po czym złożywszy dłonie pod głową zaniknął oczy.

Nic z tego. Zbyt wiele zmartwień, dających o sobie znać wśród szumu deszczu. Zbyt wiele wspomnień. Zbyt duże poczucie winy.

Tej nocy myśli o Margaret odsunęły na bok wszystko inne.

Kiedy Mack wyszedł do zalanego słońcem biura, Alex zerwał się z miejsca.

- Już pan gotów? Ja także. Wszystko zapakowane.

Było wpół do jedenastej. Trzy telegrafy stukały cicho, wypluwając paski papieru z najnowszymi notowaniami akcji.

Mack dopiero niedawno zainstalował sobie prywatny telegraf i drugą linię telefoniczną.

- Chciałbym pożegnać się z Jimem. Czy jest na dworze?

- W bibliotece.

- W taką piękną pogodę?

Zszedł trzy piętra niżej i otworzył drzwi biblioteki. Mały Jim siedział na obitym czerwonym pluszem fotelu. Jego stopy, nie sięgając jeszcze ziemi, wisiały w powietrzu. Przed nim siedział Johnson, przyglądając się, jak chłopiec bawi się jakimś przedmiotem. Mroczny pokój pachniał kurzem i skórą, którą obite były fotele.

- Co za diabli cię tu przynieśli, Jim? - zapytał ostro Mack, wchodząc do środka.

Chłopak uniósł rękę, pokazując ojcu trzymany w niej przedmiot. Było to chińskie liczydło, pięknie pomalowane kolorowym lakierem. Na jego ramie ziały ogniem ręcznie malowane smoki.

- Skąd to masz? Johnson wstał, otrzepując spodnie.

- Kim Luck z kuchni skądś to wygrzebał. Alex powiada, że Jim ma talent do liczenia. Natychmiast złapał, o co tu chodzi. Jim, nastaw tacie pięćset siedem.

Mały Jim przez chwilę wpatrywał się w liczydło. Potem małą rączką przesunął pięć koralików na trzecim drucie, opuścił drugi, a z pierwszego wybrał jeden koralik pięciopunktowy i dwa pojedyncze. Dumnie wyciągnął przed siebie liczydło. - Suan - pan - powiedział.

- Tak się ta rzecz nazywa po chińsku - oświadczył Johnson.

- Czemu zajmujecie się takimi głupstwami, skoro na dworze jest tak pięknie? - skrzywił się Mack, biorąc liczydło z rąk syna. - Idź na powietrze i pobaw się.

- Nie chcę, tato. Chcę liczyć. - Malec wyciągnął rękę po swoją zabawkę.

- Powiedziałem, wyjdź na dwór - powtórzył Mack. - Potrzeba ci więcej powietrza.

Zaciskając zęby i powstrzymując płacz chłopiec wybiegł z pokoju.

- Jim! - zawołał za nim Mack. - Zobaczymy się dopiero za tydzień lub dwa. Jediną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwi.

Mack rzucił liczydło na stół, po czym rozsunał wiszące w oknach story. Do pokoju wdarło się jasne, słoneczne światło.

- To miejsce jest ponure jak grobowiec - stwierdził.

- Traktujesz chłopca zbyt surowo.

- Chcę, by Jim bawił się więcej na powietrzu, tak jak to robią wszystkie inne dzieci w Kalifornii.

- A może on wcale nie ma na to ochoty? Może jeżdżenie konno, wycieczki i to wszystko, co daje tyle zadowolenia tobie, jego nie cieszy ani trochę? To spokojne dziecko. Ale bardzo zdolne. Potrafi już nawet przeczytać niektóre słowa w gazecie.

- Chcę jednak, by codziennie pobyl trochę na słońcu.

- Do diabła, on ma dopiero trzy lata. Nie musi jeszcze wspinać się na Mount Shasta.

- Nie mów mi, jak mam wychowywać swego syna - mruknął Mack wychodząc.

Johnson westchnął tylko.

Mack znalazł Małego Jima na dziedzińcu przylegającym do Sacramento Street. Chłopiec jeździł na żelaznej furtce, która wydawała przy tym przeciągły, skrzypiący jęk.

- Ach, tu jesteś. Uściskaj mnie przed odjazdem. Jim niechętnie przytulił się do niego.

- Daj spokój, Jim. Nie chciałem sprawić ci przykrości. Ale świeże powietrze naprawdę jest dla ciebie wskazane.

Mały Jim był blady. Zbyt blady. Za dużo przebywał wewnątrz domu. Kalifornijski klimat nadzwyczajnie służył

Mackowi, który chciał, by jego syn także korzystał z dobroczynnego wpływu tutejszego powietrza.

Nie dając za wygraną, Mack rozpostarł ramiona. Mały Jim z wahaniem zbliżył się do ojca, po czym, uściskawszy go nieco serdeczniej, odsunął się.

- Będę za tobą tęsknił - powiedział Mack.

- Ja też, tato. Do widzenia.

Mack wyczuwał, że chłopiec zachowuje się sztywno i jest napięty. Cóż jednak, u licha, mógł na to poradzić?

Odjeżdżając widział oczy Małego Jima, który patrzył w ślad za nim. Pomyślał, że jego syn jest tak smutny jak stary, zmęczony życiem człowiek.

Na czas podróży pociągami Alex przygotował cały plik służbowych dokumentów i zaległej korespondencji. Mack także miał w swojej walizce sporo tego typu papierów. Wiózł też ze sobą kilka książek: Ośmiornicą napisaną przez przyjaciela Nellie, Franka Norrisa, *The Conquest of Arid America* Williama Smythe'a oraz jeszcze jedną, którą zabrał mimo ostrzeżeń Alexa, że czeka ich wiele pracy. Dwa tygodnie wcześniej wydawnictwo Appleton opublikowało nową powieść Nellie *Range of Light*. Był to w gruncie rzeczy kolejny romans, tyle że jeszcze smutniejszy i bardziej gorzki od poprzedniego. Rozmyślając o nim, Mack spędził wiele bezsennych nocy.

Nellie opowiadała historię człowieka prowadzącego hotel w Yosemite. Hotelarz, człowiek starszy już wiekiem, sprowadził niedawno do doliny młodą żonę. Początkowo piękno tego miejsca odwróciło jej uwagę od nie kochanego męża, wkrótce jednak dziewczyna poczuła się zniechęcona i smutna.

Jakiś czas potem zakochała się w młodym Baskijczyku, nielegalnie wypasającym w dolinie owce. W książce opisano scenę, kiedy młodzi ludzie spotykają się pod wodospadami

Yosemite. Oboje buntowali się przeciw prawom hotelarza do małżonki, burżuazyjnej mentalności potępiającej niewierne żony oraz purytańskiemu społeczeństwu, pogardzającemu ich występłą miłością.

W końcu zaryzykowali spotkanie w biały dzień. Wspięli się razem na skały, by choć raz posmakować miłości w promieniach słońca. Dowiedział się jednak o tym mąż, wyszedł ich i zastrzelił, kiedy wędrowali na Cloud's Rest. Wracając ze szczytu, sam spadł w przepaść i zabił się.

Nowy właściciel zmodernizował posesję i prowadził hotel z dużym powodzeniem. Miejsce to przyciągało tłumy gości, którzy po całych nocach pili i śpiewali w nowym hotelowym barze. W finałowej scenie goście, po jakiejś sprzeczce, zabijają pianistę. Kiedy odchodzą, jego pianino samo zaczyna grać The Blue Danube. Instrument gra coraz szybciej i coraz głośniej, zaczyna drżeć, pękają w nim struny, a muzyka staje się coraz bardziej szaleńcza. Wydobywa się przez otwarte okno, zagłuszając głosy podochoconych gości wędrujących w dół doliny. Ostatni obraz nakreślony przez Nellie przedstawiał spłoszonego jelenia, biegnącego brzegiem ciemnej rzeki, podczas gdy cienie dzikich ptaków, także przestraszonych muzyką, przesłaniają jasne oblicze księżyca w pełni.

Mack zamknął książkę. Krytycy mogą nigdy nie odgadnąć, czemu ów „Zola w spódnicy” namalował tak ciemny portret losów kochanków, on jednak znał odpowiedź na to pytanie.

A może tylko sobie pochlebiał?

„Plugastwo” - tak oto określił książkę Nellie „Los Angeles Times”.

„Nie potrzeba nam już więcej brudów i obcych ideologii, jakich pełno w książkach panny Ross, pana Norrisa czy innych dewiantów, którzy mają czelność mienić się artystami i

lojalnymi Kalifornijczykami. Lepiej by zrobili zatruwając swoimi plugawymi koncepcjami Europę niż nas."

Pomimo tej miażdżącej krytyki pióra generała Otisa, który objawił się jako zajadły obrońca moralności, Kalifornijczycy dosłownie w ciągu tygodnia wykupili wszystkie egzemplarze Range of Light.

Książka stała się bestsellerem - znali ją wszyscy piśmienni ludzie w Ameryce.

Wiatr wzmógł się. Żółty pył przesłonił góry i wdzierał się pod powieki. Mack pochylił się i zacisnął zęby, przytrzymując dłonią kapelusz. Alex podążał tuż za nim. Mack wybrał ten brzydki dzień, by odbyć wycieczkę do Indio i ocenić swe ostatnie przedsięwzięcie.

- Tu jest słupek graniczny. Kupiłem sto akrów. Na pięćdziesięciu z nich posadzę palmy daktylowe, resztę zmienię w obóz.

- Obóz? Jakiego rodzaju?

- Obóz dla chorych. Dla tych wszystkich, którzy potrzebują gorącego, suchego klimatu, ale nie stać ich, by tu mieszkać.

Wiatr zagłuszył odpowiedź Alexa na te słowa.

Mack wyciągnął zza pazuchy złożony papier. Silny wiatromal nie wyrwał mu go z ręki.

- Tu są szczegóły i liczby. Najpierw rozbijemy namioty, ale potem postawimy porządne pawilony sanatoryjne. Sprowadzimy krowy i kury. Nieco zamożniejsi inwalidzi będą płacić trzy dolary tygodniowo. Ubodzy nie będą płacili nic. Musimy zatrudnić przynajmniej jednego lekarza i kogoś, kto by tym wszystkim pokierował.

- Dlaczego pan to robi, sir?

- Dostałem od Kalifornii tak wiele, że chcę jej coś oddać w zamian. Tysiące chorych na gruźlicę ludzi przybywa tutaj

nie mając nic, prócz nadziei na zdrowie. Nie możemy pomóc wszystkim, ale spróbujemy dopomóc przynajmniej niektórym.

Alex patrzył na niego w milczeniu, po czym otarł oczy.

- Niech panu Bóg odpłaci, panie Chance. Jest pan dobrym człowiekiem. Bardzo dobrym człowiekiem.

W Riverside Mack oglądał gaje pomarańczowe i spędził jeden wieczór z Billym Biggerstaffem i jego żoną oraz siedmiorgiem dzieci. Ich spokojne rodzinne szczęście wywoływało w nim jednak melancholijny nastrój.

Dwa dni bawił w Venturze, skąd udał się do San Solaro, gdzie bracia Wardlow kończyli budować wodociąg. Liczba nabywców działek wzrosła do dwudziestu trzech rodzin i stawiano już dla nich domy. Czysta woda wypełniała kanał, zaś szyby wiertnicze nie przestawały pompować ropy.

Wróciwszy do Villa Mediterranean obaj z Alexem spotkali się pewnej soboty z Enrique Potterem. Prawnik, z biegiem lat coraz bardziej korpulentny, pokazał im plan Los Angeles, na którym ze środka miasta biegingy we wszystkich kierunkach czerwone linie.

- Są tu dwie kolejne linie miejskie, których budowę zapowiedział Henry Huntington. Jedna z nich przebiega tuż obok pańskiej ziemi przy Redlands, druga zaś przecina pańską posiadłość w Whittier. Pracownicy wydziału do spraw nieruchomości z Pacific Electrics zwrócili się do mnie w tej sprawie w zeszłym tygodniu.

Mack odchylił się do tyłu i splótł dłonie. Ciepły wiosenny wiatr szeleścił leżącymi na biurku papierami.

- Niektóre z tych placów kupiłem właśnie dlatego, że wiedziałem, iż miasto będzie się rozrastać - wyjaśnił Alexowi.

- Kiedy Ed Huntington wspomniał o miejskich liniach w Bohemian Grave, dokupiłem jeszcze więcej ziemi. Odkąd przyłączył się on w zeszłym roku do P.E., działa nawet szybciej, niż oczekiwałem. - Mack potarł policzek. - Czasami

czuję się winny zarabiając pieniądze w ten sposób. Jak jakiś rekin SP, czerpiący dochody z tego, że wcześniej niż inni wie, w którym kierunku będą budowane linie kolei miejskiej.

- Obserwowanie, w jakim tempie rosną ceny ziemi, jest doskonałym lekarstwem na wyrzuty sumienia - powiedział Potter. - Poza tym Henry Huntington nie namawiał pana do kupna ziemi, zrobił to pan z własnej inicjatywy. Nie ma to nic wspólnego z interesami Southern Pacific.

Mack roześmiał się.

- W porządku. Znasz najniższą cenę, na jaką jestem gotów się zgodzić w przypadku poszczególnych placów. Nie schodź poniżej tej sumy. - Potter skrupulatnie notował jego słowa w swoim notesie. - A co z nową posiadłością w dolinie Cahuenga?

Prawnik wskazał na leżący na biurku plik papierów.

- Zaakceptowali pańską ofertę. Wszystkie dokumenty opiewają na ziemię noszącą wspólną nazwę: Hollywood.

- Dobra robota. Resztą zajmiecie się już sami. - Mack wstał zza biurka i zdjął z wieszaka swój biały kapelusz.

- Zawsze tak diabelnie się spieszysz - zauważył Potter.

- Nie chciałem się spóźnić na wystawę automobili.

999 Henry'ego Forda jechał przez równinę, zostawiając za sobą chmurę spalin i czyniąc nieznośny hałas. Na osiach o rozstawie stu dziewięciu cali i pomalowanym na kolor rdzawej czerwieni podwoziu młody konstruktor samochodowy z Detroit zbudował solidną, szybką maszynę. Żadna pokrywa nie osłaniała czterocylindrowego silnika o mocy osiemdziesięciu koni mechanicznych. Kierowca siedział na ławce, na której zmieścić się mogła tylko jedna osoba.

Kilkusetosobowy tłum stał po obu stronach drogi wiodącej na zachód z Riverside. Niektórzy przybyli tu pociągiem z Los Angeles, inni przyjechali powozami, pięciu zaś widzów

dowiozły tu ich własne automobile. Jedno z aut należało do Macka.

Lubił tę niedużą maszynę, która miała trzy biegi (dwa do przodu, jeden wsteczny) i silnik o mocy jednego konia mechanicznego, umieszczony tuż za pojedynczym siedzeniem. Auto pochodziło z Olds Motor Works i nazywano je oldsmobile'em. Miało opływowe kształty, było lakierowane na czarno i wyposażone w mosiężne acetylenowe reflektory. Jednak jego maksymalna szybkość wynosiła zaledwie dwadzieścia mil na godzinę, a to Mackowi nie wystarczało.

Widzowie bili brawo i krzyczeli dopingując, kiedy 999 coraz szybciej jechał drogą. Mack wysiadł ze swego samochodu i dołączył do reszty publiczności.

999 minął linię mety. Sędzia dwukrotnie machnął zieloną chorągiewką. Wóz zwalniał powoli. Ukryty we wnętrzu kabiny kierowca nacisnął na hamulec.

Stojący na wysokiej drewnianej wieżyczce kontrolujący czas sędzia zerknął na zegarek.

- Czas przejazdu jednej mili - minuta, jednaście i jedna piąta sekundy. Nowy rekord forda 999 i jego demonicznego kierowcy z Toledo.

To, co nastąpiło później, można by określić jako zbiorowe szaleństwo.

Kierowca zatrzymał wóz i, ściągnąwszy gogle oraz skórzany hełm, udał się w stronę biegnącego mu na spotkanie tłumu. Zaledwie rok temu młody Bamey Oldfield startował w zawodach rowerowych w Ohio. Teraz, z grubym cygarem w ustach rozdawał autografy, wyraźnie ucieszony takim sukcesem.

Mack przez kilka minut przyglądał się 999. Samochód fascynował go. Potrzebował szybszego i mocniejszego samochodu, który zastąpiłby mu locomobile'a i oldsa. Nie

chciał jednak wozu na parę ani elektrycznego - jedne i drugie wychodziły już z użycia.

Spacerował zakurzoną drogą, przyglądając się samochodom, kiedy w pewnym momencie dostrzegł troje zbliżających się do niego ludzi: mężczyznę wiodącego pod ramię dwie kobiety. Mack miał ogromną ochotę uniknąć spotkania z nimi, szedł jednak naprzód, udając dobry humor.

- Wyatt! To ty?

Wyatt Paul zatrzymał się, posłusznie stanęły także towarzyszące mu kobiety, trzymające go za rękawy białego, płóciennego, źle skrojonego garnituru. Wyatt miał także na sobie biały gors z koloratkovym kołnierzykiem, zaś z kieszeni na piersi wystawała mu biała jedwabna chusteczka. Wyglądał jak ksiądz na negatywie fotografii.

- O nieba! Mój współnik! - wykrzyknął. Uśmiechnął się i na moment w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Mack niechętnie wyciągnął ku niemu rękę, Wyatt jednak nie podał mu swojej.

Mierzyli się nawzajem wzrokiem. Opalenizna Wyatta była jeszcze ciemniejsza niż zwykle, mimo to nie wyglądał dobrze. Nadal był chorobliwie chudy, a w jego wypomadowanych czarnych włosach pojawiły się nad uszami białe pasma, przypominające kształtem skrzydła ptaka. Jego usta robiły teraz wrażenie pełniejszych i były czerwone jak u kobiet. Nadawało mu to wszystko nieco dziwny wygląd.

Dwie młode kobiety zerkały na niego, jak gdyby oczekując instrukcji. Ich suknie były tak ciasne, że Mack mógł dostrzec rysujące się pod spodem żebra. Wąziuteńkie talie jeszcze bardziej podkreślały wypukłość biustu. Na szyfonowych woalkach wielkich, aksamitnych, ozdobionych strusimi piórami kapeluszy osiadał kurz. Mimo nobliwych strojów, sprawiały wrażenie ulicznych.

- Drogie panie, oto mój szanowny wspólnik z San Solaro, James Macklin Chance. To siostra Martha, a to siostra Mary. Wspominałem paniom, że mieszkasz w pobliżu.

- U Arlington Heights - Mack niechętnie skinął głową. Wyatt, jak widać, nie tracił go z oczu. - Mam nadzieję, że bank regularnie przesyła ci twoje dywidendy.

- Owszem. Księgowi mojego klasztoru odbierają je i zdają mi comiesięczny raport.

Mack zdjął z głowy kapelusz i otarł czoło.

- Powiedziałeś: klasztoru?

- Tak. Klasztoru Słońca Świata. Właśnie przenieśliśmy się do nowego sanktuarium u stóp wzgórz, w pobliżu Pasadeny. Dziesięć akrów ziemi i wspaniały budynek. Wzniesiono go na planie ośmiokąta - bardzo dużo okien i mało muru. Człowiek nazwiskiem Fowler konstruował takie ośmiokątne budowle pięćdziesiąt lat temu. Uważał, że jest coś mistycznego i uzdrawiającego w tej figurze geometrycznej. Przerastał swoje czasy. Oczywiście, wiemy, komu ten budynek przedtem służył: rozmodlonym, wiejskim idiotom, wyśpiewującym ponure pieśni religijne. Ale tak czy owak ośmiokątny kształt jest dla nas wprost wymarzony. Wyraża otwartość, uwolnienie się od konwenansów, symbolizuje odwagę.

- A więc jesteś teraz kaznodzieją?

- Wolałbym określenie „nauczyciel” lub „przywódca duchowy”. - Mack przypomniał sobie, jak łatwo udawało się Wyattowi zwodzić innych ludzi, i zdał sobie sprawę, że słyszy w jego głosie tę samą nutę, co wtedy, gdy sprzedawał on parcele w San Solaro. Wyatt odsunął swe towarzyszki.

- Stworzyłem coś, co można by nazwać świecką wiarą. Czczę naturalne siły, których symbolem jest słońce.

- Zdrowie i Wszechświat - wykrzyknęła siostra Martha z szerokim uśmiechem. A może była to siostra Mary?

- Rozpoznamy prawdziwą ludzką psychikę - wyjaśnił Wyatt. - Kultuwujemy ją. Naszym ideałem jest dobre zdrowie i nie skrepowane niczym wyrażenie swych biologicznych potrzeb. Jest to dla nas najwyższa forma moralności.

- Twój kościół musi być zatem nader popularny.

Słyszając ironię w głosie Macka, Wyatt zmarszczył brwi, ale jego towarzyszkę wykrzyknęły:

- O tak! Mamy już ponad dziewięćset wyznawców!

Mack powoli otrząsał się z początkowego zaskoczenia. Niby dlaczego miałby się dziwić? Wyatt zawsze był ambitny, niemoralny i nadzwyczaj przekonujący. A Kalifornia stanowiła podatny grunt dla nowych kultów religijnych, które regularnie pojawiały się i znikwały jak wiosenna zieleń na wzgórzach.

- Poczekajcie na mnie w powozie, panie - polecił Wyatt.

- Ale, Junie... - zaczęła jedna z nich.

- Rób, co powiedziałem, skarbie - uśmiechnął się, ujmując jej ramię. Dziewczyna ugięła kolana i Mack zdał sobie sprawę, że uścisk palców Wyatta zadaje jej ból. Obie pośpiesznie oddaliły się, wlokąc po błocie koronki swych sukien.

- Skoro interesują cię samochody, musisz być zamożny - stwierdził Mack. - Cieszy mnie to.

- To miło z twojej strony. Tak się składa, że przyłączyło się do nas wielu bogatych wyznawców z Iowa oraz innych stanów na środkowym zachodzie. Uznają naszą doktrynę za prawdziwe słowa wolności.

Wyatt postąpił krok do przodu. Znajdujące się za jego plecami słońce utworzyło wokół jego głowy świetlistą aureolę.

- Czy Carla jest z tobą?

- Nie. Rozwiedliśmy się. Wyatt cofnął się.

- A zatem zabrałeś mi ją, wykorzystałeś, a potem porzuciłeś?

- Daj spokój, Wyatt. To było wiele lat temu.

- Złe wspomnienia nie przemijają, mój przyjacielu.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi. Wybór należał do Carli. Do niczego jej nie zmuszałem. A jeśli chodzi o porzucenie, to ona zostawiła mnie, a nie odwrotnie. Powinno cię to pocieszyć.

Nacisnął na głowę kapelusz i odszedł.

- Barney! Barney! - skandował tłum zgromadzony wzdłuż drogi, kiedy Oldfield pozował skrytemu pod czarną płachtą fotografowi. Oldfield! Niech żyje!

Wiatr poruszył białymi spodniami Wyatta, pobrudzonymi już pyłem wiejskiej drogi. Jego przystojną twarz wykrzywił wyraz nienawiści.

W podwójnym hotelowym łożu siostra Mary lekko ocierała się policzkiem o ramię Wyatta, siostra Martha zaś delikatnie wodziła dłonią po jego kroczu.

- Czyżbyś tego nie lubił, Junie?

Obojętnie pogładził ją po włosach. Przeklęty Mack. Zepsuł mu cały dzień. Wyatt nie mógł wybaczyć współnikowi tego, że odebrał mu Carłę.

Zazdrościł mu też sukcesów finansowych, a przede wszystkim tego, że Mack stał się osobą znaną i powszechnie szanowaną. James Macklin Chance - to nazwisko często pojawiała się w codziennych gazetach. Chance był nie tylko milionerem. Był także osobistością.

Cóż, do diabła, Wyatta Juniusa Paula także stać na to, by być kimś. Potrafi wyciągać złoto od głupców, którzy przyłączali się do jego klasztoru. Dzięki swej pomysłowości zbierał obfite żniwo. Wynagradzał sobie w ten sposób długi okres nędznego życia, o którym na próżno pragnął zapomnieć.

Kiedy opuścił San Solaro, utrzymywał się ze swoich udziałów w szybach naftowych. Mógł dzięki nim przeżyć, ale

przecież przeżycie to nie wszystko. Pragnął wielkiego bogactwa. Co więcej, chciał też być postacią wszystkim w Kalifornii znaną.

Podziwianą.

Kochaną...

Tylko jak to zrobić? Przez długi czas nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. W San Diego poznał i poślubił chorą na gruźlicę wdowę. Był podpity, kiedy jej się oświadczał, i pijany do nieprzytomności, kiedy się pobierali. Wyatt pomógł jej otworzyć tani hotel - sanatorium, jeden z setek w tym stanie, tłumnie odwiedzanym przez chorych, którym pozostało już tylko jedno płuco. Zły stan zdrowia żony zasugerował mu, jak może rozwiązać swoje problemy.

Kobieta zmarła szybko, jak na to liczył, on zaś zlikwidował hotelik, uzyskując kapitał na zabutelkowanie pierwszych pięciuset litrów syropu „Sunshine Health”. Naiwniacy oraz hipochondrycy, którzy ów specyfik kupowali, twierdzili, że dodaje on sił i wzmacnia organizm. Jasne, do diabła. W końcu zawierał w sobie czysty alkohol i pieprz cayenne.

Odniósłszy triumf medyczny, Wyatt sięgnął po sukces bardziej pracochłonny. Mieszkając w domku tuż nad brzegiem morza w Santa Barbara, zbudował pierwszą ze swych Alpejskich Kabin Oddechowych. Cena jednej sztuki wynosiła tysiąc dolarów. Wyatt wykonał i sprzedał jedenaście kabin, ale wciąż nie był zadowolony. Chciał takiego samego szacunku i prestiżu, jakimi cieszył się Chance.

Pewnej nocy, przemarznięty po długim pływaniu po przybrzeżnych falach i drżąc w gorączce, zasnął, śniąc o swej matce mieszkającej w Osage, w Kansas, o jej fanatycznej wierze religijnej i zwariowanych poglądach na temat zdrowia. Boże, jakże chciał kiedyś uciec od wszystkich tych kasz i sucharów z ciemnej mąki, jakie w niego wpychała.

Obudził się przed świtem, nasłuchując szumu fal Pacyfiku, rozpalony gorączką, i nagle wpadł na prosty, doskonały pomysł. Podekscytowany otworzył butelkę brandy. Gdy wzeszło słońce, był już całkiem pijany, ale pełen zapału. Uznał, że oba wariactwa matki są rzeczami, na których da się zarobić pieniądze. Jest na to właściwy czas i właściwe miejsce. W końcu to właśnie tutaj, do Kalifornii, zjeżdżają z gór setki idiotów, plujących z płuc krwawą śliną.

Potrzeba im tylko jednego - religii czczącej nie zaświaty, lecz najprawdziwszą rzeczywistość. Stworzoną nie przez jakiegoś zdziwaczałego Żyda głoszącego pokój, lecz przez człowieka rzutkiego i inteligentnego. Oferującą nie mgliste wizje życia po śmierci, lecz nadzieję na dłuższe i przyjemniejsze życie jeszcze na tym świecie. Potrzeba im Religii Zdrowia.

Przeklęty Mack Chance potraktował jego wizje z ironią, pozwalając sobie na pogardliwe i uszczypliwe uwagi. Niech go diabli wezmą razem z tym jego pięknym garniturem i białym kapeluszem. Niech będzie przeklęty za zabranie mu Carli.

- Złe wspomnienia nie przemijają. O tak, nie przemijają!
- Co mówisz, Junie?
- Powiedziałem, że cię kocham, siostró Martho.
- Czasami myślę, że jesteś zupełnie szalony, Junie - zachichotała.
- Ach, ty dziwko o ptasim mózdzku. - Wyatt pogładził jej włosy. - Zniż głowę i zajmij się nim.

Rozdział 50.

Wiosną 1903 roku Mack w Olympic Club zagadnął Fremonta Oldera. Older był redaktorem naczelnym wychodzącego w San Francisco „Bulletinu”. Powiadano o nim, że „miesza krew z atramentem”. Zaczynał karierę od pracy w drukarni, następnie zaś był przez jakiś czas reporterem. Podziwiał Hearsta i sensacyjny styl jego gazety. Był potężnie zbudowanym mężczyzną z grenadierskimi wąsami, rozmiłowanym w pięknych strojach i dobrych cygarach. Miał dużą, łysą czaszkę, wypukłą na czubku. Miejscowi plotkarze twierdzili, że owa wypukłość powstała od częstego uderzania głową w znajdującą się za jego biurkiem ścianę, co podobno czynił widząc fatalne nagłówki bądź błędy gramatyczne w swojej gazecie. Podobno reagował też w ten sposób na doniesienia o korupcji panującej we władzach miejskich, o której tak często pisywał.

- Podobają mi się pańskie artykuły wstępne na temat Schmitza - powiedział Mack zaraz po tym, jak się przedstawił.

- Dziękuję, miło mi to słyszeć. Proszę nalać sobie drinka i wziąć cygaro. A więc zgadza się pan, że nasze władze gniją...

- Już same wybory narobiły dość smrodu - powiedział Mack, przypominając sobie wybór do amerykańskiego senatu George'a Perkinsa, kandydata popieranego popołu przez SP i Abe Ruefa, który kontrolował cztery głosy elektorów w Sacramento.

- To tylko jeden z symptomów choroby, strasznej choroby, jaka toczy to miasto, panie Chance. Kocham San Francisco i nie mogę patrzeć, jak chyli się ono ku upadkowi.

- Czy naprawdę uważa pan, że jest aż tak źle, panie Older?

- Powiem panu, jak źle. Abe Ruef zmienił City Hall w targowisko, na którym wszystko jest na sprzedaż: licencje, głosy, przywileje. Schmitz to zero, po prostu nikt. Wszystkim

kieruje Ruef. Od czasu do czasu rzuci związkom zawodowym jakiś ochłap na otarcie łez. Ale tak naprawdę pogardza związkami. Wielkie korporacje co miesiąc padają mu do nóg i przynoszą w zębach kilka tysiączków, by upewnić się, że wszystkie rozporządzenia władz miasta będą dla nich korzystne. Teraz jeszcze na dodatek zajął się nielegalnymi interesami.

- Nie wiedziałem o tym.

- Zaczął czerpać zyski z prostytucji. Wszystko to jest okryte tajemnicą i dla zwykłego obywatela trudne do zauważenia, ale wiem, co mówię.

- Co ma pan zamiar w związku z tym zrobić?

- To samo, co robiłem dotąd, tyle że w większych dawkach: wstępniaki, przemowy. Fakty są trudne do ukrycia, choć Ruef ma powiązania z paroma ważnymi osobistościami i kilka razy już mi grożono. Grożono także naszemu wydawcy, panu Crothersowi.

- Cóż, proszę nie zaprzestawać swej działalności. Podoba mi się to, co pan robi.

- Proszę napisać do nas list i wyrazić swoje poparcie. Są jeszcze ludzie, którzy chcą oczyścić to miasto. Albo im się to uda, albo też na dobre zapanuje tu prawo dżungli.

Wielki, ozdobny żyrandol rzucał krąg światła na zielone sukno stołu bilardowego. Mack i Hellman z cygarami i kuflami pianistego piwa na przemian pochylali się i uderzali kijami bile.

Hellman gościł u swego zięcia od tygodnia - mógł sobie na to pozwolić, gdyż jego posiadłością zawiadywał już teraz kto inny. Swampy wyłysiał niemal zupełnie, zaś jego oczy wyblakły i zmatowiały. Z trudem też wspinał się po schodach. Przypominało to Mackowi, że i dla niego czas nie stoi w miejscu.

Po raz ostatni uderzył bilę, wygrywając pojedynek, po czym wyciągnął dłoń do przeciwnika.

- Starczy na dzisiaj, Swampy.

- Jasne. Gramy już czwarty wieczór i powoli zaczyna ogarniać mnie znudzenie.

Mack popatrzył na niego uważnie.

- Zaczynasz się zachowywać jak twoja córka.

- Czy wiesz, że wróciła do Nowego Jorku?

- Nie.

- Tak właśnie myślałem, że nie będzie się spieszyła, by cię o tym powiadomić. Przestaje teraz z bohemą z Carmel. Malarze, pisarze, socjaliści, zwolennicy wolnej miłości i tak dalej... Ogólnie mówiąc, zgnilizna.

- Nie wszyscy - zaprzeczył Mack. - A jak jej... - przez chwilę szukał w myślach odpowiedniego, możliwie grzecznego słowa - ...zdrowie?

- Masz na myśli to, czy nie zapiła się na śmierć? - Hellman zaciągnął się cygarem, strząsając popiół na dywan. Popatrzył na zięcia ponurym wzrokiem. - Byłeś jedynym mężczyzną, który mógłby poradzić sobie z Carlą.

- Nie sądzę. To raczej ty, jej ojciec...

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Obaj czuli się zmęczeni i samotni. Mack tęsknił za Johnsonem, który miesiąc temu wyjechał do Ameryki Południowej.

Otworzyły się drzwi i na dywanie pojawiła się smuga wpadającego z holu światła. Pośrodku niej boso, w długiej nocnej koszuli stał Mały Jim. Jego jasne włosy lśniły jak złoty hełm.

- Wejdź, synu.

- Przyszedłem powiedzieć ci dobranoc, tato.

Mack ujął chłopca pod brodę. Jego opalona, twarda dłoń kontrastowała z różową, delikatną cerą dziecka.

- Jesteś taki blady. Nadal za dużo siedzisz w domu.

Mały Jim miał tej jesieni kończyć pięć lat. Był szczupły, wąły i delikatny.

- Lubię być w domu, tato. Lubię siedzieć sobie z książką albo coś liczyć.

- Świetnie to robisz - wtrącił się Hellman, głaszcząc dziecko po głowie. - Jim urządził mi dziś po południu pokaz. Za pomocą tych chińskich liczydeł mój wnuk liczy szybciej niż niejeden kasjer.

Pionowa zmarszczka przecięła czoło Macka.

- Chcę, żebyś przynajmniej dwie, trzy godziny dziennie spędzał na świeżym powietrzu, Jim. Wiesz co? Jutro wybieramy się do Stanford. Tamtejsza drużyna futbolowa zaczyna wiosenne treningi. Futbol to bardzo interesująca gra. Spodoba ci się.

- Na pewno nie - odparł ponuro Jim.

- Daj spokój - powiedział Mack, starając się nie okazać irytacji. - Z pewnością będziesz świetnie grał w futbol, kiedy podrośniesz.

- Nie.

- Przestań pyskować - rozkazał Mack. W oczach Hellmana zobaczył wyrzut. - Idź do łóżka.

Mały Jim pomaszerował z powrotem jak żołnierz, któremu wydano rozkaz. Drzwi za nim zamknęły się i w pokoju znów zapanowały ciemności.

Mack westchnął i opadł na stojący w pobliżu fotel.

- Boże, cóż to za trudne dziecko. Nie podoba mu się nic, co mówię.

- Wyrośnie na przystojnego młodzieńca. Jest podobny do Carli. I zachowuje się tak jak ona.

- To właśnie mnie martwi.

- Zagrajmy więc w karty. Może przestaniesz o tym myśleć.

- Chłopiec nie może dziś z panem pojechać - powiedziała następnego ranka Angelina. - Ma silny ból żołądka.

- Czy nie udaje?

- Ależ senor Chance, cóż za okropne podejrzenie. Oczywiście, że nie.

- W porządku - ustąpił z westchnieniem Mack.

„Gdzie popełniłem błąd?” - zastanawiał się podążając na górę, by rozpocząć dzień wypełniony interesami.

Pewnego pięknego kwietniowego ranka Walter Fairbanks zaparkował swego lśniącego pope - toledo przed posiadłością Macka. Cieszyło go prowadzenie tej solidnej maszyny, którą kupił po ben hurze, luxorze i lelandzie, dzięki czemu mógł ją teraz z tamtymi samochodami porównywać. Gładką czerni pope - toledo uważał za symbol bogactwa w starym, dobrym stylu.

Inicjały JMC umieszczone na filarach przy wejściu zrobiły na nim złe wrażenie, starał się jednak powściągnąć emocje, kiedy naciskał dzwonek. Nie czuł się dobrze wchodząc do tego domu. Cel dzisiejszej wizyty kazał mu jednakowoż odłożyć na bok osobiste uczucia.

Służący zaprowadził go na trzecie piętro. Mack jak zwykle pogrążony był w czytaniu jakichś dokumentów.

- Czemu zawdzięczam zaszczyt goszczenia cię tutaj, Walterze? Fairbanks położył sobie na kolanach lśniącą laskę, lekko ściskając ją w dłoniach.

- Jak pewnie wiesz, jestem w Komitecie organizującym wizytę prezydenta Roosevelta, który ma zawitać do nas w przyszłym miesiącu. Gene Schmitz sponsoruje planowany na dwunastego maja bankiet. Ma to być uroczystość na cześć San Francisco i Złotego Stanu. „Palace Hotel” obiecał nam złotą zastawę i sztuce oraz haftowane złotą nicią obrusy na stoły...

- Za cenę dwudziestu dolarów w złocie za każde nakrycie. Gdzieś tu poniewiera się zaproszenie.

Lekceważenie okazywane przez Macka rozwścieczyło Fairbanksa. Poczł ból świdrujący głowę. Bardzo długo przekonywał współpracowników, by wysłali do Chance'a kogoś innego, ale im bardziej się wzbraniał przed tą wizytą, tym bardziej nalegali. Ruef chciał mieć Macka na tym bankiecie i polecił Fairbanksowi, by dobrze wywiązał się ze swego zadania.

- Nie potwierdziłeś jego przyjęcia?

- Nie mam takiego zamiaru.

- Mack, jesteś ważną osobistością. Proszę, rozważ to. Burmistrz niepokoi się, że San Francisco może okazać za małe poparcie prezydentowi.

- Gorąco podziwiam Teddy'ego Roosevelta. Obawiam się jednak, że mój podziw nie jest na tyle duży, by pokonać niechęć do twych nowych przyjaciół.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o powrocie George'a Perkinsa do Waszyngtonu. Popierała go SP oraz ci czterej ludzie w senacie stanowym, którzy głosują tak, jak każe im Ruef. Jesteś w tej chwili sojusznikiem Ruefa, Walterze.

- Ale co to ma wspólnego z bankietem organizowanym z okazji przybycia tu prezydenta Stanów Zjednoczonych?

- Wszystko. Ręka rękę myje. Znasz takie stare powiedzenie: jeśli nie chcesz się powalać, trzymaj się z daleka od beczek ze smołą. Dwunastego maja moja noga nie postanie w „Palace Hotel”.

Za oknem przeleciała mewa. Alex Muller zastygł w bezruchu w swoim fotelu.

- Głupio czynisz, odrzucając zaproszenie Abrahama Ruefa - powiedział Fairbanks, a na jego policzki wystąpiły czerwone plamy. - Już teraz jego partia dysponuje ogromną siłą.

- Mam tego całkowitą świadomość. Żywię jednak nadzieję, że legnie ona w gruzach, zanim zdąży zniszczyć to miasto.

- Mój Boże, jakiś ty bezczelny - wykrzyknął Fairbanks, zrywając się z miejsca.

- Zawsze tak jest, że wiąże się z tobą wszystko, co najgorsze, Walterze - odparł Mack z lodowatym uśmiechem.

- Czyżbyś żywił do mnie jakąś urazę?

- Zgadłeś. Zraniłeś w Riverside pięknego konia tylko dlatego, że miałeś ochotę wygrać ten przeklęty mecz polo. Pogardzam ludźmi, którzy postępują w ten sposób.

Fairbanksa ogarnęła taka złość, że nie mógł wprost wydać z siebie głosu. Nacisnął kapelusz na głowę i ruszył ku drzwiom. Nie zdołał jednak zdusić w sobie gniewu na tyle, by wyjść w milczeniu.

- A więc wojuj z ludźmi, którzy rządzą tym miastem, wojuj! - zawołał, obracając się i potrząsając laską. - Ale nie powiedzie ci się żaden interes, jaki zechcesz tu zrobić. Dostaniesz surową nauczkę!

- Nie od ciebie, Walterze. Pokonałem cię już, pamiętasz? Alex, odprowadź pana Fairbanksa do drzwi.

Na Złoty Bankiet do „Palace Hotel” przybyło sześciuset gości. Prezydent Roosevelt taktownie rozmawiał z burmistrzem o muzyce - i niczym innym.

Eugene Schmitz wygłosił podczas przyjęcia napisane mu przez Ruefa krótkie przemówienie. Brawa, jakie otrzymał, były głośnie i szczere. Wszyscy cieszyli się, że Schmitz tak dobrze wypadł, że nie przyniósł wstydu sobie ani miastu.

Ważne osobistości spostrzegły, że James Macklin Chance opuścił San Francisco dzień wcześniej, udając się do swego sanatoryjnego obozu, który założył w The Palms w Indio.

Na tydzień przed listopadowymi wyborami Mack napisał list, który Fremont Older opublikował w swojej gazecie.

Wyliczył w nim liczne nieprawidłowości w funkcjonowaniu administracji Schmitza i wzywał, by głosować przeciwko niemu. Zwracał też uwagę, że głosowanie na tego człowieka jest w istocie rzeczą oddawaniem głosu na Ruefa i jego popleczników.

- Rozpuść plotkę, że Chance jest antysemitą i wrogiem Żydów - rozkazał swemu sekretarzowi Abe Ruef po przeczytaniu listu.

- Ależ to nieprawda!

- A co to ma za znaczenie? Rób, jak ci każe.

Gdy pogłoska ta dotarła do Macka, natychmiast zadzwonił do rabina Świątyni Emanu - el, mieszczącej się na Sutter Street.

- Nigdy nie występowałem przeciwko żadnemu człowiekowi ze względu na jego pochodzenie. - Co mam zrobić?

- Proszę się uspokoić, panie Chance. Nie jestem pewny, czy religia Abe Ruefa ma na niego pozytywny wpływ. Zapewniam pana, że zdania na ten temat są w żydowskiej społeczności podzielone. Wielu raduje się i jest dumnych z jego kariery, a inni myślą podobnie jak pan. Ja sam należę do tych ostatnich - nie lubię Ruefa i nie ufam mu. Proszę trzymać się swoich zasad i być im wierny. Pańscy przyjaciele nie uwierzą w żadne kłamstwa na pana temat. A tymi, którzy uwierzą, nie należy się przejmować.

Eugene Schmitz i jego Union Labor wygrali kolejne wybory, Mack napisał zaś kolejny list, jeszcze ostrzej krytykujący Schmitza i Ruefa.

Dwunasty listopada był rześkim, słonecznym, choć chłodnym dniem. Mack czuł się doskonale, natomiast Alex Muller z niewiadomego powodu wyglądał na przygnębionego. Mack zmusił go w końcu, by wyjawiał przyczynę swego nastroju.

- Chodzi o ten ostatni list, sir. Kuzynka mojego przyjaciela, Heidi Meyer, pracuje w biurze prawnym Ruefa. Słyszałem, że jest on na pana naprawdę wściekły.

- Dziwisz mu się? Wie przecież, co myślę na jego temat. Miał sześć miesięcy, by utwierdzić się w nienawiści do mnie, odkąd zbojkotowałem Złoty Bankiet i otwarcie wyraziłem swoje przekonania. - Mack położył dłoń na ramieniu Alexa. - Nie martw się Abe Ruefem. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by cokolwiek, co piszę lub mówię, miało jakiegokolwiek znaczenie. Nie wydaje mi się, by zbyt długo zawracał sobie mną głowę. Jest zbyt zajęty wyciąganiem łapówek od ludzi, którzy potrzebują przychylności władz miejskich.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Wierzę, że utrzyma pan swoją pozycję w San Francisco.

Te słowa zdziwiły i rozbawiły Macka. W tej samej chwili drzwi jego gabinetu otworzyły się.

- Tato, źle się czuję...

- Bzdura. Jest piękny jesienny dzień. Zbieraj się do wyjścia. Stanford przeciwko U.C. to największy mecz tego sezonu. - Nałożył płaszcz i delikatnie popchnął Małego Jima. - Pomożesz mi sprawdzić samochód, nim wyruszamy.

- Słyszałem, że to rzeczywiście bardzo ważny mecz - wtrącił się Alex. - Przyjdzie tłum kibiców. Niektórzy z nich mogą zachowywać się gwałtownie.

- Racja - uśmiechnął się Mack, biorąc syna za rękę. - Taki właśnie jest futbol.

Chłopiec nauczył się już, że nie należy spierać się z ojcem, kiedy jest w takim nastroju.

Alex odprowadził ich aż na parter. „Jakże smutne jest to dziecko” - pomyślał. Smutek widziało się w całej postawie Jima. Wyjąwszy piękne błękitne oczy, w których płonęła szczerza nienawiść.

Rozdział 51.

Mack rozsunął szeroką, garażową bramę. Wewnątrz stał nowy, wyprodukowany w roku 1903 cadillac runabout.

Jim zerknął na swoje odbicie w ciemnozielonym lakierze karoserii i wystawił język. Jego odbicie uczyniło to samo. Roześmiał się. W serce Macka wstąpiła nowa nadzieja. Pomyślał, że nie wszystko stracone. Uśmiech znikł jednak szybko z twarzy chłopca, a we wpatrzonych w ojca oczach na powrót pojawiło się napięcie i niechęć.

Mack rozpoczął rytuał znany każdemu automobiliście. Sprawdził poziom paliwa i oleju. Uzpełnił paliwo, usuwając zeń zanieczyszczenia. Kupowana w sklepach benzyna zawsze jakieś zawierała - nawet ta z rafinerii Chance - Johnson Oil.

Pracując, nie przestawał mówić do syna, w nadziei, że zdoła poprawić mu nastrój.

- Mamy piękny dzień, a mecz z pewnością będzie fascynujący. Stanford i Berkeley grały już ze sobą dwanaście razy. Stanford wygrał pięć spotkań, przegrał cztery, a zremisował trzy. Trenerem tej drużyny jest Jim Lanagan. Wiesz, co robi trener? Mówi zawodnikom, jak mają grać, kiedy atakować, a kiedy się bronić... - Jim słuchał go bez zainteresowania, bezmyślnie gapiąc się w dal. - Czy zrozumiałeś cokolwiek z tego, co powiedziałem?

Mały Jim potrząsnął głową.

„To moja wina - pomyślał ojciec. - Mówię rzeczy za trudne dla pięciolatka.”

Sprawdził poziom nafty w reflektorach oraz zawartość skrzynki z narzędziami, upewniając się, że ma pompkę, klucz do odkręcania kół oraz sprzęt, za pomocą którego można zakleić dziurę w dętce. Postanowił pozostawić wyposażenie przewidziane dla dłuższych wycieczek: skórzany, zdejmowany dach, boczne osłony, specjalny fartuch, chroniący przed deszczem, łańcuchy do jazdy po błocie,

gumowe buty oraz płócienną torbę wypełnioną linami i drutem. Na wyboistych, kamienistych drogach Kalifornii wszystkie te rzeczy bywały czasem niezbędne.

Wyjął natomiast dziecięcy kask i gogle. Chłopczyk niechętnie włożył kask na głowę, po czym zaczął bawić się gumką gogli.

- Załóż je, Jim.

Mack zdał sobie sprawę, jak szorstko zabrzmiały te słowa, i zrobiło mu się wstyd. Ukląkł przed synem.

- Daj, pomogę ci. Zobaczysz, że będziemy się dziś świetnie bawić.

W wielkich okularach Jim przypominał groźną sowę. Jego mina świadczyła o tym, że nie wierzy w żadną dobrą zabawę. Mack posadził go na miejscu dla pasażera, po czym uruchomił cadillaca. Lubił sportową sylwetkę swego samochodu, ale nie jego silnik. Leland i falconer - „Mały Hercules” - nie nadawały się jednak do szybkiej jazdy. Rozmyślając o innych samochodach, Mack wyjechał z garażu i ruszył w stronę Clay.

Otyły mężczyzna stał na rogu Clay i Mason udając, że czyta gazetę, w rzeczywistości jednak wpatrywał się w mknącego w jasnym jesiennym słońcu cadillaca. Człowiek ów miał na sobie kraciasty zielony garnitur, a jego dłoń zdobił olbrzymi różowy pierścień. Stanowczo nie pasował do Nob Hill.

Mężczyzna złożył gazetę i szybkim, kaczym krokiem ruszył ulicą Mason na południe. W połowie drogi do następnej przecznicy czekało na niego dwóch ludzi, siedzących na płaskiej platformie wozu, którego płócienny dach zrolowano i przywiązano do podtrzymujących go prętów. Wehikuł ten, pojazd biedaków, miał ze dwadzieścia lat. Spod jasnozielonego, obłazącego lakieru wyzierały czarne plamy farby, jaką wóz był niegdyś pomalowany.

- Właśnie wyjechał z domu - powiedział otyły mężczyzna do człowieka siedzącego z tyłu wozu, który na te słowa wysiadł, ostrożnie stąpając sztywną lewą nogą. - Nie wiem, jak udało ci się to odgadnąć.

- Posadź swoją tłustą dupę na wozie i zamknij się, Pinky. Nie przygotowuję roboty opierając się na zgadywance. Przez osiemnaście lat byłem policjantem. Macklin Chance nie szczydził nigdy pieniędzy na Stanford. Kocha tę uczelnię i uwielbia drużynę Cardinal. A dziś gra ona Wielki Mecz. Wnioski więc nasuwają się same. Ruszaj, Slim. Nie chcę, byśmy przegapili okazję.

- Tak, panie Coglan.

Zezowaty młodzieniec imieniem Slim zaciął konia batem i zawrócił wóz do tyłu, omal nie potracając jakiejś niosącej koszyk kobiety. Lon Coglan pociągał sztywną nogą. Pocisk, jaki utkwiał w niej przed „Thalią”, mocniej mu ostatnio dokuczał. Ale mimo to był detektyw w doskonałym nastroju. Jego sięgające kołnierzyka włosy nie miały już dawnej srebrnej barwy - były teraz po prostu białe. Lata pijaństwa jeszcze bardziej zaczerwieniły mu nos, a ślady po pryszczach stały się tak głębokie, że jego twarz przypominała ser szwajcarski.

- Oto i on - powiedział Pinky, kiedy skręcili w Clay.

- Jedź za nim, ale nie trzymaj się zbyt blisko - polecił Coglan. - Chcemy zapracować na nasze pieniądze, a nie trafić do kostnicy. Wykonamy nasz plan tylko pod warunkiem, że nadarzy się po temu odpowiednia okazja.

- Chciałbym mieć to wszystko już za sobą - powiedział nerwowo Slim. - Strasznie nie lubię pracować przy dziennym świetle.

Coglan rozparł się wygodnie na poduszkach, jakimi wyłożony był wóz.

- Robota przy dziennym świetle jest niezła pod warunkiem, że ma się dość sprytu. Ta zaś powinna sprawić nam dużą frajdę.

Dwie przecznice na zachód od Lafayette Park cadillakiem szarpnęło i lewy bok samochodu opadł gwałtownie. Mack zaklął i zatrzymał wóz.

- Poszła dętka - powiedział. Był wściekły, założył bowiem najlepsze opony, jakie tylko udało mu się kupić. Żadne jednak nie wytrzymały więcej niż tysiąc mil, a większość uległa zniszczeniu nawet znacznie wcześniej.

Mały Jim przyglądał się, jak ojciec zabiera się do herkulesowej pracy, nieobcej wszystkim, którzy byli dość bogaci, by kupić sobie samochód, i dość cierpliwi, by znosić jego fanaberie. Zdjęcie przebitej opony zabrało mu dziesięć minut i kosztowało go sporo przekleństw i potu.

- Do licha, Jim. Spóźnimy się.

- Co mam zrobić? - zawołał w panice Slim.

- Nie przejeżdżaj obok niego, na litość boską. Skręć w lewo. Nie możemy zaatakować go na ulicy pełnej ludzi. Pojedź prosto na Richmond Field, tam poczekamy. Być może przyjedzie na mecz pomimo spóźnienia. A tam wrzask piętnastu czy dwudziestu tysięcy ludzi zagłuszy naszą akcję.

Listopadowy dzień był wprawdzie chłodny, ale Mack opływał potem, nim zdołał zakleić dziurę, umieścić koło z powrotem na swoim miejscu i napompować je ręczną pompką. Wiedział, że jeśli klej nie złapał łąty, będzie musiał zaczynać całą operację od początku.

Naprawa przebitej dętki zabrała mu czterdzieści pięć minut. Popsuło mu to humor. Przejechał przez Fifth Avenue i skręcił na parking na rogu Richmond Field i Sixth.

Za drzewami Mack spostrzegł błękitno - złote stroje drużyny z Berkeley i szkarłatne - zespołu Stanford. Stary

człowiek siedzący na odwróconej do góry dnem skrzynce zerwał się na równe nogi.

- Pięć centów, proszę.

Mack rozglądał się po zatłoczonym konnymi bryczkami i nielicznymi samochodami placu.

- Jest tam jeszcze jakieś miejsce?

- W pierwszym rzędzie. Trzeba skręcić w lewo i podjechać do drzew w samym końcu.

- Co się dzieje na boisku?

- Za kilka minut koniec pierwszej połowy meczu. Stanford prowadzi sześć zero.

- Kto strzelił bramki?

- Dutch Banskach. Przeprowadził piłkę lewą stroną. Czterdzieści pięć jardów. Mój siostrzeniec Horace przybiega tu co jakiś czas, żeby podać mi wynik. W innym wypadku nie wziąłbym tej przeklętej pracy.

Mack odjechał i zaparkował samochód pod rozłożystymi drzewami.

Pinky stał na szczycie niewielkiego wzniesienia, obserwując nadjeżdżające pojazdy. Wypatrzywszy cadillaca zagwizdał i zszedł na dół.

Mack zgasił silnik. Wciąż był poirytowany nieprzewidzianą awarią. Mały Jim zdjął kask i gogle. Wyglądał na zmęczonego i przestraszonego.

- Nic się nie martw - poklepał go po ramieniu ojciec. - Został nam jeszcze kawał meczu do obejrzenia.

Podszedł do drzwi od strony pasażera. Było piękne jesienne popołudnie. Po niebie płynęły nieliczne, postrzępione na brzegach obłoki. Mack uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by pomóc synowi wysiąść.

Za jego plecami, zza samochodów i powozów, wychyły na chwilę, po czym natychmiast znikły, trzy głowy. Mężczyźni skradali się szybko i cicho. Podniecenie sprawiło,

że Coglan przestał nawet odczuwać ból w sztywnej nodze. Sięgnął za pazuchę płaszcz i wyjął kastet.

Mack wziął Jima za rękę i skierował się w stronę boiska.

- Overall! Overall! - krzyczeli kibice błękitno - złotych. Czterdziestoletni Overall był gwiazdą swojej drużyny. Mack usłyszał odgłos kopnięcia piłki, a potem brzęk mosiężnej poprzeczki, podtrzymującej siatkę.

- Chance! - dobiegło go nagle czyjeś wołanie. Rozejrzał się. Wokół nie było nikogo.

- Tutaj - głos dobiegał z lewej strony, z cieniściego zagajnika na skraju placu. Stało tam trzech mężczyzn: tusty osobnik w tandetnym garniturze z wielkim różowym pierścieniem na palcu, nieco młodszy od niego człowiek z miną włóczęgi z Barbary Coast, a pomiędzy nimi uśmiechnięty, jakby spotkał starego przyjaciela, połyskujący srebrnym zębem Coglan...

Mack poczuł, że zaschło mu w ustach. Skąd się tu wzięli? Skąd wiedzieli, że tu będzie? Musieli odgadnąć, że jako kibic Stanford nie opuści tak ważnego meczu.

Czekali tu na niego - nie było to przypadkowe spotkanie.

Jim ścisnął jego dłoń. Mack odsunął chłopca nieco dalej od mężczyzn. Widok Coglana, postarzałego, ale wciąż pewnego siebie, budził w nim pragnienie zemsty. Zdusił jednak w sobie to uczucie. Przeszłość nie miała znaczenia - liczył się tylko Jim.

Stojący w cieniu były policjant wachlował się od niechcienia gazetą.

- Wyglądasz o wiele lepiej niż wtedy, gdy widziałem cię po raz ostatni - oświadczył. - Podejź no tu. Mam ci coś do powiedzenia.

Mack ani drgnął. - Niestety, nie mogę. Jestem już spóźniony na mecz. - Ścisnął rękę Jima i obaj pośpiesznie ruszyli ku wąskiemu przejściu między powozami.

- Zatrzymać go! - wrzasnął Coglan. Slim wypadł z cienia i pobiegł między wozami.

- Uciekaj, Jim! - polecił Mack, przedostając się przez następny rząd pojazdów. Slim dogonił ich jednak, pojawiając się po lewej stronie, podczas gdy Coglan i otyły mężczyzna zachodzili ich od tyłu. Spłoszone konie szarpały się, uwiązane do żelaznych prętów.

Detektyw wyciągnął prawą rękę, schowaną dotąd w kieszeni płaszcza, i Mack zobaczył na jego dłoni kastet.

Coglan uśmiechnął się, błyskając srebrnym zębem. Mack przytulił Jima do siebie.

- Czego, u diabła, chcecie?

- Przekazać ci pewną wiadomość. Niektórym ludziom w mieście nie podoba się to, co wypisujesz w tym szmatławcu Oldera. Byłoby dobrze, gdybyś przestał.

Kibice znowu zaczęli krzyczeć. Odezwały się trąbki i bębenki. Jakaś chmura zasnuła nagle słońce. Mack odruchowo popchnął syna na ziemię. - Przeczolągaj się pod wozem i uciekaj - polecił.

Przerażony Jim bez protestu wykonał polecenie i już po chwili znalazł się po drugiej stronie stojącego obok powozu.

- Łap dzieciaka - wrzasnął Coglan do Pinky'ego. Otyły mężczyzna niezdarnie okrążył wóz.

- Chodź tu, smarkaczu - krzyknął, chwytając malca za włosy i ciągnąc ku sobie. Coglan pochylił się, by zobaczyć, co dzieje się z drugiej strony wozu, i Mack wykorzystał ten moment, by wymierzyć kolanem cios w podbródek detektywa.

Głowa Coglana odskoczyła. Mack ściągnął mu z ręki kastet i odrzucił daleko za siebie. Coglan próbował go uderzyć, z furią młóćąc pięściami, ale Mack zgrabnie robił uniki odskakując to w prawo, to w lewo.

Pinky odciągnął Jima do drugiego rzędu pojazdów, ale chłopiec nie dawał za wygraną, wciąż próbując się uwolnić.

Pinky na chwilę się zagapił i w tym samym momencie mała piastka chłopca z całej siły uderzyła go w jądra.

Mack zamierzał właśnie zadać Coglanowi silny cios w szczękę, kiedy nagle usłyszał za sobą jakiś szmer. Wystarczyła chwila dekoncentracji, by pięść detektywa trafiła go w ucho. Oszołomiony osunął się na stopień powozu i w tym momencie otrzymał jeszcze jeden cios w plecy.

- Na pomoc! Ratunku! - zawołał Jim.

- Zamknij się! - rozkazał Pinky, trzymając go mocno jedną ręką i równocześnie drugą masując krocze. Odciągnął chłopca jeszcze dalej, ku środkowemu rzędowi pojazdów. Skulony na stopniach powozu Mack dostrzegł zaczerwienioną ze złości twarz grubasa.

Slim ruszył w jego kierunku, ale Mack zdołał podstawić mu nogę i przewrócić go. Zobaczył, że Lon Coglan klęczy, szukając swego kastetu. Mack wykorzystał tę chwilę. Chwycił detektywa za włosy i z całej siły uderzył jego głową w koło pobliskiego powozu. Nos Coglana nieprzyjemnie zachrząścił i trysnęła z niego krew.

Nie opodal Jim nadal walczył ze swoim prześladowcą. Chwyciwszy chłopca za nogi, Pinky podniósł go z ziemi, ale Jim w odpowiedzi rozorał mu twarz paznokciami, raniąc w oko.

- Ty mały, wstrętny gówniarzu - wrzasnął grubas, rzucając Jima na ziemię i kopiąc go podbitym ćwiekami butem.

Mack wymierzył potężny cios pomiędzy żebra Slima, odrzucając go daleko od siebie, po czym skoczył pomiędzy powozy na ratunek synowi. Było już jednak za późno. Pinky kopnął Jima jeszcze kilka razy.

Na skraju placu kilku ludzi dostrzegło bójkę i wszczęło alarm. Wkrótce pojawił się umundurowany policjant. Jego

gwizdek wprowadził pewne zamieszanie wśród graczy na boisku.

- Gliny! - wrzasnął przerażony Slim.

Mack dopadł zwiniętego na ziemi syna. Pinky zniknął w oddali i tylko jego koszula mignęła jeszcze kilkakrotnie pośród drzew.

Mack usłyszał, że policjant zagwizdał znowu i że jacyś ludzie biegną mu na pomoc. Rzucił się w pogoń za otyłym mężczyzną. Pinky rozejrzał się dookoła, jego pucołowata twarz spływała potem. Ręce i nogi Macka pracowały jak maszyny. Jeszcze trzy kroki i dopadnie go...

Nagle lewa stopa Macka uwięzła między szprychami jakiegoś powozu. Straciwszy równowagę, runął jak długi na ziemię. W ustach poczuł smak krwi. Leżał oszołomiony, podczas gdy Pinky, Slim i Coglán uciekali pośpiesznie w stronę starego wozu. Twarz detektywa zalana była krwią. Wóz ruszył, zanim wszyscy zdążyli do niego wsiąść. Coglán wyrwał lejce z rąk Slima i zaciął konia batem, nie zważając na czepiającego się kozła Pinky'ego, którego buty wlokły się po wybujających przydrożnych chwastach.

- Och, mój Boże! Biedny malec!

Mack z trudem podniósł się na nogi. Zobaczył, jak klęczący przy Jimie policjant delikatnie unosi zakrwawioną głowę chłopca. Przejęty lękiem pobiegł w stronę stróża prawa i gromadzących się wokół niego gapiów. Lewy but Jima i nogawka jego spodni błyskawicznie przesiąkały krwią.

- Trzymaj się, synu! - krzyknął zza pleców gapiów Mack.

- Niech ktoś sprowadzi ambulans.

Jim poruszył się gwałtownie, zwijając się w kłębek na wyschniętej trawie.

- Och, tatusiu, jak to strasznie boli.

Mack ukląkł obok syna i pogładził go po głowie. Włosy opadły mu na czoło, a po policzkach spływały strużki potu.

Jim zadrzał i rozplakał się. Mack chwycił chłopca za ramiona, wpatrując się w ostre odłamki kości sterczące ze strzępów spodni.

Mack chodził tam i z powrotem przed drzwiami pokoju syna. Biały bandaż przykrywał guz wielkości kurzego jaja, który wyrósł mu za uchem. Zakonnice w habitach sióstr Miłosierdzia przechodziły co chwila obok, patrząc na niego ze współczuciem. Mack nie był katolikiem, ale to nie zmieniało faktu, że było go im żal. Jedna z nich zatrzymała się nawet, by zapytać:

- Czy zna pan wynik meczu?
- Nie, siostró.
- Zremisowali. Sześć do sześciu.
- Dziękuję, siostró.

Ulubiona drużyna mogła się jednak teraz nawet zapaść pod ziemię - wobec choroby syna nic go to nie obchodziło.

Konny wóz zabrał Jima z Richmond Field do Szpitala Świętej Marii na Rincon Hill. Dyżurny lekarz natychmiast wezwał telefonicznie doktora Theodore'a Steinmunda.

- To najlepszy ortopeda na całym wybrzeżu Pacyfiku - zapewnił. Steinmund już od dwóch godzin nie wychodził z sali, gdzie umieszczono Małego Jima. Mack przez cały ten czas nie usiadł ani na chwilę. W końcu wyczerpany opadł na stojącą w pobliżu ławkę. Ledwie to jednak uczynił, drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Steinmund. Rękawy fartucha miał podwinione aż do łokci. Wyraźnie unikał wzroku Macka, w pierwszej chwili oburzonego zawodowym opanowaniem lekarza, a potem gwałtownie zaniepokojonego.

- Chcę się z nim zobaczyć - powiedział, ruszając ku drzwiom. Doktor zagroził mu drogę.

- Proszę poczekać. Cały czas jest z nim pielęgniarka, a ja muszę najpierw chwilę z panem porozmawiać.

Rozdział 52.

Kłęby mgły skryły Golden Gate i wybrzeże Marin. Grudniowy wiatr marszczył wody zatoki, które bieleły z daleka spienionymi grzywami fal.

Dwóch ludzi szło ku sobie wzdłuż muru okalającego park. Mimo że Mack miał na sobie szalik, podniósł jeszcze aksamitny kołnierz płaszcza. Niesione przez wiatr krople słonej morskiej wody zwilżyły jego ubranie i zmoczyły twarz. Było mu zimno. Pewnie zresztą nie czułby ciepła nawet przy słonecznej, upalnej pogodzie, chłód bowiem tkwił w nim samym.

W nocy nie mógł zasnąć, dokądkolwiek zaś udał się w ciągu dnia - do biura, jednego z klubów czy któregoś ze swych magazynów - wszędzie miał przed oczyma tylko jeden obraz: zieleń roślin w szpitalnej oranżerii, gdzie siedział razem z Steinmundem, i czerwoną krew spływającą z ran Chrystusa na wiszącym na ścianie krucyfiksie.

Mack i Abraham Ruef mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Ruef odchrząknął.

- Nie byłem pewien, czy dostał pan mój list. Nie zaszczycił mnie pan odpowiedzią.

Mack patrzył na niego bez słowa.

- Wdzięczny jestem, że mimo to zdecydował się pan przyjść. Zanim jednak przejdę do rzeczy, muszę pana o czymś uprzedzić: nie chcę, by ktokolwiek widział nas razem. Gdyby zaś powtórzył pan komuś treść naszej rozmowy, zaprzeczę wszystkiemu. Niemniej jednak...

Mack popatrzył na morze. Fale rozbijały się z hukiem o brzeg, a wiatr niósł coraz intensywniejszy zapach słonej wody. Ruef otarł twarz białą chusteczką. Miał na rękach grube skórzane rękawiczki. Jego palce były małe i krótkie jak u dziecka.

- Niemniej jednak - powtórzył, znowu odchrząknąwszy - chcę panu powiedzieć, że jeden z moich podwładnych, całkowicie bez mojej wiedzy i - co oczywiste - bez mego pozwolenia, wysłał tych zbirów pod pański dom. Oni zaś, już z własnej inicjatywy, pojechali za panem na Richmond Field. Powszechnie wiadomo, że jest pan kibicem drużyny ze Stanford.

Od czasu wypadku Mack rzadko opuszczał dom. Opalenizna na jego policzkach poczęła już powoli blednąć, teraz zaś twarz miał niemal zupełnie białą.

- Nie przyszedłem tutaj po to, żeby dyskutować z panem na temat futbolu. Ruef dostrzegł w głosie rozmówcy źle skrywane zniecierpliwienie i uspokajająco podniósł dłoń.

- Przepraszam. Proszę wysłuchać mnie do końca.

Ale Mackowi ciągle dźwięczały w uszach przerażające słowa, usłyszane tamtego dnia od doktora Steinmunda. „... Przemieszczenie kości. Śródstopie oraz przednia część stopy oddzielone od siebie. Zaburzenie krążenia. Uszkodzenie żył i głównych tętnic...”

- Wracając do tego... hm... wypadku. Dopiero później odkryłem, że mój współpracownik polecił tym trzem ludziom, by ostrzegli pana przed dalszym publikowaniem swoich poglądów w prasie. Mieli to zrobić słownie, nie posuwając się do rękoczynów. Nic więcej. Absolutnie nic. Przysięgam. Zaatakowanie pańskiego syna było przypadkowe i oczywiście niewybaczalne.

Czy Ruef mówił prawdę? Co to zresztą miało za znaczenie?

„... Szczególnie niebezpieczne miejsce. Każdy ortopeda najbardziej obawia się takich właśnie urazów...”

Ruef starał się, by jego głos brzmiał szczerze i przekonywająco, jakby był adwokatem, który przemawia przed ławą przysięgłych.

- Różnimy się z panem poglądami. To oczywiste. Ale ja zawsze postępuję uczciwie z moimi przeciwnikami...

„Przekłety kłamca - pomyślał Mack. Ale co go to teraz obchodziło?”

- Nie toleruję i nie będę tolerował przemocy w żadnej formie. Coglán i jego otyły towarzysz odjechali kilka dni temu pociągiem z Oakland. Znajdują się teraz daleko. Żaden z nich nie powróci do San Francisco. Oczywiście mieli mi tę decyzję za złe i trzeba ich było zmusić siłą do opuszczenia miasta. Niestety nie udało mi się ukarać trzeciego napastnika. Przepadł bez śladu.

Słowa te nie zdołały ułagodzić wściekłości, jaka opanowała Macka. Ruef ponownie wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł z czoła przemieszane z potem krople morskiej wody.

- Na litość boską, panie Chance, staram się powiedzieć panu, jak bardzo mi przykro. Zapewniam, że nie miałem z tym wydarzeniem nic wspólnego. Gdybym tylko mógł wynagrodzić panu w jakiś sposób cierpienie pańskiego syna...

„...jeśli chodzi o przyszłość, nie mogę niestety obiecać... nie mogę zagwarantować, że chłopiec będzie...”

Mack zastanawiał się, czy to, co przeżywa, nie jest kolejnym sennym koszmarem, jaki nawiedzał go od czasu pamiętnej rozmowy ze Steinmundem. Nie mógł uwierzyć własnym oczom: Abraham Ruef, stojąc przed nim z napiętym, niepewnym wyrazem twarzy, nie spuszczał oczu ze swego rozmówcy sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył z niej pieniądze - niemal calowej grubości spięty gumką plik. Na samym szczycie znajdował się studolarowy banknot.

- Proszę. Niech pan to weźmie. To pokryje koszty leczenia...

Mack ryknął jak zranione zwierzę, a jego zwinięta pięść wytrąciła pieniądze z ręki Ruefa. Spinająca je gumka pękła i studolarówki rozsypały się na wszystkie strony.

- Ty skurwysynu! Ty kawałku gówna! Chcę cię zobaczyć w piekle!

- Chance, Chance! Staralem się tylko...

- Zniszczę cię, Ruef, przysięgam.

Przerażony Ruef próbował się cofnąć, ale Mack był szybszy. Chwycił go za klapy płaszcza i uniósł kilka centymetrów nad ziemię.

- Mój syn już nigdy nie będzie normalnie chodził! - wrzeszczał. - Jest kaleką. Bez przerwy czuje ból. I będzie go czuł do końca życia!

- O mój Boże - wyszeptał Ruef. - O mój Boże... Nie wiedziałem...

Mack miał ochotę zawlec go na brzeg morza, wrzucić w huczące fale i przytrzymać pod wodą tak długo, aż się utopi.

Puścił go jednak, drżąc na całym ciele.

- Wynoś się stąd, zanim cię zabiję.

Ruef otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wzrok Macka przekonał go, że lepiej tego nie czynić. Odwrócił się więc i trwożnie zerkając przez ramię pośpiesznie zniknął wśród ciemniejących sosen.

Obłoki mgły kłębiły się wokół Macka, chłód szczypał w policzki. Wiatr rozwiewał studolarowe banknoty, które opadały na białe grzywy huczącego w dole morza.

Wkrótce Johnson powrócił ze swojej tysiącmilowej wyprawy w dorzecze Amazonki.

- A więc chcesz dostać w swe ręce Ruefa? - zapytał, kiedy Mack opowiedział mu o wszystkim.

- Owszem.

- Uważasz, że to on jest winien kalectwa Jima?

- Do diabła, to jasne. A któżby inny?

- Nieważne. Zapomnij o tym pytaniu.